

# STAR WARS

PRZEZNACZENIE JEDI



OMEN

CHRISTIE GOLDEN

# PRZEZNACZENIE JEDI 2

## OMEN

CHRISTIE GOLDEN

Przekład

Anna Hikiert

Redakcja stylistyczna

Magdalena Stachowicz

Korekta

Jolanta Gomółka

Elżbieta Steglińska

Ilustracja na okładce

Ian Keltie

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału

Fate of the Jedi#2: Omen

Copyright © 2009 by Lucasfilm Ltd. & ® or ™ where indicated.

All Rights Reserved.

Used Under Authorization.

For the Polish translation

Copyright © 2011 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4033-6

Warszawa 2011. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

tel. 22620 40 13, 22620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

*Książkę tę dedykuję moim rodzicom, Jamesowi R. Goldenowi i Elizabeth C. Golden. Jest ona owocem tych wszystkich niezapomnianych popołudniowych seansów, na które podrzucaliście mnie, kiedy w kinach wyświetlano Gwiezdne wojny.*

# BOHATEROWIE POWIEŚCI

Allana Solo - dziewczynka

Bazel „Barv” Warv - (Ramoanin)

Ben Skywalker; Rycerz Jedi - (mężczyzna)

Cilghal - Mistrzini Jedi i uzdrowicielka (Kalamarianka)

Han Solo - kapitan „Sokoła Millenium” (mężczyzna)

Jagged Fel - przywódca Rady Maffów (mężczyzna)

Jaina Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Javis Tyrr - dziennikarz (mężczyzna)

Kenth Hamner - pełniący obowiązki Wielkiego Mistrza Zakonu Jedi (mężczyzna)

Leia Organa Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Luke Skywalker - Wielki Mistrz Jedi (mężczyzna)

Natasi Daala - przywódczyni Galaktycznego Sojuszu (kobieta)

Natua Wan - Rycerz Jedi (Falleenka)

Tadar’Ro - oficer łącznikowy (samiec rasy Aing-Tii)

Vestara Khai - nowicjuszka i uczennica Sithów (kobieta)

Wynn Dorvan - asystent admirał Daali (mężczyzna)

Yaqeel Saav’etu - Rycerz Jedi (Bothanka)

Dawno, dawno temu, w odległej galaktyce...



# PROLOG

## Orbita Ziost, dwa standardowe lata temu

Dician wyczuła planetę, zanim jeszcze ta pojawiła się na monitorze głównego mostka „Zatrutego Księżyca”. Wiedziała, że ten pozornie niegroźny, biało-zielono-niebieski świat także ją widzi - i uśmiechnęła się drapieźnie. Jasne, geometryczne tatuaże na jej twarzy mocno kontrastowały z ciemną skórą. To właśnie to miejsce zobaczyła przed chwilą oczami duszy, jako niemą odpowiedź na pytanie o obiekt, którego szukała w pobliżu. Rozkazała załodze fregaty dać całą naprzód. Muszą zdążyć na czas.

Dokąd zmierzasz, moja piękna? - zagadnęła w myśli.

Ślepcom o martwych zmysłach ta planeta mogła się wydać taka sama jak każda inna: świat pokryty oceanami i lądami, porośniętymi w większości lasem, o biegunach przykrytych polarnymi czapami, zasnuty kłębami białych chmur.

Takie wrażenie było jednak zwodnicze. To nie był świat podobny do innych - i Dician doskonale o tym wiedziała.

To była Ziost, kolebka Sithów.

Nieliczni członkowie Zakonu ukrywali się teraz na Korriban, na którą Dician zamierzała wkrótce wrócić... ale nie teraz, jeszcze nie; nie bez łupu, po który tu przybyła.

Kiedy uświadomiła sobie, że pochyla się lekko w fotelu, zniecierpliwiona opadła na oparcie i delikatnie, ale stanowczo stłumiła podekscytowanie. Nie może pozwolić, żeby emocje wpłynęły na jej misję.

- Wayniss, sprowadź nas na orbitę - poleciła. Pracowała w wywiadzie i jej łagodny, melodyjny głos często utwierdzał innych w przekonaniu, że z jej strony nic im nie grozi, ale jej załoga wiedziała aż za dobrze, czego można się po niej spodziewać.

- Tak jest, pani kapitan - zameldował pierwszy pilot „Zatrutego Księżyca”. Wayniss był małomównym i rzetelnym pilotem. Niewrażliwy na Moc, wypełniał rozkazy sumiennie i pilnie, dopóki sownie mu płacono. Na swój sposób ten siwiejący ekspirat był uczciwy, honorowy i prostoliniorny, całkiem jak prawowity obywatel galaktyki. I jak dotąd, w tej misji świetnie sobie radził.

- Widać gdzieś naszą sferę? - spytała Dician Ithilę, operatorkę czujników. Hapanka nachyliła się nad panelem, marszcząc w skupieniu czoło. Jej twarz można by uznać za piękną, gdyby nie paskudne blizny szpecące jej prawą stronę.

- Nic z tego - odparła Ithila. „Zatruty Księżyc” schodził właśnie na orbitę planety i w przednich

iluminatorach pojawiła się Ziost. - Żadnych sygnałów z powierzchni planety. - Odwróciła się w stronę kapitan. - Wygląda na to, że nic z tego.

Dician znów się uśmiechnęła. Nie mogło być mowy o pomyłce. Teraz musi tylko znaleźć stateczek i...

Usadowiła się wygodniej i skupiła wzrok na powoli obracającej się w iluminatorze kuli. Czekala. Ziost odwzajemniła jej spojrzenie i Dician poczuła w sercu ukłucie tęsknoty. Miała ochotę wylądować „Zatrutym Księżycem” gdzieś w lesie i spacerować wśród drzew, tak jak czynili to inni Sithowie na przestrzeni minionych wieków. Wiedziała jednak, że nie może sobie na to pozwolić. Nie po to tu przybyli. Teraz musi się skupić na interesach Zakonu, Jednego Sitha; nie może myśleć o własnych zachciankach. Może pewnego dnia postawi stopę na powierzchni tego świata... jednak na pewno nieprędko. Ten dzień nie nadszedł. Jeszcze nie.

Muszą się spieszyć.

Jakiś czas później Ithila znów się odezwała:

- Wykrywam ją czujnikami dalekiego zasięgu, pani kapitan - poinformowała.

Dician wyprostowała się i podniosła głowę.

- Wszyscy świetnie się sprawiliście - pochwaliła załogę. - A teraz, jak by to powiedział nasz pilot przemytnik, czas dobić targu.

Nadeszła wielka chwila Dician. Teraz wszystko zależy od niej. Nie może sobie pozwolić na najmniejsze potknięcie. Musi uważać na każdy swój krok.

Wyczuła statek, zanim jeszcze Ithila przesłała jego obraz na jej osobisty wyświetlacz. Była tam... Sfera medytacyjna Sithów. Dician przez chwilę przyglądała się w milczeniu pomarańczowo-czerwono-żółtej kuli, zwieńczonej parą nietoperzych skrzydeł. Sfera przypominała jej olbrzymie oko.

- Witaj, moja piękna - zamruczała uwodzicielsko.

Sfera milczała.

- Jak widzisz, spodziewaliśmy się ciebie. Po co przybyłaś na Ziost?

*Dom* - niechętna odpowiedź wykielkowała głęboko w umyśle Dician. Głos był męski i brzmiała w nim najwyższa koncentracja. Kobieta zadrzała lekko z euforii. To nie był pieszczoch, którego dałoby się ugłaskać, ale wierzchowiec, którego należało okiełznać. Takie wyzwanie wymagało wielkiej siły i niezłomnej woli. Na szczęście Dician miała pod dostatkiem i jednej, i drugiej.

*Mam dla ciebie miejsce lepsze niż ten opuszczony świat* - przekazała statkowi w myśli. Wiedziała, że kojący głos na nic się tu nie zda. Musi się maksymalnie skoncentrować i wykorzystać jak najlepiej swój dar przekonywania.

Stateczek ani na chwilę nie zбочył z kursu, ale Dician spostrzegła, że przykuła jego uwagę. Słuchał jej.

*Jesteś sferą medytacyjną Sithów* - przekonywała go w myśli. - *Chodź ze mną. Zaprowadzę cię do Sithów. Będiesz nam służył, bo jest ci to pisane.* Wyobraziła sobie Korriban, na którym przebywało nie dwoje, ale o wiele więcej Sithów, tworzących teraz jedność - Jednego Sitha; uczniów wymagających szkolenia, spragnionych wiedzy o Ciemnej Stronie, koniecznej do odzyskania należnej im potęgi i chwały.

- Zwalnia - oznajmiła nerwowo Ithila. - Wkrótce się zatrzyma.

Dician nie zawracała sobie głowy tłumaczeniem Hapance, że już o tym wie. Ani myślała zdradzać, że ze sferą wiąże ją prawie intymna więź.

Wszystko wskazywało na to, że pojazd jest szczególnie zainteresowany młodzikami i Dician doskonale to rozumiała - został w końcu zaprojektowany głównie w celach szkoleniowych. Miał chronić i nauczać, a także przygotowywać młodzież do pójścia za jej przeznaczeniem.

*Polecisz z nami na Korriban* - powiedziała w myśli do sfery. - *Będziesz służyć mnie, Dician, i nauczać młodych. Wypełnisz swoje przeznaczenie...*

Za chwilę wszystko się rozstrzygnie. Dician czuła, że sfera sonduje ją uważnie i natarczywie. Nie wstydziła się swojej potęgi i pozwoliła, żeby pojazd ujrział ją w całej okazałości. Żeby wyczuł jej wolę, pragnienie, pasję, przemożną chęć dążenia do doskonałości...

*Doskonałość* - powiedział pojazd i zamyślił się, jakby smakował słowo, które właśnie wypowiedział.

*Tylko ona pozwala w pełni korzystać z Ciemnej Strony* - odparła Dician. - *Pomożesz mi osiągnąć doskonałość. Dla Sithów.*

*Doskonałości nie można osiągnąć w ukryciu.* - Odpowiedź sfery zaskoczyła Dician i kobieta zamrugowała, dezorientowana.

*To po prostu przezorność* - wyjaśniła pospiesznie. - *Będziemy trzymać się na uboczu, rosnąc w siłę, a potem upomnimy się o to, co nasze.*

Kiedy stateczek rozważał jej słowa, umysł Dician kąsały wątpliwości. Zdławiła je szybko i bezlitośnie. Zasłoniła się przed nimi tarczą stanowczości.

*Jedi rosną w siłę* - stwierdziła wreszcie sfera. - *To nie czas na ukrywanie się i podkulanie ogona. Nie zamierzam służyć. Znajdę lepszy cel.*

Dician czuła, że sfera zamyka się przed nią i sprzeciwia jej żądaniu. Na jej policzki wypłynął rumieniec. Jak mogła odrzucać tak lekkomyślnie jej prośbę?

- Pani kapitan? - zagadnęła Ithila. - Sfera podjęła kurs na Ziost.



- Widzę - warknęła Dician. Ithila łypnęła na nią z niepokojem. Stateczek szybko zniknął z ekranów i wkrótce nie został po nim nawet ślad.

Kapitan skupiła się z powrotem na swojej załodze, która przyglądała jej się z zakłopotaniem. Odetchnęła głęboko, starając się odzyskać panowanie nad sobą.

- Wygląda na to, że współpraca ze sferą nie była nam pisana - oznajmiła dobitnie. W melodyjny głos wkradły się chłodne nuty. - Jej oprogramowanie jest przestarzałe i zawodne. Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Czas zebrać załogi promów i wracać do domu. Proszę obliczyć skok do Omegi Trzy Siedem Dziewięć - poleciła Waynissowi, który natychmiast rzucił się do wypełniania rozkazu. Jego palce sprawnie zatańczyły nad konsolą.

Pierwotną misją „Zatrutego Księżyca” nie było odzyskanie Statku, jak zaczęła w myśli nazywać sferę Dician. Wysłano ich, aby wytropili Twi’lekanę Alemy Rar i znaleźli jej bazę operacyjną. Rar jakimś cudem udało się opanować technikę Mocy, dzięki której stwarzała swoje fantomy i rozsyłała je do różnych punktów galaktyki. Dician miała za zadanie zniszczyć zarówno Twi’lekanę, jak i źródło energii Ciemnej Strony, zanim któreś z nich wpadnie w ręce Jedi. W trakcie wypełniania misji czekały ją jednak dwie niespodzianki.

Kiedy „Zatruty Księżyc” namierzył bazę Alemy Rar, Dician odkryła, że mają towarzystwo: jednym z dwóch statków przyczajonych w pobliżu asteroidy był sławetny „Sokół Millenium”. Krótkie śledztwo ujawniło, że za jego sterami zasiadał najprawdopodobniej nie kto inny, jak sam Han Solo, co oznaczało, że na pokładzie tego grata przebywała też pewnie jego żona, Leia Organa, zakała czcigodnego rodu Skywalkerów. Załoga Dician rozmieściła na asteroidzie będącej bazą Rar ładunki, a pani kapitan nie zastanawiała się długo; nie mogła przepuścić takiej okazji - zamierzała jednocześnie zniszczyć koreliański frachtowiec.

Zanim jednak zdążyła wydać odpowiednie rozkazy, z bazy uniósł się Statek. A na jego pokładzie nie było Alemy Rar.

Dician postanowiła polecieć za nim i spróbować go schwytać kosztem darowania „Sokołowi” życia. Poleciała części załogi zdetonować bomby i czekać na nią na największej asteroidzie systemu, Omedze 379. To nie miało potrwać długo.

Dician zacisnęła pełne wargi. Przedłożyła śledzenie Statku nad zniszczenie „Sokoła”, popełniając dokładnie ten sam błąd, przed którym przestrzegala swoich ludzi. Przeliczyła się, a teraz miała wrócić z pustymi rękami.

Cóż, trudno. Niechaj Statek pozostanie na Ziost, ukryty przed resztą galaktyki. Nie będzie nikomu służył; nikt nie wykorzysta go do tego, do czego został stworzony.

Chociaż Dician kipiała ze złości, ta myśl była... pocieszająca.

# ROZDZIAŁ 1

## Świątynia Jedi, Coruscant

Jysella Horn miała wrażenie, że wraz z jej bratem w karbonicie zamrożono część niej samej. Czuli się, jakby uwięziono ją w zimnej bryle, unieruchomioną i bezwolną. Mimo to jakimś cudem zdołała zmusić swoje nogi do posłuszeństwa, nakazując im kierować się w stronę Świątyni Jedi, w której - jak miała nadzieję - znajdzie dziś przy odrobinie szczęścia odpowiedź na dręczące ją pytania.

Od chwili kiedy ogarnięty obłędem Valin zwrócił się przeciwko własnym rodzicom, jakaś część najmłodszej latorośli Hornów umarła, całkiem jakby została razem z nim w przerażającym więzieniu, w którym go zamknięto.

Jysella zawsze była oczkiem w głowie rodziców, ich pupilką i młodszą, uprzykrzoną siostrzyczką, której było wszędzie pełno. Młodych Hornów dzieliły trzy lata i dopiero niedawno między rodzeństwem zadzierzgnęła się więź przyjaźni. Siostra od małego była wpatrzona w swojego opanowanego, mądrego brata, chociaż życie Hornów nie przypominało w niczym spokojnego żywota zwykłych rodzin. Byli znani i rozpoznawalni, a odkąd Jysella pamiętała, zawsze coś im groziło. Ona i Valin rzadko mieli okazję przebywać razem z rodzicami, a bywało, że ich dwójka także była rozdzielona przez długi czas. Jako że w ich stadle było troje Jedi, raczej nie mieli szans żyć jak normalni, przeciętni ludzie, jednak te okresy rozłąki tylko zacieśniały więzi między nimi i zamiast oddalać - zbliżały ich do siebie.

Jysella zadrzała. Było jej zimno, potwornie zimno, jak pewnie teraz jej bratu w bryle karbonitu... Jej wspaniałemu, zawsze uśmiechniętemu bratu, którego kochała ponad życie - i którego uznano za szaleńca. Zaatakował jej rodziców, twierdząc, że ktoś ich porwał, i podstawił w ich miejsce sobowtóry. Coś takiego było w ogóle nie do pomyślenia, a jednak Valin upierał się przy swoim, wskutek czego został aresztowany i uwięziony w najbardziej koszmarnym z aresztów.

Jysella wspinała się teraz długimi świątynnymi schodami u boku przyjaciela, Bazela Warva. Ramoanin położył ciężką zieloną dłoń na jej ramieniu i wydał z siebie serię pokrzepiających chrząknięć.

- Wiem, wiem - westchnęła w odpowiedzi. Małe, świńskie oczka jej kompana przepełniało współczucie. - Wszyscy robią, co mogą, ale wcale nie jest mi z tego powodu lżej.

Barv, jak nazywało go grono najbliższych przyjaciół, zastanawiał się chwilę nad jej słowami. Wreszcie kiwnął głową i uściśnął jej ramię, wkładając w gest całą otuchę, na jaką go było stać. Jysella z niemałym wysiłkiem stłumiła grymas bólu. Wśród przyjaciół Jedi Bazel często zapominał, jaki jest silny, chociaż w towarzystwie małej Amelii, sieroty wojennej adoptowanej przez Hana i Leię Solo, zawsze był nieskończenie delikatny. Chętnie nosił ją na barana, wśród chichotów i radosnych popiskiwań małej, która uwielbiała wszystkich z „Paczki”, jak nazywali swoją grupę Barv, Yaqeel Saav’etu, Valin i Jysella.

- Nasz olbrzym ma rację - skomentowała Yaqeel, eskortująca Jysellę z drugiej strony. - Wiesz, do czego są zdolni Jedi, kiedy ktoś zapędzi ich w nerfi róg.

Dziewczyna znów z trudem powstrzymała grymas, jednak tym razem źródłem bólu była opinia przyjaciółki. Znali się z Barvem i Yaqeel już szmat czasu, a kiedy podrosła, kumple jej brata szybko przyjęli ją do Paczki.

Bothanka operowała słowami z taką samą chłodną, beznamiętną precyzją, z jaką władała mieczem świetlnym. W normalnych okolicznościach taki bezduszny komentarz - a w jej ustach takie szczere wynurzenia nie były rzadkością - spływałby po Jyselli jak woda po kacze, teraz jednak słowa przyjaciółki dotknęły ją do żywego. Czuli się, jakby pancierz, chroniący ją przed okrucieństwem wszechświata, nagle znikł. Wydawało jej się, że najłżejszy powiew wiatru powoduje ból nie do zniesienia.

Barv kwiknął z rozdrażnieniem i Yaqeel zastrzygła uszami. Ramoanin twierdził, że Jedi ciężko pracowali nad znalezieniem leku na tajemniczą chorobę Valina nie dlatego, że sytuacja była dla nich niewygodna, ale dlatego, że tak wypadało - po prostu takie rzeczy należały do ich obowiązków.

Oczy Jyselli wypełniły łzy wdzięczności. Uśmiechnęła się smutno do przyjaciela, a Yaqeel położyła uszy po sobie. Znaczyło to, że ona także zgadza się z argumentem Barva, co zresztą nie było niczym niezwykłym. Wszyscy, a właściwie to wszyscy oprócz samego pocziwego, lecz nieco tępawego zainteresowanego, wiedzieli, że Yaqeel ma słabość do „olbrzyma” - i nikt nie miał o to do niej pretensji. Barv był prostą, szczerą istotą, o sercu zdolnym pomieścić całą galaktykę i silnie zakorzenionym poczuciu dobra i zła.

Jysella desperacko chciała wierzyć w jego opinię, jednak czający się gdzieś w głębi jej piersi jak żywe zwierzątko strach nie pozwalał jej na to.

- Tak czy inaczej, kochana, wiem, że przypadek twojego brata zostanie wnikliwie zbadany i rozpatrzony - dodała Yaqeel już nieco łagodniej. - Cokolwiek mu się stało, jestem pewna, że to chwilowe. A ty powinnaś przestać oglądać wiadomości. Wiesz, jak te hieny lubią wszystko rozdmuchiwać i przekręcać fakty...

Dotarli do wejścia do Świątyni, dawniej widocznej z daleka dzięki swoim pięciu charakterystycznym iglicom, które zostały zniszczone podczas wojny z Yuuzhan Vongami. Większość świątynnych wnętrz odrestaurowano, przywracając im dawną świetność, w niektórych przypadkach dbając nawet o szczegóły, takie jak choćby wzór żyłek marmuru na posadzce, jednak z zewnątrz nadano Świątyni zupełnie nowy, modernistyczny wygląd, ozdabiając budynki szeregiem kamiennych i transpastalowych piramid różnej wielkości. Jysella pomyślała przelotnie, że brakuje jej znajomych rzeźb dawnych Mistrzów, strzegących dawniej głównego wejścia.

Westchnęła i odwróciła się, żeby powiedzieć coś do swoich przyjaciół, ale zanim zdążyła otworzyć usta, otoczyły ją czyjeś silne ramiona. Uśmiechnęła się mimowolnie i przytuliła mocno do Ramoanina.

- Dzięki, Barv - szepnęła zduszonym głosem, bo ten niespodziewany atak czułości wycisnął jej z

płuc prawie całe powietrze.

Uwolniła się delikatnie z objęć przyjaciela, odetchnęła głęboko i spojrzała na niego z uśmiechem. Yaqeel podeszła bliżej i także otoczyła ją ramionami. Jysella wtuliła twarz w ciepłe, przesycone charakterystycznym zapachem futro Bothanki. Większość ludzi nie miała pojęcia, jakie jest miękkie.

- Najgorsza to ta beczynność - powiedziała łagodnie Yaqeel. - Kiedy coś robisz, podejmujesz jakieś kroki, zawsze czujesz się lepiej, niż kiedy siedzisz z założonymi rękami.

Barv przyznał jej rację serią cichych chrząknięć, mówiąc, że on też lubi działać, co zwykle sprowadza się do spuszczenia łomotu tym złym. Yaqeel czule pogładziła Jysellę po policzku.

- Na pewno nie chcesz, żebyśmy z tobą poszli? - upewniła się.

- Nie, dzięki, poradzę sobie. I tak już tyle dla mnie zrobiliście... Nn... nie wiem... - zająknęła się dziewczyna. - Naprawdę nie wiem, co bym bez was zrobiła. Mama i tata tak bardzo przejmują się Valinem, że... To znaczy - płątała się - jasne, to normalne, powinni się skupić tylko na nim, i... i ja też. Po prostu...

- Nie musisz nic mówić - przerwała jej ze zrozumieniem Yaqeel, wyczuwając, podobnie jak jej przyjaciółka, że jeśli Jysella powie choćby jeszcze jedno słowo, jej z trudem osiągnięte opanowanie legnie w gruzach. - Jesteśmy Paczką - przypomniała jej. - A w Paczce wszyscy mogą na sobie polegać. Wiem, że zrobiłabyś dla nas to samo.

Barv przytaknął gorliwie i Jysella wiedziała, że to prawda. Ona i Valin zrobiliby to samo nie tylko dla przyjaciół, ale i dla każdego z Rycerzy Jedi. A gdyby zaszła taka potrzeba, to nawet o wiele więcej.

- Cóż - podjęła, próbując nadać swojemu głosowi beztroski ton - jestem pewna, że przy poświęceniu waszym i całego Zakonu Valin lada chwila wyjdzie ze swojego karbonitowego lokalu tymczasowego. Chociaż muszę przyznać, że kiedy byłam dzieckiem, wiele razy żałowałam, że braciszek nie jest meblem, który nie może się odszczeknąć.

To był kiepski żart, ale wszyscy roześmiali się serdecznie. W tej sytuacji mieli tylko dwa wyjścia: śmiać się albo płakać, a Jysella wiedziała, że Valin by nie chciał, żeby z jego powodu płakali. Ostatnio wylała już stanowczo za wiele łez.

Yaqeel uśmiechnęła się szeroko i objęła Barva w pasie.

- Chodź, mój drogi - zaproponowała. - Postawię ci kaf. Pora na lunch. Sello?

Lunch, pomyślała nieprzytomnie Jysella. Całkiem zapomniała, że powinna coś zjeść. Cóż, ostatnio wylatywało jej z głowy wiele rzeczy, poza jedną: przemożnym pragnieniem, żeby wszystko było znów jak dawniej.

- Tak, lunch - mruknęła. - Jasne. Tylko... zejdzie mi chyba z tym wszystkim parę godzin. Pewnie do tego czasu zdążę doprowadzić Cilghal do szału. - Roześmiała się, tym razem szczerze.

To był dobry moment na pożegnanie. Trójka członków Paczki pomachała sobie i rozstała się w pozornie dobrych humorach. Jysella patrzyła jeszcze chwilę za Barvem i Yaqeel, a potem westchnęła i przekroczyła próg Świątyni. Uśmiechnęła się z roztargnieniem do piątki uczniów strzegących wejścia.

Ile razy już tu była? Dawno straciła rachubę. To miejsce zawsze miało dla niej szczególne znaczenie, tak samo zresztą jak dla każdego Jedi. Czasem, przez długie dni, kiedy nie wypełniała misji poza planetą, Świątynia była jej domem. Teraz jednak bardziej niż kiedykolwiek wcześniej postrzegała ją jako bastion ostatniej nadziei. Gdzieś tam, głęboko, w czeluściach przepastnych archiwów starożytnej wiedzy, zgromadzonej na przestrzeni wieków przez Zakon, czekało rozwiązanie problemów jej brata, wskazówki na temat tego, co się z nim stało - i jak sobie z tym poradzić.

Barv był o tym przekonany i Jysella trzymała się tej myśli kurczowo jak ostatniej deski ratunku.

Jej kroki dźwięczały głośnym echem, odbite od wysoko sklepionych korytarzy holu, kiedy kierowała się do turbowindy, która miała zabrać ją do Pierwszego Skrzydła archiwów. Jysella założyła ręce na piersi i przestępowała niespokojnie z nogi na nogę, dopóki kabina z cichym szumem nie dowiozła jej na najwyższe piętro.

Znalazła Cilghal w niewielkiej niszy za regałami, przy jednym ze stanowisk pracy, otoczoną stertami datapadów i datakart. Mistrzynie pochylała właśnie gładkie brązowe czoło nad jakimś starożytnym skryptem; dla ochrony delikatnych, starych flimsiarkuszy jej pletwiaste dłonie zakrywały rękawiczki. Kiedy Jysella podeszła bliżej, Kalamarianka podniosła głowę znad dokumentów.

- Jysello - przywitała ją ciepło. - W samą porę.

Dziewczyna uśmiechnęła się blado i opadła na pobliskie krzesło. Chociaż nie była spóźniona, wyglądało na to, że Cilghal czeka na nią już od dłuższego czasu.

- Mistrzynie... - zaczęła i sięgnęła drżącą ręką po jeden z komputerowych notesów. - Przepraszam, Mistrzynie Cilghal - westchnęła, zrezygnowana. - Nie wiem nawet, jak mogłabym pomóc...

Cilghal łypnęła na nią współczująco wyłupiastym okiem.

- Wszyscy robią, co w ich mocy - stwierdziła z namaszczeniem. - Musimy odkryć, co przydarzyło się twojemu bratu. Wszystkim zależy na jego powrocie do zdrowia. To bardzo ważne. Naprawdę liczymy na to, że wkrótce uda się nam znaleźć rozwiązanie tej zagadki i sposób na uwolnienie go z aresztu służb Galaktycznego Sojuszu...

Jysella uśmiechnęła się smutno i odgarnęła pasemko włosów, które wysunęło się z upiętego pospiesznie tego ranka koka.

- Wiem - wymamrotała. - To... przykre, że ten wypadek tak bardzo szkodzi nam w oczach społeczeństwa. Wiem, że Valin... nigdy by nie chciał, żeby do tego doszło.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się łagodnie Cilghal. - To na pewno nie jest wina twojej rodziny,

Jysello. Sprawa jest trudna, ale mam nadzieję, że wszystko da się wyjaśnić.

Jysella czuła, że słowa Cilghal są szczerze i płyną z głębi serca. Chciała jej wierzyć. Chociaż wiedziała, że kalamariańska Jedi nie pochwała emocjonalnego angażowania się - nawet jeśli chodzi o rodzinę - wydawała się wspierać ją całym sercem, i Jysella była jej za to niewypowiedzianie wdzięczna. Teraz szczególnie potrzebowała każdego rodzaju pociechy.

Mimo to... żałowała, że nie ma na miejscu Mistrza Skywalkera. Chociaż Luke zrobił wszystko, co mógł, żeby proces przekazania władzy w ręce jego zastępcy przebiegł gładko i bez zakłóceń, Zakon Jedi po jego odejściu ogarnął chaos. Jysella wiedziała, że Mistrz Hamner stara się z całych sił poradzić sobie ze wszystkimi problemami, ale w obecnej sytuacji liczba kłód rzuconych mu pod nogi po prostu przerastała jego możliwości. A obłąkani Jedi pałający się po Coruscant i twierdzący, że ludzie nie są tymi, za których się podają, byli ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował.

Niestety, Valin tkwił zamrożony w karbonicie w więzieniu GS, z dala od swoich bliskich, nieświadom, jak bardzo jego rodzina stara się mu pomóc. Na myśl o jego koszmarnym więzieniu Jysellę ogarnął chłód. Odruchowo potarła pokryte gęsią skórą ramiona i zadrżała lekko.

Och, Valinie! - pomyślała z rozpaczą. Gdybyś tylko mógł nam opowiedzieć, co się stało... Dlaczego nagle uznałeś, że mama i tata nie są sobą? Jak mogłeś się wyprzeć własnych rodziców?

Spod jej przymkniętych powiek wymknęła się łza, potem druga; Jysella otarła gniewnie mokre policzki. Przestań, Sello! - nakazała sobie w myśli. Żal i wściekłość w niczym nie pomogą Valinowi ani Zakonowi! Nic w ten sposób nie wskórasz. Opanuj się! Spokój i rozsądek - oto, co może ci się teraz przydać. Otworzyła oczy i przysunęła sobie jeden z datapadów.

- To chyba bardzo stary zapis - zauważyła, przenosząc wzrok na Cilghal. - Czy masz jakiś pomysł co do... - zanim skończyła, ogarnęła ją nagła panika. Czuła, że krew odpływa z jej twarzy.

Kalamarianka odłożyła stare arkusze i bez reszty poświęciła się zgłębianiu informacji wyświetlanych na ekranie datapada. Jej wyłupiaste oczy studiowały w skupieniu dane na monitorze. W niszy panowała względna cisza, zakłócana jedynie odległymi odgłosami prowadzonych w pobliżu rozmów i cichym dźwiękiem kroków dobiegających gdzieś z oddali. Nic się nie zmieniło, a jednak... Jysella odniosła wrażenie, że nagle cały świat stanął na głowie.

Valin miał rację, pomyślała nieprzytomnie. Jak mogła tego nie zauważyć?!

Odetchnęła głęboko. Siedząca obok niej istota wyglądała jak Cilghal, bez dwóch zdań. Ktokolwiek za tym wszystkim stał, dobrze się spisał. Postać siedząca za stołem poruszała się jak Kalamarianka, zachowywała dokładnie tak jak Mistrzynie Cilghal, a jednak... Jysella zrozumiała nagle dokładnie, co miał na myśli jej brat.

Nie-Cilghal podniosła na nią wzrok i przechyliła głowę na ramię.

- Jysello? - zagadnęła z lekkim niepokojem. - Czy coś się stało?

- Nn... nic - wykrztusiła zakłopotana dziewczyna. - Wiesz, Mistrzynie... - Zaśmiała się nieszczerze. - Chyba jestem zbyt roztrzęsiona, żebym zdołała ci się teraz na coś przydać... - wydukała i wstała. Musiała się stąd wydostać jak najszybciej, zanim ten podły sobowtór zorientuje się, że przejrzała jego gierkę. Ale... gdzie ma uciec? Komu może się zwierzyć? Do kogo powinna z tym pójść? Jeśli Valin miał rację, wszyscy - pewnie tylko oprócz niej - zostali zastąpieni sobowtórami... Jak mogła nie spostrzec tego wcześniej? Och, Valinie! - pomyślała z rozpaczą. Dlaczego ci nie wierzyłam?

Fałszywa Cilghal oderwała się od pracy i zmierzyła Jysellę podejrzliwie wylupiastym okiem.

- Jesteś bardzo dzielna, Jysello - powiedziała łagodnie. - Na pewno jest ci trudno. Nie chcesz o tym porozmawiać? Czasem zwierzenie się komuś ze swoich lęków i trosk czyni cuda większe niż zbiornik z bactą. - W chrapliwym głosie Mistrzynie pobrzmiwała prawdziwa troska i współczucie, ale to tylko jeszcze bardziej rozjuszyło Jysellę. *Stang!* Nieważne, kto podszywał się pod Kalamariankę, był naprawdę dobry. Opanował akcent i ruchy Cilghal do perfekcji. Nic dziwnego, że udawało mu się wszystkim oszukiwać...

Ale przecież Valin zorientował się, co się święci, chociaż sobowtóry podobne temu, który właśnie próbował okłamać Jysellę, zdołały wprowadzić w błąd i ją, i jej rodziców.

O, nie! - przeniknęło jej nagle przez myśl. A co, jeśli Valin miał rację co do ich matki i...

- Chyba będzie lepiej, jak już pójdę - wymamrotała, bezwiednie opuszczając rękę do biodra i kładąc ją na rękojeści miecza świetlnego. Jako Rycerz Jedi miała prawo nosić broń na terenie Świątyni, z wyjątkiem kilku ściśle chronionych stref. Tego ranka mało brakowało, a zapomniałyby go w całym tym zamieszaniu i teraz była bezgranicznie wdzięczna, że po niego wróciła.

Oczy Cilghal spoczęły na jej broni i Mistrzynie także wstała. Oczywiście, ona też miała przytroczony do pasa miecz, ale nie sięgnęła po niego.

- Jysello - zagała - może pójdziemy gdzieś i...

Na dźwięk słów fałszywej Cilghal Jysellę przebiegł dreszcz, a z ust wyrwało jej się mimowolne westchnienie. Cofnęła się o krok i zacisnęła dłoń na rękojeści - tak mocno, że zbielały jej knykcie.

- Precz! - wrzasnęła histerycznie, ledwie nad sobą panując.

- Jysello... - Fałszywa Cilghal wyciągnęła do niej płetwiastą dłoń.

- Powiedziałam: łapy precz! - Dziewczyna odpięła od pasa miecz i wyciągnęła drugą rękę w stronę podmienionej Cilghal. Mężczyźni w jej rodzinie nie byli zdolni do telekinezy, ale Jysella opanowała ją do perfekcji i teraz z tego skorzystała. Włożyła w gest cały swój strach i koncentrację, zaskakując nie-Cilghal i ciskając ją Mocą w sam środek sterty komputerowych notesów.

Nie czekała, żeby zobaczyć efekt. Zanim Cilghal upadła, Jysella Horn, pewnie jedyna prawdziwa osoba na planecie - a może i w galaktyce (poza, oczywiście, Valinem) - pędziła już w stronę turbowindy, jakby goniło ją stado demonów.

Cilghal zaskakująco szybko doszła do siebie. Wyhamowała upadek Mocą, zerwała się na równe nogi, stracając ze stołu kilka datapadów, i sięgnęła jedną ręką po komunikator, a drugą - po miecz. Dała się głupio zaskoczyć i wcale jej się to nie podobało.

- Ochrona? Tu Mistrzynie Cilghal - rzuciła do mikrofonu, puszczając się biegiem za Jysellą. - Musicie zatrzymać Jedi Jysellę Horn; jeśli to możliwe, bez uciekania się do przemocy. Coś mi się zdaje, że nie jest sobą. Powiadomcie natychmiast Mistrza Hamnera. Powiedzcie mu, że mamy następny przypadek.

- Tak jest - dobiegło z głośnika służbiste potwierdzenie i Cilghal wyłączyła komunikator. Na szczegółową relację przyjdzie czas, kiedy dziewczyna zostanie bezpiecznie zatrzymana.

Mistrzynie Jedi nie miała złudzeń co do przyczyny zachowania Jyselli. Tak samo jak wcześniej jej brat, córka Hornów najwyraźniej postradała zmysły, z tą jednak różnicą, że Valin był irracjonalnie wściekły, a od Jyselli poprzez Moc promieniował bezgraniczny strach. Cokolwiek podpowiadał jej umysł, przerażało ją to bardziej, niż Cilghal potrafiła sobie wyobrazić.

Współczucie, połączone z desperackim pragnieniem niedopuszczenia, żeby przerażona dziewczyna wyrządziła komuś krzywdę, dodało kalamariańskiej Mistrzynie skrzydeł. Muszą ją powstrzymać - nieważne jak - i zrobią to. Przecież są w Świątyni Jedi, a Jysella, chociaż biegła w walce, nie jest niepowstrzymana - nawet napędzana potężnym strachem.

Gdzie też mogła się ukryć?



# ROZDZIAŁ 2

## Świątynia Jedi, Coruscant

Gdzie mogła się ukryć?

Jysella była osaczona jak zwierzę w pułapce - i musiała się z tej pułapki wydostać. Bez względu na cenę. Och, Valinie! - kołatało jej się bezustannie po głowie. Mój biedny Valinie, dlaczego ci nie uwierzyłam? Tak bardzo, bardzo mi przykro. Tak strasznie żałuję, że...

Nie mogła zjechać turbowindą, bo urządzenie było zbyt wolne, a poza tym i tak pewnie ci podstawieni Jedi zaraz odetną zasilanie i zostanie uwięziona w kabinie. Musi znaleźć sposób, żeby dostać się na główny poziom. Wkrótce plan był gotowy.

Szyb turbowindy otaczały świątynne korytarze. Z każdego prowadziły do niego cztery kładki o rzeźbionych kamiennych poręczach, sięgających mniej więcej do pasa - raczej dekoracyjne niż funkcjonalne. Idąc którąś z nich, można się było wychylić przez barierkę i zobaczyć jak na dłoni dolne piętra.

Jysella nie wahała się ani przez chwilę. Zaciśnęła kurczowo palce na rękojeści miecza, drugą ręką chwyciła się zimnej marmurowej poręczy i skoczyła, planując wylądować w przejściu piętro niżej. Udało jej się to bez trudu dzięki Mocy. Już-już miała znów skoczyć, kiedy zatrzymał ją krzyk nie-Cilghal:

- Jysello, zaczekaj! To nie tak jak myślisz! Nikt nas nie podmienił! Wszyscy...

Jysellę ogarnął strach tak silny, że spocona dłoń ześlizgnęła się z gładkiej marmurowej barierki. Mimo to skoczyła - chaotycznym, źle wymierzonym susem - i przy niezgrabnym lądowaniu na poręczy piętro niżej boleśnie uderzyła się w kolano. Przyłgnęła desperacko do tralek.

W pobliżu wyczuła obecność innego Jedi. Podniosła gwałtownie głowę i obejrzała się za siebie. Znała tę osobę - czy raczej osobę, pod którą podszywał się sobowtór... Coś niesamowitego! Oszustka wyglądała wypisz, wymaluj jak Natua Wan - zadbała nawet o takie drobiazgi jak błękitne paciorki wplecione w długie czarne włosy. W dłoni trzymała włączony miecz i próbowała wciskać Jyselli jakieś głodne kawałki o tym, że nie chce jej skrzywdzić, że ona nie ma racji i że chcą jej pomóc. Co więcej, skóra fałszywej Natui zmieniała kolor, reagując identycznie, jak zachowywałyby się w podobnych okolicznościach skóra prawdziwej Falleenki, jeśli ta spróbowałaby otumanić Jysellę feromonami, żeby...

- Ta-a, jasne - mruknęła Sella pod nosem. Nie miała wolnej ręki, żeby unieruchomić tę zdzirę, bo nie mogła puścić ani poręczy, ani miecza, ale musiała coś wymyślić... Jej wzrok padł na popiersie stojące na niewielkim stoliku na końcu korytarza. Szybkim ruchem głowy posłała Mocą rzeźbę dawno zmarłego Jedi w stronę pełnej złych zamiarów istoty. Popiersie poszybowało w stronę nie-Natui,

która upadła, uderzona kamienną figurą.

Jysella nie zawracała sobie głowy sprawdzaniem, czy skutecznie zatrzymała fałszywą Falleenkę. Skoczyła w dół, lądując lekko na palcach.

Była teraz na głównym poziomie. Za kilka chwil będzie bezpieczna - chociaż pewnie nie na długo. Obejrzała się przez ramię na wyjście ze skrzydła, prowadzące do głównego holu. Za nim była już tylko Promenada, a więc wolność... Jysella przełknęła ślinę i puściła się biegiem.

Zakłęta brzydtko pod nosem na widok następnego Jedi, który wyrósł nagle jak spod ziemi i pędził korytarzem w jej stronę. Wyglądał na Brubba, ale Jysella nie знаła go z imienia. Byli dosłownie wszędzie, ci fałszywi Jedi! Chęć wydostania się na zewnątrz była jednak tak desperacka, że dziewczyna nawet nie zwolniła. Warknęła tylko gniewnie i machnęła dłonią w stronę jednej z wiszących na ścianach półek. Równo ułożone sterty datapadów wzbiły się natychmiast w powietrze i poszybowały w stronę Rycerza Jedi. Zaskoczony, podjął rozpaczliwą próbę obrony przed niespodziewanym atakiem, ale z marnym skutkiem. Brubbowie byli co prawda silni (a podszywającemu się pod Jedi oszustowi także nie brakowało krzepy), więc komputerowe notesy nie mogły mu wyrządzić żadnej krzywdy, ale też Jysella wcale nie miała takiego zamiaru. Potrzebowała tylko odrobiny czasu...

Pędząc prosto na przeciwnika, uniosła miecz do ciosu i cisnęła w niego broń. Widziała, jak na widok wirującego ostrza żółtoskóra istota otwiera szeroko oczy; Brubb ledwo zdążył podnieść własny miecz, żeby w porę zablokować cios. Jysella nie zwlekała - wyprysnęła w powietrze, przeskoczyła nad fałszywym Jedi i bez trudu chwyciła w locie swoją broń.

Wylądowała z gracją i natychmiast puściła się biegiem w stronę wyjścia, po drodze wciskając kontrolkę zamykającą dostęp do skrzydła.

Wiedziała, że otworzenie drzwi od wewnątrz zajmie jej przeciwnikowi niewiele czasu, więc wepchnęła ostrze miecza w panel kontrolny aż po rękojeść. Urządzenie zaskwierczało i zasyczało; Jysella zmarszczyła nos, kiedy poczuła kwaśny odór spalonych części.

Takie rozwiązanie nie zatrzyma pościgu na długo, ale dzięki niemu zyska kilka cennych chwil na przemyślenie planu. Jest zwierzyną uwięzioną w pułapce i musi się wydostać...

Odetchnęła głęboko, powoli i z pomocą technik Jedi spróbowała uspokoić galopujące myśli. Przez chwilę trwała tak z przymkniętymi oczami, oddychając spokojnie. Kiedy wreszcie rozejrzała się dookoła, zobaczyła coś bardzo, bardzo dziwnego...

Cilghal dopadła do Radda Minkera, który właśnie wycinał mieczem świetlnym otwór w drzwiach. Sięgnęła poprzez Moc, starając się wyczuć Jysellę, i z zaskoczeniem stwierdziła, że dziewczyna ciągle stoi po drugiej stronie drzwi.

- Tu Cilghal do ochrony - rzuciła do komunikatora. - Jysella Horn jest na zewnątrz Archiwów od

strony południowej. Zatrzasnęła drzwi i zniszczyła panel kontrolny. Jedi Minker właśnie się przez nie przecina. Zakładam, że kiedy dziewczyna nieco ochłonie, skieruje się prosto do wyjścia na Promenadę. Jest przerażona i przypuszczam, że wybierze najprostszą drogę. Najprawdopodobniej będzie próbowała uciec.

- Przyjąłem - dobiegło z głośnika. - Nie wymknie się nam.

Cilghal przypięła komunikator do pasa i wysłała na zewnątrz wici Mocy; chciała dotrzeć do Jyselli i ją uspokoić.

Przygotowała się na zwierzęcy strach, który prawie ściał ją z nóg poprzednio, kiedy starała się do niej przeniknąć, ale to, co poczuła teraz, wprawiło ją w prawdziwe osłupienie. Owszem, młoda Jedi była potwornie przerażona do granic, ale oprócz lęku w jej aurze było coś jeszcze, czego Cilghal nie potrafiła do końca rozpoznać ani nazwać. Zmarszczyła czoło i spróbowała sięgnąć głębiej...

Jysella widziała... samą siebie, pędzącą co tchu korytarzem - ku wolności. Wzdłuż holu ciągnęły się wysokie filary, podpierające kunsztownie rzeźbiony sufit. Dziewczyna z zaskoczeniem spostrzegła, że ukryte drzwi między dwoma z nich otwierają się, ukazując dwójkę droidów ochroniarzy.

Nie tracąc czasu, zaatakowały. Jysella wciąż przyglądała im się w osłupieniu, próbując ustalić, co się dzieje, podczas gdy ona-nie-ona zaczęła odbijać strzały tak szybko, że ostrze miecza utworzyło niebieski, wirujący z zawrotną prędkością wachlarz światła. Czyżby naprawdę patrzyła na sama siebie? A może miała halucynacje? Co to ma znaczyć? Do korytarza wpadło nagle pięcioro uczniów, którym nie dalej jak pół godziny temu skinęła głową na powitanie; jeden z nich wykrzykiwał coś do komunikatora.

Jysella-nie-Jysella rzuciła się naprzód i opuściła ostrze miecza na pierwszego droida ochroniarza. Skondensowana energia cięła metal i przewody jak masło, a ona w zgrabnym uniku uchylila się przed ogniem kierowanym ku niej przez drugiego robota, przeskoczyła płynną gwiazdą kawałek dalej i znów wprawiła broń w ruch.

Droid szybko zaprzestał ataku. Podobnie jak jego kolega, został unieruchomiony; w jego korpusie ziała czarna dziura. Ledwie automat znieruchomiał, niby-Jysella stała już pewnie na nogach, przygotowując się na atak Jedi.

Prawdziwa Jysella stała jak wryta, zadziwiona własną odwagą i determinacją. Chociaż walczyła zaciekle, jeden z ciosów osmalił jej policzek, zostawiając na nim czarną pręgę oparzeliny. W pewnej chwili cudem uniknęła też utraty ręki. Mimo to nie zamierzała się poddać. Wycinała fałszywych uczniów w pień, dopóki nie utorowała sobie drogi na wolność. Wcale nie było jej ich żal - nie byli przecież prawdziwi; zostali zastąpieni sobowtórami. Ledwo żywa, przeszła po kobiercu dymiących ciał i skierowała się do wyjścia.

Nagle z jej ust wyrwał się okrzyk.

Była tak blisko... Tak mało brakowało! Niestety, chociaż Jysella-nie-Jysella stała skąpana w świetle słońca na zewnątrz, od upragnionej wolności dzieliła ją tarcza pola bezpieczeństwa. Prawdziwa Sella załkała żałościwie na widok bezowocnych prób jej drugiego ja, starającego się wydostać na zewnątrz, miotającego się jak owad schwytyany w pajęczą sieć.

- Nie! - wyrwało się jej. Stała jak sparaliżowana, obserwując przedziwny spektakl rozgrywający się przed jej oczami, aż nagle ją olśniło. Był tylko jeden sposób na potwierdzenie, że się nie myli.

Wiedziała, jak każdy Jedi, że Świątynia jest chroniona na wszelkie możliwe sposoby. Mimo to w przeszłości wiele razy udało się udowodnić, że chociaż budynki były pilnie strzeżone, istniały sposoby na ominięcie zabezpieczeń. A choć Jysella nie znała się na zawłościach systemu ochrony, to jeśli dobrze zgadła...

Puściła się pędem w stronę filarów. Jeżeli rzeczywiście mogła widzieć przyszłość, jeden z droidów czaił się właśnie między nimi. Klnąc pod nosem, rzuciła mieczem świetlnym w miejsce, w którym - jak oczekiwała - powinien być korpus robota. Miecz świetlny ciał przez marmur filaru... a potem zagłębił się w metal i elektroniczne wnętrza droida. Robot skonał przy akompaniamencie żalosego syku i skwierczenia, jeszcze zanim zdążył zrobić choć krok w jej stronę. Ogarnięta euforią, Sella przecięła główny hol, przyskoczyła do następnego filaru i powtórzyła całą operację, a potem obejrzała się na drzwi. Nie widziała śladu uczniów - jeszcze nie. Zdążyła! Pospiesznie wróciła tą samą drogą, którą tu przyszła. Kiedy dotarła do bocznego korytarza dostępu dla służb porządkowych, zanurkowała do środka. Zamknęła za sobą drzwi i schowała się za potężnym droidem sprzątającym. Potem podciągnęła kolana pod brodę i, cała rozdygotana, zwinęła się w kłębek, ukrywając swą obecność w Mocy, tak jak kiedy była małą dziewczynką.

Jysella zniknęła, a Cilghal nie miała pojęcia gdzie. Czowała jedynie, że aura strachu i to dziwne wrażenie, które emanowało od dziewczyny wcześniej, rozplynęły się bez śladu.

Sięgnęła po komunikator.

- Straciliśmy ją z oczu - powiedziała. - Wyślijcie kogoś do głównego wejścia. Szybko. Przypuszczam, że pójdzie właśnie tam.

Na kilka sekund zapadła cisza, przerywana tylko skwierczeniem metalu ustępującego pod ostrzem miecza. Ciężka, aktywowana automatycznie płyta miała chronić Archiwa na wypadek włamania czy pożaru, dlatego niełatwo było ją przeciąć - nawet bronią Jedi. Miecz Radda Minkera grzązł w metalu jak patyk w zastygającym durabetonie, ale Brubb parł z determinacją naprzód. Niestety, cała operacja miała potrwać jeszcze co najmniej kilka cennych sekund, których - zdaniem Cilghal - nie mogli Jyselli dać. Kalamarianka obawiała się, że roztrzęsiona Hornówna może zrobić coś głupiego i dać się zabić.

- To niemożliwe! - krzyknął nagle głos w komunikatorze. Cilghal, która widziała w swoim życiu zbyt wiele, żeby brać podobne deklaracje poważnie, powstrzymała się od komentarza.

- Co się stało? - spytała rzeczowo.

- Ona... - zająknął się Jedi w komunikatorze. - Punkty rozmieszczenia droidów ochroniarzy są ściśle tajne! - Rzeczywiście, nawet Cilghal nie wiedziała, gdzie są schowane. - Tylko garstka moich ludzi wie o miejscach ich ukrycia, a Jysella zniszczyła właśnie dwa, które mieliśmy za chwilę aktywować! Nie mogła... nie powinna ich namierzyć, a na pewno nie tak szybko!

Cilghal przypomniała sobie dziwną aurę emanującą od Jyselli i serce ścisnęło jej się ze strachu. Wnioski, jakie jej się nasuwały, były co najmniej niepokojące...

- Kontynuujcie - poleciła, nie spuszczać bulwiastych oczu z ostrza mozolnie przecinającego płytę drzwi.

- Jyselli... nie ma przy głównym wejściu - dodał niepewnie Jedi. - Nie mamy pojęcia, gdzie jest.

- Będzie chciała się wydostać, to pewne - stwierdziła Kalamarianka. - Ubezpieczcie wszystkie wejścia.

- Tak jest, Mistrzynie.

Cilghal westchnęła i Radd zerknął na nią przepaszająco.

- Przykro mi, że tyle to trwa, Mistrzynie...

- Pomogę ci - zaproponowała Cilghal i aktywowała swój miecz, a potem podeszła do drzwi i wepchnęła ostrze w skrzydło. Powoli, opornie materiał zaczął ustępować. Kalamariańska Jedi cięła w przeciwną stronę niż Radd, prowadząc miecz na spotkanie jego ostrza. Wykonywanie podobnej czynności we dwójkę było dość ryzykowne, bo drzwi mogły w każdej chwili ustąpić, a wtedy ostrza ich mieczy utknęłyby na dobre w rozgrzanym metalu - i właśnie dlatego Cilghal zdecydowała się wkroczyć do akcji dopiero teraz. Chociaż próbowała się skupić bez reszty na wykonywanym zadaniu, Kalamarianka nie mogła przestać myśleć o biednej Jyselli.

Jysella czuła, że Jedi ją mijają, skoncentrowani bez reszty na dotarciu do wyjścia - tak bardzo, że zapomnieli sprawdzić Mocą bezpośrednie otoczenie. Cóż, między innymi dlatego wciąż byli tylko uczniami, stwierdziła w duchu z satysfakcją.

Nie, poprawiła się szybko. Nie byli uczniami. Byli sobowtórami, oszustami - i właśnie dlatego jej nie wyczuli. Zadrzała gwałtownie. Paraliżował ją bezgraniczny strach, jednak po chwili zdołała wstać.

Naparła dłonią na drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Korytarz między jej kryjówką a wyjściem był czysty; strażnicy rozbiegli się w jej poszukiwaniu. A co z polem, które zatrzymało jej „ja” z przeszłości?

Chwileczkę... Jeden z uczniów w jej wizji mówił coś do komunikatora... Może to wtedy je

aktywował? Czy wiedzieli, gdzie zamierza uciec? Czy skontaktowali się już z ochroną?

Nie miała czasu szukać innego rozwiązania. Nie mogła siedzieć, próbując jeszcze raz zobaczyć swoje drugie ja, żeby sprawdzić, co się wydarzy. Wzięła głęboki wdech, zacisnęła mocniej dłoń na rękojeści miecza i puściła się pędem przez opustoszały hol.

Przed samym wyjściem zamarła, wpatrując się w kałuże światła na dywanie. Spodziewała się, że w każdej chwili spadnie na nią energetyczna sieć.

Nic się jednak nie wydarzyło.

Jysella stłumiła pełen ulgi szloch i pobiegła ku wolności.

# ROZDZIAŁ 3

## Dzielnica Świątyni Jedi, Coruscant

Yaqeel upiła łyk ciemnego, gorącego naparu i zawiesiła oko na kliencie, który właśnie wszedł do kafejki. Człowiek był szczupły, ale nie chudy. Miał bujną czuprynę, śniadą cerę, a na sobie modne, ale nie krzykliwe ciuchy, które ani chybi kosztowały małą fortunę. Jak na ludzkie standardy można go było uznać za przystojnego, ale wrazenie psuły pełne wargi, wykrzywione bezustannie w drwiącym uśmiechu. Czuły nos Yaqeel wychwycił w otaczającym go zapachu nutkę piżma. Bothanka wiedziała, że ludzie lubią skrapiać się czymś, co nazywali „perfumami” albo „pachnidłami”, żeby przypodobać się płci przeciwnej. Cóż, najwyraźniej nie do końca pokładali wiarę w atrakcyjność swoich naturalnych aromatów... Bothanie nie mieli takich problemów. Każdy pachniał wyjątkowo i (no, prawie każdy) pięknie. A przynajmniej dla innych Bothan. Yaqeel zerknęła ukradkiem na Barva i zastanowiła się, co Ramoanin sądzi o jej zapachu.

Jej przyjaciel sączył w milczeniu swój kaf, trzymając potężny kubek w wielkich dłoniach. Zielona, nalana twarz o kanciastej szczęce, zakończona mięsistym ryjkiem, mogła się komuś wydawać nachmurzona, ale Yaqeel umiała rozpoznać u przyjaciela dobry nastrój.

Przeniosła znów wzrok na człowieka, który odbierał właśnie kawę na wynos. Miał bardzo zadbane dłonie. Teraz, kiedy przyjrzała mu się uważniej, wydał jej się znajomy; chociaż nie rozpoznawała zapachu, jego wygląd... Może był gwiazdą holonowel? Oglądała kiedyś jedną taką, poleconą jej przez Valina i Jysellę - i nawet jej się spodobała - ale na pewno nie występował w niej ten mężczyzna. Przyglądała się, jak płaci i wychodzi zwawym krokiem na zewnątrz. Czekający pod kafejką droid podniósł się z ziemi i pofrunął za nim posłusznie. Droid kamerzysta Hologlide J57...

Nagle Yaqeel przypomniała sobie, skąd zna tego człowieka. Zmrużyła oczy, zjeżyła futro i zawarczała cicho.

- Dziennikarz - wycedziła, wkładając w to jedno słowo tyle obrzydzenia i nienawiści, jakby mówiła „Sith”.

Barv odchrząknął pod nosem, zauważając, że - chociaż Yaqeel może mieć oczywiście własne zdanie - dziennikarze to także żywe istoty i powinni mieć prawo do wypicia kafli, jeśli przyjdzie im na to ochota.

W tej samej chwili transpastalowa witryna pękła ze szczękiem i do środka wpadł w gradzie odłamków przechodzień.

Jedi zerwali się na równe nogi i z mieczami w pogotowiu wybiegli na zewnątrz. W stronę Barva, nie wiadomo skąd, poszybował pulchny Ortolanin, krzycząc coś, wymachując kończynami i powiewając długimi uszami. Ramoanin podniósł potężne ramię, chwycił go w locie i postawił delikatnie na ziemi. W tym samym czasie Yaqeel włączyła swój miecz i wyostrzyła zmysły, starając

się przeniknąć Mocą otaczające ich strach i chaos i zidentyfikować źródło zamieszania.

Nie zajęło jej to więcej niż sekundę. Jej oczy, kierowane Mocą, powędrowały w stronę delikwenta w tej samej chwili, kiedy ten skupił na niej swoją uwagę. Czy raczej ta. Na widok przyjaciółki Bothance dosłownie opadła szczęka.

- Jysella? - wykrztusiła głucho.

Tak, zgadza się, nie miała zwidów: pod Świątynią, z zapalonym mieczem i z drugą dłonią wyciągniętą przed siebie, jakby w przygotowaniu do odparcia jakiegoś niewidocznego napastnika, stał nie kto inny jak Jysella Horn. Dziewczyna miała szeroko otwarte oczy i nawet z tej odległości Yaqeel widziała w nich strach, a zarazem determinację.

- *Stang* - mruknęła. Obejrzała się na Barva i bez słowa ruszyła w stronę Selli. Bazel prędko ją przegonił, sadząc długimi susami - zwinnie niż ktokolwiek mógłby sądzić po jego zwalistej sylwetce. Nie mieli pojęcia, kto lub co zaatakowało Jysellę, ale to nie miało znaczenia. Sella była członkiem Paczki i...

Nagle czas jakby zwolnił. Yaqeel zobaczyła, jak jej przyjaciółka tężeje w napięciu, chociaż nie mogła widzieć biegnącego ku niej Barva. Bothanka była też dziwnie pewna, że Jysella nie wyczuła go poprzez Moc. Jej zachowanie nie było reakcją na żaden bodziec - po prostu ni z tego, ni z owego dała susa i skoczyła. Biegący pełnym gazem Barv zachwiał się nagle, potrącony przez uciekającego gapia (powinien nad tym popracować, pomyślała nieprzytomnie Yaqeel; często zdarzało mu się koncentrować na wypełnianym zadaniu tak mocno, że zapominał o całym świecie) i zatoczył się w bok... gdzie czekała już na niego Jysella.

Jej miecz świetlny zawirował tak szybko, że Bazel ledwie zdążył zablokować cios własnym ostrzem. Yaqeel przyglądała się tej nierealnej scenie, osłupiała i sparaliżowana. Dlaczego, u licha, Sella...

- Wiem, że to nie ty! - wrzasnęła Jysella i ponowiła atak. Działała przerażająco skutecznie, zupełnie jakby przewidywała w najdrobniejszych szczegółach każdy ruch przyjaciela i wyprzedzała go o krok. Gdyby całe zajście nie było tak absurdalne, mogłoby wzbudzać zachwyt perfekcyjną reżyserią, jednak fakty mówiły za siebie: Jysella Horn podniosła broń na Jedi - i to nie na pierwszego lepszego, ale jednego ze swoich najlepszych przyjaciół. Zdawałoby się, bez powodu.

Na szczęście dla Barva, nową i osobliwą zdolność Jyselli, pozwalającą jej przewidywać ruchy przeciwnika, tłumiała nieco panika. Dziewczyna poruszała się niezdarnie, była wyraźnie roztrzęsiona i Bazelowi (którego mało co wyprowadzało z równowagi) udawało się skutecznie odpierać jej chaotyczny atak - dopóki z dzikim okrzykiem: „Oddajcie mi moich przyjaciół!” Sella nie chlasnęła go mieczem w pierś.

Yaqeel krzyknęła mimowolnie, kiedy Barv zachwiał się i cofnął, ale na szczęście ostrze Jyselli ledwie go drasnęło. Z rany uniosła się smużka dymu, jednak cięcie nie było głębokie i życiu Bazela nie zagrażało niebezpieczeństwo. Kiedy oczy Bothanki i Ramoanina się spotkały, Yaqeel już wiedziała. Chociaż współczuła Jyselli i było jej przyjaciółki szczerze żal, rozumiała, że należy ją



powstrzymać. Za wszelką cenę.

A najlepiej, żeby zajął się tym Jedi.

A jeszcze lepiej - sama Yaqeel.

Z nieartykułowanym okrzykiem na ustach i wykrzywioną gniewem twarzą Jysella ponowiła atak na Bazela. W tej samej chwili Bothanka wyciągnęła przed siebie dłoń, szarpnęła Mocą i potężne ciało Barva poderwała niewidzialna siła, usuwając je z drogi ostrza Selli. Niebieska klinga zabrzęczała wściekle, tnąc powietrze w miejscu, gdzie ułamek sekundy wcześniej stał Ramoanin. Gdyby nie Yaqeel, jej przyjaciel zostałby przecięty na pół.

Jysella zawirowała i rzuciła Bothance gniewne spojrzenie, ale jej oczy zaraz przepełnił strach i... żal.

- O, nie... - jęknęła boleśnie. - Tylko nie Yaqeel!

Gdyby nie to, że jej najlepsza przyjaciółka dopiero co próbowała zabić Barva, okrzyk Selli złamałby Yaqeel serce. Niestety, okoliczności sprawiły, że zacisnęła zęby i przygotowała się na nieuniknione.

Rozejrzała się gorączkowo, kiedy Jysella skoczyła niespodziewanie w stronę tłumu, biorąc po drodze gwałtowny zamach mieczem. Co ona wyprawia?! - myślała gorączkowo. Nie ma tam przecież nic, co... Och, rzeczywiście! - zreflektowała się po chwili. W powietrzu nad ogarniętym paniką tłumem wisiał droid kamerzysta, skrzętnie rejestrując całe zajście. A tuż obok stał jego właściciel - ten dziennikarz, którego wcześniej widzieli - i mówił coś do trzymanego w ręku urządzenia... Szlag! To oznaczało, że incydent w ekspresowym tempie trafi do wszystkich wydań wiadomości - a może nawet materiał nadawano na żywo? Opętana Jedi atakuje bezbronnych cywili i innych Jedi... To dopiero sensacja! Władze GS pewnie zacierały ręce z uciechy...

Yaqeel sięgnęła znów poprzez Moc, chwyciła kamerę i cisnęła ją w stronę Jyselli, odpychając jednocześnie przyjaciółkę w tył.

Plan był dobry, z jednym małym wyjątkiem: najwyraźniej Sella znów jakimś cudem zdołała przewidzieć, co się stanie. Odwróciła się na ułamek sekundy, zanim kamera poszybowała w jej stronę, i bez trudu poszatkowała ją na trzy części, które odbiła w stronę zaskoczonej Yaqeel. Bothanka jak przez mgłę słyszała protesty reportera, wykrzykującego: „Hej! Co ty wyprawiasz?! Pogięło cię? Wiesz, ile ten sprzęt kosztuje?!”

Jego poirytowanie sprawiło Yaqeel przelotną satysfakcję, która rozplynęła się jednak bez śladu, kiedy Bothanka zorientowała się, że Jysella biegnie prosto na nią. Przygotowała się na atak, przyjaciółka jednak nagle wyskoczyła w powietrze i idealnym saltem przeleciała nad jej głową. Yaqeel obróciła się błyskawicznie, gotowa puścić się za nią w pościg, ale Sella była już daleko. Wszystko wskazywało na to, że bardziej niż na konfrontacji zależy jej na ucieczce.

Niestety, najwyraźniej nie było jej pisane umknąć bezkarnie. Drogę przecięły jej znienacka

pojazdy GS, z których wysypali się strażnicy w niebieskich mundurach. Bez ostrzeżenia zaczęli strzelać w stronę młodej Jedi.

Dziewczyna zrobiła unik i zawinęła mieczem, tkając błękitną zasłonę i odbijając strzały. Przez jedną krótką chwilę Yaqeel wydawało się, że jej przyjaciółce uda się umknąć, jednak w pewnej chwili dosięgnął ją strzał, którego nie zdołała odbić - a może przewidzieć? Tak czy inaczej, promień energii wystrzelony przez kogoś ze strażników trafił ją w pół skoku i posłał, nieprzytomną, na ziemię. Yaqeel kochała Sellę jak siostrę i wiedziała, że musiało się wydarzyć coś strasznego, skoro jej przyjaciółka wpadła w taki amok, sięgnęła więc ku niej Mocą i złagodziła jej upadek.

Żołnierze GS natychmiast otoczyli swoją ofiarę jak rój insektów. Yaqeel poszukała zatroskanym wzrokiem Barva i z ulgą spostrzegła, że Ramoanin, chociaż cierpi, jest przytomny i stoi o własnych siłach. Kiedy skinął jej głową, odwzajemniła gest, a potem odwróciła się w stronę strażników otaczających Jysellę.

Dla kogoś nieświadomego, że przyczyną zamieszania jest Rycerz Jedi, scena mogła wyglądać kuriozalnie: oto siedmiu uzbrojonych po zęby strażników trzyma na muszce drobną, kruchą istotę. Jeden z nich prędko przyklęknął przy dziewczynie, wyłuskał z jej bezwładnej dłoni miecz i zaczął ją przeszukiwać, podczas gdy inny zatrzasnął na jej szczupłych nadgarstkach ciężkie kajdany.

Sytuacja nie wyglądała najlepiej. Sojusz położył już łapy na jednym Jedi wykazującym podobne objawy, a Zakon nie mógł sobie pozwolić na uwięzienie w karbonicie i powieszenie na ścianie jak jakiegoś idiotycznego trofeum kolejnego Rycerza. Gdyby tylko Yaqeel i Barvowi udało się wyrwać Sellę z ich szponów...

Yaqeel przyszedł do głowy pewien pomysł. Uśmiechnęła się pod nosem, wyłączyła miecz i przypięła go z powrotem do pasa, po czym podeszła zwawym krokiem do najbliższego oficera GS.

- Dobra robota - powiedziała, wysyłając wici Mocy do Quarrena, który właśnie mówił coś do trzymanego w dłoni niewielkiego urządzenia. - Świetna akcja - pochwaliła go. - Jestem pewna, że wasi przełożeni zgodzą się przekazać ją Świątyni. Zajmę się zatrzymaną osobiście.

Macki Quarrena zadrżały nerwowo i zanim jeszcze strażnik przemówił, Yaqeel zdała sobie sprawę, że źle wybrała ofiarę.

- Nic z tego, Jedi - rozwiął jej złudzenia. - Próbuj swoich sztuczek gdzie indziej. I lepiej się stąd zabieraj, zanim aresztuję cię za utrudnianie pracy. To my ją pojaliśmy i zostanie przesłuchana przez służby GS.

- Wpakujecie ją w karbonit! - zaprotestowała gniewnie Yaqeel, jeżąc się z oburzenia. - To Jedi! Jesteśmy pod samą Świątynią!

Macki twarzowe Quarrena znów zadrżały, tym razem na znak rozbawienia.

- Szkoda, że nie zatrzymaliście jej parę metrów wcześniej, co? To nie wasz teren, Jedi. - Ostatnie

słowo dosłownie wypłuł z obrzydzeniem.

Bothanka aż kipiała z wściekłości, ale była bezradna. Quarreński oficer miał rację. Z punktu widzenia prawa plac pod Świątynią podlegał jurysdykcji władz GS.

Chociaż walka z Jysellą trwała tylko kilka minut, Yaqeel wydawało się, że minęły całe wieki. Przyglądała się teraz smętnie, jak ze Świątyni wysypuje się grupka Jedi z zapalonymi mieczami. Na widok rozgrywającej się na placu sceny zatrzymali się w pół drogi, bezsilni jak Yaqeel. Bothańska Jedi odwróciła się od nich i z krwawiącym sercem patrzyła, jak służby podnoszą bezwładne ciało jej przyjaciółki i wrzucają je bez ceregieli do pojazdu.

Drzwi zamknęły się z hukiem i było po wszystkim.

*Stang!*

Chcąc nie chcąc, Yaqeel musiała pogodzić się z tym, że nic nie wskóra. Westchnęła ciężko i ze zwieszoną głową podreptała do Barva. Było już przy nim paru Jedi, nawet sama Cilghal, która, położywszy mu pletwiastą dłoń na ramieniu, ostrożnie kierowała go do Świątyni. Cóż, przynajmniej nikt nie przeszkodzi w udzieleniu mu pomocy medycznej, pomyślała ponuro Bothanka.

Na jej zatroskane pytanie Barv odpowiedział, że, owszem, bywało co prawda lepiej, ale ufa bez reszty uzdrowicielskim mocom Cilghal, która na pewno znajdzie też wreszcie sposób na wyleczenie tajemniczej choroby Valina i Jyselli.

Kalamarianka podchwyciła spojrzenie Yaqeel i pokręciła smutno głową.

- Widziałam to na własne oczy - powiedziała. - Musimy o tym porozmawiać. Chodźmy do Świątyni. Zajmiemy się Bazelem, a potem usiądziemy i przemyślimy wszystko na spokojnie.

Yaqeel skinęła smętnie głową i zastrzygła uszami na warkot zatrzymującego się w pobliżu pojazdu. Kiedy odwróciła się w stronę źródła dźwięku, zobaczyła stojący w pobliżu grupki urzędników śmigacz oznakowany godłem Sojuszu.

- A już myślałam, że nie może być gorzej - warknęła głucho.

# ROZDZIAŁ 4

## Dzielnica Świątyni Jedi, Coruscant

Drzwi pojazdu otworzyły się i ze środka wysiadła atrakcyjna starsza kobieta w białym admirałskim mundurze, dopasowanym do nienagannej figury. Jednym spojrzeniem przenikliwych zielonych oczu omiotła najbliższe otoczenie, błyskawicznie oceniając sytuację. Jej płomieniście rude włosy przetykało kilka pasemek siwizny. Admirał Natasi Daala, przywódczyni Galaktycznego Sojuszu, pewnym krokiem ruszyła przed siebie i Yaqeel poczuła w sercu ukłucie niepokoju.

Za panią admirał dreptał android protokolarny 3PO. Wrzawa w tłumie zaczynała cichnąć; wszyscy byli ciekawi, co ma do powiedzenia przywódczyni Sojuszu. Yaqeel omiotła wzrokiem tłum i zmarszczyła czoło na widok reportera trzymającego niewielką kamerę i mówiącego coś do wbudowanego mikrofonu, a potem kierującego obiektyw na Daalę. Miała nadzieję, że zdołała skutecznie powstrzymać tego dziennikarzynę przed nagrywaniem zajścia, ale wyglądało na to, że był przygotowany na każdą okazję.

- Szanowni obywatele, proszę o uwagę - przemówił android łagodnym, ale stanowczym głosem. - Przywódczyni Sojuszu admirał Daala ma wam do powiedzenia kilka słów.

Przez tłum przebiegł szmer oczekiwania, a potem zapadła cisza. Jedi i Barv stali bez ruchu.

- No, będzie wesoło - mruknęła Yaqeel z przekąsem. Cilghal uciszyła ją surowym spojrzeniem wyłupiastego oka.

Daala odczekała, aż jej podwładni rozstawią prowizoryczną mównicę, zwieńczoną mikrofonem, a potem wstąpiła na podest, jednak nie odezwała się od razu. Przez moment mierzyła zgromadzonych władcym spojrzeniem.

- Bardzo niedawno - rozpoczęła bez ogródek - nasze służby zatrzymały Valina Horna, Jedi, który popadł w obłąd. - Jej głos był nieco chrapliwy, ale miły dla ucha; mimo to Yaqeel skrzywiła się na dźwięk słów pani admirał. Daala najwyraźniej nie zamierzała owijać w błyszczojedwab.

- Twierdził, że nie poznaje własnych rodziców - ciągnęła surowo przywódczyni Sojuszu. - Dowodził, że ludzie, których kochał i znał całe życie zostali podmienieni przez sobowtóry. - Urwała, żeby się upewnić, że absurd zachowania młodego Horna dotarł do każdego ze zgromadzonych. - A podczas próby ucieczki od tych złowrogich oszustów spowodował rozległe zniszczenia, a także obrażenia fizyczne osób, które starały się go zatrzymać. Na szczęście... tu chciałabym podziękować Zakonowi Jedi, który cały czas starał się nam wszystko utrudniać - wtrąciła z przekąsem - służbom Sojuszu udało się zatrzymać Valina Horna. Uznany za niepoczytalnego, został zamrożony w karbonicie i nie zagraża już nikomu z was. - Przerwała i upiła łyk wody. Yaqeel mogła iść o zakład, że wcale nie chce jej się pić, pragnie jedynie podkreślić wagę swoich słów dramatyczną pauzą. - Teraz zaś, dosłownie przed chwilą - podjęła po chwili admirał - Jysella Horn, Rycerz Jedi, siostra

Valina Horna, przeraziła wszystkich, wykazując takie same objawy jak jej brat. Na szczęście, jej pojmanie przebiegło szybko i sprawnie. Córka Hornów jest teraz bezpieczna w rękach służb Galaktycznego Sojuszu. Tym razem nie będzie żadnych „negocjacji” w sprawie przekazania jej w ręce Jedi. Zostanie dostarczona do miejsca, w którym przetrzymywany jest jej brat, a po opatrzeniu obrażeń, jakie odniosła, stawiając opór podczas próby aresztowania, zostanie zamrożona w karbonicie.

Cilghal spuściła głowę i przymknęła oczy, a Yaqeel ścisnęło z żalu w gardle. Powędrowała myślami do Mistrza Corrana i jego żony Mirax. Obydwoje ich dzieci... Jak oni to zniosą?

- Oczywiście jest, że wśród Jedi dzieje się coś złego - podjęła bezlitośnie Daala. - To bystrzy, doskonale wyszkoleni wojownicy, władający na dodatek mocami, których większość z nas nie jest w stanie zrozumieć. Ich były przywódca, Wielki Mistrz Luke Skywalker, nie zdołał wypełnić obowiązku, jakim było uchronienie społeczeństwa przed żądnym władzy Jedi. Jak doskonale wiecie, został uznany za winnego zarzutu nieumyślnego spowodowania zagrożenia dla bezpieczeństwa publicznego i w ramach sankcji skazany na wygnanie z Coruscant na dziesięć lat... chyba że zdoła dostarczyć wiarygodny dowód na to, że potrafi właściwie kontrolować i kierować Zakonem. Teraz mamy nie jednego, a dwoje Jedi owładniętych groźnymi halucynacjami, których nawet sam Zakon nie potrafi zadowalająco wyjaśnić. Możecie być pewni, że zbadamy tę sprawę dogłębnie i znajdziemy sposób na rozwiązanie tego niepokojącego problemu. Tymczasem Jedi będą podlegać wnikliwej kontroli, a nad ich działaniami będzie czuwać rząd. Czy ktoś chciałby zadać jakieś pytanie?

Tak jak Yaqeel się spodziewała, nieznośny dziennikarz przepchnął się na czoło tłumowi i podniósł rękę. Prawdopodobnie nie był jedynym reporterem wśród zgromadzonych gapiów. Chociaż incydent był krótki i okazał się stosunkowo bezkrwawy, pismaki na pewno wywęszyły już sensację jak krakany rój chumów. Daala uśmiechnęła się zachęcająco. Jej szmaragdowe oczy omiotły tłum i wskazała wybrańca.

- Jarvis Tyrr - powiedziała. - Słucham.

- Pani admirał - odezwał się reporter przymilnym głosem, od którego Yaqeel aż zemdlilo - czy naprawdę uważa pani za przypadek, że dwójka Jedi, którzy wykazali te niepokojące objawy, jest rodzeństwem?

- W naszym śledztwie weźmiemy pod uwagę wiele czynników i na pewno zwrócimy uwagę na uwarunkowania genetyczne, które mogłyby odpowiadać za przejawy niekontrolowanej agresji i paranoi - stwierdziła wymijająco Daala. - Przyjrzymy się także wnikliwie środowisku, w którym ci Jedi dorastali.

- A więc według pani na ten stan mógł mieć wpływ fakt, że dzieci Hornów są potomkami koreliańskiego Mistrza Jedi i wnuczki znanego przemytnika?

- Nie wkładaj mi w usta słów, których nie powiedziałam, Tyrr - upomniała dziennikarza Daala, ale w jej głosie nie było nagany. - Powiedziałam tylko, że przyjrzymy się środowisku, w jakim dorastały.

- Czy pani zdaniem ta choroba to nieznanne dotychczas skutki uboczne bycia Jedi? - drążył dalej

Tyrr, chociaż Daala patrzyła już wymownie w stronę innego dziennikarza, podnoszącego błagalnie dłonie.

Yaqeel bezwiednie zacisnęła palce na rękojeści miecza, tak samo jak Barv, któremu wyrwał się z gardła bolesny jęk. Nie minęło kilka sekund, jak na jej nadgarstku zamknęła się lekko wilgotna, chłodna, pletwiasta ręka, wysyłając poprzez Moc fale spokoju i pokrzepienia.

- To nic nie da - szepnęła jej na ucho Cilghal. - Nie możemy im sami wkładać argumentów do ręki. I tak usłyszałam już stanowczo za wiele, a przypuszczam, że tę przemowę będziemy mieli okazję oglądać w HoloNecie powtarzaną aż do znudzenia, więc w razie czego na pewno nic nam nie umknie. Chodźcie - przynagliła ich. - Opatrzmy rany Bazela i porozmawiajmy.

Yaqeel warknęła cicho i skinęła głową. Trudno jej było znieść myśl o beczynnym siedzeniu i wysłuchiwaniu steku bzdur na temat rodziny Valina i Jyselli, ale Cilghal miała rację.

- I pomyśleć, że można upaść tak nisko - prychnęła cicho na odchodnym i ruszyła posłusznie za resztą Jedi. Zajęła miejsce u boku Barva, uśmiechnęła się do niego pokrzepiająco i otoczyła ramieniem, żeby pomóc mu iść. Z drugiej strony asekurowała go kalamariańska Mistrzynie. Cała ich grupa pomaszzerowała w stronę Świątyni... jednak szybko się okazało, że nie będzie im dane odejść w spokoju.

- Jedi! - zawołał za nimi Javis Tyrr i Yaqeel zamarła w pół kroku. Barv odwrócił potężny łeb i zmierzył reportera kosym spojrzeniem. W swoim charczącym, gardłowym języku obsztorcował Tyrra za brak bezstronności i wyraźną próbę manipulacji opinią publiczną. Takie zachowanie, wyjaśnił, nie przystoi dziennikarzowi i Tyrr powinien doskonale o tym wiedzieć. Chociaż ton wypowiedzi Barva był stosunkowo łagodny, w ramoańskim wszystko brzmiało, jakby mówiący chciał swojego interlokutora werbalnie pozbawić głowy, więc dziennikarz, który najwyraźniej nie rozumiał ani słowa, stracił trochę rezonu.

- Jak skomentujecie przemówienie admirała Daali? - spytał mimo to. - Byłem świadkiem waszej walki z Jysellą Horn. Domyślam się, że próbowaliście ją powstrzymać. Czy możecie wyjaśnić dlaczego? Czy jest niebezpieczna? Jak groźna jest ta dziwna choroba? A może jest zaraźliwa?

Zanim Bothanka zdążyła otworzyć usta, żeby się odgryźć, na czoło ich grupy wystąpiła Cilghal. Sprawiała wrażenie wcielonego spokoju, w przeciwieństwie do Yaqeel, którą roznosiło.

- Jedi są oczywiście bardzo zaniepokojeni ostatnimi wydarzeniami, podobnie jak całą sprawą tej choroby - poinformowała bez zająknięcia. - Robimy, co w naszej mocy. - Obdarzyła reportera zdawkowym uśmiechem i odwróciła się w stronę Świątyni. Yaqeel wiedziała, że nie powinna tego robić, ale nie mogła się oprzeć rzuceniu Tyrrowi przez ramię ostatniego, zjadliwego spojrzenia.

- To się źle skończy - mruknęła pod nosem.

Daala opadła na miękkie oparcie fotela z nerfiej skóry w swoim pilotowanym przez szofera

śmigaczu, westchnęła i przeczesała palcami włosy. Obok siedział jej osobisty asystent, Wynn Dorvan - drobny facecik, niewyróżniający się niczym szczególnym, ale zawsze sprawiający wrażenie, że ma wszystko pod pełną kontrolą. Nie zdołałaby zliczyć, ile razy w ciągu ostatniego półtora roku udawał, że jest niezastąpiony. Był dla niej tak nieocenioną pomocą, że poszła na pewne ustępstwa i złagodziła przepisy, pozwalając mu od czasu do czasu zabierać ze sobą do pracy jego oswojonego chitlika. Mały, pomarańczowo pręgowany torbaczk z Ord Cestus (ostatni krzyk mody wśród miłośników popularnych zwierzątek) przycupnął właśnie na ramieniu swojego właściciela. Zwierzątko zachowywało się cicho, korzystało z kuwety i zazwyczaj przesypiało większość dnia, zaszywszy się w jakimś ciemnym kącie, więc nie było uciążliwe - ani dla właściciela, ani dla Daali.

To właśnie Dorvan natknął się w HoloNecie na relację z incydentu i bezzwłocznie poinformował o nim przełożoną. W tej chwili patrzył na nią, spokojny, ale czujny, czekając z datapadem na podołku na uwagi i polecenia. Chitlik prychnął mu cicho do ucha, zeskoczył z ramienia i zwinął się w kłębek na siedzeniu obok.

- Dobra robota, Dorvan - pochwaliła asystenta Daala. - Nie wiem, jak udało ci się tak szybko wszystkiego dopilnować. Zanim zjawiłam się na miejscu, sytuacja była już pod kontrolą i dzięki temu nie straciliśmy ani chwili.

- Takie tam sztuczki Jedi - odparł z udawaną powagą Dorvan, ale po jego ustach przemknął cień figlarnego uśmiechu.

- Uważaj z takimi żartami - przestrzegła go Daala, chociaż w jej oczach migotały iskierki rozbawienia. - Chociaż podobne incydenty są mi generalnie na rękę, nie da się ukryć, że bywają też nieco... kłopotliwe. Jedi zawsze byli mi solą w oku.

Cóż, Daala była stanowczą, bezkompromisową osobą i lista tych, którzy mieli z nią na pieńku, była imponująco długa. Jedi też musieli poczekać w ogonku na swoją kolej, ale w tej chwili zdołali skutecznie zwrócić na siebie jej uwagę.

Jej zdaniem należało ich odsunąć od polityki i trzymać z dala od spraw wojskowych, jak dowodziła kiedyś łowcy nagród Bobie Fettowi. Teraz dysponowała środkami, dzięki którym bez trudu mogła wcielić w życie plan, który z każdym dniem wydawał jej się coraz bardziej udany.

- W gruncie rzeczy świetnie się składa, że mamy okazję ściągnąć im cugle, ale w tym wszystkim chodzi o coś więcej. To, co się dzieje w Zakonie... - Westchnęła znów, potrząsnęła z poirytowaniem grzywą rudych włosów i wyjrzała przez transpystalowe okno. Dorvan pogłaskał śpiącego smacznie chitlika i czekał cierpliwie, aż jego przełożona dokończy myśl.

- To wszystko jest naprawdę groźne, nieprzewidywalne - dopowiedziała Daala. - A ja nie lubię rzeczy, których nie da się przewidzieć. Jedi są zbyt potężni, żebyśmy mogli pozwolić im popadać w obłęd i biegać w obłędzie samopas. Skoro nie radzą sobie z kontrolowaniem członków Zakonu, stanowią prawdziwe zagrożenie i należy ich powstrzymać... dla dobra ogółu.

Wynn skinął głową. Nie zgadzał się co prawda bez zastrzeżeń ze zdaniem pani admirał, ale nie

miało to znaczenia - i oboje doskonale o tym wiedzieli. Informował ją po prostu, że przyjął jej opinię do wiadomości.

- Mistrz Kenth Hamner prosi o spotkanie. Jutro - powiedział. - Czy mam go umówić?

Daala zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

- Nie - stwierdziła wreszcie. - Czy mój grafik nie jest przypadkiem zbyt napięty? - Zmarszczyła lekko brwi, a po jej ustach błąkał się cień zjadliwego uśmiechu.

- W rzeczy samej - potwierdził usłużnie Wynn, w lot pojmując jej intencje. - Nie zdoła się pani z nim spotkać jeszcze przez najbliższe... - Wcisnął parę klawiszy i spojrział na nią badawczo. - Trzy dni?

Uwięzienie Jyselli Horn nie zajmie dłużej niż godzinę. Hamner będzie musiał zwołać swoich ziomeków na posiedzenie, no i pewnie skontaktować się z Lukiem Skywalkerem, chociaż świadomie złamie w ten sposób warunki wygnania Wielkiego Mistrza. Nie powinno mu to zająć więcej niż dzień lub dwa, zważywszy na fakt, że ostatnimi czasy większość Mistrzów kręci się w pobliżu Coruscant.

A to da dwa pełne dni, podczas których Rada Jedi będzie miała okazję nieco się podenerwować i pomartwić. Taka zwłoka zadziała na korzyść Daali, a jednocześnie nie zostanie uznana za przesadnie długą, więc nikt jej nie posądzi o zaniebywanie obowiązków.

- Doskonale - uznała. - Zastanawiam się, czy nie zasługujesz na awans, Wynn. - Obdarzyła go swoim promiennym uśmiechem, który wciąż roztopiał serca mężczyzn niczym wosk.

- O nie, proszę pani, tylko nie to - jęknął Dorvan z rozbijającą szczerością. - Obecna posada w zupełności mi wystarcza. Gdybym wspiał się po szczeblach kariery choć trochę wyżej, musiałbym mieć kogoś pod sobą, a tego bym nie zniósł.

Daala parsknęła perlistym śmiechem.



# ROZDZIAŁ 5

## Kesh, dwa lata temu

Fale oceanu parły naprzód i cofały się w rytmie oddechów, starszym nawet od omywanego przez nie lawendowego brzegu i rytuału, który rozgrywał się na plaży. Chociaż słońce mocno dawało się we znaki, lekka bryza znad morza chłodziła spocone twarze stojących na piasku postaci.

Trwały zwrócone przodem do siebie, jakby wyrzeźbiono je z kamienia; jedynym ruchem było podfruwanie szarpanych wiatrem szat i falowanie włosów.

Nagle, zupełnie jakby na jakiś umówiony znak, jedna z postaci poruszyła się i miękki szum fal zagłuszył ostry syk, który prawie natychmiast przeszedł w niskie buczenie. Prawie idealnie symetryczna twarz przeciwnika Vestary Khai stężała, a jego skóra zmieniła kolor z bladego fioletu na chorobliwą zieleń. Dziewczyna jednym ruchem kciuka włączyła swoją broń, zasalutowała rywalowi ostrzem, zajęła pozycję i czekała na jego pierwszy ruch. Zakołysała się lekko na palcach, gotowa w każdej chwili wyskoczyć do góry, zrobić unik w prawo albo w lewo, jej przeciwnik wciąż jednak trwał w bezruchu.

Słońce stało w zenicie i jego promienie paliły bezlitośnie. W ciężkich, ciemnych szatach było koszmarnie gorąco, ale Vestara nie miała zamiaru ich się pozbywać - znaczyły dla niej tyle samo, co jej broń i dziedzictwo przodków; były częścią starożytniej schedy, symbolem tego, kim jest. Nie zamierzała ich więc zdjąć - nieważne, jaką miała za to zapłacić cenę. Plemię ceniło siłę i wytrwałość tak samo jak piękno; nagradzało cierpliwość tak samo jak inicjatywę. Mędrcom był ten, który znalazł odpowiedni czas na odpowiednie działanie.

Vestara skoczyła...

...nie na przeciwnika, ale w lewo, obok niego, wykonując salto i wyprowadzając cios. Kiedy poczuła, jak ostrze napotyka opór i usłyszała charakterystyczne skwierczenie, z piersi wyrwało jej się mimowolne westchnienie. Wylądowała pewnie na obu nogach, zrobiła błyskawiczny przewrót i kucnęła w pozycji obronnej, ale noga osunęła się jej na zdradliwym podłożu. Szybko złapała równowagę... niestety, o ułamek sekundy za późno - jej przeciwnik wykorzystał chwilę nieuwagi i zaatakował.

Runął na nią, prężąc umięśnione ciało i młócąc klingą w serii ciosów, którym zdecydowanie brakowało gracji. Vestara sparowała każdy z nich przy akompaniamencie skwierczenia i brzęku, uchylając się przed ostatnim i nurkując pod ostrzem. Była lżejsza i bardziej zwinna niż jej rywal, i zamierzała to wykorzystać.

Byle jak spleciony warkocz rozplótł się i pasemka długich jasnobrązowych włosów opadły jej na twarz, przeszkadzając w walce. Zdmuchnęła je niecierpliwie - w samą porę, żeby zablokować następny brutalny cios.

- Szlag! - zakłęta, odskakując i przerzucając miecz do drugiej dłoni. Była oburączna i walka lewą ręką nie sprawiała jej najmniejszego problemu. - Coraz lepiej ci idzie, Ahri!

Ahri Raas, członek rasy Keshiri - tubylców podbitych przez Plemię - i przyjaciel Vestary, uśmiechnął się drapieźnie.

- Mógłbym powiedzieć to samo o tobie, Ves, poza drobnym szczegółem: te skoki na piasku kiepsko ci wychodzą, i to za każdym ra... - Urwał, zaskoczony, kiedy jego przeciwniczka wyskoczyła wysoko w powietrze i wylądowała mu okrakiem na ramionach, łapiąc równowagę Mocą i chlaszcząc mieczem w dół, prosto między jego łopatki. Rzucił się naprzód, próbując ją zrzucić z siebie, ale zanim mu się to udało, Vestara zdołała musnąć koniuszkiem ostrza jego szatę. Chłopak zgiął się wpół, skręcony z bólu. Chociaż niegroźny dla zdrowia, treningowy miecz potrafił skutecznie obezwładnić.

Vestara zeskoczyła tymczasem lekko z jego ramion, odpychając się Mocą, Wykonała w powietrzu podwójny piruet i wylądowała miękko na piasku, twarzą do przyjaciela. Z drwiącym uśmiechem odsunęła z oczu niesforne kosmyki i przyglądała się, jak Ahri pada na ziemię i odtacza się na bok. Niedbale wyciągnęła rękę i broń Ahriego poszybowała prosto do jej dłoni. Kiedy ją złapała, natychmiast przyjęła pozycję *Jar 'Kai*, gotowa zaatakować dwoma mieczami. Ahri podniósł głowę i opadł z powrotem na piasek, zrezygnowany.

- Za to ciebie można rozproszyć byle czym - prychnęła. - Skup się, Ahri, skup się. - Skinęła od niechcenia i ku twarzy Ahriego wzbila się garść piachu. Mamrocząc niecenzuralnie pod nosem, chłopak podniósł dłoń i odbił chmurę lawendowych ziarenek.

- Tylko ćwiczymy, Ves - przypomniał jej, gramoląc się na nogi i otrzepując z piasku.

- To nigdy nie są „tylko ćwiczenia” - odgryzła się, wyłączyła miecz i zawiesiła go u pasa, odrzucając przyjacielowi jego broń. Keshiri złapał go bez trudu, naburmuszony. Vestara rozplotła do końca warkocz i zburzyła włosy, chłodząc przegrzaną skórę głowy, a potem pospiesznie splotła je z powrotem - tym razem mocno. Ahri zajęty był w tym czasie wytrząsaniem piasku z własnej czupryny.

- Ile razy mam ci powtarzać? - zrzędziła Vestara. - Spróbuj tak powiedzieć w obecności któregoś z Mistrzów, to nigdy nie zostaniesz kimś więcej niż nowicjuszem.

Ahri westchnął, przeczesał dłonią białe, sięgające ramion włosy i wstał, potakując ze znużeniem. Żadne z nich nie zostało jeszcze oficjalnie uczniem, chociaż oboje trenowali w klasach pod kuratelą różnych Mistrzów przez całe lata, a ich silne i słabe strony we władaniu Mocą były zauważane, analizowane i odpowiednio rozwijane.

Vestara wiedziała, że jako czternastolatka ma wciąż szanse - ba! nawet całkiem spore! - na formalny wybór przez któregoś z Mistrzów, ale długie odwleknięcie tej chwili strasznie ją denerwowało. Niektórzy nowicjusze byli przyjmowani na uczniów w dużo młodszym wieku, a przecież ona była bardzo silna Mocą!

Wyciągnęła rękę w stronę leżącego na piasku bukłaka i pojemnik z nagrzaną słońcem wodą pofrunął w jej stronę. Nakrętka odskoczyła jeszcze w powietrzu, zdjęta Mocą, i już za chwilę Vestara

piła łapczywie. Sparing w południowym słońcu był wyczerpujący i Ahri zawsze na to narzekał, ale ona wiedziała, że walka w takich warunkach hartuje. Podała butelkę przyjacielowi i przez chwilę przyglądała się, jak pije. Był wzorowym przedstawicielem rasy, której siła fizyczna, zręczność i harmonia ciała stały się dla jej ludu ideałem. Z łatwością mógłby uchodzić za członka Plemienia (niezwykłego co prawda, ale jednak), gdyby nie bladofioletowa skóra. Jego oczy były także nieco większe i bardziej wymowne od ludzkich. Miał szerokie bary, wąskie biodra i wspaniale wyrzeźbione ciało, bez grama zbędnego tłuszczu. Teraz jego twarz przybrała nieco ciemniejszy odcień fioletu niż zwykle, bo był zgrzany, nie mówiąc już o tym, że w jego włosach wciąż tkwiło mnóstwo ostrych ziarenek piasku.

- Dwa do zera dla mnie - powiedziała. - Masz ochotę na jeszcze jedną rundkę? - Rozciągnęła usta w okrutnym uśmiechu, podkreślonym przez niewielką bliznę w ich kąciku - szramę, którą Plemię uznawało za skazę. Tkwiła tam, widoczna jak na dłoni, i Vestara nie mogła nic z nią zrobić. Próbowwała wszystkiego: uzdrawiania i chirurgii plastycznej. Musiała też przyznać, że te zabiegi sporo dały, bo blizna była teraz zdecydowanie mniej widoczna niż wcześniej, ale w ich świecie wciąż była skazą, a każda deformacja czy ubytek były przez jej lud traktowane jako potencjalny czynnik hamujący szanse na awans.

Szrama była czymś jeszcze gorszym i bardziej uwłaczającym niż rana - a przynajmniej tak uważała Vestara. Przez cienką, białą linię dziewczyna zawsze wyglądała, jakby się uśmiechała - nawet kiedy była śmiertelnie poważna. Nienawidziła jej, dopóki Lady Rhea, jedna z najbardziej szanowanych Sithów, nie powiedziała jej, że zeszpecenie może zadziałać na jej korzyść.

- Psuje twoją urodę - stwierdziła bez ogródek, przystając przy niej podczas inspekcji długiego rzędu uczniów po oficjalnej ceremonii. - Szkoda. - Ta, której piękno tylko odrobinę nadwyreżył bezlitosny ząb czasu, wyciągnęła dłoń i dotknęła długim, szczupłym palcem blizny Vestary. - Ale ta mała szrama może ci się przysłużyć. Dzięki niej można cię uznać za kogoś innego. - Ostatnie słowa zaakcentowała serią delikatnych uderzeń końcem palca w policzek Ves.

Dzięki niej Vestara poczuła się odrobinę pewniej. Nagle to głupie wywieranie na innych wrażenia, że cały czas jest pogodna, wydało jej się atutem.

- Wypociłem chyba ze dwa litry wody - jęknął żałośnie Ahri. - Czy nie moglibyśmy przynajmniej przenieść się z treningiem na dziedziniec? W cieniu *gór jest* zdecydowanie chłodniej...

Cóż, przynajmniej nie odmówił stoczenia jeszcze jednego pojedynku. Vestara otarła czarnym rękawem czoło. Musiała przyznać, że perspektywa walki w cieniu strzelistych kolumn, dostojnych posągów i surowych skał, wśród których wzniesiono świątynny dziedziniec, jest w tej chwili bardzo, ale to bardzo kusząca... I chociaż oficjalnie nie byli uczniami żadnego z Mieczy ani Mistrzów, jako nowicjusze mogli walczyć na podwórku (dalej nie wolno im było nawet postawić stopy). Żadne z nich nie było jeszcze w Świątyni, nie mówiąc już o odwiedzeniu Statku Przeznaczenia. W istocie nazywał się „Omen”, ale określenie „Statek Przeznaczenia” przyłgnęło do niego tak skutecznie, że nikt nie nazywał go inaczej. Bo właśnie tym w istocie był: starożytną, bezcenną częścią dziedzictwa Plemienia, z całym inwentarzem jego tajemnic i sekretów. Nie wszystkim było pisane go oglądać, o nie. Na to trzeba było zasłużyć.

- No dobra - podjęła Vestara. - Możemy wrócić i skończyć na dziedzińcu, ale tylko dlatego, że za duży z ciebie mięczak na... - Nie dokończyła, bo dysk słońca przesłoniło na chwilę coś dziwnego.

Na pewno nie był to uvak - jeden ze zwodniczo delikatnych skrzydlatych gadów, lokalnych środków transportu, Vestara otworzyła szerzej ciemnobrązowe oczy.

- Ves? - jakby z daleka dobiegł ją głos Ahriego. - Czy to... czy to statek?

Włoski na rękach i karku zjeżyły jej się pomimo upału, kiedy próbowała się przyjrzeć osobliwemu kształtowi dokładniej, osłoniwszy dłonią oczy. Nadal nie mogła wykrztusić słowa, więc tylko pokiwała głową. Była dziwnie pewna, że na to właśnie patrzą: na statek, chociaż musiała przyznać, że obiekt nie przypominał ani trochę „Statku Przeznaczenia” ani żadnego z pojazdów, które widziała na rysunkach czy o których słyszała. Zamiast kanciastej, wydłużonej sylwetki albo kształtu klina, na niebie majaczyła... kula, w dodatku zaopatrzona w skrzydła - całkiem jak u uvaka! Poruszała się szybko, bezszelestnie, i już wkrótce znalazła się na tyle blisko, że rozpoznali jej kolor: była barwy ciemnopomarańczowej, miejscami przechodzącej w czerwień. Zbliżała się coraz prędzej i przez jedną przerażającą chwilę Vestara myślała, że wylądjuje na plaży tuż obok.

Stateczek schodził do lądowania, bez dwóch zdań, ale raczej nie miał zamiaru opaść w pobliżu. Kierował się ku ostrym, poszarpanym turniom, które sprawiały wrażenie wyrastających wprost z oceanu; dokładnie w to samo miejsce, w którym wieki temu rozbił się „Statek Przeznaczenia”. Przez moment Vestara obawiała się, że dziwny obiekt podzieli los „Omena”. Zadrżała, zdjęta nagłym lękiem. Nie! Tylko nie to! Musi się dowiedzieć, kto jest w środku, kim są przybywające do nich istoty! Może należą do jakiejś nieznannej rasy? - pomyślała z rosnącym podekscytowaniem.

Kiedy statek przelatywał nad nimi, na kilka sekund znalazła się w jego cieniu i poczuła nagły dreszcz - coś więcej niż tylko zwykły chłód spowodowany chwilowym brakiem słońca. Dziwne uczucie sprawiło, że krzyknęła cicho.

Czuła od statku chłód, racja, nawet coś na kształt wrogości, ale i... wyzwanie. Ciekawość. Fascynację.

Nią samą.

Nie bała się już o bezpieczeństwo statku. Jego pilot wiedział doskonale, co robi. Kierował się z rozwagą i ostrożnością w stronę ruin „Statku Przeznaczenia” i Świątyni, pewnie tak samo starej jak on, wzniesionej wokół wraku.

Resztki strachu i podenerwowania, które czuła jeszcze przed chwilą, znikły bez śladu. Vestara sięgnęła poprzez Moc i wezwała Tikka, swojego uvaka. Jej wierzchowiec wygrzewał się właśnie w słonecznej plamie; napawał się ciepłem, jak wszystkie gady, przymknąwszy dziób i lśniące zielone ślepia. Na jej wezwanie podniósł jednak natychmiast złocisty łeb, wyciągnął długą szyję i rozpostarł czerwono-czarną kryzę w uvaczym odpowiedniku przeciągnięcia się, a potem z lekkim skrzekiem posłusznie rozwinął skrzydła, podniósł się w powietrze i poszybował w ich stronę.

Kiedy wylądował, dziewczyna ledwie zwróciła na niego uwagę. Nie odrywała wzroku od statku,

który malał w oczach, aby wkrótce zniknąć zupełnie z widoku. Wzięła kilka głębokich, uspokajających oddechów, zebrała rąbek długiej szaty, odwróciła się do czekającego cierpliwie Tikka i zaczęła biec tak szybko, jak pozwalały jej na to długie nogi. Pomagała sobie Mocą, stabilizując kroki na zdradliwym piasku.

- Chodź! - krzyknęła przez ramię.

- Dokąd biegniesz? - spytał zdyszany Ahri, usiłując dotrzymać jej kroku.

Vestara dała wspomaganego Mocą susa, lądując prosto na szerokim grzbiecie uvaka. Chłopak wskoczył na Tikka tuż za nią. Usadził się wygodniej i objął ją w pasie.

- Do statku! - rzuciła ze zniecierpliwieniem. - Nie czujesz? Przyleciał tu po nas!

Tikk przysiadł, gotując się do lotu; przeniósł ciężar z jednej szponiastej łapy na drugą i uniósł się w powietrze.

- Po nas? - Ahri spróbował przekrzyczeć łopot skórzastych membran lotnych gada, tak podobnych do skrzydeł statku, który gościł w myślach Vestary ledwie chwilę temu.

- Po nas - potwierdziła bez wahania Vestara. Nie miała pojęcia, skąd to wie, jedynie niezachwianą pewnością, że tak jest.

Statek przyleciał po nich: po młodzików, po uczniów.

Przyleciał tu po Sithów.

Lot na grzbiecie uvaka nie trwał długo. Do Świątyni można się było dostać jedynie z powietrza albo drogą mozolnej, niebezpiecznej wspinaczki. Jej mury wzniesiono dla ochrony „Statku Przeznaczenia” i zapewnienia schronienia rozbitkom. Od chwili, kiedy została nowicjuską, Vestara gościła tu już nieraz, ale tym razem było... inaczej. Była podekscytowana o wiele bardziej niż podczas swojej pierwszej podróży do Świątyni, tak dawno temu.

Błoniaste skrzydła Tikka młóciły powietrze spokojnie i równomiernie i już wkrótce ich oczom ukazała się Świątynia, zbudowana z tej samej skały, na której roztrzaskał się „Statek Przeznaczenia”, „Omen”. Vestarze przemknęło przez myśl, że to bardzo w stylu Sithów: podporządkować sobie źródło niepowodzeń czy trudności i zmienić je w swój atut. Znała historię powstania Świątyni, według której załoga „Statku Przeznaczenia”, uzbrojona w miecze i kilka sztuk broni energetycznej, utorowała sobie drogę do serca góry i ukształtowała kunsztowne iglice, ściany i okna potężnej centralnej Świątyni, którą na przestrzeni wieków wzbogacono o mnóstwo skrzydeł.

Większość prac przy początkowych etapach budowy wykonali Sithowie, wykorzystujący energię Mocy do przenoszenia potężnych skał. Dopiero potem, tutaj, a także wiele kilometrów stąd, w stolicy - Tahv - prace pod ich nadzorem podjęli tubylcy, lud Ahriego, Keshiri. Tahv było miastem ludzi ceniących sobie sztukę i piękno, Świątynia zaś - chociaż na swój sposób piękna - jako dom

pierwszych Sithów była raczej funkcjonalna niż ozdobna. Galeria posągów pierwszych przywódców Plemienia, włącznie z kapitanem Yaru Korsinem, dowódcą „Omena”, została dobudowana później, a wspaniałe rzeźby stanowiły delikatny kontrast dla surowego piękna świątynnej architektury.

Sam „Omen” nie był widoczny z powietrza. Mieściła go specjalna, pilnie strzeżona część Świątyni. Niektórzy twierdzili, że ze statku nie zostało nic poza stertą bezużytecznych szczątków i kawałków pogiętego metalu, trzymanyh tylko z sentymentu; inni z kolei upierali się, że „Omen” zachował się w dobrym stanie, a wiedzę, której strzeże, mogli poznać tylko wybrańcy, którzy dostąpili zaszczytu zasiadania w najwyższych kręgach Lordów lub Mistrzów Sithów.

Teraz jednak Vestarze nie w głowie było podziwiać czarne iglice czy proste, funkcjonalne tarasy Świątyni. Nie interesowały jej piękne pomniki na jej dziedzińcu. Ten jeden, jedyny raz jej myśli nie powędrowały do tajemnic ukrytych na pokładzie „Omena”. O nie; tym razem oczy Vestary były wpatrzone w jaskrawopomarańczową sferę, która tkwiła na samym środku dziedzińca Świątyni Sithów.

Z wrażenia zaparło jej dech w piersi i ścisnęło w gardle. Patrzyła na przedziwny statek, niezdolna odwrócić wzroku ani nawet mrugnąć. Nagle odniosła wrażenie, że całe swoje dotychczasowe życie spędziła, czekając na chwilę, w której ten sferyczny pojazd przemknie nad jej głową i napełni myśli subtelnym tchnieniem ciemności, nakazując jej za sobą podążać.

Ten... Statek... był doskonałą sferą o szorstkiej, chropawej powierzchni, otulonej teraz złożonymi skrzydłami. Wydawało się, że emanuje energią Ciemnej Strony. Wokół niego kłębił się już tłum Sithów; Vestara widziała, że zewsząd na oswojonych uwakach nadlatują kolejni.

Chciała jak najszybciej wylądować, zeskoczyć z grzbietu wierzchowca, pobiec w te pędy do Statku i dotknąć gruzełkowatej, porowatej powierzchni. Pragnęła tego tak bardzo, że w pewnej chwili wyrwał jej się z piersi stłumiony szloch. Próbowwała zamaskować go nerwowym kasznięciem, ale Ahri znał ją za dobrze. Chwycił ją mocniej w tali.

- Ves, wszystko w porządku? - spytał z niepokojem.

- Tak, jasne, że tak - odparła niezbyt przekonująco. - To po prostu... dość niezwykle, nie sądzisz?

Wiedziała, że nie jest mu obojętna i chociaż uważała, że jest atrakcyjny (cóż, jako Keshiri musiał być atrakcyjny), to nie zamierzała dopuścić, by między nimi doszło do czegoś więcej. Po pierwsze, chociaż Sithowie przedkładali przymioty ducha ponad status i pochodzenie, bycie Keshirim było pewnego rodzaju piętnem. Jasne, nie zamykało im to drzwi do kariery (jeśli chodzi o ścisłość, jeden z Najwyższych Lordów był Keshirim), ale Sithowie nigdy nie zawierali małżeństw z tubylcami. Ci ostatni mieli też mniejsze szanse na potwierdzenie swojej wartości.

Niektórzy Sithowie brali sobie oczywiście Keshirich na kochanków, chociaż rasy różniły się między sobą w takim stopniu, że nie mogło być mowy o potomstwie. Fizycznemu pięknu Keshirich trudno się było oprzeć, ale też Vestara nie należała do osób, które zamierzały mu ulec. Była bez reszty oddana służbie Mocy, zgłębianiu jej tajemnic, ćwiczeniom, nauce i szlifowaniu umiejętności, czasem do tego stopnia, że opadała z sił i - złana potem i półprzytomna - czołgała się do łóżka, aby

przespać całą noc bez snów.

A teraz zjawił się Statek i Vestary nie obchodziło już nic więcej.

Jeszcze raz poczuła na sobie jego badawcze „spojrzenie” i zadrżała. Ahri znów przytulił ją mocniej, biorąc jej dreszcz za reakcję na chłód.

*Wyczulaś mnie* - powiedział do niej Statek.

*Tt... tak* - odparła mentalnie.

Wyglądało na to, że jest w pewien sposób przesłuchiwana, oceniana.

*Chcesz zostać Mistrzem Sithów* - stwierdził Statek. - *Okiełznać potęgą Ciemnej Strony.*

*Ja... to znaczy...*

Vestara wyprostowała się dumnie na grzbiecie Tikka, zebrała w sobie i bezlitośnie stłumiła dziecinną niepewność. Nieważne, że nigdy wcześniej nie miała do czynienia ze statkiem kosmicznym i nie widziała diagramów ani schematów, które spoczywały podobno w pilnie strzeżonym wraku „Omena”. Była dzieckiem Plemienia, córką Miecza Sithów, w dodatku wyjątkowo silna Mocą - i była z tego dumna.

A Statek (nie jego pilot - teraz dotarło do niej, że nikt nim nie kierował, jeszcze nie) ją sprawdzał. Nie mogła okazać lęku.

*Chcę* - powiedziała pewnym tonem. - *I tak będzie. Jestem Vestara Khai, spadkobierczyni chlubnego dziedzictwa. Mam wszystko, czego trzeba, żeby władać Ciemną Stroną i uczynić ją posłuszną mej woli, wykorzystać ją z pożytkiem dla Plemienia i Ludu.*

*Dla wszystkich Sithów* - dopowiedział Statek i Vestara odruchowo kiwnęła głową - zanim jeszcze zdała sobie sprawę, że przecież Statek jej nie widzi.

A może jednak? Właściwie nie było to postrzeżenie jako takie, ale sfera chyba wyczuła jej potwierdzenie poprzez Moc. A Vestara czuła jej aprobatę. Po chwili Statek wycofał się z jej umysłu. Nagły brak chłodnej, taksującej obecności sprawił, że poczuła się osobiście opuszczona, ale oparła się chęci poszukania kontaktu jeszcze raz.

Kiedy oderwała wzrok od Statku i rozejrzała wśród tłumu otaczających go Sithów, ubranych w czarne szaty, zobaczyła, że w jej stronę odwraca się jasna, kobieca głowa: Lady Rhea, jedna z członków Kręgu Lordów Sith, wbijała w nią taksujące spojrzenie chłodnych błękitnych oczu. Nawet z tak wysoka Vestara widziała, że te oczy zwięzają się w szparki, jakby Lady głęboko się nad czymś zastanawiała.

Wargi Vestary rozciągnął drapieżny uśmiech.

# ROZDZIAŁ 6

## Na pokładzie „Cienia Jade”

„Cień Jade” był pełen wspomnień o Marze.

Ben Skywalker mógłby przysiąc, że raz czy dwa podczas długich, milczących godzin podróży, wypełnianych tylko cichym, jednostajnym szumem silników, zdarzyło mu się wyczuć obecność matki. I miał pewność, że to nie wytwór jego wyobraźni. Był Jedi, więc po prostu to wiedział. Jeśli jej duch tęsknił do jakiegoś miejsca albo miał się gdzieś objawić, to na pewno tutaj, u boku jej męża i syna, na pokładzie statku, który zaprojektowano specjalnie dla niej.

W pewien sposób był to symbol skupiający w sobie oddanie wszystkich, którym zależało albo byli w jakiś sposób związani z Marą Jade Skywalker. Ich miłość i praca zmieniły zwykły jacht kosmiczny w obiekt wyjątkowy, wzbudzający podziw, szacunek i zaskakujący - całkiem jak kobieta, dla której go stworzono.

Sam jacht był prezentem od Landa Calrissiana, a imię nadała mu jego żona, Tendra. Nazwa „Cień Jade” wzięła się stąd, że powłoka statku nie odbijała światła, ale po namyśle Ben stwierdził, że to zaskakująco dobry wybór. Wszystkie zakątki jachtu pełne były wspomnień o Marze, kładących się na nim jak cień. Chociaż początkowo mostek statku zaprojektowano dla pilota, drugiego pilota i nawigatora, dzięki licznym usprawnieniom Mara mogła pilotować statek sama. Mimo to pierwotny układ przypominał boleśnie o jej nieobecności. Trzy miejsca - zupełnie jakby stworzone dla ich trójki: rodziny Skywalkerów.

W miarę upływu czasu „Cień” dorobił się kolejnych imponujących i zaawansowanych technologicznie modyfikacji. Lando i Talon Karrde wyposażyli go w system uzbrojenia, dodając wysuwane działka laserowe AG-IG, a także dwie ukryte wyrzutnie pocisków udarowych, Dymex HM-8, każdą z magazynkiem ośmiu torped o dużej mocy. Cały system obronny mógł być kontrolowany ręcznie albo za pośrednictwem komputera celowniczego, który zajmował się dosłownie wszystkim - no, może poza wysyłaniem wiadomości z kondolencjami dla krewnych ofiar. Statek był naprawdę jak cień, co dawało mu sporą przewagę przy tajnych operacjach.

Han Solo osobiście podrasował silniki, stosując mnóstwo sztuczek, których nauczył się przez wiele lat wprowadzania usprawnień do swojego ukochanego „Sokoła Millenium”, a także wyposażył „Cień” w zaawansowane czujniki dalekiego zasięgu, na widok których zaplułby się z zachwytem każdy amator tajnego profilu i szybkich odwrotów. Nie mówiąc już o lewo- i prawoburtowych skanerach wizualnych, zakłócaniu sygnału, urządzeniach zniekształcających wskazania czujników, fałszywych kodach transpondera, a także o tym, co Ben zawsze uważał za klejnot w koronie statku: zdalnie sterowanym układzie podporządkowania, dzięki któremu można było wezwać statek w każdej chwili i w prawie każde miejsce.

Poza tym i Luke, i Mara poświęcili jachtowi wiele godzin, dopracowując i dopieszczając jego



systemy tak samo pilnie, jak pracowali nad stworzeniem związku pełnego poświęcenia i miłości. Usprawnili dokonania Hana, dodając autopilota, zdolnego do igraszek akrobatycznych uników, a także unowocześnili rufowy pierścień dokujący, dopasowując go do zmodyfikowanego myśliwca.

Sama Mara wydała niebagatelną sumę na zainstalowanie nieprawdopodobnie wręcz czułego systemu łączności holograficznej, dzięki któremu mogła wysyłać i nadawać wiadomości prawie z każdego zakątka galaktyki, od Głębokiego Jądra po Zewnętrzne Rubieże. I właśnie to udogodnienie Ben odbierał teraz jako proroczy dar matki, chociaż Mara oczywiście nie mogła przewidzieć, że pewnego dnia ten kanał komunikacyjny stanie się dla jej męża i syna jedynym oknem na galaktykę. Podróży, w którą wybierali się Ben i Luke, raczej nie można było nazwać krótką.

Ben na wpół leżał, na wpół siedział, rozciągnięty niedbale w fotelu drugiego pilota. Założył ręce za głowę i wbił wzrok w transpystalowy iluminator, za którym aksamitną czerń kosmicznej przestrzeni znaczyły punkciki gwiazd.

- Myślisz o mamie? - spytał cicho Luke.

Ben westchnął.

- Tak. Trudno, żeby było inaczej, skoro spędzam na jej statku tyle czasu.

- Wiem, co masz na myśli - odparł Luke.

- Cieszę się, że wzięliśmy „Cień”. I to nie tylko ze względów czysto praktycznych.

Luke obejrzał się na syna przez ramię i uśmiechnął pokrzepiająco.

- Ja też. To się wydaje takie... właściwie. Zupełnie jakby jakaś jej część podróżowała z nami.

Ben skinął głową. Nie wspominał ojcu o wrażeniu, które prześladowało go od czasu do czasu: że Mara jest tuż obok. Jeśli było prawdziwe, Luke na pewno też to czuł, a jeśli nie, i była to tylko jego fantazja, lepiej, żeby zachował ją dla siebie.

W pewnym sensie ich podróż była uczczeniem pamięci Mary, chociaż wyruszyli w nią w niezbyt sprzyjających okolicznościach. Mieli za zadanie zgromadzić informacje, dzięki którym udałoby się rozwiązać zagadkę tajemniczej choroby nękającej Rycerzy Jedi Seffa Hellina i Valina Horna, a także dowiedzieć się, co było przyczyną, dla której Jacen Solo zstąpił na ścieżkę mroku. Dopiero wtedy Luke będzie mógł powrócić ze swojego wygnania. W pewnym momencie Ben stwierdził jednak (nie bez zaskoczenia), że godziny milczenia i spokojnych, leniwych rozmów były w pewnym sensie hołdem złożonym pamięci Mary Jade Skywalker. Wiedział, że na Coruscant nie mogliby sobie na to pozwolić. Wygnanie Luke'a i ta podróż obiecywały utrwalenie łączącej ich więzi i dawały szansę, by spojrzeć na wszystko z dystansu, z innej perspektywy, na chłodno - nawet jeśli ich misja była pilna.

Kosztowny sprzęt holograficzny Mary brzęknął melodyjnie i Luke zmarszczył brwi. Ben także był zaskoczony. Cilghal miała się z nimi skontaktować dopiero za jakieś cztery godziny, a Kalamarianka była tak niebywale punktualna, że według niej można było nastawiać chronometr. Skywalker ojciec

wcisnął jedną z kontroltek i na niewielkim talerzu podstawy holoprojektora pojawiła się miniaturowa postać kalamariańskiej uzdrowicielki. Mimikę tych wodnych istot trudno było rozgryźć, ale zarówno Luke, jak i Ben natychmiast odgadli, że Cilghal jest wzburzona.

- Cilghal? Co się stało? - spytał Luke.

Kalamarianka skłoniła głowę w geście szacunku, trzymając się etykiety, choć przecież Luke był na wygnaniu i nie pełnił oficjalnie funkcji głowy Zakonu - a ona była wyraźnie podenerwowana.

- Wiele się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku godzin, Wielki Mistrzu - westchnęła. - Mam zacząć od dobrej wiadomości czy od złej? Obie są ważne.

- Najpierw zła - poprosił Luke.

- Dobrze - podjęła Cilghal. - Odnotowaliśmy wśród Jedi nowy przypadek... choroby.

- O nie, tylko nie to... - jęknął Luke i wstrzymał oddech. - Kto tym razem?

- Jysella Horn.

Skywalkerowie wymienili zaniepokojone spojrzenia. Bena uderzyły naraz dwie myśli: pierwszą było współczucie dla Jyselli, a drugą refleksja, jak strasznie muszą się teraz czuć jej biedni rodzice.

- Byłam świadkiem tego... zajścia, Mistrzu Skywalkerze - dodała cicho Cilghal. - Jysella przyszła do Świątyni, żeby pomóc mi w poszukiwaniach lekarstwa dla jej brata. Sprawiała wrażenie spiętej i wyglądała, jakby źle spała, ale to akurat nie wydało mi się niezwykle, zważywszy na... okoliczności. Siedziała obok mnie w studio, kiedy nagle, strasznie podenerwowana, zaczęła mnie zasypywać wymówkami. Próbowала zwiać. Szybko się zorientowałam, że niepokoi ją coś więcej niż tylko troska o brata i spróbowałam nawiązać rozmowę... - Cilghal zamrugła wylupiastymi oczami, wyraźnie wzburzona. Luke słuchał bez słowa, a i Ben powstrzymał się od komentarza, chociaż na język cisnęło mu się sto różnych pytań. - Wstała, włączyła miecz, a potem... oskarżyła mnie o to, że nie jestem prawdziwą Cilghal - dokończyła zbolalym głosem Mistrzynie.

- Zupełnie jak Valin - mruknął Luke.

- Dokładnie - potwierdziła Kalamarianka. - Później... uciekła ze Świątyni.

- Uciekła? - wyrwało się Benowi. - Jak to?! Przecież w Świątyni jest pełno Jedi!

Zamiast zbesztać go za przerywanie, Cilghal westchnęła tylko.

- Dobre pytanie, Jedi Skywalkerze. Jysella jest oczywiście doświadczonym Rycerzem Jedi, ale mimo to powinniśmy byli dać radę zatrzymać ją na terenie Świątyni... Mistrzu Skywalkerze - dodała, wyraźnie stropiona - Jysella Horn... obawiam się, że odbyła wędrówkę po nurcie.

Luke przyglądał się jej przez chwilę z niedowierzaniem.

- Jesteś tego pewna?

- Tak, sądzę, że tak było. Sprawiała wrażenie, jakby doskonale wiedziała, w którym miejscu kto z nas spróbuje ją zaatakować i wybierała trasę ucieczki tak, żeby nas uniknąć. Przychodzi mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie tego, że potrafiła przewidzieć przyszłość.

- Cóż, to rzeczywiście może świadczyć o odbyciu wędrówki po nurcie - stwierdził ostrożnie Luke.  
- Ale równie dobrze mogła sprytnie wykorzystywać Moc, opracować dobrą taktykę albo po prostu mieć fart. Przewidywanie posunięć innych to nieodłączna część bycia Jedi.

- Oczywiście, to mogła być każda z tych rzeczy - przyznała spokojnie Cilghal - gdyby nie to, że wiedziała dokładnie, w którym miejscu ukryto droidy ochroniarzy, które właśnie miały zostać aktywowane, żeby ją schwytać. Dwójka jej najlepszych przyjaciół próbowała ją powstrzymać, kiedy wydostała się ze Świątyni - byli tuż obok, w kafejce, i wyszli na zewnątrz, kiedy zaczęło się całe zamieszanie. I Bazel Warv, i Yaqeel Saav'etu zeznali, że ich przyjaciółka wiedziała dokładnie, gdzie się przemieszcza, jak się zachowają, i odbijała każdy cios, zanim jeszcze zdążyli go zadać.

Luke nie wyglądał na przekonanego.

- Cilghal, przewidywanie ruchów przeciwnika to jedna z podstawowych technik, jakich uczy się Jedi. Rycerze muszą wiedzieć, jak mają się zachować...

- Ale do tego stopnia! - zaprotestowała Kalamarianka. - To nie było zwykłe przeczuwanie ruchów przeciwnika, wierz mi. To wyglądało prawie jak... doskonale wyreżyserowana choreografia. Zbyt precyzyjne. Bazel przeżył jedynie dzięki temu, że Jysella ze zdenerwowania chyba nie myślała jasno. A poza tym - dodała znacząco - wyczułam w Mocy coś dziwnego, jakieś zaburzenie czasu i przestrzeni... Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z techniką wędrówki po nurcie, ale gdybym miała zgadywać, to właśnie na to bym stawiała... nawet gdybym nie widziała, co Jysella zrobiła z droidami i podczas walki.

Z każdym słowem kalamariańskiej Mistrzyni Jedi Ben otwierał coraz szerzej oczy. Nawet Luke miał trudności z ukryciem zaskoczenia i niepokoju.

- Kontynuuj - powiedział tylko.

- Niestety - podjęła zgodnie z poleceniem Cilghal - tak jak wspomniałam, Bazelowi i Yaqeel nie udało się jej powstrzymać. Aresztowały ją służby Sojuszu i przywódczyni GS Daala poinformowała, że zamierza ją wsadzić w karbonit.

- Bez przesłuchania i bez uczciwego procesu - domyślił się Luke z goryczą.

Cilghal pokiwała smutno głową.

- Służby bezpieczeństwa GS zjawiły się natychmiast na miejscu zdarzenia - dodała. - Tobie Daala nie kazała na siebie długo czekać. I, Mistrzu... - zawahała się chwilę - na miejscu był co najmniej jeden reporter, któremu udało się nagrać prawie cały incydent.

Na wnętrzościach Bena zacisnęły się lodowate szpony strachu. Chyba już gorzej być nie mogło. Jeżeli...

- Czy były jakieś ofiary śmiertelne? - spytał, przygotowując się na najgorsze.

- Na szczęście nie. Wielu obywateli doznało obrażeń, w większości zresztą niegroźnych, a Bazel został ranny, ale wkrótce wydobrzeje.

Ben pomyślał smutno, że pewnie tego samego nie da się - przynajmniej na razie - powiedzieć o Valinie czy o Jyselli.

- No cóż, przynajmniej tyle - westchnął Luke i potarł ze znużeniem powieki. - Mówiłaś, że całe zajście nagrano...

- Tak - potwierdziła Cilghal. - Przesyłam ci właśnie zapis.

Luke i Ben przyglądali się w pełnym napięcia milczeniu, jak Javis Tyrr „nadaje na żywo spod samej Świątyni Jedi w Galactic City, Coruscant” i rozmawia o incydencie ze świadkami, zadając im obrzydliwie naprowadzające pytania w rodzaju: „Jak pan sądzi, ile czasu Jedi ukrywali przed wszystkimi ten wstydlivy sekret?”

W pewnej chwili Benowi wyrwało się pełne obrzydzenia parsknięcie. Luke wyglądał przez moment, jakby próbował ukryć uśmiech, ale szybko spoważniał na widok kolejnych holoscen.

To był chyba jakiś koszmar... Oto Jysella, w szatach Jedi, z mieczem świetlnym w dłoni, wydając nieartykułowane okrzyki, ciskała Mocą przechodniów na boki, aby utorować sobie drogę przez tłum. Kamera na zbliżeniu starała się uchwycić najlepszy kąt, a Tyrr komentował w tle: „Następny szalony Jedi! Atakuje wszystkich, bez wyjątku!”

Jysella miotała się jak w amoku; ciemne kosmyki rozczochranych włosów zasłaniały jej twarz. W pewnej chwili kamerze udało się uchwycić na zbliżeniu jej brązowe oczy, otwarte szeroko w bezgranicznym przerażeniu.

- Ona naprawdę wygląda na szaloną, tato - powiedział cicho Ben, krzywiąc się boleśnie na dźwięk własnych słów. Luke milczał, przygnębiony, wpatrując się smutno w młodszą latorośl Hornów.

„Nawet jej koledzy z Zakonu uznali, że jest niebezpieczna” - ciągnął Tyrr, denerwująco spokojnie. - „Widzę jednego... nie, dwóch Jedi, próbujących zatrzymać rozjuszoną Jedi. Wygląda na to, że ze Świątyni wylegli następni.

Ben nie mógł oderwać oczu od scen nagrania. Czuł się, jakby oglądał relację z wypadku śmigacza. Chociaż na sam widok robiło mu się niedobrze, musiał patrzeć. Musiał zobaczyć - wszystko.

Ale i tak trudno mu było uwierzyć w to, co widział: Ramoanin, Rycerz Jedi, którego znał z widzenia, ruszył w stronę Jyselli, gdy nagle wpadł na niego spanikowany pieszy. Atak zaskoczył Jedi i sprawił, że potężna istota potknęła się i zatoczyła w bok.

W tym czasie Jysella już szykowała się do skoku - jeszcze zanim Jedi zrobił choć krok. Opuściła na niego błyskawicznym ruchem miecz świetlny, krzycząc: „Wiem, że to nie ty!”

- Zatrzymaj - odezwał się Luke i kadr zastygł posłusznie. - Puść znowu - polecił Mistrz Jedi. Ojciec i syn jeszcze raz przyglądali się całej scenie w milczeniu. Ben czuł, jak po kręgosłupie pełźnie mu zimny dreszcz.

Wędrowka po nurcie, powtórzył sobie w myśli. Tak, to było coś zdecydowanie więcej niż przewidywanie ruchów przeciwnika dzięki Mocy.

Walka wciąż trwała i Ben z niechęcią przyznał Cilghal rację. Raz za razem Jysella uprzedzała każdy ruch Barva. Mało tego! Niekiedy zdawało się, że wyprzedza go o dwa kroki. Ben nigdy dotąd nie widział czegoś takiego - nawet w wykonaniu własnego ojca. Znow przeszedł go zimny dreszcz. Nie zwracał teraz uwagi na to, co mówi dziennikarz; co jakiś czas jak przez mgłę docierały do niego strzępki komentarza w rodzaju: „taka młoda i atrakcyjna...”, „nieszczęśliwa rodzina...” i inne *poodoo*. Znacznie bardziej interesowała go sama walka. Z głośników dobiegł wściekły warkot i Jysella szarpnęła głową w bok.

„Mamy następną uczestniczkę zajścia, młodą bothańską Jedi, która najwyraźniej...” - głądził Tyr, podczas gdy obraz z kamery pokazywał wirującą w szaleńczym półobrocie Jysellę. Nagranie kończyło efektowne ujęcie wykrzywionej w obłędzie twarzy Jyselli, podnoszącej miecz.

Luke jeszcze raz westchnął ciężko i przeczesał palcami włosy.

- Muszę przyznać, że cieszę się, że Yaqeel udało się zniszczyć holokamerę tego dziennikarzyny, ale tak czy owak czeka nas sporo problemów. Jestem pewien, że ostatni kadr z Jysellą znajdzie się we wszystkich holonewsach.

- Yaqeel zrobiła, co powinna, ale to nie wystarczyło - wtrąciła Cilghal ponuro. - Okazało się, że reporter ma zapasową kamerę. Oto, co nagrał.

Jakość nowego zapisu pozostawiała wiele do życzenia, ale dźwięk był doskonały. Nagranie przedstawiało przywódczynią Sojuszu, Daalę. Pani admirał wyglądała jak zwykle oszałamiająco (jak na kogoś w jej wieku) i informowała zgromadzonych, że Jysella Horn zostanie, podobnie jak wcześniej jej brat, „zamrożona w karbonicie, żeby nikomu już nie zagrażać”, że „oczywiste jest, że wśród Jedi dzieje się coś złego” i że jej rząd „zbada sprawę dogłębnie i znajdzie sposób na rozwiązanie tego niepokojącego problemu”.

Tyr wygłosił następne naprowadzające pytanie, podobne do tych, które wcześniej zadawał przechodniom i Benowi wyrwało się z ust przekleństwo, na dźwięk którego jego świętej pamięci matce pewnie włos zjeżyłby się na głowie (choć najprawdopodobniej to właśnie od niej się go nauczył). Luke zacisnął wargi. Myśl, że za tajemniczą chorobę odpowiadało pochodzenie młodych Hornów, była bardziej niż absurdalna.

- Ta-a, Mistrz Horn na pewno będzie zachwycony - prychnął Ben. - Naprawdę mi przykro, że musi wysłuchiwać podobne bzdury. Cała ta sól sypana na rany...

- A mnie żal tego, kto będzie miał z nim do czynienia po tym wszystkim - skwitował kwaśno Luke.

Daala wypowiadała się z finezją urodzonego polityka. Udało jej się oczernić zarówno Jedi, jak i Hornów, choć właściwie nie powiedziała nic, co mogłoby zostać uznane za podżeganie, a nawet przy okazji obsztorcowała reportera za „wkładanie jej w usta słów, których nie powiedziała”.

Luke z westchnieniem patrzył, jak pani admirał kończy przemowę i wsiada do śmigacza. Dziennikarz spróbował jeszcze pociągnąć za języki Bazela i Yaqeel, aż w końcu na scenę wkroczyła sama Cilghal: „Jedi są oczywiście bardzo zaniepokojeni ostatnimi wydarzeniami, podobnie jak zresztą całą sprawą choroby. Robimy wszystko, co w naszej mocy”.

- Proszę wybaczyć, Mistrzu Skywalkerze - odezwała się przepaszająco prawdziwa Cilghal. - Wolałam nie wypowiadać się w imieniu Jedi, dopóki nie omówimy wszystkiego i nie ustalimy wspólnego stanowiska.

- Dobrze się spisałaś, nie masz za co przeproszać - zapewnił ją Luke. - Kiedy Mistrzowie mają się spotkać?

- Za godzinę. Pytanie brzmi, ile racji miał ten dziennikarz...

Ben ściągnął brwi.

- Tato... - zaczął z powątpiewaniem, ale Luke podniósł rękę, uprzedzając jego pytanie.

- Hornowie są rodzeństwem - powiedział. - I ten fakt bez dwóch zdań będzie wciąż podkreślany, więc musimy przygotować odpowiedź. Czy problem ma faktycznie podłoże genetyczne? Hornom na pewno się to nie spodoba, ale idę o zakład, że są przygotowani na poddanie się badaniom.

- A co z Seffem Hellinem? - spytał Ben. - Nie jest przecież z nimi spokrewniony, a był pierwszą osobą, u której stwierdzono takie objawy.

Luke uśmiechnął się kwaśno do syna.

- Trafne spostrzeżenie. - Odwrócił się do hologramu. - Niestety, muszę ci przyznać rację, Cilghal. To rzeczywiście wygląda, jakby Jysella cofnęła się nurtem w przeszłość. Nie była wystarczająco skupiona, żeby zadawać tak dobrze wymierzone ciosy.

Kalamarianka skłoniła lekko głowę.

- Szczerze powiedziawszy, wolałabym się mylić - westchnęła smutno.

- Ja też - zgodził się Luke.

- To by było trzy na trzy - wtrącił Ben.

- Trzy na trzy co?

- Troje Jedi wykazujących te same paranoidalne objawy i zdolności, których nie powinni posiadać...

- Te same zdolności, które miał Jacen, ale których nie mogli nauczyć się sami - uzupełniła Cilghal.

- Dokładnie. - Ben zaczął zaginać palce, wyliczając z zapałem umiejętności „opętanych” Jedi; przestępował przy tym nerwowo z nogi na nogę. Najwyraźniej miał dość przebywania w ograniczonej przestrzeni i ruch pomagał mu w myśleniu. - Po pierwsze, Seff unieruchomił swoich przeciwników i odebrał im broń w samym środku walki. Po drugie, Valinowi udało się oszukać wszystkich dzięki zmianom w emitowanych przez jego mózg falach mózgowych. A po trzecie, Jysella cofnęła się w czasie dzięki wędrowce po nurcie. To niby żaden bezsprzeczny dowód, ale w tej chwili nie mamy innych poszlak. To jedyny wspólny punkt dla tych trzech przypadków, jaki mi się obecnie nasuwa. - Ben przeniósł wyczekujące spojrzenie z holograficznej Cilghal na ojca i z powrotem, przy okazji zarumienił się lekko na myśl, że może gada od rzeczy. Aprobata w oczach ojca wróciła mu jednak pewność siebie.

- Zgadzam się - potwierdziła jego założenia Kalamarianka. - Wasza decyzja dotycząca zbadania powiązań tych spraw z Jacenem wydaje mi się, co z żalem przyznaję, słuszna. Wciąż nie mamy jednak żadnych śladów wyjaśniających, w jaki sposób Jacen zdołałby się skontaktować z tą trójką...

- Ale musi być jakiś związek - upierał się Ben. - Cóż... przynajmniej wydaje się to logiczne - dodał po chwili.

- Mędrcy Baran Do nie potrafili nam pomóc - westchnął Luke. - Zastanawiam się, czy eksplorując ten wątek, nie zaganiamy niewłaściwego nerfa. - Opadł na oparcie fotela i przymknął powieki. - Związek z Jacenem... - Przez chwilę milczał, a potem otworzył szeroko oczy. - Nie. Nie z Jacenem... a przynajmniej nie w sensie fizycznym.

- Ale przecież w Mocy nie było po nim śladu - wszedł mu w słowo Ben. Ta myśl jak zawsze sprawiła, że posmutniał. Pomimo całego żalu i gniewu, jaki czuł kiedyś wobec swojego nieżyjącego kuzyna, w końcu zdołał mu wybaczyć, chociaż, tak jak i Luke, nadal chciał się dowiedzieć, co takiego sprawiło, że skusił go mrok. Jaina zaklinała się co prawda na wszystko, że na parę ostatnich sekund jej brat przestał być Darthem Caedusem i stał się znów Jacenem... A Ben kochał Jacena. Czuł się teraz dziwnie niezręcznie; na myśl o tym, że już nigdy nie poczuje obecności kuzyna, robiło mu się przykro, jakby zostawił za sobą sprawę, której już nigdy nie uda się rozwiązać.

Luke pokręcił z namysłem głową.

- Nie to mam na myśli - powiedział z namysłem. Ben usłyszał w jego głosie echo tego samego smutku, który sam czuł. - Zastanawiam się, czy Caedus w jakiś dziwny sposób nie zdołał przewidzieć, że jego panowanie jako Sitha dobiegnie w pewnym punkcie końca. A jeśli o tym wiedział... może ta cała sytuacja jest wynikiem jego wędrówek po nurcie w głąb przeszłości?

Ben przyglądał się ojcu szeroko otwartymi oczami.

- Potrafisz robić takie rzeczy, tato?

Na twarzy Luke'a pojawił się cień nagany.

- Można oczywiście wpłynąć na przeszłość... w pewnym stopniu. Caedusowi nie było dane znaleźć godnego następcy, który wzięłby sprawy w swoje ręce po jego śmierci. Nie udało mu się złamać ciebie ani przeciągnąć na stronę mroku Tahiri. Może chociaż w ten sposób chciał zostawić po sobie jakiś ślad? Swoiste dziedzictwo?

Ben przez jakiś czas podążał za Jacenem ścieżką mroku, ale nie przeszedł na Ciemną Stronę. Wiedział, że zdaniem Caedusa był za słaby, żeby stać się Sithem, ale ostatecznie przekonał się, że to, co jego mentor uznawał za godną pożałowania słabość, Jedi uważali za cnotę.

- Ss... sądzę, że to możliwe - zająknęła się Cilghal, wyraźnie zde gustowana. - I chociaż ten pomysł wydaje mi się niepokojący, na pewno wart jest zbadania.

- Jacen pobierał nauki wśród Aing-Tiich - podsunął Ben. Wiedział o każdym miejscu, które Jacen odwiedził podczas swojej pięcioletniej tułaczki po galaktyce. Był taki czas, kiedy oddałby wszystko, żeby pójść w jego ślady. Teraz wszystko wskazywało na to, że przyjdzie mu tamto pragnienie zrealizować, jednak w okolicznościach zdecydowanie mniej sprzyjających, niż to sobie kiedyś wyobrażał. - Może powinniśmy z nimi porozmawiać?

Cilghal parsknęła śmiechem.

- Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić - stwierdziła wreszcie, kiedy zdołała zaczerpnąć tchu. - Aing-Tii nie są zbyt gościnni, a w archiwach Świątyni mamy o nich tylko szczątkowe informacje.

- Sądzę, że Ben ma rację - powiedział z namysłem Luke. - To coś więcej niż tylko śledztwo w sprawie sztuczek Mocy Jacena. Wędrówka po nurcie może być kluczem do zrozumienia całej sytuacji. Możliwe, że Caedus rzeczywiście wrócił po nurcie do przeszłości i zostawił tę... to mentalne zakłócenie jako coś w rodzaju bomby, która wybuchnie, jeśli mu się nie powiedzie. W tej sytuacji odkrycie, w jaki sposób tego dokonał, może nam pomóc zrozumieć, jak naprawić skutki tego działania. Wiem, że nie mamy zbyt dużo informacji o Aing-Tiich, ale proszę, prześlij mi wszystko, co znajdziesz.

- Wiem tyle, że mieszkają w okolicach Ryftu Kathol. - Cilghal westchnęła i przymknęła na chwilę wyłupiaste oczy. - Wyślę ci wszystko, co mamy, Wielki Mistrzu - obiecała.

Luke aż gwizdnął pod nosem.

- Ryft Kathol? No, no... w takim razie naprawdę przyda nam się każdy strzępek informacji. Robi się wesoło.

- O co chodzi z tym Ryftem? - spytał Ben.

- Później ci powiem. Dzięki, Cilghal. Czy nie mówiłaś też przypadkiem o jakichś lepszych wieściach? Chyba dobrze by mi teraz zrobiły.

Kalamarianka uśmiechnęła się blado.



- Ben wspomniał wcześniej o Seffie Hellinie. Z radością donoszę, że został zatrzymany... - przez Jedi. Jest przetrzymywany w Świątyni. Chcemy go zbadać.

- Cóż, to rzeczywiście dobra wiadomość. Czy służby GS albo Daala wiedzą o tym?

- Nie. W jego zatrzymaniu uczestniczyły Jaina, Tahiri, Mirax, Winter i Jag. Nikt poza nimi i mną o tym nie wie.

- Tahiri? - Ben był mile zaskoczony. Wiedział, że niedoszła uczennica Jacena nie zamierza powrócić na łono Zakonu, ale dobrze było usłyszeć, że jest skłonna do współpracy.

- Właśnie tak. Wszystko wskazuje na to, że nie ma nic przeciwko wspieraniu naszych działań. Może za jakiś czas zdecyduje się znów do nas dołączyć?

Ben miał taką nadzieję. To on ocalił życie Tahiri, przekonany, że dziewczyna wreszcie przejrzy na oczy, że jest jeszcze dla niej szansa.

Cilghal zawahała się lekko.

- Powiedziała, że nikt z GS, nawet Daala nie wiedzą o pojmaniu Seffa... No i, tak jak wspomniałam, nie wie o tym żaden z Mistrzów, poza mną. Tylko że nikt z nas nie chciałby stawiać Mistrza Hamnera w niezręcznej sytuacji...

Luke zmarszczył brwi, ale pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Jeśli to wyjdzie na jaw, będzie mógł zgodnie z prawdą wyprzeć się, dowodząc, że o niczym nie wiedział i oświadczyć, że Zakon nie jest w to zamieszany... Chociaż takie rozwiązanie nie jest moim zdaniem zbyt uczciwe. - Westchnął i pokręcił głową, najwyraźniej starając się skupić na meritum. - Czy zdołaliście dowiedzieć się czegoś o chorobie Seffa?

- Nie wykazuje zdolności Valina do oszukiwania encefalogramu, więc mogliśmy skutecznie przeprowadzić badania fal mózgowych. Wygląda na to, że części jego mózgu, które są aktywne podczas snu, zachowują ten stan także w okresie świadomości... cóż, przynajmniej częściowo. Innymi słowy, mamy w tym przypadku do czynienia z ewidentnym śnieniem na jawie, chociaż pacjent jest przytomny i świadomy, co się wokół niego dzieje. Będziemy kontynuować nasze dochodzenie.

Dochodzenie, pomyślał smutno Ben. Nawet Cilghal podłapała od niego to określenie. Wrócił myślami do czasu, kiedy Mistrzynie Cilghal prowadziła śledztwo w sprawie zamordowania Mary Jade Skywalker. Wtedy zdystansowanie się do całej sprawy pomogło. Ze wszystkich sił starał się postępować podręcznikowo, żeby mieć pewność, że nie dojdzie do żadnego uchybienia - a tym samym błędu, który mógłby doprowadzić do zafałszowania wyników. Ostatecznie to on dowiódł, co rzeczywiście się wydarzyło, chociaż okoliczności wskazywały na zupełnie inne rozwiązania. A teraz czekało go kolejne dochodzenie - co prawda nie w sprawie morderstwa, ale przypadku z całą pewnością równie tajemniczego.

- Jak on się zachowuje? - spytał Luke.

- Dokładnie tak, jak można by się po nim spodziewać - wyjaśniła smutno Cilghal. - Uważa, że wszyscy dookoła zostali podmienieni na sobowtóry. Boi się, jest wściekły i zdecydowany wszystkich pozabijać. Za parę godzin stawią się na miejscu kapitan Solo i Jedi Organa Solo. Obiecali nam pomóc, bo przecież to oni pierwsi zetknęli się z Hellinem, po tym jak dotknęła go ta... choroba.

- Ta-ak, pamiętam - przyznał Luke. - Nie wiem, co prawda, czy rzeczywiście zdołają nam jakoś pomóc, ale z drugiej strony, kto wie? Coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

- Zdawało mi się, że jak na jedną rozmowę, to i tak będzie za wiele, Mistrzu, ale skoro nalegasz...

Luke parsknął śmiechem, aż Ben zerknął na niego, zaskoczony. Ostatnio działo się tyle strasznych rzeczy, że Ben wątpił, żeby jego ojca zdołało coś rozbawić, ale wszystko wskazywało na to, że się mylił. Cilghal także uśmiechnęła się szeroko. Westchnął w duchu.

- Nie, chyba masz rację - stwierdził Luke. - To stanowczo za dużo jak na jeden dzień. Daj mi znać, jak tylko znajdziesz coś o Aing-Tiich i co ustaliliście na spotkaniu Rady. Tymczasem Ben i ja weźmiemy kurs na Ryft Kathol. - Zawahał się, po czym dodał: - Proszę, przekaż ode mnie najszczerze wyrazy współczucia Corranowi i Mirax. Musi im być teraz szczególnie trudno...

- Oczywiście, Mistrzu Skywalkerze. - Kalamarianka skłoniła głowę i obraz zniknął.

Luke opadł na oparcie fotela i założył ręce za głowę. W milczeniu błędził wzrokiem gdzieś daleko i Ben przez chwilę zdołał utrzymać język za zębami, ale w końcu ciekawość zwyciężyła.

- Naprawdę sądzisz, że to wszystko to sprawka Jacena... eee, Caedusa? - poprawił się szybko. - Szaleni Jedi, nowe umiejętności... Uważasz, że to on to wszystko zaplanował?

Luke usiadł znów prosto i zaczął wprowadzać do komputera nowe współrzędne.

- To całkiem możliwe, nie mówiąc już o tym, że wiele by wyjaśniło.

- Ale nie wyjaśniłoby, jakim cudem mu się to udało - wytknął Ben.

- Przy odrobinie szczęścia znajdziemy Aing-Tiich, a jeśli będą w dobrym nastroju, może sami nas oświecą.

Tym razem Ben nie zdołał ugryźć się w język.

- Jak myślisz, będziemy musieli cofnąć się nurtem w czasie, żeby to sprawdzić?

- Mam nadzieję, że nie - westchnął Luke. - Naprawdę mam taką nadzieję.

# ROZDZIAŁ 7

## Na pokładzie „Cienia Jade”

- Wiesz - westchnął Ben - kiedy powiedziałem, że chcę z tobą lecieć, nie sądziłem, że zapisuję się do objazdowej Akademii Jedi.

Luke parsknął cicho, nie spuszczać oczu z wyświetlacza konsoli, który wyglądał, jakby ktoś rozprysnął na nim krople niebieskiego mleka.

- Na pewno ci nie zaszkodzi - stwierdził. - To buduje charakter. - Zniżył głos i przemówił skrzekliwym, mentorskim tonem: - Cóż, chłopcze... Kiedy byłem w twoim wieku, mój młody padawanie, nie marzyłem o niczym innym poza pójściem do Akademii... Wiatr w oczy, kłody pod nogi... - nieważne co...

- Ta-a - parsknął Ben, nie mogąc powstrzymać uśmiechu - wujek Han mi opowiadał. Wcale nie zależało ci na szkole. Wolałeś się obijać z kumplami!

Zart syna przywoływał słodko-gorzkie wspomnienia. Rzeczywiście, Luke skończył, latając w towarzystwie swojego przyjaciela, Biggsa Darklightera, jednak w całkiem innych okolicznościach, niż się spodziewał. To nie była beztraska przejażdżka ani wyścig przyjaciół, tylko atak na Gwiazdę Śmierci, w którym zginęli wszyscy z Eskadry Czerwonych - oprócz niego i Wedge'a Antillesa.

Mimo to ojciec uśmiechnął się ciepło na dźwięk słów syna. Wspomnienia związane z przyjacielem sprawiały mu przyjemność, a sam Biggs nie był pierwszą osobą, która oddała życie za sprawę, w którą wierzyła aż do końca - i na pewno nie miał być ostatnią. Nie poświęcił się jednak na darmo, a Luke wiedział, że właśnie tego pragnął, dlatego nie namyślał się długo nad ripostą.

- Szkoda, że nie masz żadnych przyjaciół poza rodziną - rzucił lekko. - Może zaprzyjaźnisz się z jakimś młodym Aing-Tiim?

Ben się skrzywił.

- Eee, może niekoniecznie?

Parę godzin później Cilghal przesłała im wszystko, co znalazła o Ryfcie Kathol i Aing-Tiich. Nie było tego wiele, ale Skywalkerowie podzielili się materiałami: Benowi przypadło w udziale przejrzeć informacje o tajemniczej rasie, podczas gdy Luke zajął się zgłębianiem zagadnień skomplikowanego i niezwykle niebezpiecznego zjawiska, jakim był sam Ryft. Ben był zdolnym pilotem, ale mógł być jeszcze lepszy, więc Luke często podczas ich podróży przekazywał synowi drążek sterowniczy, aby młody mógł się nieco podszkolić pod jego okiem. A jednak Ryft to była zupełnie inna bajka i Mistrz Skywalker czuł się pewniej, sam zasiadając za sterami.

Nawigacja w tym rejonie przestrzeni była szczególnie trudna - z różnych przyczyn, począwszy od

olbrzymiej chmury wyjątkowo kapryśnych gazów - miejsca narodzin tysiąca gwiazd, rozciągającej się na kilka ładnych parseków. Określenie „kilka ładnych parseków” było najbardziej precyzyjnym wskazaniem jej wielkości, zważywszy na fakt, że była w ciągłym ruchu. Na pierwszy rzut oka przedostanie się przez obłok potężnych sztormów elektromagnetycznych i zakłócające wskazania sensorów promieniowanie wydawało się niemożliwe, jednak Aing-Tii, którzy podobno mieszkali na jednej z tysięcy planet położonych w Ryfcie, najwyraźniej jakoś sobie radzili. I to świetnie. Wyglądało na to, że opanowali sztukę skutecznego unikania sztormów, które bez trudu zdołałyby zniszczyć całą flotę w ciągu kilku minut, a promieniowanie, od którego natychmiast by oszalały wszystkie czujniki i systemy broni, nie robiło ich statkom najmniejszej krzywdy.

Potrafiliby tego dokonać dzięki prądom przecinającym Ryft. Nieliczne źródła informacji opisywały te prądy jako „korytarze”, wijące się w oszalamiająco pięknej, barwnej i nieprawdopodobnie groźnej chmurze gazów.

Sęk w tym, że korytarze przemieszczały się z miejsca na miejsce - i to często. W jednym z raportów wspomniano, że zmieniały swoje pozycje około dwunastu razy na standardową dobę. Logicznym wnioskiem powinno być, że istniał jakiś schemat, według którego trasy się zmieniały, i że Aing-Tii jakimś cudem zdołali go odkryć. Jak dotąd nie udało się to nikomu innemu - a przynajmniej nikomu, kto umieściłby swoje spostrzeżenia w Archiwach Jedi.

Nawet gdyby jednak ktoś temu podołał, korytarzy tego typu na pewno nie można było nazwać bezpiecznymi trasami. Wydawały się po prostu mniej niebezpieczne niż reszta Ryftu, bo stężenie promieniowania i naładowanych cząstek było w nich odrobinę mniejsze niż gdzie indziej.

Poruszanie się po terenie Ryftu Kathol oznaczało dla wszystkich statków (oprócz pojazdów Aing-Tiich) narażanie się na ciągłe niebezpieczeństwo. Nawet w korytarzach zasięg broni zmniejszył się o połowę, pola były osłabione, a jeśli chodzi o system łączności, to Luke uznał, że wchodząc w obszar Ryftu, równie dobrze mógł dobrowolnie zrezygnować z utrzymania kontaktu z Cilghal, pomimo wyjątkowych usprawnień wprowadzonych przez Marę.

Kiedy zanurzą się w Ryft, staną się bezbronni. Będą łowną zwierzyną - i to nie tylko dla ksenofobicznych Aing-Tiich, którzy byli znani z niechęci wobec wszystkich wtykających nosy w ich sprawy, ale także z powodu wyładowań energetycznych samego zjawiska Ryftu. Statek zacznie się zachowywać jak piorunochron; przez cały czas trwania podróży „Cień Jade” będzie bombardowany ładunkami energii, co wyglądałoby bez dwóch zdań niezwykle widowiskowo, ale także zapewniłoby im niezapomniane wrażenia z wariackiego lotu.

Był też jeszcze jeden powód, dla którego Ryft cieszył się tak złą sławą.

Przypisywane mu piętno wykraczało daleko poza fakt, że teren ten nie był najlepszym miejscem do rodzinnych przejażdżek. Cilghal uznała za stosowne dołączyć do przesłanych materiałów cały plik spisanych w pierwszej osobie relacji, których treść niebezpiecznie przypominała niesamowite historie o duchach. Z początku Luke nie bardzo rozumiał, dlaczego kalamariańska Mistrzyni w ogóle zdecydowała się im je wysłać. Był skłonny wrzucić wszystkie do tej samej szufladki co klaustrofobia i choroba przestrzenna, ale spostrzegł z niepokojem pewną prawidłowość: raporty osób wrażliwych na Moc wskazywały, że odczuwały one zjawisko intensywniej niż „zwykli” śmiertelnicy.

Był przekonany, że większość planet w okolicy nie prosperuje szczególnie dobrze. Wysoki poziom promieniowania raczej nie stwarzał warunków wymarzonych dla większości form życia galaktyki. Zastanawiał się, jak Aing-Tii zdołali tutaj przetrwać.

Przeciągnął się, wstał i ruszył do niewielkiego przedziału służącego za kuchnię.

- Głodny? - spytał syna.

Ben podniósł na niego wzrok znad hologramu, który akurat studiował.

- Mam szesnaście lat. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście, że jestem głodny.

Luke uśmiechnął się szeroko, wziął dwie miski potrawy brogy i stek z nerfa, zaprogramował kuchenkę impulsową i wrócił do stołu.

- W takim razie zamieniam się w słuch - powiedział, rozsiadając się wygodnie. - I pamiętaj, mój młody padawanie, to sprawozdanie uwarunkuje twoje dalsze postępy - dodał, uderzając znów w zrzędlivy ton.

Ben wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cóż... - zaczął. - Jeszcze przez wszystko nie przebrnąłem. Cilghal zarzuciła mnie całymi tonami informacji...

- W obliczu przytłaczającej ilości informacji należy zacząć od początku. Od podstaw. Jak wyglądają?

Ben dotknął panelu sterowania i w powietrzu przed nimi pojawił się hologram wielkości około trzydziestu centymetrów. Przedstawiał dwunożną istotę, stojącą na szponiastych stopach uzbrojonych w dwa palce z przodu i jeden z tyłu, z potężnym ogonem. Jej górne łapy miały po trzy palce i sprawiały wrażenie nieproporcjonalnie małych. Całe ciało, od długiego ogona po czaszkę, pokrywał pancerz z czegoś w rodzaju kościanych płyt, zwieńczonych konstrukcją przypominającą hełm, spod której wyzierały duże oczy. Każdą ze ściśle przylegających do siebie płytek pokrywały jakieś znaki - trudno stwierdzić, namalowane, wyryte czy wytatuowane.

- Przypominają jaszczury, ale to w istocie pozbawione zębów ssaki - wyjaśniał Ben. - Mierzą około dwóch metrów i...

Kuchenka impulsowa oznajmiła melodyjnym kurantem, że ich posiłki są gotowe. Ben zerwał się na równe nogi, nie fatygując się nawet, żeby skończyć zdanie - byle szybciej dobrać się do jedzenia, co przypomniało nagle Luke'owi, że chociaż jego syn jest Rycerzem Jedi i jak dotąd przeszedł w życiu więcej niż on sam w jego wieku, jest też wiecznie nienasyconym nastolatkiem. Przyglądał się w zamyśleniu trójwymiarowemu, animowanemu modelowi, aż z paszczy obcego wysunął się nie jeden, ale sześć długich, cienkich, ruchliwych języków. Luke uniósł brew, zaskoczony, ale już za chwilę jego uwagę przykuł Ben, który wrócił do stołu z ich posiłkami, ustawionymi na tacy obok dwóch parujących kubków kafu i czterech podejrzanie lepkich ciastek.

- Dzięki, Ben, ale nie mam ochoty na słodkości. - Luke sięgnął po kaf i upił łyk.

- Nie szkodzi, one są dla mnie - stwierdził beztrąsko Ben i zaczął kroić swój stek, nie spuszczać wzroku z hologramu Aing-Tii. Luke wiedział, że to żartobliwe marudzenie to tylko pozory; cała sprawa go naprawdę wciągnęła. Jako syn Wielkiego Mistrza Jedi Ben miał okazję uczestniczyć w kilku oficjalnych rautach, na których spotkał mnóstwo zdumiewających istot. Nie był wieśniakiem z zapyziałej planetki, spragnionym wielkiego świata, jak Luke w jego wieku, ale Aing-Tii okazali się tajemniczy i... intrygujący.

- No więc... na czym to ja... Aha - podjął chłopiec - mają dwa metry wzrostu i wszystko wskazuje na to, że podczas walki mogą całkiem skutecznie używać ogonów do obrony. - Wsunął sobie do ust kęs steku i przeżuwał go chwilę z namaszczeniem.

- Skoro mowa o walce, jaką stosują taktykę? - spytał Luke. - Mam wrażenie, że akurat o tym sporo wiemy, z tego, co wyczytałem w podsumowaniu Cilghal.

Ben przestał żuć i zmrużył zielone oczy.

- Dała ci podsumowanie?

Luke parsknął krótkim śmiechem i zajął się swoją potrawką.

- Prawo nauczyciela. Kontynuuj, mój młody padawanie, nieźle ci idzie.

Ben przełknął i łypnął na ojca spode łba, ale zaraz wrócił do tematu:

- Hm, więc jak już mówiłem, mogą tym ogonem nieźle przywalić, a do tego mają te swoje... takie coś, co wygląda jak pałki czy kije, owinięte jakąś instalacją, którymi potrafią skutecznie ogłuszać. - Wsunął do ust następny kęs i Luke nie mógł powstrzymać uśmiechu. Leia znała zwyczajnie niezliczonych ras i robiła co w jej mocy, starając się pomóc Marze wpoić chłopcu dobre maniere. Luke wiedział *zresztą*, że kiedy wymagała tego sytuacja, Ben potrafił zachowywać się nienagannie. Teraz jednak, kiedy jedli obiad i wiedli niezobowiązującą pogawędkę jak dwójka starych kawalerów, maniere wessała próżnia - a ojciec nie miał nic przeciwko temu. Oparł się chęci czulego zmierzwienia rudej czupryny syna.

- Przejdźmy do statków. - Ben przełknął, sięgnął do panelu i wcisnął następny guzik. Hologram Aing-Tii zastąpił statek obcych. - To coś naprawdę megakosmicznego!

Luke wsunął do ust łyżkę potrawki i zmierzył wzrokiem miniaturowy hologram statku, który obracał się powoli w powietrzu nad stołem. Był z grubsza owalny i w pewnym sensie przypominał istoty, które najprawdopodobniej go zbudowały: pokrywały go grube płyty o układzie podobnym do tego, jaki tworzyły osłony na ciałach Aing-Tiich. W pozornie przypadkowym porządku z pancerza sterczały stożkowate wypustki. Cała konstrukcja sprawiła na Luke'u wrażenie poniekąd organiczne i przez chwilę czuł się nieswojo, kiedy wróciły wspomnienia z inwazji Yuuzhan Vongów.

- Jest dość duży - zauważył Ben z ustami pełnymi potrawki, gdy już skończył rozprawiać się ze stekiem. Luke wrócił myślą do czasów, kiedy on też miał podobny apetyt. Przyglądał się z podziwem,

w jakim tempie jego syn pochłania jedzenie, nie przestając opowiadać: - Nazywają je statkami Sanhedrynu. Są mniej więcej wielkości połowy niszczyciela typu Imperial. Wszystko wskazuje na to, że przyswoili jakąś technologię czy może technikę Mocy, dzięki której te ich statki pojawiają się jakby znikąd - dosłownie przeskakują z jednego miejsca w drugie. Stosują wiele różnych stylów ataku, z których najmniej przyjemny to nagłe taranowanie statku przeciwnika dziobem, a najdelikatniejsze jest omiecenie wroga czymś w rodzaju promieni, które podobno zniekształcają mu poczucie czasu. Działa to ponoć tak, że kiedy delikwent odzyskuje zmysły, po najeźdźcach nie ma już śladu.

Luke zmarszczył brwi, na chwilę zapominając o jedzeniu.

- Zakłócanie czasu... - mruknął. - Ciekaw jestem, czy to coś w rodzaju zamroczenia ofiary, czy może naprawdę manipulują czasem? W końcu to oni opracowali technikę wędrówki po nurcie, więc może rzeczywiście coś jest na rzeczy...

- Możliwe - zgodził się z roztargnieniem Ben. - Będziesz to jadł?

Luke pokręcił głową, wciąż wpatrzony w miniaturowy statek Aing-Tiich.

- Nie krępuj się.

- Dzięki. - Ben wyskrobał z miski ojca resztki potrawy do swojego talerza i wrócił do jedzenia.

- Wiadomo na pewno, że są wybitnie wyalienowani i cierpią na ostrą ksenofobię, ale co z ich systemem wierzeń? - Luke znał co prawda odpowiedź na to pytanie, ale chciał sprawdzić, jak daleko Ben zabrnął w swoich studiach. Szczerze powiedziawszy, miał duże pole do popisu, bo materiału było sporo. Prawdą było też, że czasu mieli w bród, a on chciał, żeby Ben wykorzystał go maksymalnie na naukę.

- Trochę dziwnie to brzmi, nie sądzisz? Osobiście nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że określenie „sanhedryn” oznacza coś w rodzaju pielgrzyma... a może mnicha? - zastanawiał się Ben. - W relacjach naocznych świadków często pojawia się sformułowanie „mnisi Aing-Tii”, więc można założyć, że ta garść statków i obcych, których spotkały osoby relacjonujące przypadki kontaktu z tą rasą, to są badacze... albo pielgrzymi czy zwiadowcy wysłani z misją... Wątpię, żeby podróże kosmiczne były dla nich czymś normalnym tak jak dla ludzi, a to z kolei nasuwa pytanie: czego szukają? I dlaczego? - Ben zrobił przerwę na łyżkę potrawy i Luke wykorzystał chwilę milczenia, żeby zadać pytanie:

- Jakieś wnioski?

- A wiesz, że Talon Karrde wpadł kiedyś na jednego z nich? - Ben uśmiechnął się szeroko na widok wysoko uniesionych brwi ojca.

- Nie. Cilghal o tym nie wspomniała.

- Ha! - Ben wycelował zwycięsko łyżkę w ojca.

- Synu, to tylko potwierdza moją teorię, że badania prowadzone samodzielnie są skuteczniejsze, niż kiedy ktoś je robi za ciebie. Kontynuuj, mój młody padawanie.

Ben skrzywił się w udawanej złości.

- W relacji Karrde'a nie ma zbyt wiele informacji, więc może dobrze byłoby się z nim skontaktować osobiście. Bardziej jednak interesuje mnie fakt, że spotkał Aing-Tiich dzięki swojemu poprzedniemu pracodawcy, Jorjowi Car'dasowi, który przez pewien czas mieszkał pośród nich. Z tego, co zrozumiałem, był umierający i Mistrz Yoda wysłał go do nich po pomoc.

A przynajmniej tyle wynikało z notatek Cilghal. Kalamariańska Mistrzyni załączyła także notkę, którą Car'das sporządził ze swojego pobytu u Aing-Tiich i Luke miał szczerzy zamiar przeczytać ją całutką. Osobiście.

- Uzdrowili go, ale w zamian poprosili, żeby stał się kimś w rodzaju ich kronikarza, więc spisał wszystko, czego się o nich dowiedział. Uściślając: dużo tego było.

- Muszę przyznać - stwierdził Luke, sięgając po jedno z ciastek (pomimo wcześniejszej deklaracji, że nie będzie ich jadł) - że to dość dziwne. Z tego, co wiemy o Aing-Tiich, wynika, że bardzo zależy im na zachowaniu prywatności. Atakują, a nawet zabijają, żeby jej bronić, dlaczego więc dopuszczają do siebie nieznanego człowieka, który w dodatku chce, żeby wyświadczyli mu ogromną przysługę, a potem pozwalają mu opisać o jego spostrzeżenia?

- Cóż, gdyby Yoda przysłał ci kogoś i poprosił, żebyś się nim zajął, chyba byś mu nie odmówił? - zauważył Ben.

Luke parsknął śmiechem.

- Spełniłbym jego prośbę bez mrugnięcia okiem - przyznał. - Ale to trochę co innego. Ja jestem Jedi, a Yoda był Mistrzem.

- Nie wiemy, jakie układy mieli z Mistrzem Yodą - zauważył trzeźwo chłopiec. - Może byli w bardzo dobrych stosunkach? W każdym razie nawet jeśli to nie są Jedi - a wszystko na to wskazuje - to korzystają z Mocy, i to na imponującą skalę. Kto wie, co łączyło ich z Yodą?

- Bardzo słuszne spostrzeżenie - pochwalił syna Luke.

- Dzięki. Szkoda, że go nie znałem - westchnął Ben.

- Rzeczywiście, szkoda. Sam żałuję, że nie dane mi było spędzić z nim więcej czasu. Był... - Luke zawiesił głos. Nagłą ciszę przerywał tylko odgłos łyżki Bena, skrobiącej po dnie miski.

Luke nie umiał znaleźć słów, które dobrze by opisały tę zwodniczo drobną, ostrouchą i zielonoskórą istotę; liczba zmarszczek Yody dorównywała ogromowi jego mądrości. Podczas tego krótkiego czasu, jaki przyszło im spędzić razem, stary Mistrz Jedi otworzył Luke'owi oczy na tyle spraw... Skywalker tęsknił za nim, tak samo jak za drugim z nauczycieli i przyjacielem, Obi-Wanem Kenobim, zwanym „Benem”, po którym jego syn odziedziczył imię. Obi-Wan także odszedł od



Luke'a stanowczo za wcześnie. Teraz obaj Mistrzowie byli częścią Mocy... Luke wiedział o tym - ba, zobaczył to na własne oczy. Anakin Skywalker i Mara byli razem z nimi i Luke miał pewność, że pewnego dnia on i Ben także do nich dołączą...

Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie dziś.

- No dobrze, postawmy sprawę tak - podjął. - Każdy, komu Yoda ufał na tyle, żeby wysłać do niego umierającego człowieka z prośbą o pomoc, zasługuje na ciepłe uczucia. Słucham dalej twojej teorii na temat tego, dlaczego ci obcy udają się na te swoje misje... czy też pielgrzymki.

Ben odsunął na bok puste naczynia i sięgnął po ciastko.

- Według Car'dasa Aing-Tii wierzą w jakieś nieuchwytnie, tajemnicze bóstwa, których nazywają „Tymi, Którzy Mieszkają za Zasłoną”. Nie mam większego pojęcia niż ty, kim są ich bóstwa ani czym jest ta cała zasłona.

- Może chodzi o Ryft?

Ben wzruszył ramionami i odgryzł połowę ciastka.

- Możliwe - powiedział z pełnymi ustami. - Ale wiemy o nich na pewno jedną rzecz: że kolekcjonują artefakty.

- Artefakty przeznaczone dla tych bóstw czy artefakty od nich pochodzące?

Ben znów wzruszył ramionami i Luke'a uderzyło nagle, jak szerokie stały się te ramiona w ciągu zaledwie dwóch lat. Och, Maro... pomyślał ze smutkiem. Byłabyś z niego taka dumna! Jest takim wspaniałym młodym człowiekiem! Po jego ustach przemknął cień uśmiechu, kiedy wyobraził sobie, jak Mara przewraca oczami, oglądając tę cikliwą scenę. Tak, jej obecność na statku, który stanowił kiedyś jej własność, była wyczuwalna. Skupił się z powrotem na suto okraszonym okruchami wywodzie syna.

- W jednej z relacji - mówił Ben - jest wzmianka o tym, jak wykorzystali kogoś do dostarczenia im takiego artefaktu, nazywanego Kodeksem. Nikt nie wie, jak skłonili go do współpracy. Istnieje teoria, że zrobili mu pranie mózgu, ale coś schrzanił i facet dostał świra.

- Nawet doświadczonemu Jedi trudno jest dokonać czegoś takiego bez ryzykowania trwałymi uszkodzeniami - zauważył Luke. - Przypuszczam, że próba przeprowadzenia takiej operacji na przedstawicielu rasy, o której wie się mało lub wcale, jest z góry skazana na niepowodzenie.

Ben przestał przeżuwać i zamyślił się nad czymś głęboko, ściągając rude brwi. Po jego twarzy przemknął cień. Nawet bez fali nagłego niepokoju, która wzburzyła toń Mocy, Luke doskonale wiedział, o czym myśli jego syn. Ben przypominał sobie chwilę sprzed trzech lat, kiedy to Jacen lekkomyślnie zabił więzioną przez siebie kobietę, próbując torturami wyciągnąć z niej informacje. Bena co prawda przy tym nie było i nie widział tego na własne oczy, ale czekał na zewnątrz, tuż za drzwiami; słyszał i czuł, co się dzieje, poprzez Moc - i ten incydent na zawsze, nieodwracalnie zmienił jego opinię o starszym kuzynie.

- No cóż, wygląda na to, że jak na początek całkiem nieźle ci poszło - stwierdził beztrząsco Luke, ściskając pokrzepiająco ramię syna. - Kolej na mnie.

Uzupełnił przedstawione przez Bena informacje o konkretne sprawy, na których powinni się skupić.

- Uważam, że mamy też swego rodzaju asa w rękawie, którego moglibyśmy wykorzystać, mianowicie technikę *hassat-dur*, której się nauczyłem - zakończył swój wywód.

Na twarzy Bena pojawił się podręcznikowy wręcz, typowy dla nastolatków wyraz powątpiewania, ale jednocześnie wyglądało na to, że młody Skywalker czeka na jakieś imponujące rewelacje.

- Serio?

- Serio - potwierdził Luke. - Przemyśl to. Określenie „*hassat-durr*” to w ich języku „*piorunochron*”, zgadza się?

- Dokładnie. Tak mówiłeś - potwierdził Ben. - Jeśli nie władasz tą techniką wystarczająco sprawnie i zastosujesz ją niewłaściwie w czasie burzy, dosięgnie cię błyskawica i dasz się zabić.

- A z tego wynika, że jeśli władasz nią wystarczająco biegle, możesz ją wykorzystać, żeby odbijać energię... no, przynajmniej w pewnym stopniu.

- Chyba tak - zgodził się niepewnie Ben.

Luke uśmiechnął się chytrze.

- No cóż, w każdym razie warto spróbować - skwitował. - Mam nadzieję, że nauczyłem się dość, żeby nie być marnym *piorunochronem*.

- Ja też mam taką nadzieję - skonstatował Ben. - Inaczej zginąłbym ze wstydu.

- Od kogo nauczyłeś się takiego sarkazmu? - parsknął Luke.

- Od mamy.

- No, dobra. A co powiesz na pająki?

Zmiana tematu wyraźnie zbiła Bena z tropu.

- Że niby co?

- Pająki - powtórzył cierpliwie Luke. - Wielkie, błyszczące paskudy albo setki małych potworków pełzających po całym statku. - Napawał się konsternacją syna.

Ten wzruszył w końcu ramionami.

- Nie kocham ich zbyt, to jasne, ale i nie przepełniają mnie jakimś specjalnym lękiem. Czy chcesz mi wmówić, że w Ryfcie czają się wielkie, świecące pająki?

- W twoim umyśle - poprawił go Luke. - Ta część przestrzeni kosmicznej jest podobno znana z tego, że wywołuje halucynacje, na które szczególnie narażeni są użytkownicy Mocy. Na przykład pająki - od tych wielkich, błyszczących, o których ci wspomniałem, po całe roje małych robali - to podobno jedne z najczęstszych zwidów. Wiele osób wspomina też o małych, bezwłosych istotach, które mają wielkie oczy, wklęsłe nosy i małe usta. Inne „skutki uboczne” to mdłości i ostre bóle głowy.

- Coraz mniej mi się podobają wykłady w tej objazdowej Akademii Jedi - podsumował kwaśno Ben, wywołując na twarzy Luke’a szeroki uśmiech. Mistrz Jedi wskazał ostatnie ciastko na tacy. - Będziesz to jadł?

- Spóła?

- Dobra.

# ROZDZIAŁ 8

## Świątynia Jedi, Coruscant

Mistrz Kenth Hamner, pełniący obowiązki Wielkiego Mistrza Zakonu Jedi, postanowił być pierwszym, który zjawi się w sali obrad Rady Jedi.

Musiał pomyśleć.

Podszedł do jednego z okien i wyjrzał na zewnątrz. Podczas odbudowy Świątyni zadbane o wzniesienie nowej wieży, z małym odstępstwem względem oryginału: teraz otaczała ją nowoczesna transpastalowa piramida, co sprawiało, że osoby przebywające wewnątrz nie mogły - inaczej niż dotąd - patrzeć prosto w niebo nad Coruscant. Pozostał tylko widok na znacznie mniej malowniczy pejzaż z malowanego durabetonu i transpastali, za którą przemykały co jakiś czas postacie Jedi, spieszących do swoich spraw. Autor pomysłu z pewnością był dumny ze „stylowego” efektu, jaki dzięki temu osiągnięto... Hamner westchnął i pomyślał z żalem, że powinni byli trzymać się tradycji, która tak dobrze sprawdzała się przez tyle lat.

Robił, co w jego mocy, żeby pokierować Zakonem przez jeden z najtrudniejszych - tak przynajmniej to wyglądało - okresów w jego historii. Był dobry w politycznych gierkach; miał do nich wrodzony dryg. Nieźle sobie też radził, jeśli chodzi o kierowanie ludźmi - i Luke Skywalker dobrze o tym wiedział, tak samo zresztą jak o tym, że Hamner cieszył się dużym szacunkiem w wielu kręgach. Miał pewność, że Kenth będzie dobrze pełnił funkcję tymczasowego Mistrza.

A tymczasem wszystko, cokolwiek Hamner robił, każda podejmowana przez niego decyzja i każde wydane polecenie, wydawały się prowadzić zarówno Zakon jako całość, jak i poszczególnych jego członków coraz bliżej krawędzi.

Daala zaś wydawała się szczególnie zadowolona z takiego obrotu spraw i przy każdej okazji starała się pchnąć go jeszcze dalej. Początkowo wydawało mu się, że pani admirał jest świetnym materiałem na przywódczynię Sojuszu. Wszystko wskazywało na to, że imperialne koneksje nie liczą się zanadto po wojnie - na pewno nie w sytuacji, w której przywódcą Szczątków Imperium mianowano Jaggeda Fela, który bezdyskusyjnie był zaangażowany w związek z Rycerzem Jedi, Jainą Solo, córką dwojga sławnych ekswojowników Rebelii. Jeśli chodzi o ścisłość, taka sytuacja sprzyjała złagodzeniu nastrojów - a przynajmniej tak się wydawało. Natasi Daala sprawiała wrażenie osoby trzeźwo myślącej i rozsądnej. Wszystko miało pójść jak z płatka... dopóki Luke Skywalker nie został aresztowany, a Valin Horn uznany za niepoczytalnego (co gorsza, Hamner nie mógł się nie zgodzić z takim werdyktem).

Mistrz Jedi robił, co mógł, żeby współpracować, starając się jednocześnie łagodzić nastroje i przeczekiwać najgorsze. Przystał na żądanie władz GS w sprawie ustanowienia funkcji „obserwatorów”, przynajmniej do czasu interwencji Nawary Vena. Pozwolił służbom bezpieczeństwa GS wkroczyć na teren Świątyni i pojmać Valina wśród tłumu żądnych sensacji

gapiów. Udostępnił teren Świątyni dla wszystkich chętnych - nie wyłączając prasy. A mimo to Daala wciąż uparcie prześladowała Zakon, nie szczędząc mu krytyki i naciskając coraz mocniej - całkiem jak zabójca, który uciska tętnicę szyjną ofiary do chwili, aż ta nie straci przytomności.

Pokręcił smutno głową. Sprawy miały się kiepsko. Sytuacji nie poprawiał fakt, że kiedy poprosił o natychmiastowe spotkanie, został spławiony i kazano mu czekać trzy dni.

Całe trzy dni!

Przeczesał dłonią jasną czuprynę i westchnął, po czym odwrócił się od okna i przeszedł na drugą stronę komnaty po niemal idealnie odtworzonej marmurowej posadzce. Usiadł w rzeźbionym fotelu, próbując się nieco rozluźnić. To prawda, widok się zmienił, ale mury sali wciąż odbijały echem widma przeszłości. Chociaż to nie było to samo pomieszczenie, które na przestrzeni wieków służyło pokoleniom Mistrzów Jedi, jego kopii nie dało się nic zarzucić, a i można w niej wciąż wyczuć ducha przeszłości.

Kenth Hamner uśmiechnął się ponuro pod nosem i zastanowił przelotnie, jak Wielcy Mistrzowie z dawnych czasów poradziłoby sobie z impasem, w jakim właśnie znalazł się Zakon.

W ciągu następnych paru minut sala zaczęła się zapełniać Mistrzami Jedi. Pojawiali się osobno albo małymi grupkami. Mistrz Hamner witał ich w milczeniu skinieniem głowy: Kyle Katarn, Octa Ramis, Saba Sebatyne, Cilghal, Kyp Durrón... Leia Organa Solo i jej córka Jaina weszły do komnaty pogrążone w cichej rozmowie. Żadna z nich nie była co prawda oficjalnie Mistrzem (choć Hamner przypuszczał, że któraś z nich - albo i obydwie - zostaną wyniesione do tej rangi prędzej czy później), jednak nie pierwszy raz zostały zaproszone do udziału w spotkaniu Rady. Cóż, ich pozycja, a także umiejętność wnikliwego osądu, były mile widzianym wkładem w obrady najwyższych władz Zakonu.

Wśród przybyłych brakowało jednak osoby, której obecność byłaby co najmniej pożądana. Nikt nie poinformował go o tym, że nie zjawi się na posiedzeniu - czy to osobiście, czy za pośrednictwem hologramu... Hamner odczekał chwilę, dając zgromadzonym czas na zajęcie miejsc i wymienienie szeptem uwag, po czym dyskretnie uruchomił komunikator.

- Mistrzu Hornie? - rzucił do mikrofonu. - Wszyscy na ciebie czekają. Chciałbym wiedzieć, kiedy możemy się Ciebie...

- Jestem w drodze - przerwał mu obcesowo rozmówca. Cóż, Hamner nie spodziewał się gładkich słówek. Hornowie przeżywali ostatnio trudny okres.

- Dobrze wiedzieć. Mamy poczekać, czy...

- Jak uważacie - nadeszła burkliwa odpowiedź, po której dał się słyszeć charakterystyczny dźwięk wyłączanego komunikatora.

Hamner zamrugał nieprzytomnie, czując na sobie wzrok wszystkich obecnych, po czym z determinacją przesycił swoją aurę w Mocy spokojem.

- Mistrz Horn wkrótce do nas dołączy - oznajmił zgromadzonym. - A skoro główny temat naszego dzisiejszego spotkania dotyczy go bezpośrednio, proponuję omówienie najpierw innych ważkich spraw, jeśli oczywiście ktoś z was chciałby coś przedyskutować... - Rozłożył ramiona, sugerując, że obecni mogą zająć swoje miejsca. Kilko Mistrzów, którzy nie mogli się stawić osobiście, uczestniczyło w spotkaniu za pośrednictwem hologramów. Zapadła niezręczna cisza, którą przerwał Kyp Durron.

- No dobrze - odezwał się - skoro wszyscy udają, że problem nie istnieje, to może ja zacznę. Mistrzu Hamnerze, z całym należnym szacunkiem, ale nie mamy do omówienia nic pilniejszego niż sprawa Hornów, a szczególnie Jyselli. Chodzi o to, co się z nią stało i ile czasu minie, zanim Daala i jej psy ze służb GS znajdą sposób, żeby dobrać się nam do tyłków.

Kątem oka Hamner zauważył, że Jaina wyraźnie się rozluźniła. Gdyby Durron nie podniósł tematu, na pewno to ona zabrałaby głos...

- Chyba nie powinniśmy rozpoczynać dyskusji, zanim Mistrz Horn nie... - zaczął.

- Jestem - odezwał się od progu Corran Horn. Wyglądał fatalnie. Jego jasne zielone oczy nabiegły krwią, a zmarszczki wokół nich, chociaż u mężczyzny w jego wieku nie były niczym nadzwyczajnym, wydawały się znacznie głębsze, niż by wypadało. Jego twarz pokrywał kilkudniowy zarost, a otaczającą go aurę przepełniał słuszny, choć z trudem tłumiony gniew.

- Mistrzu Hornie, dobrze cię widzieć - powitał go z udawaną pogodą Hamner. - Zapraszamy.

Corran podszedł do wolnego krzesła, opadł na nie ciężko i potarł ze znużeniem oczy. Jaina i Leia, które - ponieważ nie miały rang Mistrzów - uparły się, że postoją, podeszły do Horna i stanęły za jego krzesłem. Leia położyła mu dłoń na ramieniu i uściśnięła, starając się dodać mu otuchy.

Hamner nawiązał kontakt wzrokowy z Cilghal.

- Mistrzynie Cilghal, wiem, że byłaś obecna podczas... incydentu i rozmawiałaś z dwójką Rycerzy Jedi, którzy walczyli z Jysellą... - Hamner dostrzegł, że Corran lekko się wzdrygnął na dźwięk jego słów - ...byłbym więc wdzięczny, gdybyś opowiedziała nam, co do tej pory ustalono.

Cilghal spojrzała ze współczuciem na Corrana, a potem skręciła ciało w kalamariańskim odpowiedniku skinięcia głową. Hamner słyszał już oczywiście jej relację, ale większość Mistrzów, chociaż wiedziała o wypadku, nie znała szczegółów. Zastanawiał się, ile z tego dotarło do uszu Horna. Podczas gdy Cilghal mówiła, nie spuszczał z niego oczu.

Kiedy kalamariańska Mistrzynie opowiadała o bolesnych wydarzeniach, w jej skrzekliwym głosie słyhać było wyraźny smutek. Wspomniała o irracjonalnym strachu Jyselli i jej przeświadczeniu, że wszyscy wokół niej zostali zastąpieni sobowtórami; o tym, jak dziewczyna zatrzymała się pod zamkniętymi drzwiami i zdołała uciec, wykorzystując informacje, których posiadać nie powinna; o jej walce z przyjaciółmi pod Świątynią i o niesprzyjających okolicznościach, wskutek których nagranie tragicznych wypadków trafiło do wszystkich mediów, które pastwiły się nad nim z lubością.

- Ogólnie rzecz biorąc - Kalamarianka zabrała się do podsumowania faktów - wszystko wskazuje na to, że Jedi Jysellę Horn dotknęła ta sama choroba o podłożu psychicznym, co jej brata. Jej reakcja na otoczenie była dokładnie taka sama i jestem pewna, że gdybym miała okazję ją zbadać, potwierdziłabym tę diagnozę.

- Niestety, nie miałaś takiej okazji - odezwał się zwodniczo spokojnie Horn. Hamner czuł, że Corran w środku aż się gotuje. - Została schwytana i potraktowana jak zwykły bandzior, i to tuż przed obiektywem holokamery. Orzeczenie o winie i wyrok zostały wydane, zanim jeszcze ktokolwiek zdołał z nią porozmawiać...

- A jednak - podjęła Cilghal, korzystając z tego, że Corran urwał, żeby zaczerpnąć tchu - przypadek Jyselli różni się od sprawy Valina o tyle, że na szczęście byłam przy niej i czułam ją poprzez Moc. A to już coś. Jak już wspomniałam, naprawdę żałuję, że nie miałam okazji sprawdzić, czy układ fal mózgowych Jyselli jest podobny do wyniku badań przeprowadzonych u jej brata.

- Masz na myśli zdolność do fałszowania odczytów? - spytał Kyle Katarn.

- Dokładnie. Bo jeśli moja teoria jest słuszna, Jysella nie powinna była wykazywać tej umiejętności. Moim zdaniem wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z zupełnie innym aspektem wykorzystania Mocy. - Cilghal odwróciła się do Leii i Jainy i spojrzała na nie znacząco. - Sądzę, że Jysella Horn wróciła nurtem do przeszłości.

Leia i jej córka wymieniły zaskoczone spojrzenia. Młodsza Jedi zmarszczyła czoło i spuściła wzrok, a jej matka westchnęła. Hamner czekał, aż któraś z nich zabierze głos.

- To... następna umiejętność, którą posiadli tylko nieliczni, w tym Jacen - odezwała się wreszcie Leia. - Jesteś pewna, że wędrowała po nurcie?

- Tak - potwierdziła cicho Cilghal. - Potwierdzają to zarówno dowody, jak i to, co czułam poprzez Moc.

Hamner przeniósł wzrok na Corrana.

- Mistrzu Hornie, nie chciałbym zostać posądzony o pomówienie, ale w świetle dowodów...

Corran, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań z rosnącym wzburzeniem, przerwał mu:

- Nie musisz tego mówić. Oczywiście, że razem z Mirax poddamy się badaniom. Jak sądzisz, jaka była pierwsza myśl, która przyszła nam do głowy, gdy tylko dowiedzieliśmy się o Jyselli? Jasne, że się przeraziliśmy, bo przecież nasze dzieci mogły odziedziczyć to... tę... chorobę po którymś z nas.

- Dziękuję, Mistrzu Hornie. - W głosie Cilghal słychać było ulgę. - Im więcej będziemy wiedzieli, tym lepiej. Szczerze powiedziawszy, na razie nikt nie ma pomysłu, co mogło stać się przyczyną tej tragedii. Musimy wykluczyć możliwie jak najwięcej opcji. - Odwróciła się w stronę Hamnera. - Mistrzu Hamnerze, ja i mój zespół musimy dostać pozwolenie na zbadanie Jyselli. Ma to kluczowe znaczenie dla próby ustalenia, co jest powodem tajemniczej choroby.

Corran parsknął krótkim śmiechem.

- Powodzenia - rzucił gorzko. - Mirax i mnie nie pozwolili nawet jej zobaczyć.

- Co takiego? - wyrwało się kilkorgu z obecnych. Niektórzy aż wstali, a Saba Sebatyne wydała z siebie przeciągły syk.

Hamner podniósł dłoń uspokajającym gestem.

- To karygodne, Corranie - zawyrokował. - Wystosuję do władz GS oficjalną prośbę, żeby pozwolono wam zobaczyć się z twoją córką, zanim zostanie zamrożona w karbonicie. Za trzy dni jestem umówiony na spotkanie z Daalą i...

- Trzy dni?!

- Starałem się przekonać ją, że to sprawa niecierpiąca zwłoki... - próbował wyjaśnić Hamner.

- Nie powinna ci kazać czekać nawet trzech godzin! - wybuchnął Kyp.

- Mistrzu Hamnerze - przez chór oburzonych protestów przebił się kobiecy głos, spokojny i rzeczowy. Nagle gwar skończył się jak nożem uciął. Leia Organa Solo wciąż umiała skutecznie zwrócić na siebie uwagę, nawet w sali pełnej wzburzonych istot. - Jeśli wolno mi coś zasugerować... razem z mężem już nieraz występowaliśmy w charakterze pośredników. Za twoją zgodą mogłabym skontaktować się z przywódczynią Daalą i porozmawiać z nią na ten temat. W końcu sama jest babcią i nie może być tak niewrażliwa, jak wskazują okoliczności.

Hamner zamyślił się na dłuższą chwilę. Podejrzewał, że mieszanie do tej sprawy rodziny Solo nie przyniesie nic dobrego.

- Oczywiście, byłbym wdzięczny za twoją pomoc - stwierdził ostrożnie - ale sądzę, że Zakon powinien przemawiać jednym głosem i...

- Nie zrozumieliśmy się - weszła mu w słowo Leia. - Nie mam zamiaru wypowiadać się w imieniu Zakonu, tylko w moim własnym. Nie chcę przejmować inicjatywy i spotkać się z nią zamiast ciebie, tylko oprócz ciebie.

Hamner znów na chwilę zamilkł. Lubił i szanował Leię, i dobrze wiedział, że już nieraz pomagała Zakonowi. Głupotą, ba!, arogancją byłoby odrzucać teraz wyciągniętą dłoń.

- W takim razie twoja pomoc będzie mile widziana. Dziękuję. Cóż, zatem - podjął, wracając do tematu - postaram się przyspieszyć moje spotkanie z przywódczynią Daalą, podczas którego poproszę, aby Cilghal i jej zespołowi przyznano dostęp do Jyselli Horn, zanim zostanie uwięziona w karbonicie. Poproszę też, żeby jej rodzice mogli się z nią zobaczyć. Wszelkie informacje, w których posiadanie weszły służby GS podczas wstępnej oceny stanu więźnia, zostały już przekazane Zakonowi, więc oczywiście my także prześlemy im nasze spostrzeżenia. Mistrz Horn i jego żona Mirax niezwłocznie po naszym spotkaniu zgłoszą się do centrum medycznego, aby poddać się badaniom zaleconym przez Cilghal. Przypuszczam, że Booster Terrik, jako dziadek ze strony matki,



także powi...

- Nic z tego.

Powiedziano to z taką mocą, że Mistrz Hamner aż zamrugał raz i drugi.

- Przepraszam, Mistrzu Hornie? - spytał.

- Nic z tego - powtórzył Corran. - Mirax i ja wcale nie zamierzamy stawić się niezwłocznie po spotkaniu w centrum medycznym, a wszelkie żądania wystosowane w tym tonie pod adresem Boostera Terrika to daremny trud. Na razie mam zamiar znaleźć moją żonę, pocałować ją i poszukać sposobu na zobaczenie się z moim dzieckiem, zanim zostanie zamrożone w karbonicie jak jakiś zwykły przestępca.

Corran Horn zawsze był szczery aż do bólu, więc nikt się po nim nie spodziewał gładkich słówek czy dyplomatycznego języka, jednak dawniej zazwyczaj był rzeczowy i skupiał się na istotnych sprawach. Ten nagły zwrot w jego nastawieniu i rozpaczliwe pragnienie pomocy własnemu dziecku za wszelką cenę były oczywiście zrozumiałe i budziły współczucie, jednak w tej sytuacji wydawało się to niepokojące i - być może - niebezpieczne.

Zanim jednak Hamner zdążył coś odpowiedzieć, przemówiła Cilghal:

- Mamy mnóstwo danych, które należy przeanalizować, zanim będziemy mogli zająć się tobą i Mirax - oświadczyła ugodowo. - Zajmie nam to ładnych parę godzin. A gdybyś porozmawiał ze swoim teściem... jestem pewna, że zgodzi się nam pomóc, dla dobra wnuków.

Corran wciąż był nastroszony, ale wcześniejszy gniew chyba stopniowo go opuszczał. Skinął z szacunkiem głową.

- Dobrze, stawimy się na badania za kilka godzin - zgodził się. - Zresztą Mirax rozmawia już z Boosterem.

Napięcie w sali wyraźnie zelżało, ale Hamner westchnął w duchu. Uważał, że sytuacja została opanowana - ale tylko na chwilę.

# ROZDZIAŁ 9

## Świątynia Jedi, Coruscant

Stojąc w powodzi łagodnego, błękitnego światła Leia pomyślała, że to miejsce wcale nie jest nieprzyjemne, w przeciwieństwie do większości aresztów. Bywała w gorszych - i to więcej niż raz.

Wraz z Hanem i Jainą pojawiła się w odizolowanej części bloku więziennego, mieszczącego się głęboko w Świątyni Jedi, aby zobaczyć się z przetrzymywanym tutaj więźniem. Warunki były tu znakomite, a blok psychiatryczny, dwupiętrowy oddział otoczony polem ochronnym, na pierwszy rzut oka można było wziąć za komfortowe apartamenty. Wnętrza wyposażono w dopasowujące się do ciała kanapy, stoły i krzesła, a także w najnowocześniejsze centrum holograficzne, na widok którego uwielbiający wszelkie technologiczne nowości bratanek Leii, Ben, zachłysnąłby się z zachwytu. Z głównego pomieszczenia prowadziły drzwi do sypialni i odświeżacza.

Zwykły, przytulny apartament - tyle że ściany pokoi w apartamentach wykonano z transpastali, meble przytwierdzono do podłogi, a całość otoczono drzewkami olbio, na których umieszczono sprowadzane ogromnym kosztem z rodzinnego Myrkra tłumiące Moc isalamiry. Leia, Han i Jaina stali na balkonie obserwacyjnym, oddzielonym od pomieszczenia silnym polem ochronnym.

- Do kogo mam się zgłosić, żeby zostać więźniem Jedi? - mruknął Han. - To miejsce jest zdecydowanie przyjemniejsze niż moje pierwsze kwatery.

Stojący mniej więcej centymetr od transpastalowej ściany, kędzierzawy Seff Hellin wpatrywał się ze złością w rodzinę Solo, zaciskając silnie zarysowane szczęki. Nic w jego zachowaniu nie wskazywało na to, że ich poznaje. Ramiona założył ostentacyjnie na piersi, a jego oczy były zimne jak okruchy lodu.

Jaina, Jag, Tahiri Veila, Winter Celchu i Mirax Horn pojмали go zaledwie parę dni temu, kiedy to został wykryty w przebraniu robotnika pod zakładem karnym im. Armanda Isarda, gdzie przetrzymywano Valina Horna. Mieli prawdziwe szczęście w nieszczęściu, że udało im się go schwytać żywego i bez wiedzy służb Galaktycznego Sojuszu, chociaż więzienie znacznie ucierpiało w wyniku tego incydentu. Wszystko trafiło oczywiście do mediów, ale na szczęście jak dotąd nikt z grupy Ciemnospójnia, jak Jaina ochrzciła ich zespół, nie został zidentyfikowany.

Leia odezwała się do córki, nie spuszczać wzroku z Hellina:

- Cieszę się, że zabraliście go z centrum medycznego. Tu ma znacznie lepiej.

Jaina i Leia skontaktowały się z Hanem natychmiast po wyjątkowo trudnym spotkaniu Mistrzów i poprosiły go, żeby się z nimi spotkał. Jaina, drobna i ciemnowłosa jak jej matka, ale porywcza jak jej ojciec, stała teraz między rodzicami i zamiast więźniowi, w którego schwyтaniu niedawno pomogła, przyglądała się reakcjom rodziców.

- Jest pacjentem, nie więźniem, ale oczywiście musi być pilnie strzeżony. Incydent z Valinem boleśnie to potwierdził.

Han zmarszczył czoło.

- Muszę jednak przyznać, że to niebieskie światło zaczyna mi działać na nerwy. Hej, czy to nie wyświetlacz holograficzny PV-jeden-osiem-siedem?

- Tato... - westchnęła Jaina. Chwilę później odwróciła się w stronę matki i podjęła przerwana myśl: - Sypialnia i odświeżacz nie są monitorowane, żeby zapewnić mu nieco prywatności, chociaż w razie potrzeby można je zawsze skontrolować. Chcemy sprawić, żeby czuł się możliwie najbardziej komfortowo, przy jednoczesnej gwarancji, że jest tu bezpiecznie odizolowany. Mamy też nadzieję, że zmiana otoczenia nieco go uspokoi.

- No tak, jasne, wygląda nad wyraz spokojnie - stwierdził z przekąsem Han. - Spokojnie kombinuje, jakby tu nas poćwiartować.

- Tato... - jęknęła znów Jaina.

- Swoją drogą nie sądziłem, że jeszcze tego typu kiedyś zobaczymy - ciągnął Han, bez trudu zmieniając nastrój wypowiedzi ze zgryźliwego humoru na śmiertelną powagę. - I szczerze powiedziawszy, nie jestem z tego powodu zbyt szczęśliwy.

- Jesteście pewni, że to ta sama osoba, którą widzieliście? - upewniła się jego córka.

- Tak - potwierdził. - Poznaję go.

Seff ani drgnął.

- Ja też go poznaję. W Mocy - dodała cicho Leia.

- Czy w jakiś sposób się zmienił? - drażyła Jaina.

Leia westchnęła i przyjrzała się jeszcze raz młodemu, przystojnemu mężczyźnie, którego знаła, odkąd skończył czternaście lat. Ona i Han spotkali Seffa Hellina ledwie parę miesięcy temu. Ich wnuczkę, Allanę, przeraziła wtedy jego aura w Mocy. Mała przybiegła z krzykiem do Leii, z imieniem Jacena na wykrzywionych grymasem strachu ustach. Była bardzo spostrzegawcza: Seff Hellin rzeczywiście emanował ciemną, niebezpieczną energią, a niecałe dziesięć minut po spotkaniu przeraził wszystkich, wyrывая z rąk służb Wywiadu GS kilkanaście blasterów, ciskając je na ścianę, a potem paraliżując przeciwników: sprawił, że dosłownie zamarli w pół ruchu. Sprytna sztuczka, której nie powinien był znać, a którą w swoim arsenale trików miał Jacen Solo...

- Jego aura jest... intensywniejsza - stwierdziła po chwili namysłu Leia, żałując, że nie może przedstawić pomyślniejszych wieści. - Silniejsza. Ciemniejsza.

- Brzmi zupełnie jak reklama kafu - mruknął Han i potarł dłonią zarośnięty podbródek. - Zresztą mała filiżanka dobrze by mi teraz zrobiła.

Opuścili Kessel, jak tylko dotarły do nich ponure wieści o zatrzymaniu Seffa. Od tamtej pory tak przyziemne sprawy, jak jedzenie, picie i sen, zesłyły na dalszy plan. Leia nie zdołała jednak powstrzymać uśmiechu, słysząc słowa męża.

- Wiesz co? Mnie też. Chyba nic tu więcej nie wskóramy. Chodźmy na górę, weźmy sobie kaf i zaszyjmy się gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Już mieli ruszyć w stronę kładki, otaczającej blok więzienny i prowadzącej na główny poziom, kiedy usłyszeli głos Seffa.

- Właśnie - warknął z nienawiścią. - Udawajcie, że jesteście tacy jak my. Pijcie swój kaf, jedzcie swoje steki z nerfa, machajcie swoimi mieczykami jak prawdziwi Jedi. Ale my was powstrzymamy! Zatrzymamy was i uwolnimy tych, których ukradliście!

Leia przyjrzała mu się współczująco, ale Seff wytrzymał jej spojrzenie. Oboje Solo odwrócili się bez słowa i wyszli.

- Han, powinniśmy się chyba spotkać z Hornami - zaproponowała po chwili milczenia Leia. - W chwili takiej jak ta na pewno bardzo potrzebują wsparcia.

- Po kafe - mruknął Han, wyraźnie zatroskany. - Nie wyobrażam sobie, jak Corran i Mirax muszą się teraz czuć...

Solo sami przeżyli dramat utraty dwojga z trójki dzieci - Anakina i Jacena. Jedynym ich żyjącym dzieckiem była Jaina. W tej chwili dziewczyna szła obok matki, próbując dotrzymać tempa długim krokom ojca.

- To musi być dla nich koszmar - stwierdziła, marszcząc czoło. - Najpierw Valin, teraz Jysella... A jakby tego było mało, Daala rzuca im jeszcze kłody pod nogi. - Zaciskając usta, wpisała w panel kod dostępu, zbliżyła twarz do skanera siatkówki i ustąpiła miejsca rodzicom.

- Co racja, to racja - westchnęła ciężko Leia. - Widzieliśmy holowiadomości.

- To obrzydliwe - stwierdziła Jaina, kiedy drzwi się otworzyły i ruszyli w stronę turbowindy. - Sugerowała, że choroba Valina i Jyselli jest uwarunkowana genetycznie! Że to wszystko wina Mirax i Corrana!

- No cóż, moja droga, nie każdy może być Solo - zażartował Han. Uścisnął szczupłe ramię córki i wszedł do turbowindy.

To prawda; chociaż bycie członkiem rodziny Solo nie było łatwe, miało też swoje plusy, Jaina nie mogła temu zaprzeczyć. Uśmiechnęła się blado do ojca, ale brwi wciąż miała ściągnięte.

- Tato, mówię poważnie. A jeśli widziałeś to nagranie, na pewno rozumiesz, co mam na myśli. Wiesz przecież, jacy spokojni są Jysella i Valin. To znaczy byli - poprawiła się szybko. - Nie wiem, co prawda, jak Hellin...

- Muszę powiedzieć, że zachowanie Corrana na spotkaniu bardzo mnie zdziwiło - zmieniła temat Leia. - Han, pamiętasz, jak lecieliśmy na pokładzie „Błędnego Rycerza” kilka lat temu? Jak Wedge oburzał się, że jego córka „spotyka się z chłopcem”, i jak rzeczowo Corran sprowadził wtedy dyskusję na właściwy tor?

- Tak. Bardzo się zmienił, co?

Leia pokręciła głową. Chociaż miała już swoje lata, jej włosy przetykało tylko kilka pasemek siwizny.

- Nie. W każdym razie jeszcze nie tak bardzo - uściśliła. - Ale znosi to wszystko ciężiej, niż się spodziewałam.

- Sam Valin był już wystarczającym zmartwieniem, ale kiedy Jysellę spotkało to samo, w dodatku w obecności Cilghal i dwójki jej najlepszych przyjaciół... a potem złapano ją i skazano na zamrożenie w karbonicie, zanim Corran w ogóle zdołał się z nią zobaczyć... - Jaina zmarszczyła czoło. - Chyba coś w nim pękło.

Han nie skomentował, ale także wyglądał na zafrasowanego, więc Leia ścisnęła go pocieszająco jego dłoń. Rozumiała tę szczególną więź, łączącą ojców i córki. Nie miało znaczenia, czy jego latorośl potrzebuje bezpieczeństwa i ochrony, tak jak Allana, czy też w razie potrzeby bez trudu może skopać własnemu ojcu tyłek - do czego Jaina była zdolna, bez dwóch zdań.

Jysella Horn była pełnoprawnym Rycerzem Jedi, któremu powierzano niebezpieczne misje w różnych zakątkach galaktyki, ale wciąż była córeczką swojego tatusia - nieważne, co się działo.

- Wszystkim zależy na dobru Valina i Jyselli - stwierdziła cicho Leia. - A Corran nie powinien tracić nadziei, tak samo jak my - dodała, przenosząc wzrok z męża na córkę. - Jestem pewna, że sobie z tym poradzimy.

- Oby Daala zgodziła się z wami spotkać - westchnęła Jaina. - Podczas negocjacji w sprawie Valina całkiem nieźle wam poszło.

- Co nie powstrzymało służb GS przed wpakowaniem go w karbonit - zauważył kwaśno Han.

- Zrobiliśmy, co w naszej mocy, dla Valina i to samo zrobimy dla Jyselli - zapowiedziała twardo Leia. - I zobaczymy, jak będzie tym razem z karbonitem. Z jakichś sobie tylko znanych powodów Daala zamierza z nami rozmawiać. Może dlatego, że chociaż wiele lat temu staliśmy po różnych stronach barykady, szanuje mnie jako byłą senator? - zastanawiała się Leia.

- Senator? Akurat! Z pewnością zgodziła się z nami spotkać ze względu na mój szelmowski urok - stwierdził Han.

- Wybacz, ale w twoim życiu jest miejsce tylko dla jednej silnej kobiety, pilociku - odparowała Leia.

- Dwóch - poprawiła ją Jaina, otaczając ojca w pasie ramieniem i przytulając się do niego czule.

Han aż pokraśniał z radości.

- Martwię się sprawą Seffa - wróciła Leia do ponurego tematu.

- Cóż, ja też - przyznał Han. - Wiem, że Mistrzowie powinni o wszystkim wiedzieć, ale jego sprawa nie może wyjść poza mury Świątyni. Ten chłopak musi być pod stałym nadzorem. To do nas należy obowiązek zbadania go i dowiedzenia się, co się z nim stało, tak samo jak prawdopodobnie z Jysellą i Valinem. Jest więcej niż pewne, że służby GS natychmiast wpakowałyby go w karbonit, a to nie jest rozwiązanie.

Jaina skrzywiła się z niechęcią.

- Co prawda nie posiadani się z radości, że żaden oficjalny „obserwator” nie depcze mi już po piętach w drodze do odświeżacza... zwłaszcza taki, który wygląda jak mój świętej pamięci młodszy brat... to wcale nie znaczy, że nie jesteśmy pod lupą. Pewnemu dziennikarzowi szczególnie zależy na rozmowie ze mną i z Jagiem. Próbuje się go pozbyć, ale równie dobrze moglibyśmy usiłować strząsnąć z kadłuba mynocka.

- Czy ja go znam? Wiesz, jak uwielbiam te nasze medialne hieny - powiedziała Leia oschle.

- Całkiem możliwe - przyznała Jaina. - Facet nazywa się Javis Tyrr. Ostatnio wszędzie go pełno, a Jag i ja mamy go szczególnie po dziurki w nosie.

- Javis Tyrr? - powtórzył Han z namysłem. - Średniego wzrostu, fryzura jak z katalogu i paskudny uśmiezek, który aż się prosi o starcie z gęby detonatorem?

- Wygląda na to, że mówimy o tej samej osobie - przytaknęła Jaina. - Był tuż obok Świątyni, kiedy Jysella uciekła, a potem wdała się w bójkę z Bazelem Warvem i Yaqeel Saav’etu. Zdołał nagrać kawałek tego zajścia, ale Yaqeel udało się zniszczyć jego kamerę. - W głosie Jainya pobrzmiwała satysfakcja.

- Serio? - zdziwił Han. Był pod wrażeniem. - Dobra robota.

- Cała ta sytuacja jest Daali bardzo na rękę, nie mówiąc już o tym, że na miejscu natychmiast znalazła się prasa... Wygląda prawie tak, jakby ktoś to wszystko zaaranżował, ale nie chce mi się wierzyć, że takie rzeczy można ukartować... - westchnęła Leia.

- To raczej po prostu pechowy zbieg okoliczności. - Jaina pokręciła smutno głową. - Jak już mówiłam, Tyrr cały czas się kręci koło mnie i Jaga. Zawsze jest blisko Świątyni albo Senatu...

- O, właśnie, Jagged Fel - wtrącił Han. - Jak się miewa nasz Kręgosłup z Durastali?

- Ma mnóstwo roboty z moffami - westchnęła z żalem Jaina.

- Hm, w takim razie żałuję, że nie zredukowałem ich liczby, kiedy miałem ku temu okazję. Miałby wtedy nieco łatwiej - bąknął Han.

Tuż po śmierci Jacena, Han, Luke i kilku Mistrzów Jedi oficjalnie oskarżyło moffów o udział w domniemanym zabójstwie Allany. Han Solo, pałający słusznym gniewem i rozżalony z powodu utraty syna - chociaż wiedział, że było to nieuchronne - przystawił blaster do skroni moffowi, który został wskazany jako sprężyna całej intrygi. O dziwo, Jedi nie powstrzymywali go przed naciśnięciem spustu - on sam zrezygnował z zastrzelenia mężczyzny, zresztą Mistrzowie doskonale wiedzieli, że tak właśnie postąpi.

Jego żona i córka wiedziały, że teraz Han nie mówi poważnie. Leia podejrzewała w głębi duszy, że bardzo chciał brzmieć przekonująco, ale to już była zupełnie inna bajka.

- Twierdzi, że to całkiem tak, jakby kazano mu opiekować się bandą złośliwych, wrednych bachorów, które rozrabiają pod nieobecność rodziców - poskarżyła się Jaina i Leia mimowolnie parsknęła z rozbawieniem.

- Bardzo trafne porównanie - oceniła.

- Na szczęście - podjęła jej córka - przynajmniej w tej chwili też zachowują się jak dzieci. Kłócą się i przepychają między sobą, a włączenie do ich grona kobiet jeszcze wszystko pogorszyło, ale na razie Jag nie miał z nimi innych problemów poza tymi niegroźnymi przepychankami. Mimo to nieźle dają mu w kość. - Pokręciła z żalem głową. - A cały ten konflikt między GS a Jedi...

Turbowinda zatrzymała się na poziomie mieszczącym jedną z niewielkich kafejek, ale zanim drzwi się otworzyły, Jaina wcisnęła guzik i zablokowała je, żeby mogli w spokoju dokończyć rozmowę. Spojrzała na rodziców z troską.

- Mamo, tato... to w niczym nikomu nie pomaga. Ani Jedi, mającym teraz te... problemy, ani Szczałkom Imperium, ani GS, ani społeczeństwu...

- I na pewno nie młodym kochankom - stwierdziła Leia z przekąsem, a na policzki Jainya wystąpił lekki rumieniec.

- Ja... no dobrze - bąknęła Jaina - przyznaję, że romansowanie w takich okolicznościach powinno zejść na dalszy plan, ale... Oboje z Jagiem jesteśmy dorośli i znamy swoje obowiązki. Żadnemu z nas nie przysłoby do głowy zaniedbywać je kosztem poświęcania czasu drugiemu. Ale konieczność unikania najpierw obserwatorów, potem reporterów, a potem jeszcze wytykanie przez ludzi palcami... na pewno w niczym nam nie pomaga.

Han objął żonę w talii.

- Nie wiem, o co ci chodzi - stwierdził beztrąsko. - Jeśli pytasz mnie o zdanie, to tęsknię za czasami, kiedy ja i twoja matka musieliśmy się wykradać, żeby pobyć trochę sam na sam. - Mrugnął do Leii łobuzersko.

Jaina przewróciła oczami i zwolniła przycisk. Drzwi otworzyły się dokładnie w tej samej chwili, kiedy jej rodzice wymieniali pocałunek. Na widok tej sceny stojący na zewnątrz uczeń, chłopiec - na oko pięcioletni, trzymający tacę wyładowaną po brzegi słodyczami, zagapił się na nich z otwartą

buzią. Choć Jainie nie chciało, aby jej związek znalazł się na ustach wszystkich wokół, wyglądało na to, że jej rodzice nie mają takich problemów.

Leia wcale nie przejęła się niespodziewanym świadkiem wymiany czułości. Wychodząc z windy, zwichrzyła jasną czuprynę chłopca.

- Gdzie automat do kawy? - odezwał się Han. - *Stang*, zjadłbym nerfa z kopytami!

- Ech, faceci! - prychnęła lekceważąco Leia.



# ROZDZIAŁ 10

## Kesh, dwa lata temu

Otwarte okna wpuszczały do komnaty Vestary powiew chłodnej bryzy, chwilami niosącej ze sobą oszałamiający aromat kwiecica dalsa. W całym pokoju porozstawiano wazy pełne ciętych kwiatów, a ściany zdobiły dzieła najznamienitszych artystów planety - zarówno ludzi, jak i Keshirich. Otoczenie tchnęło pięknem, spokojem i błogością - z wyjątkiem samej Vestary, która wierciła się niespokojnie na krześle, strofowana łagodnie przez towarzyszącą jej Muurę.

- Jeśli moja pani chce wyglądać pięknie, musi być cierpliwa - tłumaczyła dziewczyna z miękkim, śpiewnym akcentem jej ludu. Chociaż Plemię Sithów podporządkowało ich sobie całe tysiąclecia temu, Keshiri nie zapomnieli jeszcze do końca własnego języka. Vestara lubiła słuchać melodii ich mowy, chociaż większość ludzi, a i sami Keshiri, traktowali to jako wadę. Ona jednak była innego zdania: w jej uszach ten miękki zaśpiew brzmiał pięknie. Jak większość wyróżniających ich cech, był doskonały.

Podniosła wzrok na swoje odbicie w lustrze. Zwinne palce Muury zaplatały i kunsztownie upinały pasma jej długich jasnobrązowych włosów. Jej skórę zdobiły już skomplikowane symbole *vor'shandi*, których geneza sięgała zamierzchłych czasów, poprzedzających osiedlenie się Sithów na Kesh. Każdy ślad pędzelka umoczonego w brunatnym nektarze rośliny *s'rai* miał głębokie znaczenie i został naniesiony zgodnie z wszelkimi zasadami skomplikowanego rytuału. Vestara podziwiała delikatne ornamenty złożone z kwiatów dalsa i ich charakterystycznych cierni, okalające jej szyję i policzek. Zmarszczyła lekko brwi na widok drobnej niedoskonałości malunku w miejscu, w którym listki zachodziły na bliznę. Zawsze prosiła osobę wykonującą rysunek o maskowanie brzydkiej szramy; dzięki temu mogła o niej zapomnieć - chociaż na chwilę.

Zaraz jednak oderwała myśli od szpecącego ją piętna i po raz nie wiadomo który zaczęła się zastanawiać, dlaczego została wezwana przed Krąg Lordów. Wczoraj, kiedy w jej domu zjawił się z wezwaniem sam Mistrz Sithów w oficjalnych szatach, myślała, że ma to coś wspólnego z wyniesieniem jej do rangi ucznia, jednak według polecenia miała się zjawić sama w Siedzibie Najwyższej Rady w Tahv. Gdyby jej wizyta miała oznaczać przyjęcie do grona uczniów, zostałyby wezwana do Świątyni Sithów.

Jej ojciec, Gavar Khai, Miecz Sithów, emanował poprzez Moc zakłopotaniem i zaskoczeniem, a chociaż Lahka, jej matka, nie była wrażliwa na Moc, jej uwagi także nie umknęło napięcie i tajemnica spowijająca całą sprawę. Przenosiła nerwowo wzrok z męża na córkę i z powrotem. To były sprawy Sithów, nie mogła więc być w nie wtajemniczona.

Wyraźnie zatroskany ojciec Vestary przepytывał córkę do późnych godzin nocnych. Czy nie powiedziała nic, co mogłoby urazić kogoś wysoko postawionego? Czy nie złamała żadnej z zasad, których nowicjusze byli zobowiązani przestrzegać? Może opuściła się w nauce albo zaniedbywała ćwiczenia?

W odpowiedzi na każde z pytań Vestara kręciła głową: nie, nie dopuściła się żadnego uchybienia. Nie wspomniała jednak ojcu o „rozmowie”, jaką odbyła dwa dni temu ze Statkiem.

W istocie o Statku nie mówił nikt. Wkrótce po jego przybyciu do Świątyni w powietrzu zaroilo się od strażników, którzy kazali wszystkim opuścić przestrzeń powietrzną bezpośrednio nad nią. Treningi przełożono, a Świątynię zamknięto do odwołania - dla wszystkich, z wyjątkiem jej mieszkańców. Wszystko wskazywało na to, że Krąg Lordów dyskretnie omawia sprawę pojawienia się dziwnego pojazdu i próbuje ustalić jego znaczenie, ale zwykli Sithowie nie byli dopuszczeni do podobnych sekretów. Wszystko to było równie tajemnicze jak sam Statek.

Vestara zadrżała, chociaż w pokoju nie było chłodno, i wyciągnęła dłoń, do której poszybowwała natychmiast szklanka wody. Upiła łyk chłodnego płynu - przez słomkę, żeby nie zniszczyć delikatnych rysunków *vor'shandi* - i przyglądała się, jak Muura kończy dzieło.

- No, gotowe - odezwała się dziewczyna, napotykając w lustrze wzrok swojej pani. - Wyglądasz cudownie!

Vestara nie odpowiedziała, tylko przyjrzała się krytycznie obydwu profilom w lustrze. Potem wstała i wygładziła powłóczystą, dopasowaną suknię z głębokim rozcięciem, podkreślającym jej długie, szczupłe nogi. Muskularne ramiona Vestary także pokrywały symbole *vor'shandi*, a każdy palec ozdabiał pierścień. Znaki, naniesione na jej skórę przez artystkę, która przez lata pobierała nauki od swoich Mistrzów, tak samo jak Vestara będzie się kiedyś uczyła od niej, zmyją się dziś w kąpieli i nie pozostanie po nich nawet ślad. Jej małżowiny uszne ozdabiały misternie udrapowane ozdoby; jako członek Plemienia Vestara nie miała przekłutych uszu - świadome okaleczenie ciała byłoby niedopuszczalne. Jej dłoń powędrowała znów do blizny przy ustach, ale zaraz zacisnęła ją w pięść i opuściła. Zrobiono już wszystko, żeby szramę usunąć - teraz nie miała wyjścia, jak tylko do niej przywyknąć i przy każdej okazji maskować ją ozdobnymi ornamentami.

Przeniosła wzrok na Muurę, która zerknęła na nią z uwielbieniem i westchnęła. Vestara miała wrażenie, że chociaż nieprzystrojona żadną biżuterią ani makijażem i ubrana w zgrzebny strój, keshirska służka przyćmiewa ją urodą jak słońce blask księżycy. Cóż, musi się z tym pogodzić, podobnie jak z faktem, że nie zdoła się pozbyć szpecącej jej twarz szramy.

Rozejrzała się po pokoju: gdzie się podzie... Ach, jest! Wyciągnęła dłoń i natychmiast wylądował w niej ćwiczebny miecz świetlny. Ledwie skończyła mocować go do ozdobnego pasa, rozległo się pukanie do drzwi. Vestara natychmiast wyczuła, kto stoi na zewnątrz.

- Wejdz, ojcie - zawołała.

Gavar Khai był ubrany w swój codzienny strój - oficjalne szaty Sithów: czerń oblamowaną srebrem, a długie kruczoczarne włosy upiął w węzeł na czubku głowy. Vestara dygnęła i zastygła bez ruchu, czekając na znak rodzica. Ojciec milczał przez chwilę, taksując córkę spojrzeniem zmrużonych oczu, aż wreszcie skinął z aprobatą głową i rozłożył szeroko ramiona.

Podbiegła do niego lekko i pozwoliła, żeby ją nimi otoczył, jak dawniej, kiedy była małą dziewczynką. Próbował ukryć emocje, ale Vestara była silna Mocą, nie mówiąc już o tym, że z ojcem

łączyła ją szczególna więź.

- Co się stało? - Wyśliznęła się z objęć i przyjrzała mu uważnie. Nie musiała zadzierać głowy - była już prawie tak wysoka jak on.

- Nic, co powinno cię martwić - zapewnił ją. Nie umknęło jednak jej uwagi, że nie zaprzeczył. Zmarszczyła brwi, zmieszana. Pośród uczuć przesycających aurę ojca w Mocy był żal, smutek, ale i... duma? Coś się stało. Bez dwóch zdań.

Ale Vestara była Sithem, członkinią Plemienia, i wierzyła, że kiedyś zostanie Mistrzynią, a Mistrzowie Sithów nie rozklejali się, kiedy ich rodziców coś martwiło. Dlatego zamiast drażnić temat, uśmiechnęła się szeroko. Ojciec ujął ją pod podbródek i odwzajemnił uśmiech.

- Tikk czeka - oznajmił. - Poleciałem jednemu ze służących go wykapać. Nie możesz przecież lecieć na ważne spotkanie na zakurzonym, cuchnącym uvaku, prawda?

Vestara roześmiała się perliście i uścisnęła go mocno.

- Prawda.

Gavar odepchnął ją łagodnie.

- W takim razie już cię tu nie ma. Nie chcesz się chyba spóźnić?

- Czy to znaczy, że nie le... - Vestara ugryzła się w język. Sądziła, że jej ojciec uda się na spotkanie razem z nią, ale wszystko wskazywało na to, że się myliła. W przeciwnym razie zamiast codziennego stroju miałby na sobie oficjalne szaty, uświadomiła sobie. Gavar potwierdził jej podejrzenia:

- Zostaję. Muszę porozmawiać z Muurą. - Uśmiechnął się znów i uścisnął krzepiąco jej ramię. - Lepiej się pośpiesz, moje dziecko.

Ale mimo przynaglenia Vestara stała bez ruchu, zmieszana, jeszcze dobrą chwilę po tym, jak za ojcem zamknęły się drzwi. Ostatnią rzeczą, jaka zapadła jej w pamięć, był widok Muury, patrzącej na swojego pana z zakłopotaną miną.

Tajemnicze zachowanie ojca tak bardzo zbiło Vestarę z tropu, że przez pół drogi do miasta nawet na chwilę nie wróciła myślą do kwestii, co też ma jej do powiedzenia Krąg Lordów. Dopiero gdy w dole zamajaczyło Tahv, do głowy błyskawicznie napłynęły jej setki pytań.

Tahv wzniesiono wieki temu, ze względów czysto praktycznych; pięć tysięcy lat wstecz planetę zamieszkiwały niebezpieczne bestie, przed którymi miejscowa ludność musiała się bronić, więc prawie każde większe skupisko Keshirich otaczało swoją osadę grubymi murami. Wraz z przybyciem Sithów, przynoszących ze sobą znajomość nowoczesnych rozwiązań technicznych (choć nie mieli środków, dzięki którym mogliby wcielić w życie większość zaawansowanych technologicznie projektów), Keshirim z pomocą ich nowych sojuszników udało się pozbyć części niebezpiecznych

drapieżników, a inne udomowić. Uvaki zostały oswojone całe wieki wcześniej, ale do niedawna mieli prawo na nich latać wyłącznie przywódcy Keshirich.

Czasy się jednak zmieniły. Ściany nie miały już zastosowania obronnego, tylko dekoracyjne; prawie każdy z wyżej postawionych członków Plemienia miał własnego uvaka (a bywało, że i dwa), Keshiri zaś - niegdyś panowie tego świata - stali się obywatelami drugiej kategorii.

Zmiany nie oszczędziły też otoczonego pierścieniem obronnych murów miasta. Jego funkcja ochronna zeszła na dalszy plan na rzecz kunsztu architektonicznego, odzwierciedlającego upodobania zamieszkującej je społeczności, władającej nadprzyrodzonymi mocami i lubiącej się w sztuce. Sithowie wykorzystali do ukształtowania swoich nowych domów Moc, nadając dzięki niej pożądaną formę drzewom (bardzo popularnym wzorem była podwójna spirala), tworząc lewitujące fontanny czy misterne szklane rzeźby.

Artyści Sithów, którzy potrafili jednocześnie rozgrzewać i nadawać kształt ogromnym masom lawendowego piasku, pokrywającego ciągnącą się między oceanem a miastem plażę, byli bardzo cenieni. Trzy gildie przodujące w tym rzemiośle zaciekle ze sobą rywalizowały - ich współzawodnictwo można by nazwać morderczym i nie byłoby w tym przesady. Artyści często zatrudniali osobistych ochroniarzy; mało kto miał ochotę zakończyć żywot z charakterystycznym sztyletem *shikkar* we wnętrzościach. Tę niezwykłą broń jednorazowego użytku wytwarzano z jednego kawałka szkła. Zadawszy cios, napastnik odłamywał rękojeść i zostawiał ostrze w brzuchu ofiary.

Dzieła mistrzów artystycznego rzemiosła można było spotkać w Tahv na każdym kroku: nad placami górowały godne podziwu posągi, mieszkańcy nosili misterną biżuterię i modne *shikkary*, a budynki zdobiły imponujące kopuły i iglice.

Biedniejsi mieszkańcy, niewrażliwi na Moc - w większości Keshiri - mieszkali w pobliżu murów. Im bliżej zwanego Kręgiem serca miasta, tym bardziej luksusowe i wysmakowane stawało się otoczenie. Mieściła się tu siedziba władz, składających się z Wielkiego Lorda, siedmiu Najwyższych Lordów oraz trzynastu Lordów (z których każdy był oczywiście Sithem).

To właśnie przed nimi Vestara miała się stawić. W dole, na północ od grupy zabudowań otaczających zwieńczony przejrzystą kopułą główny budynek, spostrzegła kilka uvaków i potężnego, łagodnego shumshura. Ledwie posadziła swojego Tikka w pobliżu skrzydlatych gadów, zbliżył się do niej Sith w charakterystycznych, jasnobłękitnych szatach, oznaczających, że jest osobistym sługą Wielkiego Lorda.

- Kim jesteś? - spytał bez ogródek. Miał oczy o barwie lodu, kasztanowe włosy i muskularne, gibkie ciało. Vestara zastanowiła się przelotnie, dlaczego tak silny i atrakcyjny mężczyzna pełni funkcję służącego. Cóż, przyszło jej do głowy, może wielu członków Plemienia uznawało samą możliwość służenia Wielkiemu Lordowi za wystarczającą nobilitację?

- Nowicjuszka Vestara Khai - przedstawiła się. - Zostałam wezwana.

Sługa kiwnął głową; w jego twarzy nie drgnął najmniejszy mięsień.

- Zgadza się - potwierdził. - Nowicjuszka Vestara. Przekazano mi, że przybędziesz. Lepiej nie każ im czekać. Idź prosto do Kapitolu i znajdź Miecze; zaprowadzą cię przed Krąg Lordów.

Vestara postąpiła zgodnie ze wskazówkami i szybko - chociaż nie za szybko, żeby nie sprawiać wrażenia niecierpliwiej - udała się we wskazanym kierunku. We wnętrzu potężnej rotundy panował chłód i półmrok. Gdzieś z daleka dobiegał dźwięk rozpryskujących się kropel. Vestara zatrzymała się w progu, pozwalając, żeby jej oczy przywykły do cienia po ostrym świetle dnia, i nagle dotarło do niej z całą mocą: jest w Kapitolu! Za chwilę stanie przed Kręgiem Lordów!

Niemal w tej samej chwili usłyszała odgłos kroków na kamiennej posadzce. Odwróciła się błyskawicznie i zobaczyła stojącą nieopodal trójkę Mieczy - dwie kobiety i mężczyznę - którzy przyglądali jej się badawczo. Nie miała pojęcia, skąd się wzięli, ale ich widok nie zdziwił jej zbyt. Byli Mieczami Sithów; nic dziwnego, że ich nie wyczuła.

Skłoniła się grzecznie, a oni odwzajemnili powitalny gest.

- Jestem Vestara Khai, nowicjuszka - wyjaśniła. - Zostałam wezwana.

- W rzeczy samej - przyznała wysoka ciemnoskóra kobieta. - Miecz Shura zabierze cię do Sali Kręgu.

- Chodź ze mną - poleciła jej druga kobieta, obracając się bez żadnych wyjaśnień na pięcie, i Vestara posłusznie ruszyła za nią. Dopiero kiedy pokonały kilka kondygnacji krętych schodów, dotarło do niej, że Sala Rady mieści się pod samą szklaną kopułą. Dotąd widywała jej charakterystyczne sklepienie tylko z zewnątrz; teraz miała okazję obejrzeć tę znakomitą komnatę na własne oczy, od środka.

Kiedy wspięły się na najwyższą kondygnację, stanęły przed gładką ścianą. Vestara domyślała się, że to tylko pozory, i wkrótce jej podejrzania się potwierdziły: Miecz Shura wyciągnęła przed siebie obie dłonie i chociaż nie dotknęła powierzchni, nagle ukazał się na niej zarys drzwi, które powoli się rozsunęły, odsłaniając wnętrze skrytej za nimi komnaty.

Jedną z najważniejszych lekcji, jakich nauczył Vestarę ojciec, było kontrolowanie własnych emocji albo maskowanie ich - kiedy nie dało się nad nimi zapanować. Gavar twierdził, że chociaż ta druga sztuka jest trudniejsza, na pewno Vestara z czasem ją posiada.

„Wkrótce - powiedział - jeśli nie zechcesz czuć gniewu, nie poczujesz go. Kiedy nie będziesz miała ochoty się bać, strach odejdzie. Nawet poczucie szczęścia może czasem szkodzić. Wkrótce nauczysz się wykorzystywać własny gniew, strach i nienawiść. Sama będziesz decydować o tym, jakie emocje zechcesz odczuwać i kiedy. Staną się twoją bronią, na kształt miecza świetlnego, a ty będziesz ich jedyną panią - uśmiechnął się lekko do córki. - Do tego czasu musisz się jednak nauczyć ukrywać je tak dobrze, żeby nikt nie wykorzystał ich przeciwko tobie”.

I tak też Vestara czyniła. Nawet teraz, chociaż przepełniał ją lęk i zniecierpliwienie, serce biło jej równym rytmem, a twarz nie zdradzała śladu niepokoju. Pewnym, spokojnym krokiem weszła na kamienne schody. Jej aura w Mocy była zrównoważona, zabarwiona ciekawością, ale i pokorą.

Kiedy dotarła do szczytu schodów, minęła próg przeszklonej komnaty i - zgodnie z etykietą - przyklękła na jedno kolano i schyliła głowę.

- Witaj, Vestaro Khai, nowicjuszko, córko Gavara, syna Thallisa - rozległ się męski głos, lekko drżący z powodu podeszłego wieku właściciela, ale wciąż głęboki i dźwięczny. Sala miała doskonałą akustykę; dźwięk niósł się w niej daleko i brzmiał niezwykle czysto. - Powstań i stań przed nami.

Vestara posłuchała. Jej suknia zaszeleściła cicho, kiedy wyprostowała się, podniosła dumnie głowę osadzoną na długiej, kształtnej szyi i bez zmrużenia oka spojrzała kolejno na czcigodnych Mistrzów, którzy wezwali ją przed swoje oblicza.

Rozpoznała każdego bez trudu. Na bogato zdobionym tronie z metalu i szkła zasiadał Wielki Lord Darish Vol. W dłoni tak powykręcanej wiekiem, że przypominała szponiastą łapę, trzymał berło. Jego szaty mieniły się feerią barw, podkreślaną jeszcze przez światło wpadające do środka przez witrażową kopułę. Haft pokrywający tkaninę musiał powstawać wiele miesięcy. Vol zsunął z głowy obszerny kaptur, ukazując prawie zupełnie pozbawioną włosów czaszkę. Dawniej był chyba przystojny; może nawet dorównywał urodą Keshirim? Teraz także robił wrażenie. Z jego jasnych oczu, osadzonych głęboko w ozdobionej naniesionymi specjalnie z tej okazji znakami *vor'shandi* twarzy, wciąż biła niezmierną mądrość. Jego obecność w Mocy była przejmująca, prawie przytłaczająca. Cóż, na pewno nie piastował tak znamienitego urzędu bez powodu. Na tym świecie nikt nie był silniejszy Mocą od niego.

Po obu jego stronach zasiadali Wysocy Lordowie, a wśród nich dwie kobiety, do których z uwagi na płeć należało się zwracać per „Lady”. Ich szaty przypominały bogaty strój Wielkiego Lorda, były jednak mniej ozdobne. Chociaż w sztuce władania Mocą Wysocy Lordowie nie dorastali Volowi do pięt, nie można było im odmówić biegłości w tym fachu. Vestara rozpoznała natychmiast Lorda Takarisa Yura, który prowadził Świątynię Sithów.

Wśród zgromadzonych na podium nie było przedstawicieli trzeciego szczebla władzy - Lordów, chociaż Vestara zauważyła kilku stojących nieco niżej, z boku.

Dalej zaś stali Mistrzowie. Ich szaty, utrzymane w tradycyjnej czerni, były uszyte z kosztownych materiałów i pięknie skrojone. Twarze skrywały co prawda kaptury, ale Vestara czuła na sobie ich świdrujące spojrzenia; sięgali ku niej poprzez Moc, usiłując ją wy badać, przejrzeć, ocenić. Kiedy zwróciła się w stronę Najwyższych Lordów, napotkała przelotnie spojrzenie Lady Rhei, która przyglądała się jej tak samo przenikliwie zaledwie dwa dni temu, kiedy Statek przybył do Świątyni.

Wielki Lord, Wysocy Lordowie i Mistrzowie Sithów prezentowali się naprawdę imponująco. Vestara wiedziała, dlaczego trzymają ją tak długo w niepewności co do celu jej wizyty: chcieli ją zbić z tropu i skłonić, żeby ujawniła swój słaby punkt albo zdradziła się z czymś niestosownym. Ta świadomość wzbudziła w niej odruch buntu, który szybko zdławiła w zarodku. Nie dowiedzą się od niej niczego poza tym, co sama zechce im ujawnić - i da im to do zrozumienia. Tak jak powiedziała Statkowi, w jej żyłach płynęła krew Sithów, a dziedzictwo Plemienia było nierozzerwalną jej częścią.

Z szeregu wystąpił Sith niewiele starszy od niej, ubrany w czarne szaty podobne do tych, które

zazwyczaj nosiła, z tą jednak różnicą, że przepasano ją jaskrawoczerwonym pasem. To oznaczało, że był uczniem.

- Złóż swoją broń ćwiczebną, nowicjuszko - przemówił. Na dźwięk jego słów cienka warstewka spokoju Vestary zaczęła pękać, jednak dziewczyna szybko przywołała się znów do porządku. Powoli, spokojnie odczepiła od pasa miecz i wręczyła Sithowi, który wrócił natychmiast do szeregu.

Próbowała się nie zastanawiać, dlaczego poproszono ją o oddanie broni. Mogło to co prawda oznaczać, że zostanie przyjęta w poczet uczniów i otrzyma własny, prawdziwy miecz, ale z drugiej strony, mogli ją zdegradować i odmówić nowicjatu.

Z wielkim trudem powstrzymała się od nerwowego przełknięcia śliny.

- Nowicjuszko Vestaro Khai - podjął Wielki Lord Vol. - Opowiedz, proszę, zgromadzonym historię o Powrocie.

Vestara spodziewała się wszystkiego, ale nie tego. Tym razem nie udało jej się powstrzymać i zamrugła, zaskoczona. Ma opowiedzieć Lordom i Mistrzom legendę, która od tysiący lat była częścią ich dziedzictwa? Podstawę dziejów jej ludu na Kesh? Czy to jakiś podstęp? Sztuczka?

Odsunęła od siebie niepewność i strach i przywołała na twarz skąpy uśmiech.

- Jestem pewna, że czcigodne zgromadzenie doskonale zna tę historię, ale z chęcią opowiem ją, zgodnie z życzeniem Wielkiego Lorda - odezwała się. Była z siebie dumna: nie zająknęła się, a jej głos brzmiał pewnie, spokojnie. Wyprostowała plecy i splotła z tyłu dłonie, po czym zaczęła powtarzać opowieść, którą każdy z tu obecnych - i pewnie z wszystkich zamieszkujących planetę - znał na pamięć:

- Kiedy „Omen” rozbił się na Kesh, nasi praojcowie zostali ciepło przyjęci przez Keshirich - zaczęła. - Oddano im wszelkie honory, zabrano z dala od miejsca katastrofy na grzbietach uwaków i traktowano prawie jak bogów. Sithowie szybko dowiedzieli się dlaczego: Keshiri wierzyli, że przybycie Sithów było dla nich znakiem. - Przeniosła spojrzenie na Lady Rheę, ale z jej wzroku trudno było cokolwiek wyczytać. Vestara spróbowała ostrożnie wysondować ją poprzez Moc, ale także nic nie wyczuła. Podjęła opowieść: - Tubylcy wierzyli, że Sithowie są przeznaczonymi im Opiekunami, którzy obronią ich, kiedy powrócą straszliwi Niszczyciele. Według pradawnych wierzeń Keshirich Niszczyciele raz na jakiś czas zstępowali na któryś z zamieszkałych światów, aby podbić cywilizację i przywrócić planetę do jej pierwotnego, dziewiczego stanu. Ostatnio przeprowadzone badania dowiodły, że istotnie Kesh co najmniej raz przeżyło katastrofę o skali planetarnej, co potwierdza wiarygodność legendy. - Zaszło jej w gardle, ale ciągnęła, niezrażona: - Sithowie uwierzyli, że są... jesteśmy - poprawiła się natychmiast - tymi, których przybycie przepowiedziano i że naszym przeznaczeniem jest rosnąć w siłę, gromadzić wiedzę, a kiedy nadejdzie czas, stawić czoło tym, którzy powrócą, aby zniszczyć Kesh.

- Zniszczyć Kesh - powtórzył jeden z Lordów, którego imię wyleciało Vestarze z głowy - a także inne światy. Przeznaczenie Sithów jest zbyt wszechstronne, żeby miało ograniczać się do jednej planety. Czy nie nauczono cię tego, nowicjuszko Khai?

O, proszę... tu mamy haczyk, pomyślała Vestara i zbeształa się w duchu za brak domyślności. Jak mogła dać się złapać na coś tak oczywistym?! Nie zdołała powstrzymać rumieńców, które wystąpiły jej na policzki.

- Oczywiście, Lordzie... - *Ai!* Jak, u licha, było mu na nazwisko? Ach, prawda... Workan! - Lordzie Workan - odparła. - Jednak przez pięć tysięcy lat nie byliśmy...

Nie... - przemknęło jej nagle przez myśl. O nie! Tylko nie to... To właśnie tu tkwił haczyk! A ona dała się zwabić w pułapkę! Zmartwiała ze wstydu i grozy, ale nagle poczuła poprzez Moc czyjś pocrzepiający dotyk - prawie tak łagodny jak ten, którym zwykł uspokajać ją ojciec. Niósł przesłanie: zapewnienie, że chociaż Mistrzowie narażają ją na próbę, to na pewno nie chcą jej zwodzić.

Lord Workan uśmiechnął się pod nosem i zerknął na Lady Rheę; do Vestary dotarło, że to od niej pochodził gest otuchy. Szczupła, wysoka i pełna gracji jak łania suromi, Lady Rhea wystąpiła naprzód.

- Wszystko, w co wierzyliśmy przez ponad pięć tysięcy lat, zmieniło się wczoraj nie do poznania - oznajmiła głębokim, lekko ochryplym głosem. - Po raz pierwszy od czasu, kiedy „Omen” rozbił się w Górach Takara, dano nam szansę na opuszczenie Kesh; wskazano nam drogę do wypełnienia naszego przeznaczenia. Właśnie po to odszukał nas ów... Statek...

Kiedy Vestara usłyszała, z jakim naciskiem Lady Rhea wymówiła słowo „Statek” - całkiem jakby to było imię, a nie zwykły rzeczownik - wstrząsnęła nią dreszcz. Przecież ona nazywała go w myślach tak samo!

- Jak się pewnie domyślasz - podjęła Rhea, powoli podchodząc do Vestary - to nie jest zwykły pojazd kosmiczny. To sfera medytacyjna Sithów. Czy możesz nam wyjawić jej przeznaczenie?

Vestara zawahała się chwilę. Czy powinna skłamać? Czy bezpiecznie będzie ujawnić Lordom i Mistrzom, ile wie o Statku? Zdradzić im szczegóły ich „rozmowy”? A może powinna wyśpiewać im wszystko, co do joty? Wyglądało na to, że nikt z obecnych nie zmrużył oka od czasu przybycia dziwnego pojazdu; bardzo prawdopodobne, że rozmawiał z nimi tak samo jak z Vestarą. Cóż, ci ludzie byli wszak przywódcami Sithów, strażnikami systemu wartości jej ludu... Miała przemożną ochotę oblizać spieczone wargi, ale wiedziała, że ten pozornie błahy gest zdradzi jej zdenerwowanie.

- Zaprojektowano go, żeby szkolił uczniów - odezwała się wreszcie.

Lady Rhea zatrzymała się tuż przed nią, odrzuciła zamaszystym gestem poły szaty na plecy i wsparła ręce na biodrach - i chociaż Vestara prawie dorównywała jej wzrostem, poczuła się nagle dziwnie mała. Najprawdopodobniej właśnie taki efekt chciała osiągnąć Rhea.

- Dokładnie - potwierdziła niskim, miłym dla ucha głosem. - Ale co takiego ci powiedział? I co ty powiedziałaś jemu?

Vestara spojrzała jej śmiało w oczy i odpowiedziała zgodnie z prawdą. Całą prawdą, włącznie z



jej pragnieniem zostania Mistrzynią Sithów. Ojciec tłumaczył jej kiedyś, że główną cechą odróżniającą Jedi od Sithów jest fakt, że ci pierwsi zaledwie boją się pogodzić z własnymi namiętnościami. „Nigdy nie obawiaj się tego, co czujesz, Vestaro - poradził jej wtedy. - Musisz wiedzieć, jak wykorzystać własne emocje, bo inaczej to one tobą zawładną”.

Zrobiła tak, jak radził jej ojciec. Statek nawiązał z nią kontakt i rozmawiał z nią ona zaś zamierzała skorzystać z szansy, jaką im dawał, a przy okazji spełnić swoje największe pragnienie - uczyć się. Zostanie Mistrzem Sithów. Wypełni swoje przeznaczenie, tak jak Sithom było pisane wypełnić ich własne.

Póki od ścian odbijał się echem mocny, młody głos Vestary, pełen żaru i pasji, zebrani milczeli w skupieniu. Rhea słuchała jej uważnie, nie odrywając wzroku od jej twarzy. Wreszcie dziewczyna skończyła mówić, odetchnęła głęboko i czekała na opinię Lordów.

Lady Rhea spojrzała z triumfalną miną po swoich towarzyszach.

- Widzicie? - odezwała się. - Potwierdziła wszystko, co powiedział nam Statek.

- To... dosyć niezwykły sposób wyboru ucznia - przemówił Wielki Lord Vol, kładąc łokcie na oparciach tronu i łącząc opuszki palców. Przyjrzał się Vestarze z namysłem.

Wyboru ucznia? - powtórzyła w myśli Ves i prawie zakreśliło jej się w głowie. Czy to znaczy, że...

- Przypuszczam jednak, że dawniej nie było w tym nic niezwykłego - ciągnął Wielki Lord. - Statek to przecież pojazd szkoleniowy...

Lady Rhea spojrzała znów na Vestarę i uśmiechnęła się ciepło. Poprzez Moc emanował od niej spokój i satysfakcja.

- To z tobą skontaktował się jako pierwszą - powiedziała. - Był tobą... zaintrygowany, a ostatnie, czego pragnąłby Krąg Lordów, jest przeciwstawianie się decyzjom podjętym przez tak ważny... obiekt.

Pstryknęła palcami i uczeń, który wcześniej zabrał miecz ćwiczebny Vestary, jeszcze raz wystąpił z szeregu, tym razem trzymając w ręku jeden z mieczy świetlnych należących do praprzodków Sithów. Vestara, wstrząśnięta, omal się nie zachłysnęła. Wargi zdrząły jej ze wzruszenia i przepełniła ją fala nieopisanej radości.

Mimo mocnego postanowienia, że będzie się kontrolować, do oczu napłynęły jej łzy.

Zwykle uczniowie sami konstruowali swoje miecze z dostępnych - i, niestety, ograniczonych - materiałów; taka broń nie dorównywała oczywiście starożytnym mieczom, którymi władali pierwsi Sithowie na Kesh, a które przechodziły przez całe pokolenia z Mistrza na Mistrza. Było ich jednak tak mało, że nawet nie wszystkie Miecze dostępowywały zaszczytu posiadania broni zasilanej okruchami lignanu - jednego z najpotężniejszych fragmentów dziedzictwa, zostawionych członkom Plemienia przez pierwszych Sithów. Kryształ, których tysiące wypełniały ładownię „Omena”, kiedy ten roztrzaskał się na Kesh, dawały mieczom większą energię i wystarczały na dłużej.

A teraz podobną broń ofiarowano nowicjusze... nie, uczniocy! - poprawiła się w myśli Vestara.

W ułamku sekundy radość zastąpił jednak smutek. To właśnie dlatego jej ojciec tak dziwnie się zachowywał dziś rano, uprzytomniła sobie. Wiedział o wszystkim - i nie mógł jej nic powiedzieć. Kiedy nowicjusz zostawał uczniem, rozdzielano go z rodziną - bez uprzedzenia. Rozłąka trwała cały rok.

Ale Vestara rozumiała - podobnie jak jej bliscy - że taki jest porządek rzeczy. Do żalu szybko dołączyły inne uczucia, które usiłowała powstrzymać, żeby nie sprawić na zgromadzonych wrażenia próżnej, ale przed Lady Rheą nic nie mogło się ukryć. Kobieta uściśniła lekko ramię Vestary.

- Wszyscy wiedzą, co czujesz, uczennico Khai - powiedziała łagodnie. - Ciesz się i bądź z siebie dumna. Wiedz, że zostałeś wybrana i wybór ten był trafny. Teraz chodź ze mną. Poznasz tajemnice „Omena”. A potem - uśmiechnęła się szerzej, odrobinę drapieżnie - Statek podzieli się z tobą swoją wiedzą i mądrością galaktyki.

Vestara bała się, że serce pęknie jej z radości.

- Błogosław chwilę, w której przyszedłeś na świat, moja droga - dodała uroczyście Lady Rhea. - Teraz doznasz zaszczytów, obowiązków i radości znalezienia się wśród tych, którzy po raz pierwszy od pięciu tysiącleci opuszczają Kesh... i dołączają do naszych braci, z którymi rozdzielono nas na tak długo. Już wkrótce zajmiemy przynależne nam miejsce wśród rządzących galaktyką Sithów!

# ROZDZIAŁ 11

## Biuro przywódczyni sojuszu, budynki Senatu, Coruscant

Wynn Dorvan pokonywał labirynt korytarzy budynku Senatu ze spokojem i pewnością kogoś, kto teren zna jak własną kieszeń. Kiwał uprzejmie - ale oszczędnie - głową strażnikom przy kolejnych bramkach, ci zaś grzecznie życzyli mu „miłego dnia, sir”. Kieszeń Dorvana była dziwnie wybrzuszona, ale straż nie zwracały na to większej uwagi - chitlik był jego nieodłącznym towarzyszem i wszyscy o tym wiedzieli.

Jak zwykle i tym razem Wynn Dorvan zjawił się w budynku na długo przed innymi (kończył zresztą pracę także zdecydowanie później niż reszta). Spokojnie przeczekał jazdę turbowindą (w przeciwieństwie do większości istot, które zazwyczaj próbowały zabić jakiś czas, kręcąc się i przestępując niecierpliwie z nogi na nogę), a kiedy wyszedł z kabiny, ruszył wyłożonym grubą wykładziną korytarzem prosto do swojego biura.

Gabinet, który zajmował, był wolny od ozdób i zbytku, nie było w nim też śladu bałaganu; krótko mówiąc - odzwierciedlał ducha swojego rezydenta. Brakowało tu holoramek ze zdjęciami rodziny, bo Dorvan nie miał bliskich - poza niewielką kulką futra, pochrapującą z cicha w jego prawej kieszeni. Tu i ówdzie wisiały co prawda obrazy, ale tylko dlatego, że gołe ściany wyprowadzały z równowagi nielicznych gości, którzy czasem u niego bywali. Prace te nie wyróżniały się jednak niczym szczególnym - ot, banalne widoczki starego budynku Opery Galaktyk i gór Manarai. Zamiast długich, bogato zdobionych firan okna zasłaniały proste rolety. Stało tu biurko z krzesłem i dwa dodatkowe fotele dla rzadkich gości - i to wszystko. Prosto, schludnie, bezpretensjonalnie.

I może właśnie dlatego ogromny bukiet tubokwiecia i pyro, pyszniący się na biurku w powodzi purpury i napełniający pokój oszałamiającym zapachem, wydawał się tutaj tak bardzo nie na miejscu...

Dorvan zamrugał z niedowierzaniem. Nie był zaniepokojony; do jego biura nie miał dostępu nikt poza nim samym, Daalą i kilkoma innymi zaufanymi kolegami. Poza tym intruz nie wygłupiałby się przecież z kwiatami...

W kieszeni marynarki zakotłowało się i ze środka wychynął ostry nosek Kieszonki, która zaczęła zapamiętane węszyć. Dorvan poklepał zwierzątko z roztargnieniem po łebku i podszedł do biurka. O bukiet oparto kopertę z jego imieniem, wypisanym ręcznie na grubym, kremowym flimsi zamaszystym, ale eleganckim pismem. Znał ten charakter. Kwiaty zostawiła przywódczyni Sojuszu, Natasi Daala.

Zakłopotany, otworzył kopertę i przeczytał dwa słowa skreślone na ozdobnej karcie: „Wybacz. Przysługa”.

Zmarszczył lekko brwi. Za co niby Daala miałyby go przeproszać?

- Pan Wynn Dorvan? - z zamyślenia wyrwał go stremowany kobiecy głos.

Oho... - pomyślał. Ze smutnym uśmiechem odwrócił się do drzwi, w których stała interesantka: Twi'lekanka. Była uderzająco piękna, jak zresztą wszystkie jej rodaczki. Jej seledynową skórę tu i ówdzie pokrywały ciemniejsze pasy w kolorze leśnej zieleni. Miała na sobie skromny strój sekretarki, a jej lekku zwisały swobodnie na ramiona. W rękę trzymała datapad i uśmiechała się nieśmiało.

- Jestem...

- ...moją nową asystentką? - domyślił się Dorvan.

- Tt... tak - zająknęła się. - Nazywam się Desha Lor. Przysłała mnie przywódczyni Daala.

Dorvan przypomniał sobie ich rozmowę w śmigaczu i westchnął lekko. Naprawdę, ale to naprawdę nie potrzebował asystentki. Świetnie radził sobie sam - i tak było najlepiej...

Mimo to rozumiał, dlaczego Daala zdecydowała się przydzielić mu pomoc. Kiedyś ją samą nazywano z pogardą „skokiem w bok” Wielkiego Moffa Wilhuffa Tarkina. To prawda, że swego czasu była jego kochanką; nie można jej było także odmówić urody. Jednak była też niesamowicie inteligentna i ambitna, i znała się na strategii. Długo nią pomiatano, w końcu jednak pokazała wszystkim, na co ją stać. Jako przywódczyni Galaktycznego Sojuszu zażądała wcielenia kobiet w szeregi moffów. Nic dziwnego, że czuła duchową więź z Twi'lekankami, którymi handlowano na rynkach niewolników. Chciała dać kobietom, które na to zasługiwały, taką samą szansę, jaką dano jej - żeby mogły udowodnić, do czego są zdolne.

Dorvan wyciągnął dłoń.

- Witaj, Desho Lor. Jestem Wynn Dorvan, zresztą to już pewnie wiesz. Czy to twoja pierwsza państwowa posada?

Twi'lekanka pokiwała gorliwie głową.

- Tak. Przywódczyni Daala jest przyjaciółką mojej rodziny. To bardzo uprzejmie z jej strony, że zaproponowała mi ten etat...

- Bardzo, w rzeczy samej - przytaknął z roztargnieniem Dorvan. - Wybacz - zreflektował się zaraz. - Twoja obecność... jest dla mnie odrobinę zaskakująca. Jestem jednak pewien, że szybko nauczymy się współpracować. - Wskazał jej jeden z prostych foteli, a sam usiadł za biurkiem. Kieszonka pisnęła, więc wyjął ją z kieszeni i ułożył na jej posłaniu, na półce pod biurkiem.

- Ojej, czy to chitlik? - zawołała Desha. - Są takie miłusie!

- Zgadza się. Kieszonka biega swobodnie po całym biurze. Sam się nią zajmuję. Musisz tylko uważać, żeby na nią nie nadepnąć.

Desha uśmiechnęła się promiennie.

- Nigdy w życiu!

- Jestem pewien, że nie zrobisz tego więcej niż raz, wierz mi - zapewnił ją. - Zwykle jest spokojna, ale kiedy coś jej się nie podoba, potrafi niezłe capnąć. A teraz... opowiedz mi o sobie i o tym, co zdaniem Daali powinnaś robić.

Desha Lor mogła się pochwalić sporymi kompetencjami, co przemawiało na jej korzyść. Może rzeczywiście okaże się kimś więcej niż tylko panienką z ładną buzią? Cóż, lepiej, żeby tak było, stwierdził Dorvan. Jeśli już postawiono go przed faktem dokonanym, to przynajmniej niech ma z tego jakiś pożytek. Podczas gdy Twi'lekanka mówiła, Wynn sprawdzał na własną rękę informacje na jej temat; odwrócił ekran w taki sposób, żeby nie widziała, co robi. Słuchał tylko jednym uchem, potakując co jakiś czas z roztargnieniem.

Lor, Desha, czytał tymczasem na wyświetlaczu, córka twi'lekańskiego dyplomaty, przez rok pracowała jako asystentka w prywatnym szpitalu. Wzorowa studentka, brak przeszłości kryminalnej, wszystkie wizyty poza planetą sprawdzone i potwierdzone. Jej rodzina była dobrze znana w wyższych sferach i cieszyła się dużym szacunkiem. Dziewczyna była czysta, bez dwóch zdań. Niemal zbyt czysta.

Czy w dzisiejszych czasach zdarzają się jeszcze tak wzorowi obywatele? - zamyślił się Dorvan, ale zaraz zbeształ się w duchu. Takie obawy były zupełnie nie na miejscu. Cóż, tak czy inaczej, będzie miał tę małą na oku. Pozory mogą mylić. Daala była bezwzględna, surową szefową i Wynn Dorvan wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny, nigdy jednak nie zaszedłby tak daleko bez wnikliwej analizy słabych i mocnych stron tych, którzy go otaczali. A sympatia pani admirał dla atrakcyjnej, młodej kobiety, starającej się wspiąć po szczeblach kariery dzięki czemuś więcej niż tylko wygląd, mogła się okazać taką właśnie słabością. Musi o tym pamiętać.

Pomyślał o księżniczce Leii Organie... podręcznikowym wręcz przykładzie pięknej, młodej kobiety z dobrego domu, o nienagannej reputacji, która nagle okazała się zajadłym wrogiem systemu...

O, tak. Dorvan na pewno będzie miał tę małą na oku.

## **Rezydencja Moffa Lecersena, dzielnica Senatu, Coruscant**

- Mamy go na oku - mruknął moff Lecersen i oparł się o brzeg wypełnionej pachnącą wodą wanny.  
- Nie, żeby to było takie trudne...

- Otóż to. - W dobiegającym z głośnika komunikatora głosie moffa Vansyna słyhać było rozbawienie. Zaczęli tę rozmowę wcześniej, przy wykwinnym posiłku, któremu towarzyszyły dwie butelki przedniego, importowanego złotego wina. Kiedy zrobiło się późno, Vansyn - którego wczesnym rankiem czekało spotkanie - musiał wyjść, ale kontynuowali rozmowę przez komunikator. Robot służący podjechał do wanny z kieliszkiem i resztką złotego wina z drugiej butelki, i Lecersen nalał sobie trunku do rżniętego szkła. Upił łyk. To był znakomity rocznik. Moff miał go oczywiście jeszcze kilka skrzynek, a fakt, że wino pochodziło z hapańskich winnic miał w sobie jakąś gorzko-

słodką ironię. Cóż, po ostatnich przejściach z Hapanami nie bardzo miał ochotę ich wspominać. Mimo to wino było doskonałe. Można było nie lubić Hapan, ale w sztuce uprawy winorośli i produkcji wina nie mieli sobie równych.

- A nie powinieneś mieć raczej na oku Jaina Solo? - podjął Vansyn.

Lecersen uśmiechnął się pod nosem i upił jeszcze łyk.

- Dzieciaki znakomicie radzą sobie same. Są tak sobą zajęte, że świata poza tym nie widzą. Jagged Fel może sobie być przywódcą Imperium, może być nawet zdyscyplinowanym żołnierzem, ale kiedy w grę wchodzi sprawy sercowe, zaczyna się zachowywać jak żalosny piesek na smyczy swojej pani. Nie ma pojęcia, jak postępować z kochanką.

Myśli Lecersena powędrowały do ekskochanki jednego z moffów, która teraz dziwnym trafem dowodziła całym Galaktycznym Sojuszem. Zanurzył się głębiej w ciepłej wodzie, pozwalając, żeby zmyła z niego zmęczenie i stres tego długiego dnia.

Kiedy Wilhuff Tarkin żył, miał wszystko pod kontrolą. Stary moff wiedział, jak sobie z radzić z konkubina, ale teraz ta wiedźma przysparzała im ciągle nowych problemów. Kobiety moffami... Też coś! I na cóż to przyszło Imperium?

- Trzeba mu przyznać, że przygadał sobie upartą dziewczuchę. Szczerze powiedziawszy, czasem się zastanawiam, kto w tym związku trzyma kogo na smyczy... - stwierdził Vansyn i Lecersen roześmiał się w głos.

- Nerfem z kółkiem w nosie można łatwo manipulować - zauważył.

- Ale to Jaina Solo trzyma za łańcuch, nie my - odparował Vansyn. - Mamy pecha, że Jag skumał się z Jedi, nie mówiąc już o jej pochodzeniu. Młody przekłada osobiste relacje na sferę polityki, a mnie to niezbyt odpowiada... jak zresztą wielu innym.

Lecersen wzruszył ramionami, wzburzając lekko wodę w wannie.

- Racja, Vansyn. Jak tylko rozgryziemy taktykę Solo, będziemy mogli ją wykorzystać. Nasz piesek jest nieco... rozkojarzony. Widziałeś go podczas ostatniego posiedzenia. Cały czas zerkał na chronometr. Wydaje mu się, że będziemy tańczyć, jak nam zagra, żeby mógł... odrobić swoje zajęcia pozalekcyjne bez poczucia, że zaniedbuje obowiązki.

O nie, moffowie na pewno nie dali się porozstawiać po kątach, choć tego spodziewał się Zakon tamtego paskudnego dnia, kiedy Jacen Solo został posiekany przez własną siostrę, o której teraz rozmawiali. Blaster, którym Han Solo im wtedy groził, miał przysłowiowy pusty magazynek - facet nie miał dość jaj, żeby ich powystrzelać dla samej zemsty. Ale groźba Skywalkera... ten nie był gołosłowny, o nie. Nie silił się nawet na subtelność.

Luke Skywalker bez ogródek postawił ich przed wyborem: albo zostaną wydani Hapanom, wtedy będą musieli odpowiedzieć za zbrodnię wpuszczenia nanozabójcy na pokład hapańskiego statku i wybicia rodziny królewskiej, albo Rada Moffów włączy się w proces przywracania równowagi w

Galaktycznym Sojuszu. To właśnie Skywalker wyznaczył Jaga Fela na ich przywódcę - i moffom oczywiście łatwiej było się pogodzić z tą drugą opcją. Pierwsza była... cóż, wykluczona.

To jednak wcale nie oznaczało, że moffowie przestaną dbać o własne interesy. Dobrze było awansować znów ze Szczątków Imperium do rangi Imperium, ale co to właściwie oznaczało? Czy odzyskali coś więcej niż tylko nic nieznaczący tytuł? To pytanie moff Lecersen zadawał sobie dzień w dzień.

- Cierpliwość jest cnotą, mój przyjacielu - powiedział do Vansyna. - Dajmy się pieskowi wyszaleć. Namiętność płonie jasno, ale gaśnie szybko, a do tego mąci osąd i zaślepia. A kiedy młodemu Felowi powinie się noga... wykorzystamy jego słabość.

Galaktyka możliwości była na wyciągnięcie ręki i wystarczył bystry umysł, żeby po nie sięgnąć - całkiem jak po kredyty leżące na chodniku. Trzeba było tylko się schylić. A Lecersenowi nie można było odmówić bystrości umysłu. Wokół kłębiło się tylu wrogów, których można by na siebie poszczuć...

Daala już i tak odwalila kawał dobrej roboty, separując Jedi. Lecersen wątpił, czy on poradziłby sobie z tym lepiej. Sami Jedi też coś knuli, był tego pewien - chociaż nie do końca wiedział co. Jeszcze nie. Ale ani przez chwilę nie dał się nabrać, że złotousty, gładki w obyciu Kenth Hamner przemawia w imieniu każdego Rycerza Jedi, a już na pewno nie Mistrza w Zakonie. Obserwatorzy, których funkcja została niedawno zniesiona, wystarczali Daali i GS, ale nie moffom, którzy woleli, żeby Jedi myśleli, że nikt im nie patrzy na ręce.

A teraz dwójka tych szarlatanów trafiła do aresztu. Świetnie się składa. Wszystko wskazywało na to, że pod rządami Daali Jedi nie będą się pławić w świeżo zdobytej wolności. To także działało na korzyść moffów. Jag ciągle bujał w obłokach, tak samo jak Jaina, a reporterzy krążyli wokół tej pary jak ćmy wokół świecy. Doskonale!

Wszystkie wątki zaczynały się układać w spójną całość. Teraz wystarczy je tylko umiejętnie wpleść w tkaninę, która przywróconych na należne im miejsca moffów okryje chwałą - bez zadurzonego pieska pilotki, szczekającego im nad głowami.

Lecersen dopił wino, przyjrzał się pustemu kieliszkowi i uśmiechnął się drapieżnie.

# ROZDZIAŁ 12

## Świątynia Jedi, Coruscant

Jainie trudno było w to uwierzyć, ale naprawdę brakowało jej Daba Hantaq.

Nie tęskniła za wyrywkowymi kontrolami, które często budziły ją ze snu czy odrywały od innych nocnych obowiązków, o nie. Nie żałowała chwil, kiedy obserwator chodził za nią jak cień tuż po przebudzeniu, zapisując skrętnie jej każdy krok. A już z całą pewnością nie miała nic przeciwko temu, że nie musi już znosić obecności sobowtóra swojego nieżyjącego brata.

Bezsporny jednak był fakt, że Hantaq starał się wypełniać swoje obowiązki z maksymalną delikatnością. Robił, co mu kazano, chociaż nigdy nie wyglądał, jakby sprawiało mu to przyjemność.

W przeciwieństwie do reporterów. Zaczynała podejrzewać, że wymieniając oficjalnych obserwatorów na pozorną swobodę, trafiła z deszczu pod rynnę. Cóż, ci pierwsi przynajmniej mieli jakieś zasady, pomyślała ponuro. A dziennikarze wydawali się ich całkiem pozbawieni. Chociaż slogan „dajmy całej galaktyce dostęp do Jedi” został ostatnio miłosiernie zdjęty z afiszy, w zamian udostępniono mediom część Świątyni. Co prawda podczas ich nachalnych „wycieczek” towarzyszyła im obstawa Jedi, ale Jaina wciąż nie mogła przywyknąć, że wpada na przedstawicieli prasy w jadalni czy Sali Tysiąca Fontann.

Z westchnieniem sięgnęła po strój przygotowany na nocną misję, ochrzczonej przez Jaga mianem Operacji Wiatrun, i zaczęła nakładać makijaż. Skrzywiła się na widok swojej twarzy w lustrze i znów westchnęła. Miała mało czasu. Cóż, musi się zadowolić prowizorką.

Sięgnęła odruchowo po miecz świetlny, ale zawahała się w pół ruchu. Może i była Mieczem Jedi, ale dzisiejsza misja nie przewidywała walki. A przynajmniej taką miała nadzieję. Jej cel był... specyficzny - a gdyby była zmuszona użyć miecza, wszystko poszłoby na marne. Marszcząc brwi, wsunęła go do eleganckiej czarnej torebki z nerfiej skórki. Nikt go nie zauważy, a bez niego czułaby się niepewnie.

Sięgnęła po komunikator.

- Posępny? Tu Slicer - rzuciła do mikrofonu.

- Tu Posępny - dobiegł z głośnika głos Jaga, pozornie spokojny jak zawsze, pobrzmiwał w nim bowiem lekki niepokój, którego nie wychwyciłby pewnie nikt oprócz samej Jainy. Najwyraźniej denerwował się przed misją.

- Wszystko w porządku? - spytała z troską.

- Sprawdzam - nadeszła odpowiedź. - Rysa na stanowisku.



- Krzywa także - odparła. - Przygotowuję się do rozpoczęcia Etapu Pierwszego.

- Przyjąłem - potwierdził Jag. - Zajmuję drugą pozycję.

Jaina odetchnęła głęboko, starając się uspokoić i przygotować na najgorsze.

- No dobrze. W takim razie do zobaczenia na randce.

- Uważaj na siebie - nadeszła odpowiedź. - Będą próbowali cię namierzyć.

- Wiem. Ty też.

Wyłączyła komunikator i odruchowo spróbowała go przypiąć do pasa; dopiero po chwili dotarło do niej, że przecież dziś wieczór go nie nosi.

Te tajne misje są wkurzające, pomyślała ze znużeniem i wrzuciła urządzenie do torby obok miecza. Ostatni raz rzuciła okiem na swoje przebranie i ruszyła do wyjścia.

Pierwszy reporter czekał na nią tuż za progiem Świątyni, ale spodziewała się tego i przygotowała na konfrontację.

Dziennikarzom nie było wolno wkraczać na teren Świątyni bez wyraźnej zgody, co było miłą odmianą od wcześniejszych zasad, więc kłębili się tylko jak rój insektów u stóp schodów - tłum żądnych krwi istot, spragnionych strzępków historii, które zapewnią im sławę.

- Jedi Solo! Tutaj! - wrzeszczeli.

- Solo? Gdzie się wybierasz?

- Jedi Solo, co sądzisz o ustawie zakazującej handlu niewolnikami na Vinsoth? - Ostatnie pytanie pochodziło od potężnego Cheva, świdrującego ją wzrokiem spod masywnego czoła.

Jaina machnęła na nich lekceważąco ręką, próbując robić dobrą minę do złej gry.

- Dajcie spokój - rzuciła z westchnieniem. - Czy nie mogę wyjść sobie na randkę jak każdy inny? - Rozpostarła poły płaszcza z czarnej nerfiej skóry i ostentacyjnie zaprezentowała reporterom długą czerwoną wieczorową suknię i utrzymane w podobnym odcieniu pantofle na wysokich obcasach. - Widzicie? Nie mam nawet miecza. I na pewno daleko wam na tych obcasach nie ucieknę. A teraz, o ile nie interesuje was, co zamówię na kolację, powinniście naprawdę zmykać do domów. Albo spróbować przyszpilić kogoś innego.

Część natrętów wydała chóralne westchnienie i cofnęła się nieco, jednak przynajmniej jeden z co wytrwalszych dziennikarzy ruszył za nią, wołając:

- Czy przypadkiem jedna z Jedi, znanych z umiłowania Mocy, tworzonej przez wszystko, co żyje, nie powinna być wegetarianką?

Jaina przewróciła oczami i ugryzła się w język, żeby się nie odciąć. Myśl o misji, nakazała sobie w duchu. Myśl o misji. Wsiadła do śmigacza, który podjechał pod Świątynię i czekał z włączonymi silnikami.

- Ruszaj. Szybko - poleciła siedzącej za sterami kobiecie.

Winter Celchu była ubrana w szaty Jedi. Jej charakterystyczne białe włosy zostały ufarbowane na pospolity, bury kolor, a twarz pokrywała słuszną warstwę makijażu. Winter podchwyciła spojrzenie Jaina w tylnym lusterku i uśmiechnęła się szeroko.

- Jak panienka rozkaże, Jedi Solo.

Może i ma to być zwykła kolacja, pomyślał Javis Tyrr, ale podczas rozkosznych posiłków sam na sam kochankowie wyjawiają sobie wiele sekretów. Jaina dała mu fory; musiał działać szybko. Nie tracąc czasu, wsiadł do swojego śmigacza. Dzięki droidowi kamerzyście Hologlide J57 miał dobry widok na wyprzedzający go pojazd.

Wiedział, że gdyby za jego sterami zasiadała sama Jaina, śmigacz rozpocząłby serię karkołomnych zwodów i uników, dzięki którym nie miałby szans na jego śledzenie. Tymczasem pojazd poruszał się zadziwiająco statecznie, trzymając się przepisów i nie łamiąc ograniczenia prędkości. A skoro to nie Jaina nim dziś kierowała, oznaczało to tylko jedno: że planuje wypić do kolacji coś mocniejszego. Tyrr uśmiechnął się pod nosem. Świetnie się składa. Kropelka zacnego trunku sprzyja rozwiązaniu języka.

Dzięki jego nagraniu zajścia zatytułowanego *Szał Jedi*, oglądalność sięgnęła szczytu, co znacznie podbiło jego notowania u szefostwa. Przyznano mu nawet specjalny półgodzinny show, który nazwał: *Javis Tyrr przedstawia: Jedi wśród nas*. Większość odcinków nie dotyczyła jednak żadnej z głośniejszych spraw. Był to właściwie program edukacyjny o historii Jedi, więc publiczność szybko zaczęła tracić zainteresowanie, a jego szefowie zażyczyli sobie stanowczo „czegoś żywszego”.

Tyrr miał co prawda swoją godność i nie zamierzał się zniżać do podsłuchiwania miłosnych szeptów, ale w tej sytuacji każdy strzępek informacji był wart kredytu.

Mały czerwony śmigacz łatwo było śledzić i Tyrr zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie marnuje czasu. Jaina Solo i Jagged Fel byli osobistościami ze świecznika, ale także ludźmi z krwi i kości. Może rzeczywiście wybrali się tylko na zwykłą kolację we dwoje? Cóż, tak czy inaczej, nawet jeśli szukali prywatności, mogło im się wymknąć coś wartego uwagi. Wpisał do komputera pokładowego zapytanie i po chwili został nagrodzony listą potencjalnych punktów docelowych. Przebiegł pospiesznie wzrokiem spis pobliskich restauracji i zanim dotarł do końca, wiedział już, gdzie parka zamierza spędzić upojny wieczór. Ta świadomość pomogła mu podjąć decyzję: skierował śmigacz w boczną trasę, żeby dzięki skrótowi zjawić się na miejscu przed Jainą. Jeśli, jak przypuszczał, Fel i Solo zamierzali się spotkać w Wieży Indygo, jednej z najpopularniejszych restauracji w okolicy, uda mu się przynajmniej zjeść dobrą kolację na koszt firmy.

Wieżę Indygo wzniesiono na wzór słynnej restauracji Skysitter, bezwstydnie podkradając pomysł na obracającą się wokół własnej osi salę, położoną wysoko ponad panoramą Coruscant. Niezwykle

szkowną i nowoczesną fasadę pokryto czarną i niebieską durastalą; wewnątrz było utrzymane w podobnej kolorystyce.

Tyrr skręcił w podjazd dla służb, wsunął czip kredytowy o słusznym nominale w dłoń strażnika i zaczął przy wejściu do Wieży, popatrując co chwila na chronometr i rozglądając się wokół, jakby na kogoś czekał. Starał się trzymać w cieniu.

Niebawem jego cierpliwość została nagrodzona: w pobliżu pojawił się czarny śmigacz z godłem Galaktycznego Imperium. Najwyraźniej przywódca Jagged Fel nie dbał o zachowanie pozorów. Prowadził sam; zatrzymawszy pojazd, wysiadł z niego żwawo i wojskowym krokiem skierował się pod restaurację. Trudno było go nie rozpoznać: siwe pasemko rzucało się w oczy na tle ciemnych włosów, podobnie jak charakterystyczna blizna na twarzy. Miał na sobie elegancki czarny płaszcz, szarfę i rękawiczki, co wydawało się rozsądne z uwagi na dość niską temperaturę. Zostawił śmigacz pod opieką parkingowego i zatrzymał się w pobliżu drzwi. Jego oddech parował w chłodnym powietrzu wieczoru, tworząc małe obłoczki.

Kilka chwil później pojawił się czerwony śmigacz i ze środka wysiadła Jaina Solo. Uśmiechnęła się promiennie do Fela, który podał jej dłoń, ucałował w policzek, wziął pod rękę i poprowadził do restauracji.

Tyrr odczekał chwilę i ruszył za nimi, zachowując bezpieczną odległość. Był pewien, że nikt go nie zauważył, nawet gdyby jednak para go namierzyła, nie miałyby to żadnego znaczenia. Dziennikarz o jego reputacji nie wzbudzał w podobnym miejscu podejrzeń. Tyrr zwlekał chwilę, podczas gdy starszy kelner prowadził parę do stolika, a potem, kiedy zbliżyła się do niego młoda Ortolanka, powiedział:

- Chciałbym miejsce w pobliżu tej dwójki.

Pokazał jej dyskretnie kredytową kartę i mrugnął.

- Posadzę pana tak blisko, jak tylko się da, sir - obiecała Ortolanka, przyjmując kartę, sczytując ją i dyskretnie mu zwracając. Wszedł za nią na salę, zastanawiając się po drodze, czy została przyjęta do zespołu obsługi Wieży Indygo dzięki ciemnemu zabarwieniu skóry. Kroczył po grubym, miękkim dywanie, wsłuchując się w melodyjne dźwięki przygrywającego zespołu, złożonego z trójki Bithów, Ortolanina i człowieka. W pewnej chwili do mikrofonu podeszła przedstawicielka rasy Pa'lowick i zaczęła śpiewać.

Ortolanka zaprowadziła go do sali zalanej błękitnym światłem, które nadawało wszystkiemu wokół tajemniczy wygląd. Zobaczył jak Jag i Jaina, trzymając się za ręce, skroń przy skroni, kroczą z wolna między stolikami... i znikają w drzwiach na końcu sali.

- Proszę bardzo, sir - powiedziała beztrąsko jego przewodniczka, wskazując mu stolik przy wejściu. - To miejsce jest najbliżej prywatnych pomieszczeń.

Tyrr gapił się na nią bez słowa.

- Wiele bym dała, żeby zobaczyć minę Tyrra - westchnęła Jaina.

- Niestety, musimy się zadowolić wyobrażeniem jej sobie - skwitował Jag.

- Czy mogę państwu jeszcze czymś służyć, proszę pani? - spytał grzecznie kierownik.

- Nie, dziękuję. Na razie to wszystko. Proszę tylko... pilnować pozorów. Od czasu do czasu może pan otwierać drzwi, żeby tamten gość sobie zerknął - odparł Jag.

- Tak jest, sir - potwierdził kierownik sali. - Za jakieś pięć minut zjawi się kelner z kartą win. - Wrócił do drzwi i zaczął czekać, aż wszyscy zajmą swoje miejsca.

W romantycznie oświetlonym światłem świec boksie siedziała para, która na pierwszy - a pewnie i drugi - rzut oka wyglądała jak Jaina i Jag. Jagged poddał Jainie pomysł na ten fortel podczas pościgu grupy Ciemnospójnia za Seffem Hellinem.

„Jak każdy szanujący się przywódca, mam sobowtóra, grzecznie udającego mnie w moich kwaterach”, powiedział po pojmaniu sprawiającego kłopoty Jedi.

Jaina wytknęła mu wtedy, że jej matka nie korzystała z usług sobowtóra, ale po namyśle przyznała, że to niegłupi pomysł.

Sobowtór Jaga, Kam Valanti, posługujący się pseudonimem Rysa, był, zdaniem Jaina, naprawdę niesamowity. I nie chodziło tu tylko o wygląd, chociaż rzeczywiście nie można mu było odmówić uderzającego podobieństwa do Jaga, ale o nieprawdopodobną wręcz zdolność do kopiowania zachowań pierwowzoru. Jaina nie była co prawda pewna, czy jej własna dublerka zda egzamin przy bliższych oględzinach, ale wszyscy zgodnie twierdzili, że Lina Zev, zwana Krzywą, opanowała naśladowanie Jaina do perfekcji.

„Poczekaj, aż zobaczysz w jej wykonaniu swoją wkurzoną minę” - oznajmił jej kiedyś Jag, wywołując na jej twarzy grymas niezadowolenia. - „O, właśnie taką” - stwierdził radośnie. - „Ma ją w małym paluszku”.

Teraz para sobowtórów pomagała Jainie i Jagowi pozbyć się nachalnych świadków. Jag zmienił ubranie na ciemną, dopasowaną bluzę i proste spodnie, a Kam włożył jego galowy strój. Jaina zrzuciła czym prędzej niewygodne szpilki i także wśliznęła się w spodnie, a potem zsunęła elegancką suknię, oddając ją Linie, i zarzuciła na ramiona pelerynę.

- Jak stoimy z czasem? - spytała.

- Mamy półtorej minuty i trzy sekundy - poinformował ją Jag.

- W takim razie w drogę - zarządziła. Razem ruszyli do bocznego wyjścia, prowadzącego do kuchni, które bez wątpienia już nieraz było wykorzystywane jako droga ucieczki. Zanim wyszli, Jaina obejrzała się za siebie - w sama porę, żeby zobaczyć, jak otwierają się drzwi do głównej sali.

*Stang...* Ich sobowtóry wyglądały naprawdę przekonująco. Kiedy znaleźli się na zapleczu, Jaina uśmiechnęła się do personelu. Kilka osób odwzajemniło uśmiech, ale większość bez specjalnego zainteresowania. Najwyraźniej potajemne schadzki par ze świata polityki nie były tu niczym nowym.

Jaina wciągnęła mieszankę apetycznych zapachów i zerknęła tęsknie na przygotowywane dania. Zaburczało jej w brzuchu.

- Któregoś dnia - stwierdziła stanowczo - będziemy musieli naprawdę zajrzeć tu na kolację.

- Masz to jak w banku - obiecał Jag. - Ale teraz... misja, pamiętasz?

Tyrr przez chwilę kręcił nosem, ale w końcu westchnął z rezygnacją. Może uda mu się coś podejrzeć, a wieczór spędzony nad posiłkiem złożonym ze steku z nerfa i thakitillo, popitym szklaneczką *creme d'infame*, nie zapowiadał się wcale tak źle.

Od czasu do czasu, kiedy drzwi się otwierały i kelner przynosił wino, przystawki i główne danie, miał okazję zerknąć na zakochanych. Nie sprawiali wrażenia ważnych osobistości, pogrążonych w rozmowach o polityce, sprawach Jedi czy czymś w tym stylu. Wyglądali jak... zwykła para na randce.

Okazja nadarzyła się, kiedy obok przemknął droid kelner, niewielki robocik z apetyczną tacą ciasteczek, legumin i innych słodkości. W pewnej chwili zatrzymał się, czekając, aż jakaś starsza para opuści restaurację, dając tym samym Tyrowi czas na wydobycie z kieszeni miniaturowej kamery wielkości paznokcia. Dziennikarz uruchomił ją ukrytym w kieszeni pilotem i kamera, rozłożywszy pajęczę nogi, wgramoliła się na korpus robota. Zamarła na chwilę, po czym wsunęła się pod serwetkę. Javis Tyrr uśmiechnął się szeroko.

Pa'lowickańska wokalistka podeszła znów do mikrofonu i zaczęła nucić w basicu popularną ostatnio piosenkę. Miała zaskakująco dobry akcent.

*To wszystko tylko sen, czyż nie?*

*To, co miłością się zwie...*

*Cóż za misterna intryga, czyż nie?*

*To, co miłością każdy z nas zwie...*

Javis słuchał jednym uchem. Lubił ten kawałek, a i wykonanie było niegorsze, ale myślami był zupełnie gdzie indziej, zbyt zaabsorbowany, żeby docenić wysiłki Pa'lowickanki. Chwilę później droid kelner zatrzymał się przed zamkniętym wejściem do prywatnej sali i piknął kilka razy. Drzwi rozsunęły się prawie natychmiast, wpuszczając robota, i zasunęły za nim niezwłocznie.

*To tylko iluzja,*

*Mrzonka, uluda,*

*Wygodne kłamstewka,*

*Gdy nam się nie uda...*

Tyrr delektował się niespiesznie deserem i likierem, ślęcząc nad datapadem. Urządzenie wyglądało na pierwszy rzut oka jak zwykły komputerowy notes, na którym dziennikarz przegląda notatki zebrane przez jego asystentów do nowego reportażu. Ba! Dokładnie to zobaczyłby ktoś, komu przyszyłoby do głowy zerknąć mu przez ramię. Jednak w rogu ekranu, na obrazie, który można było powiększyć jednym ruchem palca, widniało zbliżenie... białej serwetki.

Tyrr pomajstrował przy urządzeniu ukrytym w kieszeni i mała kamerka zeskoczyła na dywan. Teraz słyszał rozmowę:

- Och, uwielbiam wagneriańskie paszteciki! Mama wprost za nimi przepada. Jadłeś je kiedyś? - mówiła Jaina. Tyrr zmarszczył czoło. Chyba mikrofon był źle dostrojony, bo głos dziewczyny brzmiał jakoś... dziwnie.

- Nie. - Szczęk sztućców. - No-no, rzeczywiście. Całkiem-całkiem.

Racja, coś było nie tak z dźwiękiem. Na bank. Głos Jaga brzmiał niżej i bardziej nosowo niż zwykle. Cóż, lepiej albo gorzej, ale w końcu ich słyszał. Sięgnął jeszcze raz do kieszeni i po serii skoków robocik wspiał się po nodze stołu. Jag i Jaina nie przestawali rozprawiać o wykwintnych deserach i spierać się, do czego lepiej pić kaf, a do czego bardziej pasuje kasandryjska brandy. Tyrr westchnął. Rozmowa była taka banalna! Zaczynał już sądzić, że ten wieczór będzie musiał spisać na straty - no, może poza doskonałym posiłkiem - kiedy kamerze udało się wreszcie wdrapać na stół i skryć w liściach bukietu stojącego na środku.

Kobieta przy stole nie była Jainą.

Racja, na pierwszy rzut oka ją przypominała, ale zdradzały ją zbyt szerokie usta i za długi nos. A jeśli chodzi o barwę głosu przekazywanego za pośrednictwem urządzenia, najwyraźniej wszystko było w należytym porządku. Należał po prostu nie do tej osoby co trzeba.

Tyrr szybkim ruchem skierował obiektyw robocika w drugą stronę. Czyżby Jag...

Zrobił zbliżenie na bliźnę i zorientował się, że patrzy na umiejętną charakteryzację. A więc sobowtóry... Parka przysłała na kolację swoje sobowtóry! Cóż, w wyższych sferach podobny zwyczaj był niemal tradycją. A on dał się nabrać...

Z trudem powstrzymał się, żeby nie rąbnąć pięścią w stół. Wokalistka zawodziła:

*To tylko dym i lustra, kochany,*

*Sprytna iluzja, nic więcej.*

Dym i lustra, no tak, pomyślał ze złością Tyrr. Koniec cackania się z nimi, uznał. Musi jakoś podgrzać atmosferę. Potrzebuje sensacji, czegoś, co przyćmi wszystko inne.

I zrobi wszystko, żeby to zdobyć.

Mały, niepozorny śmigacz czekał tuż pod tylnym wejściem. Drzwi pojazdu otworzyła im Tahiri Veila i para wśliznęła się do środka. Siedząca za sterami dziewczyna ruszyła natychmiast, jak tylko zajęli swoje miejsca.

- Jak poszło? - spytała.

- Wręcz błyszczojedwabście - odparła Jaina z szerokim uśmiechem.

- Ktoś dał się nabrać czy po prostu mała wprawka?

- Javis Tyrn siedział nam na ogonie - poinformował ją Jag. - Przynajmniej wiemy, że zmarnował wieczór.

Tahiri uśmiechnęła się zgryźliwie.

- Dobrze wiedzieć. Mnie też ostatnio napsuł sporo krwi. Ciągle zawraca mi głowę...

- Wcale się nie dziwię - westchnęła Jaina, krzywiąc się z niesmakiem. - Podbiłabyś jego notowania aż na orbitę.

Jag sięgnął do komunikatora.

- Hoth? Tu Posępny - rzucił. - Banth podstawiony?

- Czeka w jaskini, tak jak się umawialiśmy - potwierdziła Winter Celchu. - Gotów do drogi.

- Wspaniale. Mynock został skutecznie unieszkodliwiony. Będziemy kontynuowali operację Wiatrun zgodnie z planem.

- Powodzenia - dobiegło z głośnika. - Hoth bez odbioru.

Jaina przysłuchiwała się rozmowie z lekkim rozbawieniem. To Jag wpadł na pomysł, żeby nazwać ich nachalnego prześladowcę mynockiem, a ten przydomek wydał jej się idealny. Westchnęła i oparła głowę na ramieniu Jaga. Teraz muszą się tylko jeszcze przesiąść na kolejnego bantha - czyli śmigacz - i ich misja zakończy się sukcesem: będą mogli spędzić spokojnie noc pod przybranymi tożsamościami w małym, położonym na uboczu zajeździe dobry kawałek drogi stąd.

- A tak przy okazji - odezwała się znów Tahiri. - Dlaczego nazwaliście operację Wiatrun?

- Wiatruny - zaczął Jag, obejmując Jainę w talii - to rodzaj wodnego ptactwa z Endora. Bardzo trudno je udomowić.

Tahiri milczała przez chwilę.

- Szukaj wiatruna w polu? - domyśliła się.

- Otóż to.

Znów krótkie milczenie.

- A mówią, że nie masz poczucia humoru, Jag.

- A ja mówię - podchwycił Jag za śmiertelną powagą - że mają kiepski Wywiad.

### **Prywatne apartamenty Solo, Coruscant**

- Martwię się o Allaną - wymruczała Leia, wtulona w ramiona Hana. Leżeli na łóżku w ich sypialni. Panoramiczne okno ze zbrojonej transpastali zostawili na noc otwarte. O każdej godzinie dnia i nocy mogli podziwiać barwny, zmieniający się jak w kalejdoskopie widok coruskańskiego ruchu powietrznego. Większość istot podobny pejzaż mógł niepokoić, ale oboje Solo, uwielbiający wszelkiego rodzaju pojazdy, wręcz przeciwnie - uważali go za kojący.

- A co z nią nie tak? - wymamrotał Han. Zasypiał już, ale resztką przytomności wykrzesał z siebie zainteresowanie. Czuł, że to ważne, bo żona wydawała się bardzo spięta. - Świetnie sobie poradziła z tymi pajakami na Kessel. Jak zresztą przystało na wnuczkę Solo - dodał znacząco.

- Nie chodzi mi o tamto - wyjaśniła Leia z lekkim zniecierpliwieniem. Mówiła tak cicho, że Han ledwie ją słyszał. Zmarszczył czoło, podparł się na łokciu i delikatnie odwrócił żonę do siebie.

- Czy to ma coś wspólnego z Mocą? - spytał, już całkiem rozbudzony.

- Nie, właściwie to wręcz przeciwnie - westchnęła Leia. - Mam wrażenie, że ona potrzebuje czegoś... zwyczajnego. Po prostu normalności. A to w naszej rodzinie rzadko spotykany luksus, prawda?

- Masz rację, ale chyba się ze mną zgodzisz, że ona nie jest przeciętnym dzieckiem - przypomniał jej. - Przyszła na świat jako Chume'da, dziedziczka hapańskiego tronu, a poza tym jest córką Tenel Ka i Jacena Solo, pary potężnych Jedi. Chyba nie mogłaby być bardziej niezwykła.

Leia znów westchnęła. Wtuliła się w szeroką pierś męża i zaczęła bezwiednie wodzić po niej palcem.

- To prawda, ale musisz pamiętać, że nawet jako Chume'da miała swoje codzienne rytuały. Dom, własne droidy...

- Tu też ma droidy - zauważył trzeźwo jej mąż. - Mmm, to bardzo miłe, nie przesta... Au! - syknął boleśnie, kiedy rozdrażniona Leia pociągnęła go za włosy na piersi.

- Ano, ma - przyznała. - Po prostu... to wszystko, co się teraz dzieje, sprawia, że nie mogę przestać myśleć o moim własnym dzieciństwie. O wszystkim, dzięki czemu byłam szczęśliwa, czułam się bezpieczna i kochana.



- No tak, akurat ty miałaś całkiem zwyczajne życie - parsknął Han. - Zapomnij, księżniczko i pani senator.

Chociaż mówił z przekąsem, nie można mu było odmówić racji, więc Leia tylko westchnęła.

- To prawda - zgodziła się. - W moim życiu nie było miejsca na przeciętność. Ale też nigdy nie czułam się niepewnie, a obawiam się, że to właśnie dzieje się z Allaną.

Kiedy podniosła na Hana wzrok, jej twarz oświetliła blada poświata, rzucana przez nigdy niegasnący blask coruskańskiego nieba, rozjarzonego tysiącem neonów i lamp. Chociaż minęło już tyle lat, wciąż była taka piękna... W jej lśniących, ciemnych oczach, które nadal przyprawiały Hana o dreszcz, kiedy w nie zaglądał, migotały refleksy miliardów światła. Znow - jak zdarzało mu się to co najmniej raz w tygodniu, odkąd zakochał się w niej po uszy - pomyślał z niedowierzaniem, jaki z niego szczęściarz, że los rzucił mu w ramiona tak niesamowitą kobietę. Życie z nią u boku nigdy nie będzie nudne.

- Miałam bardzo szczęśliwe, dobre dzieciństwo - podjęła cicho Leia. - Moi rodzice świata poza sobą nie widzieli. W naszym życiu gościła oczywiście polityka, ale nikt nigdy nie cierpiał z jej powodu. Stawianie oporu Imperium nie przeszkadzało mojemu ojcu w opowiadaniu mi bajek na dobranoc, urządzaniu wspólnych wycieczek ani... - Spojrzała mężowi głęboko w oczy. Han już wiedział, że zaraz nadejdzie puenta i żona wyjawi mu prawdziwą przyczynę swojego niepokoju. Zamienił się w słuch. - ...ani cudownym, pełnym słońca popołudniem, spędzonym na przejażdżkach na grzbiecie mojej thranty.

Han czekał jeszcze przez chwilę w milczeniu, aż wreszcie zorientował się, że Leia nie ma już nic do dodania.

- Nie łapię - stwierdził, speszony. - Chyba jestem zbyt zmęczony...

- Właśnie rozpoczęły się Coruskańskie Targi Zwierząt - odparła jego żona, jakby to wszystko wyjaśniało. - Mamy kredyty, więc powinniśmy kupić Allanie coś wyjątkowego, jakieś zwierzę, w towarzystwie którego będzie mogła spędzać cudowne, pełne słońca popołudnia.

Oczy Hana przypominały wielkością spodki.

- To żart, prawda?

- Hm... obawiam się, że nie.

- Chcesz iść na Targi Zwierząt - bardziej stwierdził niż spytał Han.

Leia pokiwała głową. Na jej długich, ciemnych włosach, przetykanych siwizną, która tylko dodawała jej uroku, zalśniły światła miasta. Han zmarszczył brwi. To nie było fair... Znow musiał jej ulec.

- No dobrze, kupmy jej thrantę i będzie po sprawie - westchnął. - Coś mi się kołacze po głowie, że Lando miał na Bepinie ładną parkę. Na pewno znajdzie nam coś miłego...

- Han, thranty nie mogą żyć na Coruscant - upomniała go łagodnie żona. - Za dużo tu zanieczyszczeń.

Han jęknął cicho.

- Targi. Zwierząt - powtórzył ze znużeniem. - Rozumiem, że nie zgodzisz się, żebyśmy ją tam wysłali w towarzystwie Artoo, Threepia i kilku Jedi?

Leia pokręciła stanowczo głową, ale w jej oczach zalśniły psotne iskierki.

- Powinniśmy zabrać ją tam osobiście. - Poglaskała czule policzek męża. - Kochanie, to właśnie dzięki takim szczegółom będzie kiedyś z uśmiechem wspominała swoje dzieciństwo - szepnęła. - Nie chodzi o to, że ją tam wysłaliśmy, nie o to, że znalazła sobie zwierzątko - ale że była tam razem z nami, swoimi dziadkami...

- No ta-ak, z nami... - mruknął Han, rozżalony. - W tym najbardziej cuchnącym miejscu na planecie... Nie sądzisz, że jej perkaty nosk będzie miał dość już po trzech minutach? Bo mój na pewno.

- Założę się, że kiedy byłeś w jej wieku, podobne rzeczy wcale ci nie przeszkadzały - stwierdziła beztrosko Leia. - W każdym razie mnie na pewno, z tego, co pamiętam. Moja thranta była jednym z najbardziej cuchnących stworzeń galaktyki, a mimo to miałam bzika na jej punkcie. Taki jest już urok posiadania pupila i wiem, że Allana też na pewno zbytnio się tym nie przejmie.

Han przypomniał sobie różne stworzenia, których przyszło mu dosiadać w przeszłości: grandy, ronto, banthy i - dostarczające niezapomnianych wrażeń - tauntauny. Chociaż minęło już tyle lat, na samo wspomnienie zapachu wnętrzości jednego z tych ostatnich, wylewających się z brzucha istoty na śnieg, kiedy rozplątał go w desperackiej próbie ocalenia życia młodego Jedi, ogarniały go mdłości.

Leia ścisnęła mocniej jego ramię.

- Daj spokój. To będzie świetna zabawa! A do tego bardzo pouczające przeżycie dla małej. Beztroski dzień, spędzony wśród egzotycznych zwierząt... Nie będziemy się musieli martwić o Seffa ani... - urwała. - Allana pęknie z zachwyty, zobaczysz.

Han mruknął coś pod nosem. Na samą myśl o rozradowanej wnuczce, klaszczącej beztrosko w rączki, z bezgranicznie szczęśliwą - dla odmiany - miną, zmiękł jak wosk.

- Zgoda, ale pod jednym warunkiem - westchnął.

Leia przytuliła się do niego mocniej.

- Tak, kochanie? Co tylko zechcesz - obiecała słodko.

- Żadnych tauntaunów - zastrzegł. - Cuchną ponad wszelką miarę.

# ROZDZIAŁ 13

## Na pokładzie „Cienia Jade”

Kiedy wyskoczyli z nadprzestrzeni, rozmyte smugi białego światła znów wróciły do postaci lśniących punkcików na tle czerni kosmosu, jednak Ben nie był nimi zbyt zainteresowany. Kto zawracałby sobie głowę zwykłymi gwiazdami, kiedy przed jego oczami rozciągał się jeden z najwspanialszych widoków w galaktyce?

Dosłownie zaparło mu dech w piersi i minęła dobra chwila, zanim doszedł do siebie. Mały hologram, który pokazał mu niedawno Luke, w najmniejszym stopniu nie oddawał uroku rzeczywistości - i ani trochę nie przygotował go na to, co teraz oglądał. Jasne, widywał mgławice już nieraz i - jak większość ludzi - uważał, że są piękne. Jednak to...

Większość ekranu zajmowała lśniąca, skłębiona chmura we wszystkich kolorach tęczy - a także paru całkiem nowych. Wydawała się poruszać i pulsować, zupełnie jak żywe stworzenie; kolory nieustannie zmieniały układ. Ben miał ochotę zostać tu i patrzeć na to cudne zjawisko bez końca; był jak zahipnotyzowany.

- Niesamowite, prawda? - przerwał jego zadumę Luke. W jego głosie także brzmiała nuta podziwu i Ben poczuł się nieco lepiej; skoro nawet ojciec był pod wrażeniem widoku, to on także miał do tego pełne prawo. - Nie mam jednak złudzeń. Kiedy znajdziemy się w środku, nie będzie już tak różowo, że się tak wyrażę.

Ben pokiwał z roztargnieniem głową. Przypomniawszy sobie dzienniki, które czytał mu Luke. Regularnie pojawiały się w nich wzmianki o doznawanych w obrębie Ryftu Kathol halucynacji. Chłopiec zastanowił się, czy nie były one po części spowodowane faktem, że w stanie najwyższego zachwytu umysłowi trudno rejestrować zagrożenie. Zerknął raz jeszcze na olśniewające widowisko i przeniósł wzrok na konsolę drugiego pilota.

Luke wcisnął przycisk wysyłający sygnał na komunikator Cilghal. Kalamarianka nie odebrała; podchwycił spojrzenie syna, wzruszył ramionami i rozpoczął nagrywanie wiadomości:

- Cilghal, tu Luke - powiedział. - Przygotowujemy się właśnie z Benem do wejścia w Ryft Kathol. Zważywszy na naturę tego... zjawiska i poziom promieniowania elektromagnetycznego, na które będziemy narażeni, przypuszczam, że wszelkie próby nawiązania łączności będą bezowocne. Mimo to proszę, nie wahaj się kontaktować z nami, gdyby coś się zmieniło w sprawie Jedi. My także będziemy się starali przekazać ci wszystko, czego się dowiemy - może, przy odrobinie szczęścia, będziemy nawet mogli wysyłać raporty. W przeciwnym razie skontaktujemy się z tobą po wypełnieniu naszej misji. - Zawiesił na chwilę głos i po chwili dodał: - Niech Moc będzie z nami wszystkimi.

Słowa ojca zadziałały na Bena jak kubeł zimnej wody; dopiero teraz powaga sytuacji dotarła do

niego z całą mocą. Skoro w głosie Luke'a brzmiała niepewność, oznaczało to tylko jedno: że mogą z tej misji nie wrócić.

Szybko jednak doszedł do siebie. Cóż, trudno. Miał szesnaście lat i w swoim krótkim życiu przeszedł dotąd więcej niż ludzie trzykrotnie od niego starsi. Wypełniał już niebezpieczne misje; niektóre przeżył tylko dzięki zrządzeniu Mocy. Nieraz już śmierć zaglądała mu w oczy. Przypomniawszy sobie jedną ważną rzecz: że to nie powrót z misji jest najważniejszy. Najbardziej liczy się jej wypełnienie.

Luke spostrzegł, że syn przygląda mu się z dziwnym wyrazem twarzy, więc uśmiechnął się do niego blado.

- Lunch smakował? - spytał.

Chłopiec wybałuszył na niego oczy. Jedli jakąś godzinę temu.

- Eee, tak... A co?

- Z powrotem może już nie być taki smaczny. - Ojciec wyszczerzył do niego zęby.

- Wątpię - prychnął Ben, wyraźnie urażony.

Mistrz Jedi parsknął krótkim śmiechem i wrócił do ustawiania kontrolek, a wzrok jego syna znów powędrował do rozciągających się w dali mgieł Ryftu.

Gdzieś tam, myślał, jest planeta Aing-Tiich. Trudno ją odnaleźć, ale skoro Jacenowi się udało, nie jest to niemożliwe. Żałował, że jego kuzyn nie umieścił w Archiwach nieco bardziej szczegółowych informacji na temat swojej wizyty u tych dziwnych obcych. Wszystkiego było ledwie kilka stron, a i one nie rzucały zbyt wiele światła na rasę, cywilizację, świat Aing-Tiich. Nie mówiły też nic o tym, jak go znaleźć.

Ben jednak rozumiał, że chociaż dysponują informacjami w najlepszym razie szczątkowymi, to dzięki nim mogą nieco zawęzić obszar poszukiwań.

Po pierwsze, środowisko, w jakim żyli dziwni mnisi, musiało być odpowiednie dla ludzi, bo Jacen nie wspomniawszy ani słowem o tym, żeby do przetrwania na planecie potrzebował jakiegoś specjalnego sprzętu. U Jorja Car'dasa też nie było nic na ten temat i Ben czuł z tego powodu ogromne zadowolenie. Miał już po dziurki w nosie noszenia maski oddechowej z ciężkim plecakiem, jak na Dorinie.

Poza tym, uznał, planeta musi mieć jakiś system ochrony przed promieniowaniem, bo inaczej Aing-Tiim nie udałoby się wyewoluować tak wysoko. To oznaczało z kolei, że ich świat musi leżeć na szlaku jednego z korytarzy; na pewno nie w samym Ryfcie, w rejonach najintensywniejszego promieniowania.

I... to by było na tyle.

Reszta zależała od nich - od ich zdolności, Mocy i zwykłego farta.

Luke obliczył pierwszy skok i Ben aż unióś brwi na widok krótkiej odległości, jaką mieli przebyć. Ojciec zerknął na niego i uśmiechnął się pod nosem.

- Gotów? - spytał.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Chyba tak.

Więc skoczyli.

Ben przywykł od małego do widoku gwiazd zastępowanych przez białe linie, ale teraz... gwiazdy znikły i nie wydarzyło się nic poza tym. Oszłamiające kłębowisko gazów Ryftu tkwiło podczas ich podróży w miejscu, a kiedy znaleźli się w pierwszym korytarzu, wszystko sprawiało wrażenie, jakby...

„Cieniem Jade” zatrzęsło gwałtownie, a światła i kolory rozbłysły w oślepiającej eksplozji. Ben spróbował zapanować nad statkiem, ale równie dobrze mógł się starać uspokoić przestraszonego ronto. Nie pozostawało mu nic innego jak tylko trzymać się mocno i mieć nadzieję, że przyprawiające o mdłości drgawki wkrótce miną. Nagle przysłała mu do głowy ponura myśl, że może jego ojciec miał rację co do lunchu...

Kiedy jednak rzucił mu ukradkowe spojrzenie, Luke wydawał się spokojny i nieruchomy, jakby przyklejony do fotela pilota. Ben pomyślał półprzyciemnie, że jego ojciec korzysta pewnie z jakiegoś telekinetycznego triku; skoro mógł się w mgnieniu oka przenieść z miejsca na miejsce, wydawało się logiczne, że potrafił też tkwić jak przyrośnięty do fotela, nawet jeśli statkiem ciskało jak łupinką na wzburzonym nurcie. Nagle jednak wszystkie teorie o telekinezie poszły precz, bo czubki palców Bena przeszły przenikliwy ból.

Oderwał je gwałtownie od konsoli i przyjrzał się z niedowierzaniem czemuś, co wyglądało jak błyskawice Mocy, tańczące po pulpicie sterowniczym.. i po całym pokładzie „Cienia Jade”. Odwrócił się w stronę ojca i już miał krzyknąć, że zrobiło się jakieś paskudne spięcie, kiedy dotarło do niego, że to Luke wywołuje te wyładowania. Miniaturowe niebieskie pioruny spływały na konsolę z jego palców i nagle Ben wiedział już, co się dzieje: Luke stosował technikę *hassat-durr*, której Mędracy Baran Do nauczyli Jacena, a potem jego, Mistrza Skywalkera.

Technika piorunochronu napełniała ciało tego, co z niej korzystał bardzo słabym promieniowaniem elektromagnetycznym. Gdyby ktoś niedoświadczony użył jej podczas burzy, zostałby porażony piorunem. Ben już widział, o co tu chodzi: Luke, starając się jednocześnie utrzymać w miejscu, zmieniał „Cień Jade” w taki odwrócony piorunochron.

Po kilku chwilach, które wydawały się wiecznością, dotarło do niego, że technika *hassat-durr* działa: statek zaczynał się uspokajać, a otulająca go skwiercząca chmura nie wydawała się już tak groźna.

- Całkiem przydatne - wyrwało mu się. Przeczesał palcami zmierzwioną czuprynę i zastanowił się, ilu siniaków dorobił się w ciągu kilku ostatnich minut.

Luke otworzył oczy.

- Całkiem - potwierdził. - Powinno nam to wystarczyć, dopóki nie ocenimy rozmiarów zniszczeń i nie obliczymy następnego skoku.

- Świetnie - mruknął Ben. - Ale następnym razem uprzedź mnie, jak będziesz chciał to powtórzyć, dobra?

W miarę kolejnych skoków nabierali wprawy i wszystkie czynności, a także ich cała otoczka, stawały się rutyną. Od początku wiedzieli, że w związku z nieoczekiwanymi wydarzeniami będą musieli ustalić dyżury i sypiać na zmianę, ale żadnemu z nich to nie przeszkadzało, bo ani jeden, ani drugi nie potrzebował pełnych ośmiu godzin snu na dobę. Obaj potrafili wprawiać się w uzdrawiający trans, który mógł w ostateczności zastąpić krzepiący, niczym niezmacony sen. A Ben nie miał żadnych wątpliwości, że Ryft Kathol kwalifikuje się do kategorii „ostateczności”.

- To jak - zaczął Ben pozornie bez troski - mamy się spotkać z Aing-Tiimi?

- No... na to wygląda... - potwierdził Luke. Zastanawiał się, do czego zmierza jego syn.

- Mamy się z nimi spotkać - podjął Ben - bo Jysella Horn podróżowała po nurcie, a ty przypuszczasz, że Caedus mógł wykorzystać tę samą technikę, żeby wywołać całą tę aferę z Jedi popadającymi w obłąd?

- Nie ująłbym tego lepiej - stwierdził z lekkim rozbawieniem Luke. - Teraz pewnie powiesz mi, jak się nazywam albo kim jest moja siostra, co, mistrzu?

Chłopiec wrócił niezrażony do tematu:

- Czyli że... no, bo... Wydaje mi się, że najlepszym sposobem na zrozumienie czegoś jest nauczenie się tego...

- Oho, wiem już, do czego zmierzasz - mruknął Luke.

- Ale przecież to ty upierałeś się, żeby Mędracy Baran Do nauczyli cię techniki *hassat-durr*, chociaż nie bardzo chcieli się tego podjąć - wytknął mu syn. - Obawiali się, że możesz się przez to stać drugim Caedusem.

- Racja - zgodził się Luke.

Ben czekał na jakieś wyjaśnienia, ale ojciec nie dodał nic więcej. Przedłużające się milczenie skłoniło chłopca do ponowienia próby:

- To nie jest sama w sobie projekcja Ciemnej Strony - argumentował. - A przynajmniej nie do końca. Nie jest jednoznacznie zła, jak błyskawice Mocy czy duszenie Mocą. To znaczy... jeśli dobrze rozumiem, nie można dzięki niej zbyt wiele zmienić. Poza tym Jedi i tak potrafią w pewnym stopniu przewidywać przyszłość. To dlatego umiemy reagować tak szybko i dokonywać trafnych wyborów.

- Wykorzystujemy do tego Moc - przypomniał Luke.

- A do wędrówki po nurcie to niby nie? - wytknął mu Ben.

- Niby tak, ale... Ben, to nie jest tak jak myślisz.

- Wcale nie wiesz, co myślę - burknął nastolatek.

- Idę o zakład, że mam o tym całkiem niezłe pojęcie, bo wierz mi lub nie, sam miałem kiedyś szesnaście lat i pamiętam, jak się w takim wieku rozumuje. - Luke uśmiechnął się, żeby załagodzić narastające napięcie.

- Ale ty w wieku szesnastu lat niewiele jeszcze widziałeś - odburknął arogancko chłopiec.

- Racja - przyznał Mistrz Jedi i zaśmiał się dobrotliwie. - Mimo to pewne rzeczy w tej galaktyce są niezmiennie. Naprawdę wolałbym, żebyś nie uczył się techniki podróżowania po nurcie, Ben. - Wyciągnął rękę, ucinając protesty. - Chwileczkę, najpierw mnie posłuchaj. Nie chodzi o to, że moim zdaniem nie jesteś dość dorosły, żeby mądrze wykorzystać tę umiejętność... to nie tak. Po prostu... - urwał nagle.

Ben lekko się zachłusnął i otworzył szerzej zielone oczy.

Były dosłownie wszędzie!

I były ich setki... nie, tysiące! Wysypywały się ze wszystkich szczelin i zakamarków statku, nagle pogrążonego w nieprzeniknionym mroku; przeciskały się przez szpary, wylewały spod foteli i konsoli. Przebierały zawzięcie odnóżami, pokrywając z zawrotną prędkością każdą powierzchnię; wspinały się niezmordowanie na siedzenia pilotów, nogi Bena, jego spodnie...

- Też je widzę - odezwał się Luke, denerwująco spokojny. - To zwykła halucynacja, Ben. Pamiętaj, co ci mówiłem.

Ben pamiętał, a jakże, ale trudno było uwierzyć, że to zwykłe złudzenie, skoro czuł, jak te małe *vapolone* paskudztwa pełzają mu po nogach i rękach. Zamknął oczy i odetchnął głęboko, starając się myśleć trzeźwo, mimo że czuł dotyk tysięcy małych nóżek łąjących mu po ciele.

Po pierwsze, tłumaczył sobie, taka ilość pajaków czających się w statku na pewno nie umknęłaby ich uwagi podczas procedur przedstartowych, a nawet gdyby w jakiś sposób przeoczyli ten rój robali, to chyba powinni byli wyczuć je w Mocy - a tak się nie stało. Poza tym, na zdrowy rozum, statek nie pomieściłby takiej chmary robactwa. Wszystko wskazywało na to, że pajaki nie istnieją.

Te wnioski, pewne i rzeczowe, dotarły do jego mózgu w czasie krótszym niż sekunda. Otworzył

oczy i... zgodnie z przewidywaniami, nie zobaczył niczego niepokojącego. Odwrócił się do ojca, który skinął mu z aprobatą głową.

- Dobra robota, synu - pochwalił go. - Co widziałeś?

- Pająki - westchnął Ben, ciągle jeszcze lekko roztrzęsiony.

- Ja też - potwierdził Mistrz Skywalker.

Adrenalina powoli opuszczała ich ciała. Chwila medytacji, chociaż krótka, wstrzyknęła w żyły Bena porcję krzepiących endorfin.

- To trochę dziwne, że te halucynacje są tak częste, nie sądzisz? - zagadnął ojca. - Dlaczego ten schemat wciąż się powtarza? Myślałby kto, że można się spodziewać czegoś... bardziej indywidualnego, zakrojonego na miarę jednostki... To znaczy, jest mnóstwo rzeczy, które wytrąciłyby mnie z równowagi bardziej niż głupie pająki. - Wrócił wspomnieniami do kilku naprawdę paskudnych nocy spędzonych na Ziost parę lat wstecz, podczas których - najpierw w snach, a potem i na jawie - dziwne głosy próbowały go namówić do potwornych rzeczy... Mało brakowało, a byłby ich wtedy posłuchał. Potem pomyślał o mękach, które zadał mu jego kuzyn, próbując przekuć go w narzędzie wypełnienia swojej woli...

O, tak - Ben znał wiele rzeczy o wiele straszniejszych niż pokład pełen pajaków...

- Nie mam pojęcia - westchnął Luke. - Pewnie trzeba by zbadać promieniowanie, na które jesteśmy narażeni, i jego wpływ na organizm ludzki. Możliwe, że działa ono na ośrodek pierwotnego strachu. Na niektórych prymitywnych światach ukąszenie pająka bywa śmiertelne, tak samo jak atak innych dziwnych stworzeń. Strach to normalna reakcja w takich sytuacjach.

- Ale... to tylko robale, tato - upierał się Ben. - Jedno klepięcie i po sprawie...

Luke przyszpilił syna wzrokiem.

- Ale i tak się przestraszyłeś, prawda?

Chłopiec poczuł, że palą go policzki. Nie pierwszy raz przeklinał odziedziczoną po matce bladą cerę.

- Bb... byłem zaskoczony, to wszystko - zająknął się. - Teraz, kiedy wiem już, czego się spodziewać, będę przygotowany.

Mistrz Jedi wzruszył ramionami.

- Wiemy już, że typowe halucynacje to pająki i dziwne stworzenia. Całkiem możliwe, że to nie koniec. Musimy uważać. A to oznacza, że nie wolno nam przyjmować dziwnych, niepokojących zjawisk... nieważne, jak realne się nam wydadzą... za rzeczywistość. Mam rację?

- Tak jest - przyznał potulnie Ben.



Uznał, że nie ma sensu podejmować przerwanej przez urojony atak insektów rozmowy o wędrówce po nurcie. Wątpił, żeby znalazł argumenty przemawiające na jego korzyść w sytuacji, kiedy dopiero co wystraszył się - chociaż na tak krótko - iluzorycznego roju pajaków.

Następne kilka godzin spędzili, planując kolejne skoki. Technika *hassat-dur* opanowana przez Luke'a okazała się niezwykle pomocna, chociaż jej stosowanie w widoczny sposób wyczerpywało jego siły. Ben szybko rozgryzł system nawigowania w korytarzach Ryftu i rozciągał swoją świadomość poprzez Moc, żeby pomóc ojcu w ustalaniu trasy.

Seria krótkich skoków (czasami mieli wrażenie, że robią krok do przodu, a potem cofają się o dwa) doprowadziła ich wreszcie do skupiska planet. W tej okolicy korytarze wyraźnie się zagęszczały, co oznaczało, że mogło tu powstać i przetrwać życie. Mimo to każdy z kolejnych światów przynosił rozczarowanie. Chociaż trafiali na ślady życia, wszystkie okazywały się prymitywne i wątłe. Wkrótce w umyśle Bena zakiełkowały nieprzyjemne podejrzania.

Nie miał odwagi ich wypowiedzieć, ale wiedział, że musi spytać.

- Tato? - zagadnął wreszcie. - A co, jeśli okaże się, że się myliliśmy?

- Zawsze trzeba być przygotowanym na pomyłkę - odparł Luke. - Wszechświat wciąż nas zaskakuje. A co takiego, twoim zdaniem, mogliśmy błędnie założyć?

- Hm... - mruknął Ben. - No wiesz, wszystko wskazuje na to, że Aing-Tii mieszkają w Ryfcie Kathol. Ale co będzie, jeśli się okaże, że to pomyłka? Jeśli to tylko domysły?

- Dobre pytanie - westchnął Luke. - Ale to ty nauczyłeś mnie, żeby trzymać się twardych dowodów, pamiętasz? Skoro wszystko wskazuje na to, że gnieźdzą się gdzieś tutaj, to chyba właśnie tu powinniśmy ich szukać, nie sądzisz?

- Noo... tak, w zwykłych okolicznościach - przyznał z powątpiewaniem chłopiec. - Ale na razie na nic nie trafiliśmy, prawda?

Luke przyjrzał mu się wnikliwie.

- Masz rację. Masz lepszy pomysł?

- Eee, no... nie. Nie mam. - Chociaż Ben czuł się niezbyt pewnie, cieszył się też, że jego ojciec otwarcie przyznał, że czegoś się od niego nauczył, a w dodatku sam nie widzi lepszego wyjścia z sytuacji. - Chyba jednak musimy trzymać się dowodów.

Luke uśmiechnął się szeroko.

- No to zostaliśmy przy dowodach. Na razie wystarczy. Mamy przecież całe dziesięć lat na ich zbadanie!

Ben skrzywił się z niesmakiem.

Tym razem Luke pozwolił mu osobiście obliczyć skok, upewniając się jednak, że syn nie popełnił błędu. Mimo to planetę, na którą trafili, mogli od razu skreślić z listy. Wkrótce Ben zrobił sobie przerwę, żeby coś przekąsić i zapaść na jakieś dwadzieścia minut w uzdrawiający trans, a potem zmienił ojca.

Luke zwolnił fotel pilota, poklepał chłopca po plecach i ruszył do mesy, żeby też coś przegryźć.

Chociaż Ben nie przyznałby się do tego nawet przed samym sobą, zaczynał się nudzić. Koncentracja na wykonywanych czynnościach wymagała od niego dużego wysiłku. Wiedział aż za dobrze, że kiedy człowiek się nudzi, zaczyna działać bezmyślnie - a wtedy często dzieją się Złe Rzeczy. Teraz czuł się odprężony, syty i czujny; jego umysł błędził gdzieś daleko, ale chłopiec wciąż pamiętał, że muszą odnaleźć Aing-Tiich. Chociaż Luke traktował ich misję zaskakująco beztrzesko, a widok za iluminatorami zapierał dech w piersi, Ben wcale nie miał ochoty spędzić następnych kilku lat na skakaniu z korytarza w korytarz.

Nagle kabinę wypełnił jazgotliwy pisk, światełka na konsoli zaczęły mrugać jak oszalałe, a statkiem wstrząsnęło gwałtownie, chociaż nie wpadli w sztorm.

- Co u... - wyrwało się Benowi, ale nie dokończył, zaabsorbowany próbą zapanowania nad statkiem i nad własnymi nerwami. Najwyraźniej jednak jego silna wola postanowiła wziąć sobie wolne.

Patrzył w osłupieniu na odczyty na konsoli, informujące, że zamiast labiryntów Ryftu Kathol są w pobliżu Coruscant... Chwilę później systemy statku ostrzegły go, że „Cień Jade” za chwilę zostanie rozpylony na atomy, a potem jacht zaczął odbierać sygnały stacjonujących w pobliżu statków... po których jak okiem sięgnąć nie było śladu.

Następna iluzja, uprzytomnił sobie Ben i prawie się uśmiechnął. Może właśnie takie kaprysy przekazywał Ryft - najpierw bardzo ogólne halucynacje, a potem, w miarę zbliżania się do celu, coraz bardziej specyficzne? Z drugiej strony musiał przyznać, że cała ta sztuczka z Coruscant wydawała się trochę nie na miejscu, skoro znał tę planetę jak własną kieszeń i...

Luke wbiegł do kabiny, opadł na fotel drugiego pilota i zaczął pospiesznie ustawiać kontrolki. Ben czuł, jak jego ojciec rozciąga zmysły w Mocy i nie minęła chwila, a statek zaczął się uspokajać, całkiem jak udomowione zwierzę pod ręką swojego pana.

- Ojej... - wyrwało się Benowi. - Czy to znaczy... To nie było złudzenie?

- Nie - potwierdził Luke, mrużąc oczy i przyglądając się bacznie odczytom na wyświetlaczu. - Ale wcale się nie dziwię, że tak pomyślałeś. - Według danych wyświetlanych na ekranie zbliżali się właśnie do Tatooine. Do nich zaś zbliżał się jakiś statek.

Bez ostrzeżenia wszystko wokół rozblęskło oślepiającym blaskiem i nagle jednostka, której pojawienie się zwiastowała konsola, znalazła się przed ich dziobem.

Statek był ogromny, kanciasty i pojawił się dosłownie znikąd. Wisiał tuż nad nimi. Przez chwilę

nasuwał Benowi nieprzyjemne skojarzenia ze statkami Yuuzhan Vongów, ale ich pojazdy były organiczne, a to tutaj... coś przypominało latającą skałę. Kształt miało z grubsza kulisty, ale daleko mu było do sfery. Zewsząd w chaotycznym układzie sterczały dziwne wypustki (szczeliny wylotowe? dysze silników?). Poszycie tworzyły grube płyty, pokryte jakimś pismem czy symbolami. Statek schodził powoli w ich stronę.

- Hm, wygląda na to, że możemy przerwać nasze poszukiwania - mruknął Luke. - Aing-Tii sami nas znaleźli.

Cóż, wszystko na to wskazywało. Statki Sanhedrynu mogły się przemieszczać z miejsca na miejsce w mgnieniu oka i najwyraźniej dysponowały umiejętnością zakłócania albo wpływania na odczyty czujników. Kiedy już nieco przejaśniło mu się w głowie, Ben uświadomił sobie, że patrzył na zmagazynowane w systemie statku informacje o planetach, nie na odczyty czujników.

- Jeśli nie możesz ufać oczom... - powiedział Luke.

- Zaufaj Mocy - dokończył za niego Ben.

Odetchnął z ulgą i otworzył umysł, wysyłając wici Mocy, która kiedyś tak go przerażała, a teraz była dlań źródłem siły, wiedzy i spokoju.

Chwilę to trwało, ale wreszcie zdołał skupić myśli na majaczącej nad nimi, potężnej bryle. Statek nie zamierzał ich zaatakować, ale nie miał też zamiaru ruszyć się z miejsca. Ben był pewien, że Aing-Tii przypatrywali się im z taką samą uwagą, z jaką on i Luke obserwowali ich statek.

I wtedy ich poczuł.

Doznanie nie przypominało niczego, co do tej pory odbierał poprzez Moc. Odnosił wrażenie, że ich aury... falują, drgają w Mocy, całkiem jakby istoty nie były jej częścią, chociaż Ben wiedział, że wszystko, co żyje, należy do niej. Byli, a chwilę później znikali - a czasem oba te stany zachodziły na siebie. Próba pojęcia tego zjawiska zaczynała przyprawiać Bena o ból głowy.

Czuł, że jego ojciec sięga poprzez Moc. Jego silną, jasną, przesyconą spokojem aurę trudno było pomylić z cymkolwiek innym. Milczał, ale emanował otwartością i dobrymi zamiarami. Ben zerknął na niego ukradkiem: Luke stał bez ruchu i chociaż oczy miał szeroko otwarte, nie patrzył na nic konkretnego. Koncentrował się na czymś niewidocznym, ukrytym przed wzrokiem.

Wkrótce nadeszła odpowiedź - i była tak silna, że prawie ich ścięło z nóg.

Nie było w niej co prawda wrogości, za to coś na kształt niechęci. Skywalkerowie nie byli tu mile widziani, chociaż nikt nie zamierzał ich wyganiać. Cóż, przynajmniej na razie.

Czekała ich próba. Musieli udowodnić, że są godni obcowania z Aing-Tiimi. Wkrótce fala emocji nieco złagodniała i do Bena dotarło, że jakimś cudem ci obcy już wiedzieli, po co Skywalkerowie przybyli. Teraz dawano im szansę na wyjaśnienie pobudek, które ich tu przygnały. Łagodność znikła jednak szybko i bez śladu, zastąpiona chłodem i... oschłością? Ben zrozumiał przesłanie: jeśli nie przejdą próby pomyślnie, zostaną wydaleny - i wiedział z niezachwianą pewnością, że owo

wydalenie nie będzie niczym przyjemnym.

Czuł, że jego ojciec zgadza się na test. Po chwili Luke zaczerpnął głęboko tchu i wycofał się z Mocy. Mimo to syn wciąż czuł jego obecność. Wiedział, że zdoła ją wyczuć zawsze i wszędzie, dopóki oczywiście jego ojciec będzie sobie tego życzył. Jemu samemu także zdarzało się czasem ukrywać w Mocy.

Wyłumił zmysły, wycofał je z więzi ze statkiem i przetarł ze znużeniem oczy.

- Zgodziłeś się na ich próbę - stwierdził.

- Raczej nie mieliśmy wyboru - odparł Luke.

- Cóż, chyba tak. Ale jak mamy tra...

Ekran zamigotał i pojawiły się na nim współrzędne.

- To chyba nie będzie problemem - mruknął Luke. - W drogę.

# ROZDZIAŁ 14

## Na pokładzie „Cienia Jade”

Po niezliczonych trudach, domysłach i długich, nadludzkich wysiłkach zapanowania nad statkiem, obecna sytuacja wydawała się prawie komfortowa.

Jak tylko przystali na propozycję Aing-Tiich, otrzymali dane dla serii skoków, które okazały się zaskakująco proste.

- Wiesz, tato, nie mogę uwierzyć, że sami na to nie wpadliśmy - bąknął przy trzecim Ben.

- Mam dziwne wrażenie, że ostatnie parę dni spędziliśmy na kombinowaniu, a mimo to nie wymyśliliśmy nic mądrego - stwierdził z lekkim rozbawieniem Luke. - Poza tym nie mieliśmy żadnego konkretnego punktu odniesienia. Staraliśmy się tylko zacieśnić możliwie jak najbardziej obszar naszych poszukiwań - przypomniał synowi.

Ben westchnął.

- Wiem... Po prostu trochę mi głupio. Teraz to się wydaje takie oczywiste...

- Kiedy patrzysz na coś z drugiej strony, na ogół wydaje ci się to oczywiste - odparł Luke. - Zresztą gdybyśmy zjawili się niespodziewanie na orbicie planety Aing-Tiich, niewykluczone, że zaatakowałyby nas, a może nawet zabili, zanim jeszcze zdążylibyśmy się przedstawić.

Ben podniósł ręce do góry w geście kapitulacji i parsknął śmiechem.

- No dobra, wygrałeś. Nie wiem, po co ci był Nawara Ven, skoro sam potrafisz tak świetnie się bronić.

Umilkli, kiedy okazało się, że ostatni skok wyniósł ich nie na orbitę tętniącej życiem planety, ale na niewielki, opustoszały księżyc.

- Tato? - przerwał ciszę Ben. - Jak myślisz, czy to pułapka?

Luke pokręcił z namysłem głową.

- Nie - zaprzeczył. - Gdyby chcieli nas zabić, zrobiliby to wcześniej. Miałem nadzieję, że próba odbędzie się na ich planecie, ale najwyraźniej wybrali właśnie to miejsce.

Ben manipulował przez chwilę przy kontrolkach. Księżyc wyglądał na skalisty i niegościnnie.

- Na szczęście dla nas ma atmosferę tlenowo-azotową, chociaż poziom tlenu jest ciut za niski - poinformował ojca. - Nie będziemy też w pełni chronieni przed promieniowaniem

elektromagnetycznym Ryftu, ale dzięki technice *hassat-durr* powinniśmy być w miarę bezpieczni... - dodał, chociaż w jego głosie brzmiała niepewność.

- Czy będziemy potrzebować masek tlenowych?

- Nie. - Całe szczęście, dodał w duchu Ben. - Kilka godzin poza „Cieniem” nie powinno nam zaszkodzić. O, mam tu odczyt jakiejś formy życia. Wygląda na ssaka...

- Nasz komitet powitalny - zgodził Luke - i pewnie jednocześnie komisja oceniająca nasz test.

Powierzchnia księżycy okazała się dokładnie tak skalista, na jaką wyglądała z kosmosu. Kiedy ostrożnie schodzili do lądowania, kierując się niezwykle dokładnymi wytycznymi, które im przekazano, spostrzegli statek Aing-Tiich. Nie musieli mu się długo przyglądać - gołym okiem było widać, że stworzono go na wzór statku Sanhedrynu, który spotkali wcześniej. Był jednak niniejszy i budził u Bena niepokojące skojarzenia z żywym organizmem. Powierzchnia zbliżonego kształtem do jaja pojazdu była najeżona wypustkami, ale nigdzie nie było widać wjazdu ani rampy. Nie widzieli też śladu przedstawiciela Aing-Tiich, który - jak sądzili - wyjdzie im na spotkanie. Wymienili zakłopotane spojrzenia.

- Może pojawi się, kiedy udowodnimy, że przybywamy w dobrej wierze? - zasugerował Luke.

- Mam taką nadzieję. To wszystko jest jakieś... pokręcone - skwitował Ben.

- Nie da się ukryć.

Luke posadził „Cień” na skalistym podłożu, niedaleko - ale i nie za blisko - statku ich gospodarzy. Ben zamierzał zabrać ze sobą tylko pelerynę. Po wizycie na Dorinie, podczas której był zmuszony nosić maskę tlenową i ciężki pojemnik z tlenem, był zdecydowany nosić przy sobie tylko niezbędne minimum.

- Zostaw miecz - poradził mu Luke, odpinając od pasa własną broń. - Przybywamy w pokoju.

- A jeśli nas sprowokują?

- Jeżeli będziemy zmuszeni do obrony, posłużymy się Mocą. Pamiętaj, że sam Yoda wysłał do nich chorego człowieka. Wątpię, żeby zamierzali nas atakować.

Najwyraźniej Ben wcale nie był tego taki pewien.

- Ta-a, mają też głupi zwyczaj wyskakiwania znikąd i taranowania cudzych statków - dodał z przekąsem, ale zostawił miecz.

Ledwie wyszli ze statku i zaczęli schodzić po rampie, zakręciło mu się w głowie, ale niezbyt mocno. Szli powoli, dając Aing-Tiim mnóstwo czasu na opuszczenie ich pojazdu. W jego pobliżu leżało kilka szarych głazów. Ben się zastanawiał, dlaczego ich gospodarze wybrali właśnie taką okolicę, skoro kilkaset metrów na północ rozciągał się teren zdecydowanie mniej skalisty.

W miarę jak się zbliżali, Luke zwalniał. W pewnej chwili zmarszczył brwi - był chyba tak samo skonsternowany jak syn.

- Może to część naszej próby? - mruknął i wtedy jedna ze skał się poruszyła.

Nieskończenie powoli szary kształt rozwinął się w długi ogon, dwie silne tylne i dwie krótkie przednie łapy. Na końcu podniósł duży łeb, osadzony na giętkiej szyi. Stworzenie przyjrzało im się ogromnymi, ciemnymi oczami, zawinęło ogon pod siebie i usiadło na tylnych łapach. Ben wiedział instynktownie, że istota ujawniała swoją obecność tak powoli specjalnie, ze względu na nich. Pewnie mogła się przekształcić z formy przypominającej kawał skały do zwykłej postaci w mgnieniu oka. Nawet teraz, kiedy po prostu siedziała, zlewała się z otoczeniem.

Ich gospodarz wyglądał o wiele bardziej imponująco niż na holograficznych obrazkach, które oglądali. W pokrywającym go pancerzu i w sposobie, w jaki siedział całkiem nieruchomo, było coś niepokojącego. Ben zerknął na ojca. Ten skłonił z szacunkiem głowę, więc chłopiec poszedł w jego ślady.

- Jestem Jedi Luke Skywalker - przemówił Mistrz Jedi. - A to mój syn, Ben. Dziękujemy, że zechciałeś się z nami spotkać. Przybywamy zgodnie z obietnicą, żeby podjąć wasze wyzwanie.

Czekali, ale istota ani drgnęła. Ben przyglądał się geometrycznym kształtom płytek pokrywającego ją pancerza. Przypominały płyty poszycia statku Sanhedrynu. Z tak bliskiej odległości dostrzegł też, że pokrywające pancerz wzory nie zostały namalowane, ale wytrawione i zabarwione. Zastanawiał się, czy to bolało. A może pancerz nie był skórą, tylko czymś w rodzaju zbroi albo egzoszkieletu?

- Wątpię, żeby on rozumiał basie, tato - szepnął po kilku minutach męczącej ciszy.

- Też mi się tak zdaje - zgodził się Luke.

Chłopiec zerknął na statek za plecami obcego.

- Wydają się zaawansowani technologicznie - zauważył. - Poza tym już wcześniej komunikowali się z ludźmi. Dlaczego więc nie skorzysta z jakiegoś urządzenia? Jak zamierza nam powiedzieć, czego od nas oczekują?

Luke uśmiechnął się lekko.

- Idę o zakład, że tym, czego od nas oczekują, jest właśnie znalezienie sposobu na skontaktowanie się z nimi bez pomocy technologii. Co rzeczywiście jest sporym wyzwaniem, zważywszy na fakt, że Aing-Tii porozumiewają się ze sobą zmysłem smaku, węchu i dotyku - dodał.

Ich tajemniczy gospodarz jakby zrozumiał, o czym mówią, bo otworzył nagle paszczę, wysunął w ich stronę sześć cienkich zielonych witek i zatrzepotał nimi dziko.

- A niech mnie... - wyrwało się Benowi, ale zaraz przypomniał sobie, że może istota rzeczywiście ich rozumie i zarumienił się lekko.

Obcy wciągnął języki i dalej trwał nieruchomo, jakby nigdy nic.

- Jak mamy się nauczyć jego języka? - parsknął jakiś czas później poirytowany Ben. Prędeż by szczeł, zanim by to przyznał, ale nagły ruch przypominającej kamienną statuetkę istoty - nie mówiąc już o zielonych językach - odrobinę go przeraził.

- Nie nauczymy się - odparł cicho Luke, nie spuszczać wzroku z ciemnych, lśniących oczu Aing-Tii. - Nie nauczymy się jego języka, tak jak on nie nauczy się naszego - powtórzył.

- Ale musimy się jakoś poro... - Ben zamrugał gwałtownie. - Zaraz, zaraz. Skąd wiesz, że to on?

- Z tego samego źródła, dzięki któremu się z nim porozumiewam - wyjaśnił Luke. Jego głos brzmiał łagodnie, nieco głębiej niż zwykle i chociaż ojciec wciąż wbijał wzrok w przedziwne stworzenie, Ben zdał sobie sprawę, że w istocie wcale go nie widzi. Mistrz Jedi postąpił kilka kroków w stronę Aing-Tii i usiadł przed nim na kamienistej ziemi. Przed nim..

Nagle Ben zrozumiał.

Bez słowa dołączył do ojca, krzyżując nogi na ziemi, i podniósł wzrok na dziwną istotę (mimo że siedział, Aing-Tii był wyższy od nich). Jego wzrok złagodniał, ale chłopiec nie zamknął oczu. Chociaż atmosfera była rozrzedzona, spowolnił tempo oddychania.

Poczuł, że Luke wsuwa dłoń w jego rękę. Najwyraźniej objęcie ochronną techniką *hassat-durr* wymagało kontaktu fizycznego. Nie przywykł co prawda do trzymania ojca za rękę, ale był wdzięczny za ochronę, którą rodzic mu zapewniał. Poczuł lekkie mrowienie i obecność Luke'a w Mocy zajaśniała jeszcze silniejszym blaskiem niż zwykle. Mistrza Skywalkera łatwo było wyczuć każdemu choć trochę wrażliwemu na Moc, a więź z synem pozwoliła im się zjednoczyć w niej niemal natychmiast.

Mimo to Ben nie wyczuwał siedzącej przed nim istoty. Ciekaw był, czy Aing-Tii korzysta z tej samej techniki maskowania, którą czasem stosował on sam. Był trochę zakłopotany, chociaż wierzył w mądrość ojca. Wciąż targały nim jednak wątpliwości. Dlaczego, skoro ten dziwny przybysz naprawdę chciał się z nimi skontaktować poprzez Moc...

Nagle doznał olśnienia. Czuł Aing-Tii równie silnie jak Luke<sup>^</sup>, ale całkiem inaczej. Doznanie było dziwne, nowe, świeże... Tadar'Ro, dotarło do niego bez ostrzeżenia (bo tak nazywał się ich gospodarz) używał Mocy w całkiem inny sposób niż te, z którymi Ben spotkał się dotychczas. Jego obecność była jakby rozszczepiona, ale nie w sensie negatywnym, nic podobnego. Ów rozłam nie miał nic wspólnego z rozdarcie; był skutkiem wyboru, powołania. Ben czuł się trochę tak, jakby tożsamość Tadar'Ro była czymś w rodzaju wielowątkowej tkaniny, a Aing-Tii pozwalał Skywalkerom poznać ją i zrozumieć.

Podobnego uczucia doznawał, kiedy ludzie gaśli w Mocy. Tamto doznanie nie należało do najprzyjemniejszych, zdążył już jednak do niego przywyknąć. Wiedział, że Jedi, po którym odziedziczył imię, Obi-Wan „Ben” Kenobi, zasłał, kiedy Gwiazda Śmierci zniszczyła Alderaana. Tyle śmierci naraz musiało silnie oddziaływać na psychikę osoby wrażliwej na Moc.



Jednak to, co przeżywał teraz Ben, chociaż w pewnym sensie porażające, nie było wcale straszne ani nieprzyjemne. Zdał sobie sprawę, że zaczął oddychać szybciej - i to nie tylko z powodu rozrzedzonej atmosfery. Czuł, że obecność Tadar'Ro staje się coraz bardziej intensywna, przytłaczająca i...

Nie miał wyboru. Nie mógł tego dłużej znieść. Pospiesznie wycofał się i zamknął na Moc. Całkiem.

Zauważył, że poci się obficie i dygocze jak w febrze. Odwrócił się do ojca, który podniósł uspokajającym gestem dłoni.

- Idź na pokład „Cienia” - polecił synowi, wciąż utrzymując kontakt wzrokowy z Tadar'Ro. - Wkrótce do ciebie dołączę.

Ben znów poczuł, że się rumieni. Było mu wstyd, że nie zdał tego dziwnego egzaminu.

Wstał i posłusznie wrócił na statek. Wchodząc na rampę obejrzał się przez ramię i zobaczył, że długie zielone języki Tadar'Ro omiatają podniesioną twarz jego ojca.

Ben z ulgą powitał znajomą, przyjemnie sztuczną atmosferę na statku matki. Na pokładzie zajął się znów studiowaniem danych o Aing-Tiich w ramach pokuty za swoją porażkę - i wkrótce dotarło do niego, jak niewiele z tych informacji ma dla nich jakąś wymierną wartość. Zniechęcony, włączył sobie holofilm. Oglądał go z poczuciem winy, ale był zbyt roztrzęsiony, żeby zająć się czymś innym.

Na wpół leżał w dopasowującym się do ciała fotelu i rozmyślał o wydarzeniach dzisiejszego dnia, jednym okiem śledząc akcję na ekranie, kiedy usłyszał, że drzwi do statku się rozsuwają.

- Ben? - zawołał Luke.

Wyłączył szybko film.

- No i co, tato? Jak poszło? - spytał. - Co on ci robił? Przepraszam, że nie...

- Dobrze się spisałeś - uspokoił go Luke. - Sam nigdy nie doświadczyłem niczego chociaż odrobinę przypominającego to, co próbował mi przekazać Tadar'Ro.

Wyglądał na wyczerpanego i to spostrzeżenie oderwało myśli Bena od własnej porażki.

- A więc udało ci się z nim porozumieć?

Luke nalał sobie wody, wypił całą szklanekę, napełnił ją znowu i opadł na krzesło obok syna. Chłopiec dostrzegł nagle zmarszczki na twarzy ojca i siwe pasemka w jego jasnych włosach. Palce zamknięte na szklance były silne, pokryte zgrubieniami i bliznami. W tej chwili Luke Skywalker sprawiał wrażenie kruchej, śmiertelnej istoty i Ben poczuł się z tego powodu dziwnie niezręcznie, jednak zaraz przypomniał sobie, jak sam się czuł, przebywając - o wiele krócej przecież - w atmosferze księżycy. Powtórzył więc sobie w myśli, że jego ojcu nic nie jest. Był po prostu zmęczony.

A przynajmniej taką miał nadzieję.

- Tak, chociaż było to dość wyczerpujące - westchnął Luke.

- To bardzo... obca rasa, nie sądzisz? - zagadnął Ben.

Ojciec zaśmiał się cicho i upił łyk wody.

- Bardzo - potwierdził. - To naprawdę niesamowite. Rozumiem już, dlaczego tak mocno zaintrygowali Jacena. Są... cóż, nie przypominają nikogo, kogo do tej pory spotkałem.

- Czy to znaczy - podjął Ben, starając się brzmieć beztrosko - że będziemy mieli okazję poznać innych, czy też jestem skazany na następną porcję marnych holofilmów?

- Ujmę to tak - odparł Luke - będziesz się musiał przyzwyczaić, że ktoś cię liże.

# ROZDZIAŁ 15

## Na pokładzie „Cienia Jade”

- To nie jest telepatia, prawda? - spytał Ben, wpisując do komputera pokładowego współrzędne skoku dostarczone im przez Tadar’Ro.

- Nie - przyznał Luke. - To coś zupełnie innego od tego, co czują Jedi, próbując poznać kogoś poprzez Moc. Wygląda na to, że oni rozumieją basie, a przynajmniej niektóre wyrażenia.

- Ale jak będziemy z nimi rozmawiać? - zmartwił się chłopiec. - To znaczy... te ich języki i w ogóle... Chyba nie damy rady powtórzyć tej ich sztuczki, co?

- Z tego, co rozumiem, Tadar’Ro nie przewiduje żadnych problemów związanych z naszym pobytym u nich. - Luke wzruszył ramionami, a Ben zmarszczył brwi. Wiedział, że czasem należało po prostu pogodzić się z tym, co przynosił los, ale... jego ojciec potrafił być czasem tak enigmatyczny!

Luke zauważył jego zakłopotanie.

- Nie patrz tak na mnie - parsknął. - Wiem tyle co i ty.

Seria skoków okazała się równie prosta i niekłopotliwa co te ostatnie. Tadar’Ro, oprócz współrzędnych, podał im również czasy. Wszystko było wyliczone co do sekundy.

- A więc to tak sobie radzą - mruknął Ben. - Wiedzą, kiedy mogą bezpiecznie wskoczyć w konkretny korytarz. Myślisz, że to ma coś wspólnego z wędrówką po nurcie?

Przeciężni Jedi potrafili w mniejszym lub większym stopniu przewidywać przyszłość - na tyle, żeby zyskać lekką przewagę w walce, ale Benowi przyszedł do głowy przypadek Jyselli Horn, która wiedziała dokładnie, gdzie i kiedy pojawiają się droidy ochroniarze.

- To całkiem możliwe - przyznał Luke. - Jestem pewien, że dowiemy się tego, kiedy przyjdzie pora. Teraz musimy się skupić na skokach.

Ben westchnął w duchu. Najwyraźniej ojciec nie był jeszcze gotów do podjęcia ich przerwanej rozmowy o wędrówce po nurcie. Czuł jednak podświadomie, że ma rację. A skoro Tadar’Ro zadał sobie trud, żeby tak dokładnie obliczyć czas ich skoków, powinni to uszanować.

Kiedy zakończyli ostatni skok, ich oczom ukazała się równina zaskakująco podobna do krajobrazu księżycy, na który Tadar’Ro skierował ich wcześniej. Atmosfera także przypominała tę księżycową, ale promieniowanie Ryftu było trochę lżejsze. Prócz tego na tym nowym świecie rozwinęły się formy życia. Ben widział plamy wody i porozrzucone tu i ówdzie między pasmami skał splechki zieleni.

- No to jesteśmy - rzucił. - Co teraz?

Jak za dotknięciem magicznej różdżki, po ekranie ich komputera pokładowego zaczęły się przewijać koordynaty.

- Wylądujemy i przekonamy się sami - odparł Luke.

Siedliska Aing-Tiich zdecydowanie wyglądały jak miasta, ale widać było, że istoty, do których przybyli po pomoc, próbują żyć w zgodzie ze środowiskiem naturalnym. Ich domy - tak jak oni sami - były dopasowane do krajobrazu. Lądowisko, położone w pobliżu jednej z mniejszych osad, mieściło się w kanionie, otoczone ze wszystkich stron stromymi, prawie pionowymi kamiennymi ścianami. Widok przypominał Luke'owi jego rodzinną Tatooine, surową i bezlitosną. Plamki zieleni, znaczące doliny w okolicach rzek, były nieliczne, i - o dziwo - niezamieszkałe. Wyglądało to, jakby ta niezwykła rasa celowo wybierała trudniejsze rejony planety, jakby świadomie dążyła do podjęcia wyzwania rzuconego im przez to niegościnnie środowisko. W porównaniu do gorącej, pustynnej Tatooine świat Aing-Tiich był zdecydowanie zimniejszy i bardziej skalisty. Mimo to im bardziej zbliżali się do planety, Luke dostrzegał coraz więcej znajomych kształtów urządzeń, zaprojektowanych z myślą o gromadzeniu wilgoci. Nie była to co prawda aparatura identyczna z tą, w otoczeniu której dorastał, ale kształty skraplaczy były na tyle podobne, żeby rozwiać jego wątpliwości. Przez chwilę wpatrywał się w nie, targany nostalgią i niepokojem, czekając, aż bolesne uczucia odejdą.

Lądując „Cieniem Jade” na skalistej równinie, wyczuł tutejszych mieszkańców. Chociaż przez lata tułaczki po galaktyce przywykł do obcowania poprzez Moc z wieloma istotami naraz, emanacja Aing-Tiich wytrąciła go na chwilę z równowagi. Tak jak wspomniał synowi, w ich obecności w Mocy czuło się coś... niezwykłego.

Tadar'Ro już na nich czekał; kiedy opuścili rampę i wyszli ze statku, stał cierpliwie, bez ruchu. W każdej ze szponiastych łap trzymał cylindryczny metalowy przedmiot, zakończony zaokrągloną kopułką, a do piersi miał przymocowane płaskie okrągłe urządzenie wielkości pięści Luke'a, otoczone migającymi światełkami.

Skywalkerowie podeszli do niego, skinęli na powitanie głowami i czekali w milczeniu. Wkrótce ich gospodarz podniósł jeden z dziwnych metalowych prętów, wskazał półkulę na jej końcu i podniósł ją do pyska, a potem podał Luke'owi.

- Wygląda jak jakiś mikrofon - szepnął Ben. Mistrz Jedi skinął głową, zbliżył urządzenie do ust i podniósł wzrok na ich gospodarza.

- Czy dzięki temu będziemy mogli z tobą rozmawiać? - spytał.

Tadar'Ro wolno pokiwał osadzonym na długiej szyi łbem. Gest wyglądał nienaturalnie, ale niewątpliwie oznaczał potwierdzenie. Obcy podniósł drugie urządzenie do pyska, otworzył usta i wysunął komplet zielonych języków. Do każdego z nich przymocowano niewielki lśniący mechanizm. Omiótł nimi końcówkę „mikrofonu”.

- Tak - odezwał się ludzkim męskim głosem, brzmiącym odrobinę metalicznie, jak u androida. Dźwięk dobiegał z okrągłej aparatury umieszczonej na jego piersi. Ben i Luke wymienili zaskoczone spojrzenia. - Swego czasu opiekowaliśmy się jednym z was - wyjaśnił Tadar'Ro. - To dzięki jego wiedzy o waszym języku udało nam się stworzyć to urządzenie, które pozwala nam z wami rozmawiać.

- Bardzo mnie to cieszy - powiedział Luke do „mikrofonu”. Jego ulga była widoczna gołym okiem. Zaczynał się już poważnie martwić, jak zdołają pokonać dzielącą ich barierę językową.

- Jak to działa? - spytał Ben, łypiąc podejrzliwie na aparaturę.

- Komunikujemy się dzięki feromonom - wyjaśnił Tadar'Ro. - To dość skomplikowany proces, ale ten sprzęt dokonuje analizy emitowanych przez nas feromonów i znajduje dla nich odpowiedniki w basicu. A teraz... chodźcie. Czekają na was. - Odwrócił się do nich plecami i ruszył żwawo przed siebie, kierując się w stronę wąskiego kanionu w kamienistym krajobrazie. Luke i Ben podążyli za nim.

W rozrzedzonej atmosferze planety ten krótki spacer okazał się bardzo wyczerpujący i Luke niebawem sięgnął po Moc, żeby dostarczyć ciału więcej tlenu. Ben także zaczynał dyszeć.

W miarę zbliżania się do wyjścia z kanionu Mistrz Jedi był coraz bardziej pewny, że poszarpane skaliste twory, które ich otaczają, nie zostały ukształtowane przez naturę. Zbliżali się do miasta. Chociaż w otaczającym ich krajobrazie dało się dostrzec ślady cywilizacji, wciąż sprawiał wrażenie dzikiego i niedostępnego.

Wkrótce jednak dostrzegli szpaler stojących bez ruchu Aing-Tiich. Wszyscy wlepiali w nich denerwująco nieruchome ciemne oczy.

- Przemówią teraz do was - odezwał się Tadar'Ro. - Powinniście im odpowiedzieć zdaniem wypowiedzianym przez Rannego: „Niech się dzieje wola Tych, Którzy Mieszkają za Zasłoną”.

Skywalkerowie pokiwali zgodnie głowami. Luke zrobił krok naprzód, stając przed pierwszym Aing-Tiim. Zauważył, że żaden z obecnych nie miał noszonego przez ich przewodnika urządzenia, tłumaczącego basie na miejscowy język. Potężny samiec, przed którym stanął, miał wyszczerbiony pancerz pokryty znakami, które wyglądały na bardzo stare. Wyczuwając, że ma do czynienia ze starszym ludem, Luke skłonił się z szacunkiem i odczekał chwilę, aż w głowie pojawi mu się imię istoty, ale tak się nie stało. Najwyraźniej tylko Tadar'Ro był skłonny im się przedstawić.

Czekał cierpliwie, podczas gdy Aing-Tii badał jego twarz. Nie sprawiło mu to przykrości, bo zielone języki nie były właściwie mokre, a ich dotyk okazał się łagodny, wręcz aksamitny. Bez urządzenia translacyjnego Luke nie miał pojęcia, co istota próbuje im przekazać. Nie wyczuwał jednak wrogości, a jedynie promieniującą od starszego grupy ostrożność.

Wreszcie Aing-Tii schował języki i zastygł w bezruchu, najwyraźniej czekając na odpowiedź Luke'a.

- Niech się dzieje wola Tych, Którzy Mieszkają za Zasłoną - powiedział Mistrz Skywalker, skłaniając lekko głowę, i podszedł do następnej istoty w szeregu, samicy w podeszłym wieku. Promieniujące od niej emocje były silne; w jej odczuciu nie był tu mile widzianym gościem. Kątem oka widział, jak jego syn wzdraga się lekko, kiedy języki pierwszego ze starszych zatańczyły po jego twarzy. Biedny Ben, pomyślał Luke. Gdyby on sam w wieku syna musiał przechodzić przez coś takiego, na pewno nie czułby się komfortowo. Był dumny z własnego dziecka, które znosiło dziwny rytuał bez słowa protestu - jego aurę w Mocy zabarwiała tylko nieznaczna niechęć.

Dotyk języków starszej istoty płci żeńskiej był osobliwie chłodny - nie w sensie fizycznym, ale w Mocy. O tak, była bardzo niezadowolona, że Ben i Luke ich niepokoją. Niezrażony, Mistrz Jedi powtórzył jednak słowa powitania z całym szacunkiem i pokorą, na jakie go było stać, uklonił się i przeszedł dalej.

Trochę to potrwało, ale w końcu Jedi oficjalnie przywitali się z całym gronem gospodarzy. Część z nich była nastawiona przyjaźnie, inni wyczuwalnie wrogo, a kilku było zupełnie obojętnych. Luke zastanawiał się z obawą, co takiego wyczuł Ben, ale nie mógł odczytać jego emocji. Syn starannie je skrywał. Kiedy Ben skończył się witać z ostatnim Aing-Tiim, Jedi odwrócili się w stronę Tadar'Ro.

Ten wezwał ich gestem do siebie i skinieniem głowy dał im znak, żeby szli za nim. Tak jak poprzednio, ruch głowy obcej istoty sprawiał wrażenie nienaturalnego, ale był zrozumiały. Posłuchali i podążyli za nim, obchodząc dużą, wystającą z ziemi skałę.

Luke z zaskoczeniem powitał widok po drugiej stronie. Właściwie nie nastawiał się na nic konkretnego, ale na pewno nie był przygotowany na to, co zobaczył. Zamiast następnej serii skalistych budynków, ich oczom ukazał się mały parterowy domek o czterech prostych ścianach, płaskim dachu i drzwiach. Chociaż wzniesiono go ze skał, nie mogło być mowy o pomyłce: zaprojektowano go z myślą o ludziach.

- Jorj Car'das - odezwał się Ben. Dopiero po chwili zorientował się, że powinien użyć tłumacza. Wziął urządzenie od ojca i spytał: - Czy to tutaj mieszkał Jorj Car'das podczas pobytu u was?

- Tak - potwierdził Tadar'Ro. - Stworzyliśmy ten budynek dzięki wiedzy o potrzebach i upodobaniach ludzi, żeby zapewnić mu wygodę.

Luke otworzył drzwi domku.

W środku było zaskakująco przytulnie. W kącie pokoju leżał mały materac - dość sfatygowany, ale czysty i na pierwszy rzut oka wygodny, a podłogę pokrywał dywan utkany z barwnych wyschniętych liści jakiejś lokalnej rośliny. W pomieszczeniu stały też dwa stoły, a jedną ścianę pokrywały półki. Podłoga, stoliki i szafki były zastawione bibelotami tak znajomymi, że Luke poczuł ukłucie tęsknoty: były tu części zapasowe do robotów astromechanicznych, elementy blasterów i datapadów, między którymi leżały kolorowe kamyczki i wyrzeźbione z drewna figurki. Rozpoznał małego bantha, astromecha, a także coś, co przypominało z grubsza samego Tadar'Ro. Jorj Car'das stworzył te rzeźby raczej dla zabicia czasu niż z zamiłowania do sztuki, bo były dość prymitywne. Cóż, na pewno miał sporo czasu do zabijania.

- Jedi mogą tu zostać, jeśli chcą - odezwał się ich gospodarz.

- Dziękujemy, chętnie skorzystamy z propozycji i pewnie zatrzymamy się tu w ciągu dnia - odparł Luke. - Na noc będziemy jednak wracać do statku. Chociaż wasza atmosfera nam nie szkodzi, nie jest dla nas idealna.

- To samo powiedział nam Jorj Car'das - potwierdził Tadar'Ro. - Niech więc tak będzie. - Wskazał materac. - Spocznijcie. Porozmawiamy o tym, dlaczego tu przybyliście... i czego od nas oczekujecie.

Skywalkerowie usiedli. Tak jak Luke się spodziewał, siedzisko było całkiem wygodne.

- Wiesz, po co przybyliśmy - powiedział. Dotąd cierpliwie znosił całe to lizanie po twarzy i wszystkie inne tajemnicze dziwactwa, ale teraz nadszedł czas, żeby to Tadar'Ro coś dla nich zrobił. - Wyczuwam, że nie wszyscy tutaj są do nas nastawieni tak przyjaźnie jak ty - dodał. - Czy możesz mi wyjawić dlaczego?

Aing-Tii namyślał się przez chwilę; wreszcie skinął z trudem głową.

- Najlepiej będzie, jak się o wszystkim dowiecie - westchnął. - Może dzięki temu nikogo nie urazicie.

Ben parsknął cicho, ale, ku uldze Luke'a, powstrzymał się od komentarza.

- Mówisz, że zapoznaliście się z informacjami, które przekazał wam o nas Jorj Car'das - podjął Tadar'Ro. - Musicie zatem wiedzieć, że przez bardzo, bardzo długi czas Aing-Tii wierzyli, że wszystko ma określony porządek. Darzymy Moc głębokim szacunkiem, ale nie wykorzystujemy jej... a przynajmniej nie tak, jak robią to inni. Jest dla nas siłą, którą należy poważać i której należy doświadczać. To nie narzędzie ani broń, dzięki której możemy kształtować wszechświat według własnego widzimisię. Wierzymy, że ktoś nami kieruje. Niczyj los nie jest z góry przesądzony; jest... zmienny, do pewnego stopnia. - Tadar'Ro siedział na tylnych łapach, podpierając się ogonem. Podczas mówienia wykonywał przednimi łapami łagodne, powolne ruchy. Jego szpony zdawały się kreślić w powietrzu skomplikowane wzory; oczy miał półprzymknięte. Luke czuł go teraz w Mocy jeszcze silniej i zaczął się znów zastanawiać nad więzią z nią tych dziwnych istot. Aing-Tii otworzył w pewnej chwili ślepią, przestał machać łapami i złożył je na piersi. - Wierzyliśmy w to bardzo długo - powtórzył smutno. - Jednak jakiś czas temu ujawnił się wśród nas Prorok, który przepowiedział wiele rzeczy.

- Wierzycie mu? - spytał Luke. - Uważacie, że jego proroctwa są prawdziwe?

- Proroctwo to osobliwe pojęcie - odparł Tadar'Ro, a w jego sztucznie artykułowanym głosie zabrzmiało zakłopotanie. - Dziwnie jest głosić, że pewne wydarzenia są z góry określone, całkiem jakby były stałe jak kamień, a nie zmiennie jak wiatr, woda czy myśl. Prorok przepowiedział jednak nadejście rzeczy, które naprawdę się wydarzyły.

- Przypadek albo nadinterpretacja - osądził natychmiast Ben. - Ludzie słyszą zazwyczaj to, co chcą

usłyszeć. Jeśli wygłosi się przepowiednię dość niejasną, można ją odnieść dosłownie do wszystkiego.

- Młody człowiek mądrze prawi. Sprawa nie jest jednak taka prosta, jak się wydaje. Oczywiście, to mógł być, jak mówisz, przypadek albo i przecucie. Przyszłość nie jest dla mojego ludu całkowitą niewiadomą.

No tak, rzeczywiście; wędrujący po nurcie nie mogli nie znać przyszłości, uzmysłowił sobie Luke.

- A czy nie mogło się zdarzyć tak, że Prorokowi po prostu się poszczęściło albo potrafił trafnie przewidzieć, które z możliwych wersji przyszłości się wydarzą? - spytał.

- Braliśmy pod uwagę wszystkie okoliczności, które wymieniłeś - poinformował Tadar'Ro. - A mimo to nie możemy zlekceważyć tego, co się stało. Jak już mówiłem, Prorok przepowiedział wiele zdarzeń, które się potwierdziły. I to w najmniejszych szczegółach. Tak naprawdę, wydarzyło się... wszystko, co przewidział, poza jednym, ostatecznym proroctwem. Przepowiedział nam, że za jego życia zstąpią między nas Ci, Którzy Mieszkają za Zasłoną.

- I wasz lud to zaniepokoiło - zgadnął Ben.

- Dokładnie tak - przyznał Tadar'Ro. - Tym bardziej że kilka tygodni temu Prorok połączył się z Mocą, a Ci, Którzy Mieszkają za Zasłoną wciąż się nie pojawili.

Ben skrzywił się i spojrzał na ojca.

- A więc okazało się, że nie był wcale taki nieomylny...

Tadar'Ro pokiwał po swojemu, sztywno głową. Luke wyczuwał poprzez Moc, że jest zdenerwowany.

- Jego śmierć bardzo wzburzyła mój lud. Podzieliła nas... Nas, którzy nigdy nie zazналиśmy niezgody, nawet w błahostkach. Teraz, kiedy ziarno gniewu padło na podatną glebę, pojawiły się oskarżenia o oszustwo, a nawet o gorsze rzeczy. Jesteśmy rozdarci. Wciąż bardziej. - Ból w jego głosie pulsował w Mocy jak otwarta rana i Luke odczuwał go tak dotkliwie, jakby to jemu ją zadano. Ben najwyraźniej także, bo po jego twarzy przebiegł bolesny skurcz. - Nie możemy tak dłużej żyć. Nie możemy skupiać się wyłącznie na naszej nienawiści, strachu i żądzy udowodnienia własnej racji. Musimy znaleźć jakieś rozwiązanie. I właśnie to, Jedi Luke'u Skywalkerze i Jedi Benie Skywalkerze, jest jedynym powodem, dla którego was tutaj dopuściliśmy - dokończył Aing-Tii.

- Chcecie, żebyśmy pomogli wam stwierdzić, czy wasz Prorok miał rację, czy kłamał? - w głosie Bena słychać było niedowierzanie. - Ale przecież nie wiemy o waszej rasie prawie nic, a Prorok nie żyje. Jak mamy wam pomóc?

- Możecie dotknąć Relikwii - odparł z czcią Tadar'Ro. - Nam tego nie wolno.

Luke przypomniał sobie strzępek informacji o Aing-Tiich, mówiący o ich podróżach po Ryfcie w poszukiwaniu artefaktów związanych z Tymi, Którzy Mieszkają za Zasłoną. Dane nie wspominały



jednak nic o tym, czy artefakty zostały stworzone przez bóstwa, czy tylko gromadzone, żeby oddać im cześć.

- Jeśli dobrze rozumiem - zaczął ostrożnie - wasza wiara każe wam gromadzić te... Relikwie, tak?

Tadar'Ro pokiwał głową.

- To nasz święty obowiązek - potwierdził. - Szukamy ich, a kiedy znajdziemy, sprowadzamy je tutaj. To dzięki nim możemy poznać wolę Tych, Którzy Mieszkają za Zasłoną.

- Czy one... należą do nich?

- Tak właśnie wierzymy.

- A mimo to nie możecie ich dotykać?

Tadar'Ro znów przytaknął.

- To by było świętokradztwo. Tylko niewierni mogą z nimi swobodnie obcować, nie obrażając Tych, Którzy Mieszkają za Zasłoną.

- Skoro nie możecie ich dotykać, badanie musi być dla was trudne - zauważył trzeźwo Ben.

- I tak właśnie jest, w rzeczy samej. Udaje nam się jednak pogodzić obydwie święte prawa - wyjaśniał Tadar'Ro. - Zbieramy je, jednocześnie unikając ich zbezczeszczenia. Od czasu do czasu korzystamy w tym celu z pomocy.

Luke pokiwał głową; powoli zaczynał rozumieć.

- Jorj Car'das - powiedział. - Yoda przysłał go, żebyście go uzdrowili, a wy podjęliście się tego, pod warunkiem że pozna waszą kulturę.

- Kiedy nas zrozumiał, mógł nam pomóc - uzupełnił Tadar'Ro. - Zrobił dla nas bardzo dużo.

- Znałeś go? - chciał wiedzieć Ben.

- Tak. Było mi smutno, kiedy odlatywał.

- I dlatego to ciebie wyznaczono, żeby nas sprawdzić? - domyślił się Luke. - Żeby zbadać czy jesteśmy godni obcować z waszymi artefaktami? Dzięki temu moglibyśmy pomóc wam zdecydować, czy powinniście zaakceptować zmiany i zmienić zupełnie swój pogląd na pewne sprawy, tak?

- Tak.

- Cóż - podsumował Luke - wygląda na to, że możemy sobie nawzajem pomóc. Podejmiemy się zbadania waszych Relikwii i przekazemy wam wszystko, czego się dowiemy. Daję wam moje słowo, że będziemy się z nimi obchodzić z całym należnym szacunkiem.

- Wiem, że tak będzie - potwierdził Tadar'Ro. - Trwałem z tobą w Mocy. Gdybyś nie potrafił zachować się należycie względem naszych świętości, nie przeszedłbyś próby.

Ben miał nietęgą minę, ale jego ojciec przytaknął. Jeśli rasa mogła wędrować po nurcie i zmieniać czas, przewidywanie przyszłości - tak jak uczyniła to Jysella Horn - nie powinno być dla nich większym problemem. Tadar'Ro mógł swobodnie pozbyć się ich już na skalistym księżycu. Nie mówiąc już o tym, że wcześniej mógł ich zaatakować wielki statek Sanhedrynu.

- W zamian chcielibyśmy, żebyście powiedzieli nam wszystko, co wiecie o Jacenie Solo. Jakie wrażenie na was wywarł, czego go nauczyliście, co u was robił... Domyślam się, że to pod twoim okiem się szkolił? - zgał Luke.

- Tak. Z uwagi na moją wiedzę o rasie ludzkiej, nabytą podczas obcowania z Jorjem Car'dasem, uznano, że to ja najlepiej sobie poradzę ze szkoleniem Jacena Solo.

- I opowiesz nam o tym, co tu robił?

- A może nauczysz mnie wędrować po nurcie? - palnął Ben. Luke odwrócił się w jego stronę i wbił w syna zdumione spojrzenie, ale zanim zdążył coś powiedzieć, chłopiec podjął: - Moim zdaniem powinniśmy się nauczyć wszystkiego, czego się da. Wszystko, co Jacen umiał, jeśli nabył jakieś zdolności, opanował nową technikę - my też powinniśmy to poznać. W końcu próbujemy iść jego śladami i dowiedzieć się, co takiego skłoniło go do przejścia na stronę mroku.

Luke milczał. Kiedy Mędracy Baran Do uczyli techniki *hassat-durr* tylko jego, Ben nie protestował, bo nie zależało mu na przyswojeniu tej umiejętności, pragnienie nauzenia się wędrowki po nurcie wynikało jednak z czystej ciekawości. Już miał otworzyć usta, żeby go upomnieć, ale Tadar'Ro go uprzedził:

- Spełnimy obie wasze prośby.

Luke wpatrywał się w syna w osłupieniu, podczas gdy chłopiec próbował ukryć szeroki uśmiech. Mistrz Jedi miał ochotę rzucić jakiś zgryźliwy komentarz, ale nic nie powiedział.

- Dopilnujemy wypełnienia naszej części umowy jak najrzetelniej - dodał Tadar'Ro. - Możecie nam zaufać. Nie złamiemy danego przez nas słowa, bo w ten sposób okazalibyśmy brak szacunku wobec Tych, Którzy Mieszkają za Zasłoną. To właśnie dlatego nie jesteśmy zbyt gościnni dla obcych. Jednak - zawiesił na chwilę głos, przyglądając im się nieprzeniknionymi oczami, które zdawały się zaglądać w ich dusze - będziemy od was wymagać tego samego. Musicie zrobić, co w waszej mocy, żeby poznać nas, naszą kulturę i wiarę. A potem musicie wykorzystać tę wiedzę do udzielenia nam pomocy w odnalezieniu ścieżki do prawdy... - niezależnie od tego, dokąd nas ona zaprowadzi.

- Obiecujemy pomóc wam według naszych możliwości - odparł Luke, ostrożnie dobierając słowa. Całkiem możliwe - ba, prawie pewne - że nie dowiedzą się niczego przydatnego. Nie mógł obiecać Aing-Tiim, że rozwiąże ich problemy; mógł tylko przysiąc, że będzie się starał to zrobić.

Ben skinął głową.

- Zrobimy, co w naszej mocy - powtórzył za ojcem. - I... dziękuję, że zgodziłeś się mnie uczyć.

Tadar'Ro wydawał się usatysfakcjonowany.

- Zbliża się pora naszego odpoczynku - powiedział. - Jutro, o pierwszym brzasku, rozpoczniemy lekcje. Chcecie tu zostać czy wrócić na noc do waszego statku?

- Dziękujemy, ale wrócimy na pokład - odparł Luke. - Czy zanim odejdziemy, mogę cię jeszcze o coś poprosić?

- Mów - przyzwolił Tadar'Ro.

- Jest tu wiele rzeczy stworzonych dla ludzi. Czy możemy je zabrać na pokład naszego statku?

Aing-Tii skinął głową.

- Jeśli tylko wam się przydadzą... Muszę jednak prosić, żebyście ich nie zatrzymywali na zawsze. One się stały... - przez chwilę się wahał - częścią tego, czym teraz jesteśmy.

Luke skłonił głowę.

- Cieszę się, że Aing-Tii zachowali dobre wspomnienia o jednym z nas. Zwrócimy wszystko, co zabierzemy. Masz na to moje słowo.

Po odejściu Tadar'Ro Luke odwrócił się do Bena, ale jego syn ostrzegawczo podniósł dłoń.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, ale przecież Tadar'Ro nie miał nic przeciwko temu.

- W przeciwieństwie do mnie - stwierdził kwaśno Luke.

- Wiem, i dziękuję, że nie zaprotestowałaś.

Mistrz Jedi westchnął i pokręcił głową.

- Wiesz, co o tym sędzę, ale nie będę ci stawał na drodze, jeśli uważasz, że to konieczne.

Ben poruszył się niespokojnie na barwnym materacu.

- Ja... w jakiś dziwny sposób tego potrzebuję, tato - wyznał. - Nie umiem tego wyjaśnić.

Luke miał nadzieję, że to nie Moc skłoniła jego syna do podjęcia decyzji o nauce techniki nurtu, ale wszystko wskazywało, że nie powinien na to liczyć. Zdawał sobie sprawę, że rodzice muszą czasami pozwalać dzieciom decydować za siebie i uczyć się na własnych błędach. Ben wybrał, a Aing-Tii zgodził się go uczyć. Teraz Luke nie miał już nic do powiedzenia, więc stwierdził, że nie będzie się wtrącał.

- Zauważyłem tu sporo datapadów, a także części do robotów i statków - zamienił temat i wskazał

porozrzucane po pokoju przedmioty. - Zobaczmy, czy do czegoś nam się przydadzą.

Wyszli z domostwa Car'dasa. Zmierzając do „Cienia”, czuli na sobie spojrzenia obcych. Teraz, kiedy Luke wiedział już, o co chodzi, rozumiał, dlaczego wśród ich „komitetu powitalnego” panowały tak skrajne nastroje. Wszystko było dziwne i lekko niesamowite, ale nie bez powodu. Mistrz Jedi miał tylko nadzieję, że rzeczywiście uda im się znaleźć jakieś rozwiązanie problemu tubylców.

Kiedy tylko znaleźli się na pokładzie „Cienia”, zaczął przeszukiwać datapady i oglądać przedmioty, które przynieśli ze sobą, a Ben zajął się przygotowaniem kolacji.

- To dzienniki - poinformował syna. - Wygląda na to, że pozwolili Car'dasowi zabrać ze sobą tylko niewielką część zapisków.

- Możliwe - zgodził się Ben. - A może to po prostu bełkot w stylu: „Zabierzcie mnie od tych skałogadów o zielonych językach!”

Luke parsknął krótkim śmiechem.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć - stwierdził. Podpiął jeden z komputerowych notesów do holoodbiornika. W powietrzu pojawiła się postać mężczyzny o ciemnych włosach i krótkiej, schludnie przystrzyżonej bródce. Wyglądał na krzepkiego i wysportowanego; miał na sobie prostą koszulę, spodnie i buty.

- Jeśli to oglądacie, to znaczy, że wy także gościecie u Aing-Tiich - zaczął z uśmiechem. Miał głęboki, miły dla ucha - i dziwnie znajomy - głos.

- To głos Tadar'Ro! - wykrzyknął Ben, wracając z tacą kanapek z przyprawomięsem.

- Nie - poprawił go Luke. - To Tadar'Ro wykorzystał głos Jorja Car'dasa. - Wgryzł się w kanapkę. - Posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

# ROZDZIAŁ 16

## Kesh, dwa lata temu

Po drodze do Świątyni Vestara zaciskała kurczowo dłonie na lejcach Tikka. Uwak skrzeczał i rzucał łbem na boki, więc, zaniepokojona, skupiła się na wierzchowcu, i - wyczuwając jego dyskomfort - poluzowała uścisk. Była tak zdenerwowana, że całkiem straciła panowanie nad sobą. Czuła się paskudnie. Tak samo jak broń i niewolnicy, zwierzęta transportowe były cennym dobytkiem i Sithowie bardzo o nie dbali. Poza tym Tikka był dla niej czymś więcej niż tylko zwykłym wierzchowcem. Pielęgnowała go i dbała o niego od chwili, kiedy się wykluł, i nauczyła go posłuszeństwa.

Zadrzała lekko. Na tej wysokości dotkliwie odczuwała minusy stroju, w którym wybrała się na spotkanie z Radą. Delikatna, prawie przezroczysta tkanina, z której uszyto jej wspaniałą zieloną sukienkę, chociaż niezwykle piękna, nie dawała żadnej ochrony przed zimnem i wiatrem, który hulał na tej wysokości. Vestara nie miała nawet jak zebrać włosów, które fruwały dookoła głowy. Położyła dłoń na grzbiecie Tikka, tuż przed siodełkiem, i posłała mu przez Moc pokrzepiający impuls, a potem puściła lejce i szybko splotła włosy w warkocz. Niestety, nie mogła nic poradzić na kłuszący jej ramiona chłód.

Wiedziała, że ojciec przyśle jej kask z domu. Jako Miecz, sam zdecyduje, co powinna mieć ze sobą. Wszystko inne zapewni jej Świątynia: ubranie, łóżko, jedzenie i broń.

Będzie spała w dormitorium z innymi uczniami i nie pozwoli jej zatrzymać zbyt wiele przedmiotów osobistych.

Kiedy pomyślnie przejdzie szkolenie, zostanie Mieczem. Wtedy dostanie własny, osobny pokój. Będzie mogła spełnić wszelkie swoje zachcianki co do jego wyposażenia i pozwolić sobie na wszystko, na co przyjdzie jej ochota, jednak do tego czasu musi wieść bardzo prosty, wręcz surowy żywot. Plemię nie gardziło dobrami materialnymi, ale każdy przyszły Miecz musiał się najpierw nauczyć, jak radzić sobie bez nich.

Vestara nie martwiła się o rzeczy, które przyśle jej ojciec. W tej chwili myślała tylko o tym, czego się nauczy.

Zebrała znów lejce i ostrożnie pokierowała Tikkiem ku ciemnym kamiennym iglicom; ich kształty majaczyły w dole na tle skał, z których je wyrzeźbiono. Było późne popołudnie i Świątynia powoli pogrążała się w głębokim cieniu stromych wzgórz. Witrazowych okien nie rozświetlał blask pretów jarzeniowych; nawet galeria białych posągów nikła w mroku.

Wyczuła Statek, jeszcze nim go zobaczyła, pogrążony w purpurowym cieniu; czuła jego znajomą, przychylną aurę, łagodne pulsowanie energii Ciemnej Strony - rozpoznawalne i charakterystyczne, mimo gęstej energii Mocy otaczającej samą Świątynię. Uśmiechnęła się lekko i posłała mu coś, co -

jak miała nadzieję - odbierze jako pełne szacunku pozdrowienie.

Nieznacznym zwiększeniem nacisku ud i lekkim ściągnięciem lejców skierowała Tikka w stronę dziedzińca. Uvak zszedł płynnie w dół i wylądował miękko na ziemi, a Vestara natychmiast ześlizgnęła się z jego grzbietu. Poklepała go odruchowo po szyi.

Do jej wierzchowca podszedł nie kto inny, jak sama Lady Rhea. Na jej widok dziewczyna rozejrzała się wokół, zaskoczona. W pobliżu stało paru uczniów, ale to Rhea wzięła od niej lejce.

- Jak ty kierowałaś swoim uvakiem, tak ja pokieruję od teraz twoim życiem, moja uczennico - przemówiła i obdarzyła ją oszczędnym uśmiechem. - Oficjalna ceremonia odbędzie się później, ale możemy zacząć twoje szkolenie już tutaj.

Vestara zmusiła się do zachowania spokoju. Nie lubiła być zaskakiwana, a pewnie właśnie taki efekt chciała osiągnąć Lady Rhea. Skłoniła jej się nisko, z szacunkiem.

- Tak jest, Lady Rheo. Jestem gotowa poddać się twojej woli. - Spojrzała jej w oczy, opanowana i pewna siebie. Chciała dać jej do zrozumienia, że przyjmuje na uczennicę silną i pewną siebie młodą kobietę. Lady Rhea długo wytrzymywała jej spojrzenie, a Vestara usiłowała nie zdrzeć w podmuchach zimnego wiatru.

- Świetnie. Niech więc tak będzie. - Rhea skinęła wreszcie głową. U jej boku natychmiast zjawił się jeden z uczniów i wziął od niej lejce Tikka. Kiedy uvak szarpnął się, spłoszony, Vestara poczuła ukłucie niepokoju. Czy teraz, kiedy jej ulubieniec był własnością Świątyni, będzie mogła na nim latać? Czy w ogóle jej go zwrócą, kiedy skończy szkolenie?

- Przywiązania nie trzeba się wstydzić - powiedziała Rhea. No tak, nic nie mogło się przed nią ukryć, pomyślała smętnie Vestara. - W istocie to nasze namiętności są tym, co nas prowadzi. Musisz jednak oduczyć się pragnienia posiadania, Vestaro. Wszystko, co masz, może ci zostać odebrane. Pochodzisz z zamożnej rodziny i jesteś przyzwyczajona do zbytku. Może twoją pierwszą lekcją powinno być odzwyczajanie się od niego? - Skinęła na trzymającego lejce Tikka ucznia. Młodzieniec zawahał się, ale szybko pochylił głowę zwierzęcia, włączył swój miecz i podniósł go do ciosu...

O nie, tylko nie Tikk! - pomyślała gorączkowo Vestara, ale ugryzła się w język tak mocno, że poczuła w ustach smak krwi. Siłą woli starała się trzymać ręce przy sobie i zdławić cisnący jej się na usta krzyk. Źrenice rozszerzyły jej się ze strachu, ale nie odrywała oczu od sceny rozgrywającej się przed nią.

- Bardzo dobrze - zamruczała Lady Rhea. Skinęła znów ledwie zauważalnie głową i uczeń wyłączył broń, a potem lekkim szarpnięciem lejców poprowadził Tikka w stronę krużganków. Uvak, błogo nieświadom, że właśnie otarł się o śmierć, ruszył posłusznie z nim. - Gdybyś się sprzeciwiła, twój uvak byłby teraz martwy. - Rhea położyła dłoń na ramieniu Vestary. - Idź i ciesz się nim, moja droga. Ciesz się wszystkimi pupilami, rodziną i kochankami, których będziesz miała pewnego dnia. Czerp radość ze wszystkiego, co może dać ci władza, bo na to zasłużysz. Pragnij każdej rzeczy, jaka ci się zamarzy - jeśli tylko da ci satysfakcję. Nigdy jednak nie kochaj nikogo ani niczego tak bardzo, żebyś nie mogła znieść jego straty.

Przez krótką chwilę Vestara czuła wściekłość z powodu tej ostentacyjnej demonstracji władzy i możliwości zadania śmierci tak lekką ręką, zaraz jednak dotarło do niej, że Lady Rhea ma rację. Całkowitą. Dzięki tej świadomości złość odpłynęła. Vestara przestała wstrzymywać oddech. Mistrzynie nie spuszczała z niej wzroku.

- Masz rację, pani - powiedziała Vestara Khai. - Przepraszam za moją reakcję.

- Twoja reakcja była lepsza niż innych - zapewniła ją Rhea. - Tego właśnie oczekiwałam. Chodź.

W przestronnym dormitorium panował dojmujący chłód. Nie zrobiono nic, żeby złagodzić czy upiększyć surowe czarne kamienne mury sali. Podłoga była równa i gładka, ale ciosane ściany zostawiono nagie i chropawe. Okna wykuto tylko w jednej w nich - małe, okrągłe i umieszczone wysoko pod sufitem. Wpadające przez nie blade światło rzucało na podłogę wątry blask.

Zadbano jednak o oświetlenie. Na dwóch paleniskach (tak wysokich, że Vestara mogłaby spokojnie stanąć wyprostowana w środku) buzował ogień, a na niewielkim stoliku przy każdym łóżku stała świeca. Same łóżka były właściwie prymitywnymi pryczami; na każdej leżało prześcieradło i koc, a u wezłowia mała poduszka. Dziewczyna pomyślała tęsknie o swoim luksusowym łóżu z baldachimem, obłożonym piernatami tak grubymi, że można się było w nie zapaść, i westchnęła mimowolnie.

Pewnego dnia, obiecała sobie, znów będzie spała w takim łóżku. Na razie była pewna, że dopóki będzie skazana na zasypianie w tym prostym, surowym, niewygodnym posłaniu, codziennie będzie tak wyczerpana, że zapadnie w sen natychmiast, jak tylko się do niego doczołga.

Poza nimi ogromna sala była pusta. Lady Rhea poprowadziła Vestarę między długimi rzędami łóżek i zatrzymała się przy jednym z nich.

- Tu będziesz spała - wyjaśniła. Vestara rozpoznała w ułożonym w nogach łóżka schludnym stosie najprostsze z jej własnych ubrań. Na wierzchu leżała czarna szata - ta sama, w której ćwiczyła, zanim zjawił się Statek. Kiedy ją ostatnio zdjęła, była przepełniona i zapiaszczona. Teraz jednak była czysta i wyprasowana, gotowa do włożenia. Pod pryczą stały dwie pary wysokich butów, a na stoliku leżało kilka osobistych drobiazgów. To wszystko, co pozwolono jej zatrzymać.

- Wkrótce zrozumiesz, że nie potrzebujesz niczego więcej - zapewniła ją Lady Rhea.

- Oczywiście - odparła automatycznie Vestara.

- Przebierz się - zachęciła ją Mistrzynie, ale Vestara zawahała się lekko. Minęło kilka sekund, zanim dotarło do niej, że w tej wielkiej sali nikomu nie pozwalano na luksus prywatności. Czy w ogóle mieli tu jakiś odświeżacz? A może będzie musiała się zadowolić nocnikiem i kąpać w górskich strumieniach?

- Nie ma przebieralni? - wyrwało jej się.

- Nie - potwierdziła Lady Rhea, uśmiechając się pod nosem. - I na pewno cudownie się nie zmaterializuje. Szybko się nauczysz, że nie ma tu miejsca na podobne problemy, Vestaro. Wszyscy uczniowie są równi. Jestem pewna, że wkrótce opanujesz ekspresowe przebijanie się do perfekcji. Jak szybko i sprawnie ci to pójdzie, zależy tylko i wyłącznie od ciebie. Niektórzy uczniowie w ogóle się nie wstydzą, a inni uczynili ze sztuki zmieniania niepostrzeżenie ubrań prawdziwą sztukę.

I tak, mamy tu odświeżacz.

Na widok miny uczennicy Rhea wybuchnęła swoim cudownym, lekko ochryplym śmiechem.

- Nie, nie umiem czytać w myślach, moja droga... po prostu wyszkoliłam już wielu uczniów i każdy z nich reagował tak samo jak ty. Na pewno się zastanawiasz, dlaczego korzystamy z takich prymitywnych źródeł światła i ciepła? - Vestara stała przez chwilę w milczeniu, aż wreszcie usiadła na łóżku (było dokładnie tak niewygodne, na jakie wyglądało) i zaczęła zdejmować sandały. - Są ku temu dwa powody - ciągnęła Lady Rhea. - Przede wszystkim, chcemy odzwyczaić uczniów od luksusów. Na nie przyjdzie czas później. Teraz musicie radzić sobie w możliwie najsurowszych warunkach. Sztuczne światło i ciepło to dary technologii. Jako Sithowie musicie się nauczyć mieszkać wszędzie, gdzie rzuci was los. Należy do nas cała galaktyka, w której są miejsca zamożne i komfortowe, ale są też i takie, w których warunki pozostawiają wiele do życzenia. Kiedy zakończysz szkolenie, będziesz potrafiła spać wszędzie, umiała rozpalać ogień i przetrwać tam, gdzie rzuci cię los.

Vestara zdjęła suknię. Przez chwilę czuła się w chłodnym półmroku pokoju naga i bezbronna, ale zaraz wślizgnęła się w ciężką czarną szatę i dotyk znajomego materiału natychmiast ją uspokoił.

- Drugi powód - dodała Lady Rhea z uśmiechem - jest prosty. To kwestia praktyki.

Vestara odwzajemniła uśmiech, włożyła buty i zabrała się do ich sznurowania. Kiedy skończyła, wstała, przypasała miecz i odetchnęła głęboko.

- Wiem, że poznałaś już niektóre rejony Świątyni, ale teraz masz prawo dostępu do takich, których dotychczas nie wolno ci było odwiedzać - poinformowała ją Mistrzynie. - I owszem - dodała, uprzedzając kolejne pytanie Vestary - będziesz mogła wejść na pokład starożytnego okrętu, którym przyłecieliśmy na ten świat. To będzie częścią twojego szkolenia.

- A... Statek? - spytała niepewnie Vestara.

- Cierpliwości - ochłodziła jej zapał Rhea. - Dopiero co tu przybyłaś. Przed tobą całe lata szkolenia. Chodź obejrzeć Świątynię.

Kilka godzin później, podczas wieczornego posiłku, na dnie umysłu Vestara znów poczuła znajomy dotyk. Zadrzała.

Statek...



Na prosty posiłek składała się potrawka barrat i chleb oro. Jedzenie nie było może wykwintne, ale uczniowie, którzy je przygotowali, mieli dryg do gotowania, a poza tym Vestara była głodna. Teraz jednak kęs chleba, który właśnie przeżuwała, o mało nie utkwił jej w gardle. Zerknęła na Lady Rheę, zadając jej milczące pytanie. Czy ona także to poczuła?

- Tak - potwierdziła jej mentorka i wstała pospiesznie, zostawiając niedojedzony posiłek. - Chce nas widzieć.

Wyszły z jadalni.

Wyglądało na to, że oprócz nich Statek chciał widzieć całkiem pokaźne grono Sithów. Kiedy szybkim krokiem szły na dziedziniec, Vestara spostrzegła, że w tę stronę spieszą też inne grupki uczniów. Sporo ich czekało już przed Świątynią. Widok nasuwał podejrzenie, że Statek wezwał wszystkich mieszkańców przybytku. Przedzierając się przez tłum za Lady Rheę, Vestara zobaczyła w powietrzu parę podchodzących do lądowania uvaków. Ze zdziwieniem rozpoznała na grzbiecie jednego z nich Lorda Vola. Mistrz wylądował i zsiadł ze swojego wierzchowca, odmawiając przyjęcia pomocy, a potem dumnie, choć powoli, pokuśtykał do pomarańczowej sfery.

Na wezwanie Statku zjawili się wszyscy.

Aten był cierpliwy. Po nagłym wezwaniu uparcie milczał. Vestara nie odbierała od niego żadnych sygnałów - zupełnie jakby wycofał się i czekał, cichy i nieruchomy. Świeżo upieczona uczennica stała spokojnie, choć minuty dłużyły jej się niemiłosiernie. dzielnie opierała się chęci przestąpienia z nogi na nogę, bo tym samym zdradziłaby zniecierpliwienie. Przynajmniej było jej ciepło. W pewnej chwili poczuła na ramieniu dłoń Lady Rhei.

Aż nagle, bez żadnego ostrzeżenia, Statek znów nawiązał z nimi więź. Wszyscy Sithowie wyostrzyli zmysły.

*Jesteście potrzebni* - poinformował ich i Vestara odruchowo skinęła głową. Zapadł już zmierzch i temperatura gwałtownie spadała. Jej oddech parował w chłodnym wieczornym powietrzu.

*Długo czekaliście* - podjął Statek. - *Teraz jednak... jesteście potrzebni.*

Oczywiście, że tak. Byli Sithami, czystej krwi. Członkowie Plemienia wywodzili się w prostej linii od ponad dwustu pokoleń Sithów. Bez wątplenia byli najprawdziwszymi spadkobiercami ich dziedzictwa. Mieli do niego prawo większe niż ktokolwiek inny. Pięć tysiącleci wstecz „Omen” rozbił się na Kesh, rozdzielając Plemię z jego pobratymcami, oni jednak nigdy nie zwątpili w to, że ich bracia nie mogli zawieść. Nikomu ani przez chwilę nie przeszło przez myśl, że Sithowie nie rządzą już całą galaktyką - tak jak oni panowali niepodzielnie na Kesh. Wiedzieli, że...

*Nie.* - W tym krótkim zaprzeczeniu Statku nie było miejsca na dyskusję. Vestara przyjrzała mu się, zbita z tropu. Co „nie”?

*Sithowie byli prześladowani* - nadeszło wyjaśnienie. - *Zostali pokonani. Prawie wszystkich zgładzono. Została tylko garstka. Widziałem ich - tak zwanego Jednego Sitha - i wiem, że są w*

*potrzebie. Jedi opanowali już wiele światów. Nie podbili jeszcze co prawda galaktyki, ale ich szeregi rosną. Są silni.*

Moc zawrzała od wzburzenia i konsternacji zgromadzonych. Vestara poczuła w żołądku dojmujący chłód, a zaraz po tym do gardła podeszła jej gorzka żółć. Ogarnęły ją nudności. Nawet stojąca obok niej Lady Rhea była zaszokowana. Jej dłoń na ramieniu Vestary zacisnęła się boleśnie. Nawet przez gruby materiał czarnej szaty dziewczyna czuła wrzynające się jej w ciało ostre paznokcie.

Jak to? Czy to w ogóle możliwe? - jej myśli krążyły jak oszalałe. Ale przecież... Przecież Statek chyba by ich nie okłamał? Wyczuliby to. Poza tym zaprojektowano go, żeby im służył... A teraz... jego brutalne wyznanie zrujnowało pięć tysięcy lat wiary we wszystkie ideały, niezłomne przekonanie o potędze Sithów. Wszystko runęło w gruzy...

Vestara czuła poprzez Moc Lorda Vola. On także nie krył przerażenia, ale jego niezłomna wola, każąca mu wytrwać nawet w obliczu największej katastrofy, działała jak ożywczy łyk wody po upalnym dniu. Vestara, tak jak i wszyscy zgromadzeni, uczepliła się kurczowo jego siły jak ostatniej deski ratunku.

- Jesteśmy Sithami - przemówił Vol. Jego głos niósł się daleko i brzmiał niezwykle czysto. Najwyraźniej korzystał z Mocy, żeby go wzmocnić. - Nawet gdyby wytępiono wszystkich naszych braci w galaktyce, co do jednego, my pozostaniemy nieugięci! Nasze tradycje, wiara... to wszystko przetrwa! Podbiliśmy ten świat i rozwinęliśmy na nim skrzydła. I może właśnie dlatego tu trafiliśmy... Po to, żeby w najczarniejszej godzinie Plemię odnowiło ród Sithów.

Vestara chłonęła każde jego słowo. Kiedy wierzyli, że cała galaktyka jest w rękach Sithów, sama myśl, że mogą po prostu opuścić Kesh i dołączyć do reszty, przyprawiała Vestarę o dreszcz rozkoszy. A świadomość, że mogli się okazać jedynymi, którzy przetrwali... że mają szansę przejąć kontrolę nad galaktyką i wyrwać ją ze szponów znieawidzonych Jedi... była dosłownie obezwładniająca.

Statek poinformował ich, że właśnie dlatego przeszukał swoje banki danych, by ich odnaleźć. Szukał ich. Chciał ich nauczać. Wszystkich.

- Nadeszła chwila, w której ważą się nasze losy! - grzmiał Vol. - To szansa na wypełnienie naszego przeznaczenia! - Podniósł pięść i potrząsnął nią dumnie. - Nie ugniemy się! Statek będzie nam służył. Nauczy nas wszystkiego, co wie o dzisiejszym wszechświecie, otwierając nam oczy. A my powstaniemy i podbijemy galaktykę! Mamy to we krwi. Tak nam jest pisane. Jesteśmy Sithami i nie ugniemy się przed nikim ani niczym!

W tłumie zawrzało od podniecenia. Mimo to Vestara wciąż czuła w Mocy niepokój. A co, jeśli im się nie powiedzie?

Nie, nie mogli zawieść, powiedziała sobie z mocą. Taka opcja nie wchodziła w grę. Mieli zadanie i wypełnią je, najlepiej jak umieją. Opracują plan, posiadają wiedzę i zaatakują Jedi, którzy ośmielili się zgładzić ich przodków pięć tysięcy lat temu.

Sithowie powstaną i upomną się o swoje dziedzictwo.

Wszak po to są Sithami, prawda?

# ROZDZIAŁ 17

## Wielkie centrum wystawiennicze, Coruscant

- O rany, ależ tu cuchnie! - jęknęła Jaina i posłała Leii cierpiętnicze spojrzenie.

- No co? To twoja matka to wszystko wymyśliła. - Han wzruszył ramionami.

Leia westchnęła i zmusiła się, żeby nie zatykać nosa. Przechodzili właśnie obok zagrody nerfów.

Coruskańskie Targi Zwierząt trwały już od ładnych kilku dni, ale dopiero teraz rodzinie Solo udało się wybrać na wycieczkę. Cała impreza miała potrwać miesiąc, więc mieli mnóstwo czasu. Wiele stworzeń znalazło już nowych właścicieli, którzy zamierzali się nimi chwalić, ujeżdżać je, hodować albo zjadać - wedle uznania. Mimo to smród zwierzęcych odchodów, w obliczu którego bladł odór zanieczyszczeń produkowanych dziennie przez mieszkańców planety-miasta, świadczył o tym, że na wystawie zostało jeszcze wiele pełzających, czołgających się i skaczących istot, które można było obejrzeć.

Rodzinie Solo towarzyszyło dwoje Rycerzy Jedi - Falleenka Natua Wan i Brubb Radd Minker. Han i Leia próbowali się postarać o eskortę Yaqeel i Barva, bo Allana znała i lubiła tę dwójkę - szczególnie Barva - ale okazało się, że wysłano ich na misję poza Coruscant.

Natua i Radd, jako oficjalna straż rodziny, nosili brązowo-białe szaty Zakonu, a Leia i Jaina były ubrane w cywilne ubrania. Cała czwórka Jedi miała przy sobie miecze świetlne, chociaż obie Solo schowały je w torebkach. Cała szóstka przechadzała się niespiesznie po terenie wystawy. Allana była tak podekscytowana, że bez przerwy radośnie chichotała.

W dodatku mała najwyraźniej była odporna na przyprawiający o mdłości smród. Nie zdążyli jeszcze wejść na główny teren wystawy, a dziewczynka już otworzyła szeroko buzię i zrobiła wielkie oczy. Leia pogładziła jej krótkie, ufarbowane na ciemno włoski (charakterystyczna ruda czuprynka była zbyt rozpoznawalna) i uśmiechnęła się do wnuczki. Allana odwzajemniła uśmiech i wskazała na duże kudłate zwierzaki o czterech rogach, wokół których kłębił się gęsty rój much.

- Nie mówcie, nic nie mówcie! - zaszcebiotała. - Wiem co to! - Przez ostatnich kilka dni pilnie przyswajała wiadomości o zwierzętach, bo Leia uprzedziła, że czeka ją mały test. Nie powiedziała jej jednak, że nagrodą za jego zdanie (a oboje z Hanem byli pewni, że poradzi sobie świetnie, bo była niesamowicie bystra i szybko się uczyła) będzie możliwość przejażdżki na zwierzętku, które najbardziej jej się spodoba. „Nawet na tauntaunie, jeśli sobie tego zażyczy”, zastrzegła Leia. „Ej, ale przecież się umawialiśmy!”, zaprotestował słabo Han, ale wiedział, że jest na z góry przegranej pozycji. - To nerfy! - oznajmiła Allana, pękając się z dumy. - Jaina ma taką superancką torebkę z ich skóry, a steki z nerfów są przepyszne! - dodała ze znanstwem. Zwierzęta pasły się spokojnie w swoim boksie, ale uwagę Allany przyciągnęła natychmiast następna zagroda. - A te kozły są od-se-paro... wane - przesylabizowała trudne słowo - bo mają gody! Są wtedy bardzo agresywne i walczą

ze sobą, a nawet tratuja swoje młode.

Leia mogłaby przysiąc, że kiedy jego wnuczka radośnie paplała o „okresie godowym”, na twarz Hana wystąpił lekki rumieniec. Słumiła cisnący jej się na usta uśmiech.

- Właśnie tak, kochanie - potwierdziła. - Nerfy nie są najmilszymi stworzonkami w galaktyce.

- Ale ich mięsko jest bosssko-nałe! - oznajmiła z powagą Allana. Wyrosła już co prawda z okresu dziecięcego seplenienia, ale zdarzało jej się od czasu do czasu przejeździć. - Czy zjemy na lunch nerfburgery? - dopomniła się natychmiast. - Z frytkami z hubby?

- Jeśli tylko mają je w tutejszej restauracji... - zapewniła ją Leia. Co jest bardzo prawdopodobne, uznała. Pewnie zresztą serwują tu i inne egzotyczne frykasy. Cóż, gdyby to ona wystawiała lub sprzedawała tu swój inwentarz, upewniłaby się, że wszyscy zwiedzający będą mieli okazję przekonać się, jak „bosssko-nałe” jest mięso z jej hodowli.

- A to są banthy - poinformowała zgromadzonych Allana, pędząc przez bramkę do następnej zagrody. Natua Wan przyspieszyła, szybko zmniejszając dystans między małą a ich grupą. Nie spuszczała jej z oka, starając się jednocześnie sprawić na potencjalnych gapiach wrażenie, że są zwykłą rodziną na miłej wycieczce w towarzystwie zaprzyjaźnionych Jedi. Radd ubezpieczał tyły. Brubbowie byli bardzo przyjazną rasą, więc Minker nie musiał się wysilać, żeby sprawiać wrażenie odprężonego. Na pierwszy rzut oka było widać, że ta - dość niezwykła - misja bardzo mu się podoba. - Łatwo dostosowują się do różnych warunków i można je spotkać na wielu planetach - szczebiotała bez opamiętania Allana. - A to... Ojeej! To ronto! Nigdy wcześniej nie widziałam żadnego na żywo! - Puściła się biegiem w stronę zwierzaków, ale zanim zrobiła kilka kroków, na jej ramieniu wylądowała dłoń.

- Ostrożnie, Amelio - upomniła ją łagodnie Natua. Niebieskie paciorki wplecione w jej krucze włosy zakołysały się łagodnie. - Nic dziwnego, że nie widziałas ich dotąd na własne oczy. Są łagodne, bardzo układne i łatwo je oswoić, ale równie łatwo spłoszyć. Chyba nie chcesz ich wystraszyć, co?

Allana pokręciła energicznie główką.

- Nie chcę, Jedi Wan. - Zwolniła, odruchowo wyprostowała plecy i podniosła główkę.

- Da się ją tego oduczyć? - mruknęła Jaina do matki. Prawdziwa tożsamość Allany była pilnie strzeżonym sekretem, ale mimo to Leia podzielała obawy córki. Dziewczynka była na tyle bystra, żeby się nie zdradzić, ale nawet w wieku siedmiu lat trudno było jej się pozbyć pewnych odruchów wpojonych na królewskim dworze. Gdyby ktoś uważnie się przyjrzał Allanie, bez trudu rozpoznałby w niej arystokratkę.

- Zakładam, że wszyscy wiedzą, że jest pod opieką byłej księżniczki i senator - odparła Leia szeptem. - To chyba logiczne...

Jaina prychnęła lekceważąco.

- Ja się w jej wieku tak nie zachowywałam.

- Bo ty jesteś nieodrodną córeczką swojego tatulka - odbiła piłeczkę Leia. - Niewiele mogłam zrobić.

Han wyprzedził je i posadził sobie rozchichotaną, zachwyconą Allanę na barana. Dziewczynka miała teraz dużo bliżej do potężnych łbów ronto. Wyciągnęła ostrożnie rączkę, uważając, żeby nie wystraszyć zwierząt. Jedno ze stworzeń przyjrzało jej się uważnie, a potem wygięło długą szyję i obwąchało ciekawie małą dłoń.

- Ostrożnie - przestrzegł ich jakiś głos zza pleców Leii. Kiedy księżniczka się obejrzała, zobaczyła krępego, ogorzałego mężczyznę o zrosniętych brwiach. Plakietka na jego piersi głosiła: „Tevar Shan, właściciel, farma Ronto-Rama, Tatooine”. Typiek wyszczerzył się do niej obleśnie. - Jeśli macie problem z transportem ciężarów, ronto odwałą za was całą robotę - poinformował obłudnie słodkim głosem. - Poza tym, jak widać, są świetne w kontaktach z dziećmi.

- Dzięki - odparła chłodno Leia. - Szukamy czegoś mniejszego.

- Czegoś dla małej, co? - Uśmiech mężczyzny stał się jeszcze szerszy. - A co powiecie na eopie? Jestem współwłaścicielem firmy Wyjątkowe Eopie. Specjalizujemy się w miniaturkach, wręcz stworzonych dla takich maluchów. - Wskazał na drugą stronę, gdzie w zagrodzie tłoczyły się jasnoskóre, trąbonose i garbate stworzenia.

- Dorzuć dewbacka, a wujek Luke będzie w siódmym niebie - parsknęła Jaina.

- Dziękuję, ale chyba się jeszcze rozejrzemy - Leia z uroczym uśmiechem spławiła nachalnego sprzedawcę. Kawalek przed nią Han niósł dumnie ich rozchichotaną, szczęśliwą wnuczkę na ramionach. Najwyraźniej bawił się równie dobrze, jak mała i Leia pokiwała z zadowoleniem głową. Taki wypad był miłą odskocznią - nie tylko dla Allany, ale i dla nich wszystkich. Tyle się ostatnio działo... Mała przerwa w postaci wycieczki dobrze im zrobi.

- A tak przy okazji, co u niego? - zagaiła Jaina.

- U Luke'a? - spytała Leia. - Wyczuwam go co jakiś czas w Mocy, ale ostatnio się do nas nie odzywał.

- Do mnie też nie - poinformowała Jaina. - Ale i tak wystarczy mi świadomość, że u niego i Bena wszystko w porządku. Cilghal mówiła, że kontaktują się na bieżąco. Więcej się pewnie nie dowiemy.

Coś w jej głosie sprawiło, że Leia przyjrzała się córce uważnie, ale Jaina nie rozwinęła myśli. Wiedziona instynktem, księżniczka spytała:

- A co u ciebie i Jaga?

Jaina uśmiechnęła się do niej słodko.

- Świetnie! -zapewniła ją. - Miło byłoby co prawda móc pójść na randkę bez konieczności

robienia z tego całej misji, ale poza tym wszystko gra.

- Obawiam się, że to dobrodziejstwo inwentarza - skwitowała Leia. - A co, znowu prześladowa was ten wredny Jarvis Tyrr?

- Głównie on. Są też inni, ale największa drzazga w tyłku to rzeczywiście Tyrr - przyznała Jaina. - W każdym razie ostatnio ładnie zrobiliśmy go na szaro. - Konspiracyjnym szeptem opowiedziała matce, jak załatwili dziennikarza w restauracji.

- Dobra robota - parsknęła zduszonym śmiechem Leia. - Mam tylko nadzieję, że dalej uda się wam go unikać. Robienie sobie z niego żartów pewnie mu się nie spodobało. Coś w jego wyglądzie - może fryzura? - mówi mi, że brak mu poczucia humoru.

Jaina wzruszyła ramionami.

- To tylko pismak. Bywało gorzej. Zresztą, co takiego może nam zrobić? Nie jest nawet oficjalnym obserwatorem.

- Ale teraz nas obserwuje - rozległ się głos Radda. Brubb wskazał podbródkiem w bok. Kiedy Jaina spojrzała we wskazanym kierunku, z gardła wyrwało jej się ciche przekleństwo. - Czy mam do niego podejść i zamienić z nim słówko? - spytał przymilnie Radd.

- Nie - odparła bez zastanowienia Jaina. - Jeśli będziemy zwracać na niego uwagę, tylko go to ośmieli. Chodźmy do głównej hali i spróbujmy go zgubić.

Jej matka przystała na ten pomysł i cała szóstka niezwłocznie przyspieszyła kroku. Leia powtórzyła plan Natui i Hanowi, i wkrótce Falleenka zaczęła sprawnie prowadzić ich przez tłum ludzi. Ich mały pochód zamykał jak zawsze czujny Radd. Już mieli wchodzić do przestronnej części wystawienniczej, kiedy Leia kątem oka uchwyciła jakiś ruch.

Kiedy odwróciła się, żeby lepiej się przyjrzeć, zobaczyła kilka niewielkich brązowych rogatych stworzeń, kręcących się po zagrodzie. Poruszały się na silnych, zakończonych kopytami nogach, a przednie łapy trzymały podkulone przy piersi. Przypominały nieco znieciercierane przez Hana tauntauny, były jednak o wiele ładniejsze, wdzięczne i łagodne. Wszystkie miały długie, puszyste ogony. W pewnej chwili jedno ze zwierzątek dało susa i poskakało pociesznie parę kroków. Leia uśmiechnęła się, ale zaraz od zabawnych stworzonek oddzielił ją tłum.

Kybrucki - przypominała sobie, jak się nazywają. Za małe, żeby używać ich jako wierzchowców... przynajmniej dla ludzi. Podobno na jednym z takich zwierząt podróżował kiedyś Yoda. Leii przyszło na myśl, że kybrucki nadawałyby się w sam raz dla siedmiolatki. Pochodziły z Kashyyyka, ojczyzny najlepszego przyjaciela jej męża, nieodżałowanego Chewbacki.

Wydawały się idealne. Musi pamiętać, żeby zanim wyjdą, pokazać je Allanie i Hanowi. Jeśli spodobają się małej (a Leia była pewna, że tak właśnie będzie), wrócą tu po kryjomu jutro razem z Hanem i kupią jednego. Zadowolona, skupiła znów uwagę na widokach, dźwiękach i - niestety - zapachach dobiegających z wydzielonego terenu.

Główną halę zapełniały ekspozycje, bannery i wszelkie formy reklamy. Pośrodku stały imponujące makiety co popularniejszych zwierzków, które można było zobaczyć na wystawie, opatrzone napisem „Główna hala wystawiennicza”, na wypadek, gdyby umknęło to czyjejs uwadze.

Po lewej mieściła się „Hala małych zwierząt”, w której wystawiano klatki i zagrody z mniejszymi stworzeniami, takimi jak gizki, twirle, voorpaki i wciąż popularne (choć szła na nie powoli mijał) chitliki. Znak z prawej ostrzegał: „Uwaga! Niebezpieczne zwierzęta!” Pod spodem, mniejszym drukiem dodano zaś: „Zwierzęta wystawiane w tej części hali należą do agresywnych. Podjęliśmy wszelkie środki, żeby zapewnić naszym gościom najwyższy poziom bezpieczeństwa. Informujemy jednak uprzejmie, że odwiedzający Coruscańskie Targi Zwierząt wchodzi do tej części na własne ryzyko. Personel wystawy nie odpowiada za potencjalne obrażenia doznane na terenie wystawy”.

- Miło z ich strony - skomentowała Jaina. - Będę o tym pamiętać, kiedy jakiś rankor wgrzyzie mi się w kostkę. Zaraz, zaraz! Przecież jeden już się za mną włóczy. Nazywa się Tyrr. A tak przy okazji, gdzie ta obrzydła larwa?

- Chyba go zgubiliśmy - stwierdziła Natua, wpatrując się spod wółprzymkniętych powiek w otaczający ich tłum.

- Cieszy mnie to - skwitowała Leia. Nie mogła się doczekać, kiedy opowie mężowi o kybuckach, ale Allana nie odstępowała go ani na krok. Han zdjął małą z ramion, dziewczynka jednak trzymała go kurczowo za rękę, ciągnąc w stronę...

- Amelio, kochanie? - w głosie Hana słychać było lekką panikę. Zezował desperacko w stronę Leii. - Nie masz ochoty zobaczyć milusich zwierczków w Hali Małych Zwierząt?

- Nie - odparła stanowczo Allana. - Chcę tam! - Wskazała znak z napisem „Uwaga!”

Leia wzruszyła ramionami i posłała mężowi rozbawione spojrzenie.

- Cała Solo - stwierdziła tylko. Han przewrócił oczami.

Na terenie wystawy było oczywiście całkowicie bezpiecznie. Leia miała niejasne przeczucie, że przesadnie wyeksponowane ostrzeżenie miało raczej przyciągnąć zwiedzających niż ich odstraszyć, tym bardziej że wstęp do tej części wymagał uiszczenia dodatkowej - i to wcale nie banalnej - opłaty.

Mimo dramatycznego apelu o ostrożność i wołającej o pomstę do nieba ceny za bilet było tu całkiem tłoczno.

Na teren wystawy wpuszczano zwiedzających małymi grupkami, a kolejka czekających była dość spora. Kręty ogonek zaczynał się pod turbowindą, która zabierała gości na dół, do hali z wystawą. Han, Leia, Allana, Jaina, Radd i Natua odczekali cierpliwie swoje i wreszcie dopchali się do windy.

Allanie bardzo się nie podobał panujący w kabinie ścisk. Była przyzwyczajona do małego kręgu zaufanych służących i obecności matki. Nie było mowy, żeby ktoś stał tak blisko niej, a w dodatku jej dotykał. Teraz tkwiła przed Hanem, dosłownie przyklejona do jego nóg, trzymając dziadka kurczowo



za obie ręce. Leia czuła poprzez Moc napływające od wnuczki zdenerwowanie i wysłała jej uspokajający impuls.

- Możemy stąd wyjść, jeśli chcesz, skarbie - zaproponował małej Han.

- Nie - sprzeciwiła się z całym swoim siedmioletnim uporem Allana. - Chcę zobaczyć zwierzątka tutaj.

Leia podchwyciła spojrzenie męża i znów wzruszyła ramionami.

Kiedy zjechali na dół i drzwi windy się otworzyły, tabun wysypujących się ze środka istot prawie zatarasował przejście. Jainie jako pierwszej udało się wydostać na zewnątrz, bo zdołała się wcisnąć do windy w ostatniej chwili. Matka usłyszała przez wrzawę jej głos:

- A niech mnie...

Kiedy wreszcie udało jej się wyjść z kabiny, parsknęła śmiechem. Wystrój, oświetlenie, a nawet podkład muzyczny - rytmiczne, ledwie słyszalne buczenie jakiegoś instrumentu dętego - sugerowały, że zaraz wydarzy się coś okropnego. Wszystko było tak przejawskrawione, że aż absurdalne.

Światło reflektorów miało lekko czerwonawą barwę, oblewając wszystko upiornym, krwawym blaskiem. Podłogę zrobiono z gołego metalu, na którym kroki zwiedzających dźwięczały przenikliwie, a przejście było wyjątkowo wąskie, więc goście musieli iść praktycznie gęsiego. Koło zagród ustawiono poręcze, żeby zwiedzający mogli zatrzymywać się koło wybranych wybiegów na dłużej, albo po prostu oglądać okazy jeden po drugim, posuwając się powoli naprzód. Szybki rzut oka potwierdzał, że całą konstrukcję - zarówno zagrody jak i przejścia - wzniesiono solidnie, z dbałością o wszelkie szczegóły i zgodnie z zasadami bezpieczeństwa.

W chronionych grubą, choć ledwie widoczną transpastalą i innymi zabezpieczeniami (na widok których projektanci Gwiazdy Śmierci zagwizdaliby z podziwem) klatkach umieszczono zwierzęta, których widok wytrącał z równowagi chyba wszystkich zwiedzających. Twórcy potęgującej nastrój grozy oprawy wcale nie musieli uciekać się do niedorzecznych sztuczek, żeby osiągnąć pożądany efekt.

Leia poczuła ukłucie niepokoju już na widok mieszkańców pierwszej zagrody. Zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście dobrze zrobili, zabierając tu Allaną. I to nie dlatego, że same stworzenia były groźne - chociaż rzeczywiście ich widok przyprawiał o gęsią skórkę - ale z powodu okoliczności, w jakich je tu zgromadzono.

Zwierzęta prezentowane w tej części wystawy schwytano albo hodowano na dowód potęgi ich właścicieli. Żadne z nich nie miało pretendować do tytułu Najłagodniejszego Pupila Roku. Większość przeżywała swój krótki żywot w fatalnych warunkach, którymi podsycano ich wrodzoną skłonność do agresji. Traktowano je gorzej niż źle, a część z nich ginęła podczas krwawych walk na światach, gdzie podobne rozrywki były legalne. Jasne, ich właściciele podpisywali umowy, w których zobowiązywali się dobrze traktować swoje nowe nabytki, ale Leia wiedziała, że było to tylko czystą formalnością.

Nie przyszłam tu po to, żeby tłumaczyć Allanie, jak okrutni i podli potrafią być niektórzy dla zwierząt, pomyślała ze złością i smutkiem.

Zbliżali się do następnego wybiegu. Sufity klatek zrobiono z transpasterali, ale oddzielające je ściany były z litego durabetonu. Nikt nie chciał ryzykować, że któraś z bestii przebije się na teren sąsiada. Lewitujący nad zagrodą afisz informował, że w środku zobaczą reeka. Leia zerknęła na męża. Najwyraźniej miał co do tej części wystawy podobne odczucia co ona. Zaciskał mocno dłonie na ramionach Allany, która wspięła się na paluszki, żeby zobaczyć coś nad barierką, umieszczoną dokładnie na poziomie jej oczu. Reek był ogromny i miał cętkowaną czerwoną skórę na głowie, szyi i piersi. Z obu stron masywnej szczęki wyrastały mu potężne rogi, a trzeci tkwił między oczami. Zwierzę zrobiło kilka kroków w jedną stronę, potem w drugą i legło ciężko na trawiastym posłaniu. Chwilę później rozejrzało się po przypatrujących mu się gapiach, otworzyło pysk (dość silny, żeby jednym kłapnięciem szczęk zmiażdżyć ludzką kończynę) i zaryczało głośno, a potem wstało i ruszyło ku jednej z ułożonych na wybiegu skał, żeby naostrzyć rogi policzkowe.

- Dlaczego reeki są tutaj, a nie w zagrodach dla wierzchowców? - dopytywała się Allana. - To zwierzęta juczne, prawda? Myślałam też, że są brązowe. Czy ten tu jest chory?

Leia i Jaina wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Obowiązek dostarczenia małej wyjaśnienia wzięła na siebie jej ciocia.

- Hm... masz rację, to zwierzęta wykorzystywane do transportu ładunków - powiedziała. - Z natury są roślinożerne. Ale czasem właściciele karmią je mięsem, bo wtedy są bardziej agresywne. Chcą, żeby walczyły z innymi zwierzętami.

Słodką buzię Allany wykrzywił grymas, ale nie strachu czy szoku, tylko bezgranicznego gniewu.

- Słyszałam o takich rzeczach - powiedziała cicho i z oburzeniem. - Myślę, że to bardzo nieładnie z ich strony.

Cóż, nic dziwnego. Chociaż jako Chume'da Allana była chowana pod kloszem, pod wieloma względami daleko jej było do niewinności dzieci zwykłych rodziców. O pewnych rzeczach wiedziała znacznie więcej niż jej rówieśnicy.

- Masz rację, kochanie - powiedziała Jaina, umyślnie głośno, żeby słyszeli ją stojący w pobliżu potencjalni kupcy, rozważający nabycie bestii do podobnych celów. - To bardzo haniebne postępowanie.

Zostawili reeka w tyle i przeszli do następnego wybiegu. Paradował po nim potwór, na widok którego Han i Leia aż się wzdrygnęli: rankor. Leia zacisnęła wargi, wracając myślą do czasów, kiedy jako niewolnica Jabby musiała patrzeć, jak Hutt rzuca bestii na pożarcie swoich przeciwników, a nawet służących, którzy z jakiegoś powodu mu podpadli. Makabryczne przerywniki pałacowych biesiad zawsze kończyły się dla ofiar tak samo tragicznie - dopóki Jabba nie popełnił błędu i nie spróbował nakarmić pupila Lukiem Skywalkerem.

- Królowa matka Tenel Ka ma miecz świetlny z kła rankora - oznajmiła wszem i wobec Allana. W

jej głosie brzmiał ślad smutku, jednak trzeba było przyznać, że dzielnie znosiła rozłąkę z matką. No i udało się jej palnąć „moja mama”.

Rankor przykucnął i łypnął ponuro na tłum za transpastalą, a potem, bez ostrzeżenia, rzucił się naprzód.

Allana, podobnie jak mniej więcej połowa zgromadzonych za barierkami, aż krzyknęła. Han natychmiast otoczył ją ramieniem, drugą ręką sięgając odruchowo do blastera, którego nie miał na biodrze. Rankor uderzył w przejrzystą tafłę i nagle czerwoną poświatę przeszył jaskrawy błysk. W następnej chwili bestia kuliła się na podłodze zagrody, kręcąc głową i próbując się otrząsnąć z szoku po impulsie, jakim ją poczęstowano.

- Są tu jakieś wyjścia bezpieczeństwa? - spytał cicho Han, nie wypuszczając wnuczki z objęć. - Najchętniej bym się już stąd wyniósł...

- Jest po jednym przy każdej zagrodzie - pospieszyła z odpowiedzią Natua. - Na końcu bocznej kładki.

- No to zabierajmy się stąd - mruknął Solo. - Mam ochotę obejrzeć coś małego, puchatego i bez kłów.

- Nie-e - marudziła Allana. - Chcę zobaczyć wszystkie! - Uwiesiła się na ręce dziadka i ciągnęła go dalej. W końcu Han dał za wygraną.

- Wiesz, chyba wymienimy cię na chitlika - powiedział, mierzwiąc jej ciemną czuprynkę. - Są o wiele grzeczniejsze niż małe dziewczynki.

Allana, która najwyraźniej zapomniała już o strachu, jakiego napędził jej rankor, zachichotała z zachwytem.

- Ale nie takie miłe, prawda?

- Hej, to ja jestem mistrzem ciętej riposty, moja panno!

Ruszyli naprzód, mijając dzikowilki, wielkie szablozębne koty i inne egzotyczne stwory, dopóki nie dotarli do zagrody, w której stadko zwierząt kuliło się tak blisko siebie, że wyglądały jak jedna wielka puchata kulka. Ich kręgosłupy pokrywały ostre kolce. Jedno ze stada było dorosłe, a reszta (Leia naliczyła dziesięć) była mała, włochata i biała. W pewnej chwili potężna bestia otrząsnęła się i spojrzała w górę. Oczom zwiedzających ukazało się czworo oczu, a kiedy zwierzę ni to warknęło, ni to prychnęło - paszcza pełna ostrych kłów. Kilka białych kulek zamrugało poczwórnymi ślepkami.

- Ojejku! - westchnęła Allana z zachwytem. - To nexu! I ma młode! Jakie słodkie!

- Jak na istoty o czterech oczach i paszczekach pełnych ostrych zębów, są rzeczywiście miłe - przyznała Leia. Oczy małych neksiątek były duże i okrągłe, a ich pyszczki wypełniały małe, mleczne igielki. Sądząc po jasnym umaszczeniu, kociaki miały może ze trzy miesiące.

- Są na tyle młode, że można by je jeszcze wyszkolić do stróżowania i obrony - zauważył Radd. - Jeśli jednak chce się je poskromić, trzeba znaleźć dobrego tresera.

- Chwila - mruknęła Jaina, marszcząc brwi. - Chcesz powiedzieć, że można je udomowić?

- Cóż, tak - przyznał Brubb. - O ile zaczniesz się je szkolić dość wcześnie, pod okiem naprawdę dobrego specjalisty. To znaczy, na pewno nie zrobi się z nich twirri, ale...

Leia poczuła ukłucie niepokoju - zwiastun czegoś niedobrego, zupełnie jak muśnięcie lodowatych palców na karku. Sięgnęła odruchowo do torby i wymacała miecz świetlny.

Kiedy uchwyciła wzrok Radda, ten skinął potwierdzająco i także sięgnął ukradkiem do pasa. Mina Jaina mówiła Leii, że jej córka również wyczuła w toni Mocy zaburzenie. Księżniczka odwróciła się do Natui, zamierzając ją spytać, czy Falleenka mogłaby zaprowadzić ich wnuczkę do najbliższego wyjścia bezpieczeństwa...

...ale Natua zniknęła.

Nagle światła zgasły i rozpętało się piekło.

Wszystko zdarzyło się tak szybko, że Natua wprost nie mogła w to uwierzyć.

- Są tu jakieś wyjścia bezpieczeństwa? - spytał Han, tuląc do siebie przerażoną Amelię. - Najchętniej już bym stąd wyszedł...

- Jest po jednym przy każdej zagrodzie - odparła Natua. - Na końcu bocznej kładki. - Poszukała wzrokiem najbliższego wyjścia, starając się ocenić, ile czasu zajmie im przedarcie się przez tłum, a potem przeniosła wzrok z powrotem na Amelię.

Nie. Nie Amelię, poprawiła się w myśli, spłoszona.

Jej sobowtóra!

Och, nie! Wyglądało na to, że wszyscy oni - Valin, Jysella i Seff - mieli rację...

Jej ręka powędrowała do zawieszzonego u pasa miecza. Natua spojrzała kolejno na Jedi Leię Organę Solo, na jej męża i córkę.

- Wiesz, chyba wymienimy cię na chitlika - powiedział nie-Han. - Są o wiele grzeczniejsze niż małe dziewczynki.

Natua gapiła się szeroko otwartymi oczami na rozchichotaną, fałszywą Amelię. Ale żeby dziecko...? - kołatało jej się po głowie. Jak mogli... kimkolwiek byli... podstawić dziecko? I po co?

- Ale nie takie miłe, prawda? - droczyła się mała.

Sobowtóry. Wszyscy, nawet Radd. Ogarnięta paniką, Natua rozejrzała się dookoła po

zwiedzających. Czy oni także zostali podstawieni? Jak głęboko sięgał ten spiszek? Czy podmieniono także Mistrzów? A co ze służbami GS?

Celowo została w tyle. Wysłała wiązkę uspokajających feromonów w stronę grupki stojących najbliżej osób i zaczęła się zastanawiać, jak ma się stąd wydostać i znaleźć tych, którzy uniknęli wplątania w aferę z sobowtórami. Jeśli tacy jeszcze są, pomyślała ponuro. Co się stało z prawdziwą Leią, Hanem, Amelią i Jainą?

Jako Rycerz Jedi miała obowiązek znaleźć i zatrzymać tych oszustów - nieważne jak. Jej wzrok spoczął na zagrodach i uwięzionych w nich stworzeniach... a wtedy do głowy przyszedł jej pewien pomysł, desperacki i ryzykowny, ale nie miała teraz czasu na nic innego. Po drodze do wyjścia, o którym wcześniej wspomniała Hanowi, do jej uszu dolatywały strzępki rozmów sobowtórów.

Żart fałszywego Hana utonął w szumie rozmów, kiedy Natua otwierała drzwi i wyslizgiwała się na zewnątrz.

W przeciwieństwie do teatralnego wystroju hali, pomieszczenia na jej tyłach były proste i surowe. Ściany z gołego durabetonu pokrywały kable i przewody. Obok drzwi, z nogami na biurku i z nosem w holozinie, siedział umundurowany strażnik. Zerknął na nią raz i drugi, ale minęła dobra chwila, zanim się zreflektował, zdjął nogi z biurka i do niej podszedł.

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że nasza wystawa niebezpiecznych zwierząt nie była zbyt męcząca? Czy potrzebuje pani pomocy medycznej? Nie jest pani słabo?

Gdyby sytuacja nie była tak poważna, Natua przewróciłaby tylko oczami. Najwyraźniej organizatorzy zadbali, żeby przedstawienie trwało i za kulisami.

Po chwili dotarło do niej, że ze strażnikiem jest coś nie tak. Nie miała pojęcia, dlaczego, ale była dziwnie pewna, że chociaż nigdy wcześniej go nie spotkała, to - podobnie jak inni - nie był tym, pod kogo się podszywał. Miała ochotę cisnąć go Mocą na ścianę, ale potrzebowała jego pomocy. Podeszła do niego bliżej. Skóra poczerwieniała jej lekko, kiedy wysłała ku niemu chmurę feromonów. Wykonała drobny gest palcami.

- Jestem Jedi - poinformowała go krótko. - Mamy sytuację awaryjną. Musi mnie pan natychmiast zaprowadzić do pomieszczenia kontrolnego. Sytuacja jest poważna. Chodzi o życie gości...

On także lekko się zarumienił, a potem zbladł.

- Ach, tak... chodzi o życie gości - wymamrotał nieskładnie. - Proszę za mną! Szybko! - dodał zaraz, jakby dopiero co się obudził. - Zaprowadzę panią do pomieszczenia kontrolnego!

Leia włączyła swój miecz niemal w tej samej chwili co Radd. Bładobłękitne ostrze dawało dość światła, żeby zobaczyli w nim panikę malującą się na twarzach zwiedzających, którą słyszeli wcześniej w ich okrzykach. Najgłośniej chyba krzyczała stojąca tuż obok Allana. Jedyнным źródłem

światła było kila rzędów wątlých lampek, oświetlających granice pól siłowych otaczających zagrody. Tłum, i tak już podenerwowany wcześniejszym atakiem rankora, tłoczył się teraz do wyjść.

- Są zamknięte! - krzyknął ktoś.

- *Stang!* - mruknęła pod nosem Leia, a potem, wzmacniając głos Mocą, zawołała: - Apeluje o spokój! To na pewno tylko zwykła awaria, która zostanie wkrótce usunięta! Nic nam nie grozi! - Napotkała spojrzenie Radda i wskazała ruchem podbródka najbliższe wyjście. Brubb kiwnął głową i zaczął torować sobie do niego drogę.

- Ja wyjdę tym przy zagrodzie rankora - oznajmiła Jaina. Poderwała się we wspomaganym Mocą skoku i poszybowała nad głowami zgromadzonych, a potem wylądowała pewnie na balustradzie bocznej kładki.

- Radd? - zawołała za Brubbem Leia. - Ja i Jaina spróbujemy przeciąć się przez drzwi, żeby zwiedzający mogli opuścić halę. Przy odrobinie szczęścia do tego czasu naprawią światło i...

Gdzieś z dołu dobiegł szczęk i zgrzytanie. Leia zerknęła z niepokojem w kierunku źródła hałasu. Han zaklął soczyście, a krzyki Allany przybrały na sile.

Transpastalowe sufity, które odgradzały zwiedzających od wygłodniałych, maltretowanych i wściekłych bestii, zaczynały powoli wsuwać się w ściany hali, a mieszkańcy klatek zaczęli drapieżnie popatrywać w górę. W tej samej chwili lampki, informujące o aktywnych polach, zamigotały i zgasły.

Leia poczuła na ramieniu coś mokrego i ciężkiego. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła krew - na szczęście nie jej. Nagle dotarło do niej, co się święci.

Zwierzęta były karmione.

Z punktu widzenia zasad bezpieczeństwa plan był całkiem dobry. Na czas karmienia transpastalowe przykrywy cofano i dezaktywowano pole siłowe, a mięso zrzucano po prostu ze skrytek w suficie, dzięki czemu właściciele nie musieli ryzykować wizytą w klatkach pupili.

Było tylko jedno małe „ale” - teraz na pewno nie wypadała pora karmienia, a wszędzie kręcili się spanikowani goście. Po kolejnej bezskutecznej próbie uspokojenia tłumu Leia zmieniła nagle zdanie na temat systemu karmienia bestii. Kładki wytyczono tak, że mięso spadało i do zagród, i na głowy zwiedzających.

W tej samej chwili dotarło do niej, co to oznaczało.

- Uważaj na Amelię! - krzyknęła do Hana. Poprzez więź w Mocy wyczuła córkę i przesłała jej ostrzeżenie, a potem wyskoczyła we wspomaganym Mocą saltie i wylądowała na najbliższej barierce. Pobiegła nią prosto do Radda, który przecinał się właśnie pracowicie przez drzwi. Sytuacja była poważna. Nie mieli czasu, więc Leia bez ceregieli odepchnęła Mocą kilku spanikowanych gości, którzy pchali się w ich stronę.

- Jak idzie? - krzyknęła, wyciągając jednocześnie rękę, żeby powstrzymać tłum od stratowania pracującego przy drzwiach Minkera.

- Jeszcze kilka minut - sapnął Brubb, z mozołem prowadząc klingę przez grubą, metalową płytę.

- Nie wiem, czy mamy tyle czasu - zaniepokoiła się Leia. Obrzuciła krytycznym wzrokiem tłum i przygotowała się do zanurzenia w drzwiach własnego miecza.

- Dlaczego?

- Bo nadeszła pora karmienia - mruknęła księżniczka, z całej siły napierając mieczem na metal. - Dezaktywowali pola siłowe, odsunęli sufity i lada chwila kładki zostaną... - metalowa podłoga pod ich stopami zadrżała i zaczęła się ruszać, przysuwając ich bliżej drzwi - ...schowane - dokończyła.

# ROZDZIAŁ 18

## Wielkie centrum wystawiennicze, Coruscant

Na dźwięk krzyków, które słyhać było nawet przez grube ściany centrum, Natua kiwnęła z zadowoleniem głową. Hałas nie był co prawda muzyką dla uszu, ale ona spełniła swój obowiązek i to było najważniejsze. Każdy bez wyjątku w hali za ścianą był sobowtórem i chociaż ich zabijanie nie sprawiało jej żadnej przyjemności, ci, którzy jakimś cudem zdołali uprowadzić niepostrzeżenie Leię, Hana i Radda, musieli być naprawdę potężni - kimkolwiek byli. Na pewno nie działali w dobrej wierze. Oszustów, którzy udawali jej przyjaciół (pewnie zresztą zabitych przez nich z zimną krwią, należało znaleźć i powstrzymać.

Już ona się tym zajmie.

Zerknęła na dwóch nieprzytomnych strażników. Pierwszy ją tu przyprowadził, a drugi - pechowo - próbował powstrzymać. Cisnęła ich Mocą o ścianę, na której widniały teraz krwawe ślady w miejscach, gdzie ich głowy uderzyły w mur. Obejście systemu bezpieczeństwa w Hali Niebezpiecznych Zwierząt było dla niej pestką. Z żalem jednak odkryła, że z pomieszczenia kontrolnego nie może panować nad systemami bezpieczeństwa całej wystawy. Cóż, będzie musiała poradzić sobie inaczej.

Falleeńska Jedi puściła się pędem tylnymi korytarzami, wypatrując kamer i zakłócając obraz tych, które napotkała po drodze. Wpadła przez drzwi oznakowane jako „Wyjście” i znalazła się w głównej hali. Czy to nie dalej jak pół godziny temu, kiedy była tu ostatnio, jej największym zmartwieniem był wścibski dziennikarz? Serce ścisnęło jej się z bólu. Jak mogła być wtedy taka głupia i sądzić, że jej koledzy z Zakonu poszaleli? Teraz przejrzała na oczy.

Rozejrzała się wokół. Przez chwilę przyglądała się wejściu do Hali Małych Zwierząt, ale szybko pokręciła głową. Setki małych stworzeń płaczących się pod nogami to uciążliwość, ale nic poza tym. Nie mogła marnować czasu. Chaos, zniszczenie, zagłada - oto, co pozwoli jej stąd uciec i policzyć się z groźnymi sobowtórami.

Krzyki stały się teraz niemal ogłuszające, a tłum wpadł w absolutny popłoch. Leia odwróciła się i podniosła miecz z rozpaczliwą wiarą, że jednak nie będzie musiała go używać, przygotowana jednocześnie na najgorsze. Po drugiej stronie drzwi znajdą pewnie centralę, dzięki której uda się zatrzymać wycofywanie przejść. Zdjęła jedną dłoń z rękoności i wyciągnęła ją przed siebie, z wysiłkiem odpychając napierający tłum, który lada chwila wejdzie Raddowi na głowę. Miała nadzieję, że Jainie idzie nieco lepiej niż jemu.

Żałowała, że jest taka niska. Żeby zobaczyć, co się dzieje na środku sali, musiała wspiąć się na palce, ale i tak nie widziała zbyt wiele. Ziemia dosłownie usuwała się odwiedzającym spod nóg,



więc zaczęli coraz bardziej gorączkowo napierać na swoich sąsiadów. A Leii coraz trudniej było utrzymać ich z dala od siebie i Minkera.

Nagle ponad wrzawę wybił się przenikliwy krzyk i Leia poczuła w Mocy oślepiającą błyskawicę strachu. Nie tracąc czasu na sprawdzanie, co się dzieje, wskoczyła znów na barierkę i rzuciła się bez namysłu w stronę źródła paralizującego przerażenia.

Zobaczyła chłopca, mniej więcej w wieku Allany, rozciągniętego na durabetonowej podłodze boksu dzikowilka. Promieniujący od niego ból był tak silny, że prawie ścięło ją z nóg. Na pierwszy rzut oka widać było, że doznał co najmniej kilku złamań, ale gorszy od cierpienia fizycznego był jego strach. Wylądowała miękko obok chłopca i błyskawicznie skoczyła między niego a warczące bestie.

Jedna z nich natychmiast rzuciła się na nią z obnażonymi kłami, ale wystarczyło jedno płynne cięcie mieczem i stworzenie upadło na ziemię w dwóch kawałkach. To jednak nie powstrzymało reszty, która bez namysłu poszła w ślady brata. Leia ruszyła im na spotkanie, bezlitośnie chlaszcząc niebieskim ostrzem rozwartą paszczę pierwszego zwierzęcia i jednocześnie ciskając drugie Mocą na ostatniego napastnika. Dzikowilk uderzył ciężko w swojego towarzysza i obie bestie wylądowały na ziemi. W ostatniej chwili księżniczka wyczuła, że z tyłu podkrada się do niej jeszcze jedno stworzenie. Bez namysłu machnęła mieczem, pozbawiając je głowy. W samą porę. Chłopczyk krzyknął przejmująco i zakrył twarz ramionami, chowając się przed deszczem krwi. Leii było przykro z powodu traumy, na jaką go narażała, ale wiedziała, że lepiej, niech przeżyje, by móc sobie z tym poradzić. Rozejrzała się gorączkowo, zaciskając dłonie na rękojeści miecza, przygotowana na kolejny atak. Jednym z ciał szarpnęły przedśmiertne drgawki, ale poza tym nic się nie wydarzyło; zabiła wszystkie bestie.

Wróciła do chłopca i kucnęła przy wstrząsanym spazmami ciałku. Dotknęła delikatnie jego ramienia, napełniając go otuchą i spokojem.

- Już dobrze - powiedziała łagodnie. - Wszystko będzie dobrze. - Zaczęła go podnosić z ziemi z zamiarem wskoczenia na rampę i zwrócenia go przerażonym do granic rodzicom, kiedy kątem oka dostrzegła jakiś ruch.

Zerknęła w tamtą stronę i ledwie powstrzymała okrzyk grozy: zamknięta obok samica nexu wydostała się z klatki i zaczęła wdrapywać na rampę. Pazurami przednich łap wczepiła się w niewielkie otwory w metalowych płytach, a jedną z tylnych nóg szukała oparcia. Strzeliła długim, nagim ogonem i owinęła go wokół barierki, a potem zaryczała wściekle. Rozwarła paszczę tak szeroko, jakby łeb pękł jej na pół.

Leia zostawiła chłopca. Będzie bezpieczniejszy w zagrodzie, z pięcioma martwymi dzikowilkami, uznała. Przełożyła miecz świetlny do lewej dłoni, a potem skoczyła, chwytając barierkę o jakiś metr od wdrapującej się na rampę nexu i spróbowała się podciągnąć na kładkę. Nagle poczuła na nadgarstku silny uścisk. To czyjaś dłoń pomogła jej się wydźwignąć na płyty przejścia. Nieoczekiwanym wybawcą okazał się Han, drugą ręką przyciskający do siebie przestraszoną Allanę.

Nie było czasu na podziękowania ani uspokajanie wnuczki. Leia odwróciła się bez namysłu w stronę samicy, której właśnie udało się wgramolić na wycofującą się podłogę. Nexu w mgnieniu oka

rzuciła się na Ithorianina i zatopiła kły w jego nodze. Nieszczęsna istota krzyknęła obojętnie, wydając z siebie zaskakująco piękny, melodyjny - przez co dziwnie niestosowny w tych okolicznościach - okrzyk, a potem upadła, młócąc długimi rękami powietrze i usiłując się przytrzymać kładki.

Jedi Organa Solo runęła w ich stronę, podniosła oburącz miecz i z impetem opuściła ostrze. Błękitna energetyczna klinga przeszła kark bestii i zagłębiła się w metalowej płycie rampy.

- Zabierzcie go stąd! Szybko! - krzyknęła przez ramię. Chociaż martwa, samica nexu wciąż zaciskała szczęki na nodze nieszczęsnego Ithorianina. Kilku wyrwanych z paraliżującego osłupienia gości rzuciło się do pomocy, próbując rozewrzeć paszczę stworzenia i odciągnąć rannego na bok. Kiedy Leia wyłączyła miecz, potężny kocur zwałił się bezwładnie do swojej zagrody. Młode przydreptały w te pędy do ciała matki żałośnie pomiaukiwając.

Rampy cofały się powoli, ale nieuchronnie. Schowały się już do połowy, i o ile wcześniej było na nich tłoczno, to teraz goście wystawy dosłownie po sobie deptali. Leia była zaskoczona, że nikt jeszcze nie stracił zimnej krwi i nie zaczął spychać sąsiadów do klatek. Całe szczęście - może dzięki temu, że wciąż starała się uspokoić ich poprzez Moc?

Nie zdążyła się jednak nad tym dobrze zastanowić, bo nagle rampy przestały się cofać. Księżniczka obejrzała się za siebie i zobaczyła ziejącą w drzwiach ewakuacyjnych czarną dziurę, z której wystawała głowa Radda, wyszczerzona w szerokim uśmiechu. Udało mu się! Brubb szybko jednak przestał się uśmiechać na widok tłumu prącego w jego stronę. Czym prędzej schował głowę do środka.

Wokół talii Leii owinęło się czyjeś ramię i zaraz wylądowała na szerokiej piersi własnego męża. Niebezpieczeństwo wydawała się na moment zażegnane, więc pozwoliła mu się tulić w ramionach przez kilka cennych sekund, próbując jednocześnie pocieszyć pociągającą nosem wnuczkę.

- Leio! - rozległ się głos Natui i księżniczka odwróciła się w tamtą stronę, szukając na zatłoczonej kładce Falleenki. - Wiem, że jesteś sobowtórem! - krzyknęła Wan. Leia zmarszczyła brwi i natychmiast zdała sobie sprawę, co się wydarzyło, kiedy Natua zniknęła im z oczu. Mimo to... - Chcesz mnie dopaść? No to mnie znajdź!

Do Leii dotarło, że Natui nie ma wśród tłumu istot. Na pewno mówi przez system nagłośnienia, a to oznacza, że opanowała pomieszczenia kontrolne... Musi ją znaleźć. Nie wiedziała, dlaczego Falleenka się ukrywa, ale w głębi duszy czuła ulgę, że nie będzie zmuszona zatrzymać jej na oczach wszystkich. Biedne istoty i tak już miały dość wrażeń jak na jeden dzień. Miła wycieczka zmieniła się w koszmar z najgorszych snów. Na pewno długo ją będą pamiętać.

- Zabierz Amelię i wynoście się stąd - poleciła Hanowi nieznoszącym sprzeciwu głosem.

- Poproszę Radda, żeby odwiózł ją do domu i... - zaczął jej mąż.

- Radd i Jaina muszą zostać i razem ze mną pomóc tym ludziom - weszła mu w słowo. - A wy powinniście znaleźć jakieś bezpieczne miejsce.

Han skrzywił się lekko.

- Jak sobie Wasza Kultowość życzy - ustąpił z rezygnacją. - Ale potem tu wrócę. I to z tyloma blasterami, ile zdołam udźwignąć.

Gdyby Leia usłyszała to z ust kogoś innego, uznałaby to za czczą gadaninę, ale знаła swojego męża aż za dobrze. Przez chwilę z rozbawieniem wyobrażała sobie jak Han wraca, uginając się pod stosem broni. Bez słowa zaczęła się przeciskać przez tłuszczę. Próbowwała się dostać do otworu wyciętego przez Radda, ostrożnie pomagając sobie Mocą. Poprzez więź łączącą ją z córką poszukała Jaina. Wyczuła ją niemal natychmiast - dziewczyna spokojnie i pewnie panowała nad sytuacją, ale pod warstewką opanowania wrzał zapiekły gniew.

Przedtem Leia zamierzała poczekać, aż wszyscy zwiedzający będą bezpieczni, ale teraz, kiedy źródłem problemów okazała się Natua Wan, wiedziała, że przede wszystkim - i to możliwie jak najszybciej - musi ją powstrzymać.

Han z wczepioną w niego kurczowo Allaną przecisnął się przez otwór w drzwiach, pilnie uważając, żeby ciągle jeszcze gorący metal nie otarł się o ciało wnuczki. Mała tuliła się do niego z całych sił; przestała krzyżeć, teraz milczała jak zakłeta. Wreszcie zjawili się strażnicy, którzy natychmiast zajęli się rannymi i zaczęli zaprowadzać porządek. Han odmówił zaoferowanej pomocy. Robił wszystko, żeby dotrzeć do głównej hali i, do *frip*, wydostać się z tego cholernego miejsca.

Jak spod ziemi wyrosła obok niego Jaina.

- Tato! Gdzie mama?

- Wygląda na to, że Natui Wan trochę odbiło - mruknął jej ojciec. - Poprosiła twoją matkę na stronę, a ta pognęła się z nią rozprawić.

Jaina chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie i pokiwała tylko głową.

- Tak mi się właśnie zdawało - mruknęła po chwili. - Właśnie tego było nam trzeba: następnego Jedi, który zwariował - westchnęła smętnie. - Tyrr pewnie zaciera ręce z uciechy.

Allana zaszlochała cicho i przytuliła się mocniej do piersi dziadka.

- No cóż, nie czas na pogawędki. „To będzie świetna zabawa”, powiedziała twoja matka - mruknął z sarkazmem Han. - „Poucządzająca”! „Beztroski dzień”! Pff, jasne.

- Tędy - pokierowała go Jaina, a potem, nie zwalniając kroku, otworzyła z impetem drzwi... za którymi trwało jeszcze gorsze piekło.

- Co u... - wyrwało jej się.

Centralna część wystawy, która jeszcze godzinę temu pełna była spokojnych zwiedzających,

znudzonych agentów handlowych i kolejek do dwóch hal, teraz stanowiła istne pandemonium. Wśród rozgorączkowanych istot szalały cztery ronto, traktujące bez opamiętania wszystkich i wszystko, co miało nieszczęście znaleźć się na ich drodze. Gdzieś obok potężny samiec nerfa przymierzał się do ataku. Sądząc po lśniącej na jego rogach posoce, rozprawił się już z co najmniej jedną ofiarą. Wszędzie biegały samopas spłoszone banthy, tauntauny i dewbacki.

- *Stang!* - wyrwało się Jainie. - Otworzyła zagrody!

Han także zaklął.

- W całej głównej części...

Jaina skrzywiła się, starając pospiesznie ocenić sytuację.

- Nie możecie teraz wyjść. To zbyt niebezpieczne. Zostańcie tu i zaczekajcie na mnie.

- Ta-a, jak *chubba*. Nie za...

- Tato! - przerwała mu bezceremonialnie. - Musisz zabrać Amelię w bezpieczne miejsce! Wydostanę się stąd, znajdę śmigacz, skuter czy coś w tym stylu i wrócę do was. Spróbujcie się wdrapać jak najwyżej. Większość zwierząt nie umie się wspinać, a wystarczająco wysokie, żeby do was dosięgnąć, są tylko ronto, które chcą uciec, nie atakować.

Han spojrzał w kierunku, który wskazała mu córka: na stojącą pośrodku hali pełnowymiarową makietę najbardziej reprezentacyjnych zwierząt wystawy, którą widzieli na początku. Nie był już co prawda tak sprawny jak dawniej, ale uznał, że zdoła się wspinać na banthę. Tyle że podczas karkołomnej wspinaczki Allana będzie się musiała mocno trzymać.

- No dobra - ustąpił. - Ale jeśli nie wrócisz za kwadrans z jakimś pojazdem, masz szlaban. I nie obchodzi mnie, że jesteś dorosła.

Jaina nie zdołała powstrzymać rozbawionego parsknięcia. Właśnie za to kochała swojego ojca najbardziej: nieważne, waliło się czy paliło, potrafił wywołać na jej twarzy uśmiech - a kiedy się śmiała, lepiej jej się myślało.

- Będę za dziesięć minut - obiecała, a potem odwróciła się i ruszyła z zapalonym mieczem świetlnym na szarżującego nerfa.

Leia zatrzymała się przed wejściem do pomieszczenia kontrolnego. Drzwi były otwarte na oścież, więc szybko spostrzegła rozciągnięte na podłodze ciała strażników. Skrzywiła się boleśnie na ich widok. Najwyraźniej Natua tu zajrzała, ale teraz nie było po niej śladu. Księżniczka przyklęła przy jednym z mężczyzn i sprawdziła mu puls. Bardzo słaby, ale dał się wyczuć. Powtórzyła procedurę przy drugim strażniku; na szczęście on też żył.

- Leia!

Zerwała się na równe nogi.

- Natuo! - zawołała. - To nie tak, jak myślisz! Jestem pewna, że o tym wiesz! Proszę, daj sobie pomoc! Jesteś Jedi! Wiem, że nie chcesz mieć krwi tych wszystkich istot na rękach! - Rozejrzała się szybko po pokoju, przyskoczyła do konsoli i po pobieżnej inspekcji panelu wcisnęła jeden z guzików. - Tu centrala Hali Niebezpiecznych Zwierząt! - rzuciła. - Proszę natychmiast przysłać pomoc medyczną! Mamy rannych!

- Ranni? Kto mówi? - spytał nieufny głos.

- Po prostu kogoś tu przyślijcie! - Leia nie miała czasu na wyjaśnienia. Musiała znaleźć i powstrzymać Natuę, zanim ta zrani albo nawet zabije kogoś jeszcze.

- No jasne, że „to nie tak” - zza rogu dobiegł zjadliwy, ociekający nienawiścią głos. Natua wyraźnie się z nią droczyła. - Jesteś Leią Organą, Rycerzem Jedi, księżniczką, byłaś senator i kochającą matką! - szydziła Falleenka.

Leia ruszyła ostrożnie w stronę źródła głosu. Natua najwyraźniej postradała zmysły i dalsza rozmowa była bezcelowa - sądząc po tym jak zachowywali się wcześniej Seff, Valin i Jysella. Teraz mogła tylko spróbować unieszkodliwić Wan - możliwie bezboleśnie i najszybciej jak się da.

Rozciągnęła zmysły we wszystkich kierunkach, ale nie udało jej się wyczuć Jedi w Mocy. Czyżby się przed nią ukrywała? Jeśli tak... to ta umiejętność stawała się ostatnio stanowczo zbyt popularna jak na jej gust.

- Jasne, wcale nie jesteś sobowtórem, który podmienił Leię - drwiła Natua. - A co z Amelią? To tylko dziecko! Jak mogliście jej to zrobić?! - W jej głosie brzmiało święte oburzenie. Dobiegał zza rogu, więc Leia skoczyła za próg z zapalonym mieczem w dłoni. Prosto... w pustkę.

Jaina zorientowała się z żalem, że spóźni się z dostarczeniem ojcu transportu - a wszystko dlatego, że była Jedi i otaczały ją istoty w potrzebie. A ona mogła im pomóc - i zamierzała to zrobić.

Ochrona wpadła już do głównej hali i otworzyła ogień do biegających po terenie wystawy zwierząt. Jaina skrzywiła się na dźwięk wystrzałów i ryków rannych zwierząt, zagłuszających krzyki przerażonych gości. Wiedziała, że to jedyne rozwiązanie, bo zwierzaków było po prostu za dużo, żeby je po kolei wyłapać, a poza tym w grę wchodziło ludzkie życie. Nie było czasu. Musiała działać.

Przymknęła oczy i postarała się uspokoić. Zwykle miewała z tym problem, więc w piekle, jakie rozpętało się na wystawie, powinno to graniczyć z cudem, jednak po chwili zdołała nad sobą zapanować. Otworzyła oczy i wyciągnęła ręce w stronę dwóch najbliższych stojących bestii: rozjuszonego dewbacka i kiczającego jak w amoku kybucka.

*Już dobrze - mówiła do nich w myśli. Nie ma się czego bać. Nikt wam nie zrobi krzywdy. Wracajcie do zagród. Tam jest bezpiecznie. Chodźcie za mną.*

Dewback zaryczał głośno, ale za chwilę dreptał już posłusznie w stronę Jainy. Kybuck przez moment się wahał, ale w końcu też przykładał do niej skwapliwie, a Jedi poklepała go dobrotliwie po boku. Kiedy dewback podsunął jej pod ramię swój wielki łeb, uśmiechnęła się i nagrodziła go pieszczotą, a potem wskoczyła mu na grzbiet i znów sięgnęła Mocą, i jeszcze raz, i jeszcze, dopóki nie zebrało się wokół niej małe stadko zwierzaków.

Zasiała w umysłach zgromadzonych stworzeń ziarno sugestii. Niektóre miały silniejszą wolę niż inne, ale wszystkie czekały na jej wskazówki. Miała ochotę pogonić je czym prędzej do klatek, ale wiedziała, że pośpiech tylko je rozjuszy. A teraz najważniejsze było, żeby zachowały spokój. Wydawało jej się, że minęła cała wieczność, zanim udało jej się zapędzić zwierzaki do zagród. Chociaż skomplikowane systemy bezpieczeństwa wybiegów wyłączono, nadal działała główna bramka, blokowana prostą zasuwą; na razie to musi wystarczyć, uznała. Zagoniła cały inwentarz do środka i wysłała każdemu ze zwierząt ostatnią, uspokajającą myśl, a na koniec zaszczepiła w ich umysłach sugestię, że są bardzo, ale to bardzo zmęczone i muszą iść spać.

Odwróciła się na pięcie i zobaczyła znajomą, znenawidzoną twarz.

- Ty...! - warknęła, wskazując oskarżycielskim palcem Javisa Tyrra. Ten *sleemo* ją nagrywał! Podeszła prosto do niego, zasłoniła dłonią obiektyw droida kamerzysty i przysunęła twarz do twarzy dziennikarza.

- Jaino Solo, czy możesz potwierdzić, że Jedi Natuę Wan dotknęła ta sama choroba, co... - zaczął swoim gładkim, ociekającym uprzejmością głosem.

Złapała go za koszulę i szarpnęła, tak że prawie zetknęli się nosami.

- Widziałeś ją! - warknęła. - Gadaj gdzie?

W obliczu perspektywy rękoczynów, cały profesjonalizm reportera wyparował w mgnieniu oka.

- Dosłownie chwilę temu - wyśpiewał Tyrr. - Otwierała wszystkie zagrody. Mam to nagrane.

- Gdzie poszła? - indagowała dalej Jaina.

Dziennikarz kiwnął głową w bok. Jak okiem sięgnąć, wszędzie ciągnęły się rzędy zagród. Wyglądało na to, że Natua zadała sobie trud utworzenia każdej z nich.

Odepchnęła dziennikarza, jednocześnie impulsem Mocy zakłócając działanie kamery, i sięgnęła po komunikator.

- Mamo? - rzuciła nerwowo do głośnika. - Natua dosłownie moment temu była na górze. Kieruje się na północną ścianę hali.

- To by wiele wyjaśniało - parsknęła Leia, wyraźnie poirytowana. - Bo przez chwilę miałam wrażenie, że szukam wiatru na polu. Zaraz tam będę.

- A może jakiś specjalny wywiadzik, skoro moje informacje okazały się przydatne? - zagadnął

przymilnie Tyrr.

- A może rozkwaszę ci nos? - odgryzła się Jaina. Nie zwracając sobie dłuższej głowy wścibskim dziennikarzyną, puściła się biegiem w stronę hali wystawienniczej, wybierając po drodze kod Radda.

Namierzyła Falleenkę przy zagrodzie botdoków. Nie zwolniła kroku ani nie zdradziła się krzykiem, jednak zanim jeszcze przypuściła atak, Natua jakimś cudem ją wyczuła. Kiedy Jaina skoczyła ku niej, Wan otworzyła bramkę, wypuszczając ze środka rozsierdzone zwierzęta. Wiedząc, że nie zdąży usunąć im się z drogi, Jaina podskoczyła wysoko, odbiła się lekko od grzbietów paru stworzeń i rzuciła ku szalonej Jedi, która podnosiła już nad głowę miecz. Energetyczne klingi starły się ze skwierczeniem w powietrzu. Jaina zacisnęła zęby i wycedziła:

- Nie chcę cię skrzywdzić...

- Za to ja chcę skrzywdzić ciebie! - parsknęła Natua. - Prawdziwa Jaina na pewno byłaby mi wdzięczna. - Oszalałej Jedi udało się pokonać blokadę Solo. Zaatakowała ją, zmuszając do cofnięcia się i przyjęcia postawy obronnej.

*Stang*, pomyślała gorączkowo Jaina. Naprawdę nie miała ochoty robić Natui krzywdy... Z Falleenką było źle i potrzebowała pomocy. Została...

- Och, a więc to tak? - warknęła, uświadamiając sobie, że Natua próbuje na nią wpłynąć feromonami.

- Sprytnie, Natuo - dobiegł ją głos matki. - Muszę przyznać, że dałam się nabrać. Jacen też potrafił tak modulować swój głos. Zakładam, że nie zdradzisz mi, jak tego dokonałaś?

Jaina nie spuszczała z Falleenki wzroku.

- Rychło w czas - rzuciła przez ramię.

- Wybacz - odparła Leia. - Całkiem dosłownie udało jej się zapędzić mnie w nerfi róg.

- Natuo! - zawołał Radd, spiesząc im na pomoc. - Poddaj się! Mamy nad tobą przewagę liczebną. Wiesz, że robimy to tylko dla twojego do...

Zanim zdążył skończyć, Falleenka z obnażonymi zębami i obłędem w oczach rzuciła się na Jainę. W tej samej chwili obie Solo podniosły swoje miecze w doskonałej harmonii, jakby wcześniej wielokrotnie ćwiczyły ten układ. Prosta przewaga dwóch energetycznych ostrzy przeciwko jednemu sprawiła, że miecz wypadł Natui z dłoni, a ona sama zatoczyła się, tracąc równowagę. Wtedy do akcji wkroczył Radd. W jego ataku nie było żadnej finezji ani wyrafinowania. Po prostu skoczył na nią i uderzył twardą czaszką w jej głowę.

Falleenka zachwiała się i padła bez czucia na ziemię. Jaina i Leia przyglądały się Raddowi przez chwilę w milczeniu, niezdolne wykrztusić słowa, aż wreszcie Brubb, najwyraźniej zawstydzony, wzruszył ramionami.

- Hej! - odezwała się wreszcie Jaina, kiedy otrząsnęła się z szoku. - Dobra robota! - Otarła dłonią czoło i podniosła ją do nosa. - O rany. - Skrzywiła się. - To ja? Powinnam wskoczyć pod paroprysznic, i to zaraz.

Rozejrzała się wokół i zobaczyła zbliżającą się do nich znajomą postać.

- Chyba znów ominęła mnie najlepsza zabawa - mruknął Han. Allana dreptała u jego boku, ściskając go mocno za rękę. Była blada i wciąż wyglądała na przerażoną, ale najwyraźniej szybko wracała do siebie.

Leia przyjrzała się ze zmarszczonymi brwiami nieprzytomnej Falleence i westchnęła.

- Nie jest dobrze - wymamrotała smutno. - Valin, Seff, Jysella, a teraz Natua... Wszyscy tacy młodzi...

- Chyba dzisiejsi Jedi nie są już tacy jak kiedyś... - skwitował Han.

- Tato! - sprzeciwiła się Jaina. - Halo! Jestem tu!



# ROZDZIAŁ 19

## Na pokładzie „Cienia Jade”

Dni mijały, a Luke i Ben przyswajali coraz więcej informacji.

Głównie od Tadar’Ro, którego szybko bardzo polubili. Mimo że był Aing-Tiim i wiedzieli, że nigdy go do końca nie zrozumieją, w towarzystwie Jedi czuł się najwyraźniej swobodnie i w pewien sposób odwzajemniał ich sympatię. Odpowiadał na ich pytania najlepiej jak potrafił - czasami naprawdę wyczerpująco, chociaż bywało, że udzielał odpowiedzi zupełnie dla nich niezrozumiałych. W każdym razie widać było, że bardzo się stara.

- Jesteście trzecim i czwartym przedstawicielem waszej rasy, których poznałem - powiedział im pewnego dnia, kiedy siedzieli w jednym z jego ulubionych miejsc. Było ono co prawda równie jałowe i skaliste jak reszta tutejszego krajobrazu, ale kamienie okazały się tu bardziej gładkie. Kiedy panował chłód, zachowywały ciepło słońca, a kiedy z nieba lał się żar, większe skały dawały od niego schronienie. Ben widywał tu nawet od czasu do czasu niewielkie zwierzęta. Miejsce tchnęło niezwykłym spokojem i razem z ojcem dobrze się tu czuli.

Pewnego dnia Luke powiedział o tym ich gospodarzowi. Spostrzeżenie nowych uczniów wyraźnie go ucieszyło.

- To miejsce nauki - wyjaśnił. - Wielu młodych gromadzi się tu, żeby czerpać wiedzę. To właśnie tutaj uczyłem Jacena Solo i Jorja Car’dasa. - Luke zauważył, że Aing-Tii zawsze używali pełnych imion.

- A więc to... szkoła? - domyślił się Ben.

- Tak, coś w tym stylu - potwierdził Tadar’Ro. - Szkoła... Tak. Przez wieki pobierały tu nauki otwarte i spragnione wiedzy umysły. Przekazywanie i czerpanie tej wiedzy daje nam radość. To miejsce przesyca energią liczących umysłów, które przyswajały informacje i doznawały tutaj oświecenia.

Ben pokiwał z namysłem głową.

- Uczyłeś tu Jacena - zagadnął gospodarza Luke. - Jakim był uczniem?

- Był drugim człowiekiem, jakiego spotkałem, i pierwszym Jedi - odparł Tadar’Ro. - Wydawał się bardzo spragniony wiedzy, jednak... nie dawała mu ona takiej radości jak innym. Czy to u ludzi normalne?

Luke i Ben wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Niekoniecznie. Każdy z nas jest inny. Jak długo Jacen przebywał wśród was?

- Była w nim jakaś świeżość, oczekiwanie - ciągnął Tadar'Ro, jakby nie dosłyszał pytania. Ben i Luke zaczęli się już przyzwyczajać do tego, że ich gospodarz udzielał czasem bardzo pokrętnych odpowiedzi.

- Zaczynał tu swoją pięcioletnią podróż - przypomniał synowi Mistrz Jedi i chłopiec pokiwał głową.

- Powiedziałeś, że był spragniony wiedzy, ale nie czerpał satysfakcji z jej zdobywania - podjął Ben. - Czy mógłbyś to wyjaśnić?

Tadar'Ro przysiadł na tylnych łapach i przez chwilę w milczeniu wysuwał i wsuwał pęczek swoich niesamowitych języków. Najwyraźniej Aing-Tii nie potrafili jednocześnie myśleć i mówić. Ben stłumił rozbawione parsknięcie, bo dotarło do niego, że niektórzy członkowie jego rodziny także mieli czasem problem z pogodzeniem tych dwóch czynności.

- Miałem wrażenie, że to dla niego raczej obowiązek niż przyjemność - wyjaśnił Tadar'Ro po dłuższej chwili. - Całkiem jakby musiał to zrobić, żeby mieć to z głowy. Chciał coś zdobyć, osiągnąć.

- Cały Jacen - westchnął cicho Ben. - A więc już wtedy wkroczył na tę ścieżkę... A przynajmniej wszystko na to wskazuje.

- Ścieżkę? - spytał niepewnie Tadar'Ro.

Luke westchnął i spojrzał ich gospodarzowi w oczy.

- Wasz lud używa Mocy, ale jeśli dobrze rozumiem, nie wierzycie w jej dwoistość.

Dowiedzieli się tego z dzienników Jorja Car'dasa. Na początku przemytnik miał podobne problemy ze zrozumieniem Aing-Tiich jak oni.

„Długo nie wiedziałem, co zrobił dla mnie Yoda - wyjaśniał w holograficznych dziennikach. - Pewnie po części dlatego, że nie doznałem - i raczej nigdy nie doznam - Mocy w ten sposób jak on. Szczerze powiedziawszy, zanim tu przybyłem, nie interesowałem się tym zbytnio. Ale dla Aing-Tiich Moc jest niezwykle ważna, a mimo to rzadko korzystają z jej daru. Nigdy nie spotkałem ludu, który tak bardzo fascynuje coś, co mają na co dzień, a przy tym traktują to z najwyższą czcią”.

- Ale przecież my też nie korzystamy z Mocy przy byle okazji - zaproponował Ben, kiedy któregoś wieczoru oglądali przy kolacji dzienniki Car'dasa.

- Nie - przyznał Luke. - To byłby brak szacunku.

„Z mojej wiedzy, która - przyznaję - jest bardzo ograniczona - wynika, że Moc ma dwa aspekty: Jasną i Ciemną Stronę - ciągnął Jorj. - Jedi wykorzystują Jasną, a Sithowie i Ciemni Jedi, jak sama nazwa wskazuje, Ciemną Stronę. To proste i zrozumiałe. Chyba większości obywateli galaktyki pasuje taki oczywisty podział, bo jest nieskomplikowany. Jednak Aing-Tii postrzegają to w znacznie bardziej złożony sposób. W ich rozumieniu... - Car'das urwał i przez chwilę gestykulował, jakby szukał słów - ...istnieje ona w różnych układach. Postrzegają ją jako coś w rodzaju... gamy tonów.

Całkiem jak przepuszczone przez pryzmat światło, tworzące wzór tęczy”.

Ben przypomniał sobie teraz słowa przemytnika, kiedy Tadar’Ro przytaknął:

- To prawda. Używamy Mocy. Jest dla nas święta. Pochodzi od Tych, Którzy Mieszkają za Zasłoną. Natura tego daru jest skomplikowana i nie ogranicza się do podziału na światło i ciemność, dobro i zło. Jacen Solo chyba to rozumiał.

Luke i Ben znów spojrzeli po sobie. Ben znał ten wyraz twarzy ojca. Oznaczał: „Porozmawiamy o tym na osobności”.

- To Mocy zawdzięczamy nasze statki. Dzięki nim możemy wyprawiać się poza nasz świat i szukać artefaktów, które mogły należeć do Tych, Którzy Mieszkają za Zasłoną - podjął Tadar’Ro. - Was także wyślemy na podobną wyprawę. Jeśli oczywiście zgodzicie się nam pomóc.

- Oczywiście - zgodził się Luke ostrożnie. - Bardzo chętnie. Podzieliłeś się z Jacenem waszą teorią o Mocy jako... o tęczy, jak nazwał to Car’das, tak? - wrócił do tematu. - Czego jeszcze go nauczyłeś?

- Jacen Solo był bardzo silny Mocą, i to dlatego zgodziliśmy się go uczyć. Wierzymy, że został nam zesłany, tak samo jak Jorj Car’das i wy - wyjaśnił Aing-Tii. - Nauczyliśmy go, że nie trzeba być wrażliwym na Moc, żeby z niej czerpać. Uczyliśmy go rozumieć, w jaki sposób nasze statki przenoszą się z miejsca na miejsce i jak można tą samą metodą przemieszczać zwykłe przedmioty, takie jak kamienie czy narzędzia. - Wyciągnął szponiastą łapę i wskazał leżący w pobliżu kamień. Nagle w powietrzu rozległo się dziwne młaśnięcie i skała znalazła się u stóp Luke’a. Wlepili w nią z Benem zdumione spojrzenia.

- Wszystko sprowadza się do percepcji, pod warunkiem że jest wystarczająco silna - stwierdził Tadar’Ro. - Widziałem tę skałę tutaj - i oto tu jest. Trudno przekonać umysł, że to prawda, ale kiedy staniecie się tego pewni i zrozumiecie mechanizm działania własnej woli, okaże się to wyjątkowo proste.

Zdaniem Bena to wcale nie było takie proste; wręcz przeciwnie - astralnie wręcz skomplikowane! Chłopiec pochylił się i podniósł kamień: zwykły kawałek skały - nie dymił, nie był specjalnie zimny ani ciepły - po prostu kamień, który chwilę wcześniej był tam, a teraz tu, w jego dłoni.

- Jacen Solo szybko to pojął - kontynuował Tadar’Ro. - A ja nauczę tego was obydwu. Miejmy nadzieję, że wasze umysły przyswoją to równie szybko jak umysł Jacena Solo.

- A co z wędrówką po nurcie? - dopytywał Ben. - Jak się tego nauczył?

- Nie miał z tym żadnych problemów - odparł Tadar’Ro. - To sztuka nierozzerwalnie związana ze sposobem, w jaki postrzegamy Moc i... - przechylił po swojemu głowę. Promieniowała od niego konsternacja - ...i jak do czasu objawienia Proroka pojmowaliśmy przeznaczenie i los - dokończył ze smutkiem. - Wierzymy, że to Moc nas prowadzi i nie próbujemy w żaden sposób nią pokierować. Tak samo jest z podróżowaniem po nurcie. Ktoś, kto pragnie tego dokonać, musi powierzyć swoje

uczucia Mocy, zanurzyć się w jej strumieniu. - Odwrócił się do Bena i łypnął na niego dużym czarnym okiem. - Możliwe, że nauczysz się tego równie szybko jak twój kuzyn.

- Może - przyznał z powątpiewaniem Ben. Porównywany do Jacena czuł się nieswojo. Nie mógł jednak stłumić podniecenia, które ogarniało go na samą myśl o tym, że będzie mógł wrócić do przeszłości i przenieść się w przyszłość... - nawet jeśli miała to być bardzo, bardzo niepewna przyszłość. Kątem oka zobaczył, że jego ojciec marszczy brwi, całkiem jakby czytał mu w myślach.

Tego wieczoru przy kolacji obejrzeliby dalszy ciąg dzienników holograficznych Jorja Car'Dasa.

„W jakiś sposób wykorzystują Moc jako źródło napędu ich statków - mówił przemytnik - i to właśnie dzięki niej dokonują tych swoich szalonych skoków, nieporównywalnych z niczym, co do tej pory widziałem. Dyskutują o tym zresztą bez końca. A przynajmniej Tadar'Ro wciąż podejmuje ten temat w naszych rozmowach”.

Cóż, Tadar'Ro poruszał to zagadnienie nadzwyczaj chętnie w rozmowach z Benem i Lukiem, więc można by przypuszczać, że także i z Jacenem. To się wydawało... dziwne. Aing-Tii byli najbardziej zazdrośnie strzegącym swoich tajemnic, zdarzało się też, że wrogo nastawionym i podejrzliwym, ale kiedy już kogoś zaakceptowali, chcieli się z nim dzielić dosłownie wszystkim.

- Moc jako tęcza... - Ben się zamyślił. - Muszę przyznać, że to ładne porównanie.

- Fakt - zgodził się z synem Luke. - Nie chcę być ograniczony czy nietolerancyjny, więc przypuszczam, że taka wizja Mocy jest dla Aing-Tiich logiczna.

Ben przypominał sobie chwile spędzone na Ziost. Był wtedy wpatrzony w Jacena jak w obraz, chociaż w pewnej chwili w jego fascynację kuzynem zaczęły wkradać się wątpliwości. Młody Solo wierzył, że Moc jest narzędziem, jak miecz świetlny czy blaster, i że można ją kształtować wedle własnej woli. Był przekonany, że nie istnieje tak naprawdę Ciemna ani Jasna Strona. A Ben podzielał jego przekonanie. Moc była dla niego neutralna. Szara.

Albo tęczowa.

A mimo to, kiedy po raz pierwszy zobaczył Ziost, wyczuł w niej coś złego, całkiem jakby planeta odwzajemniała jego spojrzenie, kiedy się jej przyglądał. Pamiętał głosy, które mówiły do niego - najpierw w snach, a potem i na jawie - nakazujące mu porzucić dziewczynkę, która z nim podróżowała, a potem zabić ją i zjeść, żeby odzyskać nadwątlone siły. A kiedy dopadały go te myśli, mała Kiara odsuwała się od niego - i od wzbierającej w nim Ciemnej Strony.

To właśnie wtedy Ben zaczął się zastanawiać nad swoją wiarą w neutralność Mocy. Zło, które czuł, nie pochodziło od żywej istoty. Było piętnem Sithów, odcisniętym na planecie dawno temu, echem ich obecności i energii, choć przecież dawno opuścili ten świat.

W końcu dotarło do niego, że to wpływ Ciemnej Strony. I chociaż wiele czasu zabrało mu

uświadomienie sobie tego, w końcu zdołał się otrząsnąć.

- Kiedyś postrzegałem Moc jako broń - wyznał ojcu. - Bo przecież blaster nie jest właściwie zły sam z siebie, prawda? Można nim zastrzelić i zdradzić przyjaciela albo wroga, żeby ocalić życie. Tak właśnie myślałem o Mocy; nie jako o czymś z gruntu dobrym czy złym. Była dla mnie... szara.

Luke pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Pamiętam, jak wszedłem kiedyś do jaskini na Dagobah. Zanim jeszcze cokolwiek zobaczyłem, wyczułem coś złego, zimnego, niepokojącego. A wtedy... - Parsknął cichym śmiechem. - Zastawiłem pułapkę sam na siebie, ot, co. Yoda mi mówił, że nie będę potrzebował broni, ale i tak ją zabrałem. Ostrzegał mnie, że Jedi wykorzystują Moc dla wiedzy i obrony, nie do ataku, ale kiedy przede mną wyrósł nagle jak spod ziemi Vader... włączyłem od razu miecz. A przecież Jedi tak nie postępują. Chronimy i bronimy tych, którzy nie potrafią obronić się sami. I w taki oto sposób oblałem z kretesem mój pierwszy test ze znajomości Jasnej i Ciemnej Strony - zakończył.

Ben zaśmiał się krótko.

- Wiesz? To, że jako dzieciak tak konsekwentnie i ustawicznie dawałeś ciała, rokuje dla mnie pewne nadzieje na przyszłość.

- Uważaj, co mówisz, synu. - Luke uśmiechnął się ciepło.

- Wydaje mi się... - powiedział Ben powoli, z namysłem - ...że Jacen chciał pozostać szary.

- Co masz na myśli?

Ben podejrzewał, że jego ojciec dobrze wie, o co mu chodzi - chciał to po prostu usłyszeć z jego ust.

- Jacenowi marzyła się bezpieczna galaktyka - wyjaśnił. - To przecież o to walczą wszyscy prawdziwi obywatele: chcą miejsca, w którym będą mogli bezpiecznie wychowywać własne dzieci, pracować i oddawać się swoim pasjom. To szczytny cel.

- Fakt, szczytny - przyznał Luke.

- Ale... - podjął Ben - ...Jacen pragnął tego za mocno. Na tyle mocno, żeby dopuścić się naprawdę strasznych czynów, byle tylko dobić swego. I na tyle mocno, żeby zaprzedać się Sithom, byle tylko zyskać potęgę, która pozwoliłaby mu wcielić jego plan w życie.

- To klasyczny przypadek celu uświęcającego środki - powiedział cicho Luke. - Pragniesz czegoś... nawet tego, co zdaniem wszystkich jest dobre... zbyt desperacko. Uciekasz się wtedy do ostateczności, żeby tylko postawić na swoim. A potem, jeśli chcesz żyć w zgodzie sam ze sobą, zaczynasz robić rzeczy coraz bardziej sprzeczne z twoją wizją podziału na dobro i zło. Twój cel staje się tak ważny, że posuniesz się dla jego realizacji nawet do kłamstwa i zdrady... - zawiesił głos i milczał przez chwilę. - Spytałem kiedyś Yodę, czy Ciemna Strona jest silniejsza. Zaprzeczył, ale powiedział, że jest łatwiejsza i...

- ...bardziej nęcąca? - zgodził Ben, unosząc sugestywnie brwi w udatnej parodii Landa Calrissiana.

Luke roześmiał się na widok takiej imitacji mimiki starego przyjaciela.

- Masz rację, w tym rzecz - zgodził się. - Ale tamta lekcja, której zresztą wtedy nie przyswoiłem, miała mnie nauczyć, że zawsze dostajesz tyle, ile z siebie dajesz. Ciemna Strona nie może cię skusić, jeśli jej na to nie pozwolisz, nie dasz jej wykorzystać swojego gniewu, nienawiści czy agresji, które w tobie siedzą.

- Albo których pragniesz - dodał Ben cicho i poważnie. - Sądzę, że właśnie to przydarzyło się Jacenowi.

- U Jedi nie ma miejsca na tęczową Moc - podsumował Luke. - Nie ma miejsca na ustępstwa. Kroczymy drogą Jasnej Strony albo spadamy w mrok. Nie ma szarej strefy.

Ben westchnął.

- Jasne, to brzmi rozsądnie, ale... - zająknął się. - Widziałem, co spotkało Jacena. Byłem tego naocznym świadkiem. Czułem też Ciemną Stronę na Ziost, całkiem jak ty na Dagobah. Mimo to... moim zdaniem Yoda się mylił.

- Och, serio? - zdziwił się Luke. - W jakiej niby kwestii?

- Ciemna Strona nie zawiązała Vaderem - powiedział żarliwie Ben. - Udało ci się go przeciągnąć na stronę jasności, a kiedy umarł, zjednoczył się z Mocą. Poza tym zawróciłeś też ze ścieżki ku ciemności mamę...

Luke uśmiechnął się smutno.

- Tak samo jak Leia mnie, kiedy zanadto zbliżyłem się do mroku. Wydaje mi się, że ty to samo zrobiłeś dla Tahiri. Nie porzuciłeś jej, chociaż wyrządziła ci tyle krzywd.

Ben wyprostował się w dopasowującym do ciała fotelu i przyjął najbardziej godną pozę, na jaką było go stać.

- Jedi Skywalkerowie - powiedział z przesadną emfazą - ustanawiają wspaniałą rodzinną tradycję ratowania ludzi ze szponów Ciemnej Strony!

- Hej, bywało gorzej! - zaprotestował ze śmiechem Luke.

- Jasne, na przykład kiedy ciocia Leia postanowiła nakarmić nas swoim przyprawomięsem!

- Jeśli myślisz, że Ciemna Strona jest straszna, spróbuj jej o tym powiedzieć.

- Nigdy! Jeszcze mi życie miłe!

Podróże, w które Aing-Tii wysyłali Bena i Luke'a, były... niesamowite. Obca rasa jakimś cudem znała niekiedy dokładne współrzędne miejsc, w których znajdują artefakty. Innym razem kierowali ich tylko wiedzeni przecuciem, że „coś może tam być”. Teraz, kiedy Aing-Tii pomagali im obliczać skoki, poruszanie się w obszarze Ryftu wydawało się kaszką z mleczkiem. Ben spytał kiedyś, czy Tadar'Ro nauczyłyby go, jak sprawić, żeby „Cień Jade” dokonał takiego skoku jak statki Sanhedrynu - skoro odbywali wyprawy w ich imieniu...

Ich gospodarz pokręcił jednak sztywno głową.

- Wasz statek nie ma Mocy - wyjaśnił. - A nasze... tak.

- Czy to znaczy, że są pochodzenia organicznego? - zaciekawiał się Luke, wspominając statki Yuuzhan Vongów.

Tadar'Ro schylił łeb i rozmyślał przez chwilę.

- I tak, i nie - odparł wreszcie. - Istnieją w Mocy, ale nie są organiczne... a przynajmniej nie w waszym rozumieniu tego pojęcia.

- Jeszcze więcej tęczy? - spytał Ben.

- Dokładnie. - Pytanie młodego Skywalkera można było uznać za żart, ale Tadar'Ro i Luke wiedzieli, że chłopiec mówi poważnie. - Pewne rzeczy... nie są tylko takie albo tylko inne - stwierdził enigmatycznie Aing-Tii. - A w każdym razie nie dla nas.

Artefakty, po które ich wysyłano, były zbiorem najróżniejszych przedmiotów. Czasem wyglądały w oczach Skywalkerów po prostu jak wyjątkowej urody kamienie, kryształy czy inne twory natury. Bywało też, że wracali do Aing-Tiich z wytworami obcych technologii. Za każdym razem jednak obchodzili się z nimi z odpowiednim szacunkiem. Dzięki temu przez większość czasu, jako ci, którzy pozyskiwali przedmioty kultu dla swoich gospodarzy, byli przez nich traktowani z wdzięcznością i respektem.

Mimo to Luke coraz częściej wyczuwał od nich żal i urazę. Pewnego popołudnia zapytał o to wprost ich przewodnika.

Tadar'Ro bardzo przejął się jego pytaniem.

- Nie chodzi o was - powiedział prędko. - Tylko o konflikt między dwoma frakcjami: tymi, którzy wierzą, że to Moc nas prowadzi, chociaż nie kształtuje rzeczywistości, a tymi, którzy są przekonani, że Prorok przemawiał głosem Tych, Którzy Mieszkają za Zastoną... Ten konflikt nabrzmiewa z każdym dniem. Wciąż bardziej. Coraz częściej ci, którzy dotąd pozostawali neutralni, dołączają do którejś ze stron, opowiadając się twardo za jej zdaniem. Coraz mniej naszych pozostaje otwartych na obie możliwości, tak jak ja. Musimy uleczyć tę ranę, i to szybko.

- Co możemy zrobić, żeby wam pomóc? - spytał Luke współczująco.

- Kiedy będziecie gotowi, zabierzemy was do Objęć - oznajmił im Tadar'Ro.

Ben aż się wzdrygnął i Luke prędko położył mu dłoń na ramieniu. Wiedział, iż jego dziecko oczekuje podświadomie, że po słowie „Objęcia” usłyszy „Cierpienia”. Tadar’Ro także zauważył reakcję chłopca.

- To nie ma nic wspólnego z zadawaniem bólu - wyjaśnił szybko. - Takim mianem określamy miejsce, w którym trzymamy Relikwie. Tkwią tam... w czułych objęciach, które dają im bezpieczeństwo.

Ben wyraźnie się uspokoił.

- Przepraszam - mruknął, zawstydzony. - Ale... dlaczego tata i ja nie możemy już teraz iść do tych... Objęć... i spróbować znaleźć odpowiedź na wasze pytania?

- Nie jesteście jeszcze gotowi - wyjaśnił po prostu Tadar’Ro. - Wciąż jeszcze musicie się wiele nauczyć i zrozumieć pewne rzeczy, które Jacen Solo i Jorj Car’das przyswoili i pojęli... w pewnym stopniu. Dopiero wtedy zaprowadzę was do Objęć.

Luke wiedział, co Tadar’Ro ma na myśli. Wcale nie był uszczęśliwiony, że jego syn poprosił ich gospodarza o nauczanie poruszania się po nurcie ani że ten na to przystał.

Dla istot, które pojmowały Moc w tak niecodzienny sposób - nawet w ujęciu fizyki - brodzenie w nurcie wcale nie było czymś skomplikowanym. Jednak w przypadku ludzi sprawy miały się zgoła inaczej. Mimo to Luke nie mógł nic na to zaradzić.

- Wiem, że Ben nie może się doczekać nauki, więc zostawię was samych - powiedział, wstał i skinął głową z szacunkiem. Syn unikał wzroku ojca. Patrzył jak zahipnotyzowany na Tadar’Ro, ich przewodnika, i nie oderwał od niego wzroku ani na chwilę - nawet kiedy Luke odmaszerował w stronę „Cienia Jade”.

Gdy Ben wrócił wreszcie na pokład „Cienia”, zapadał już zmierzch. Chłopiec był wyraźnie podekscytowany tym, czego się nauczył, ale robił, co mógł, żeby ukryć podniecenie. W ciszy krzątał się przez jakiś czas po mesie, aż wreszcie pojawił się w kabinie z talerzem pełnym jedzenia.

- Wróciłem trochę później niż zwykle - zaczął się tłumaczyć - więc założyłem, że już jadłeś...

Luke zatrzymał holograficzny dziennik, nad którym ślęczał.

- Owszem. Jak było?

Ben napchał sobie do ust tyle jedzenia, że potrwało dobrą chwilę, zanim mógł odpowiedzieć.

- W porządku - powiedział w końcu i zapakował sobie do buzi następny pokaźny kęs.

Luke westchnął ostentacyjnie.



- Mogę się spodziewać jakichś szczegółów?

- Chyba nie - bąknął Ben. - To znaczy... wiem, że tego nie pochwalasz, tato. O co ci chodzi?

- Myślę, że miło byłoby usłyszeć, jak to jest zdobywać wiedzę u źródła. - Luke starał się brzmieć łagodnie.

Ben wzruszył ramionami.

- Ogólnie rzecz biorąc, wygląda to tak, jak można by się spodziewać po Aing-Tiich. Tęcza i te sprawy...

Luke poczuł ukłucie żalu z powodu rezerwy, jaką okazywało mu własne dziecko. Wiedział, że zbiera właśnie owoce swojej dezaprobaty, ale jak mógł postąpić inaczej? Jak zachowałby się każdy inny ojciec, wiedząc, że jego syn podejmuje się czegoś bezużytecznego, może nawet niebezpiecznego? Nie mógł ot, tak udawać, że wszystko jest w najlepszy porządku i Ben doskonale o tym wiedział. Po raz pierwszy od początku tej podróży Luke poczuł, że otwiera się między nimi przepaść, która kiedyś ich dzieliła.

Odetchnął głęboko.

- Ben... czy wiesz, dlaczego tego nie pochwalam?

- Jasne - parsknął Ben. - Uważasz, że to niebezpieczne i że to się dla mnie źle skończy. Jesteś przekonany, że nie powinno się wtrącać do przeszłości ani do przyszłości.

- Uważam, że to ci nie przyniesie nic dobrego, ale nie w ten sposób, jak myślisz - zaczął wyjaśniać Luke, ostrożnie dobierając słowa.

Ben gapił się na ojca - nadal z rezerwą, ale i z ciekawością. Mistrz Jedi przez chwilę szukał właściwych słów, z nadzieją, że się nie myli.

- To pusta obietnica, Ben - powiedział wreszcie. - Daje ci mnóstwo nadziei i wiary, ale koniec końców wszystko okazuje się tylko iluzją, złudzeniem. Jasne, możesz zobaczyć znów tych, którzy odeszli, ale nie możesz zmienić losu, jaki ich spotkał. No i rzeczywiście możesz ujrzeć przyszłość, a nawet w pewnym stopniu ją zmienić, jeśli masz odpowiednie umiejętności, ale nie zyskujesz pewności, że dobrze postępujesz. Przemienne pragnienie, które każe ci to robić, jest też progiem, przez który wielu przeszło na Ciemną Stronę.

- A skąd w ogóle wiesz, czego chcę?! - wypalił Ben. - Nigdy nawet nie spytałeś, dlaczego tak mi na tym zależy!

Luke zamrugał, uświadamiając sobie, że jego syn ma rację.

- Wybacz - wymamrotał. - Myślałem, że...

- To źle myślałeś!

- Masz rację. Nie powinienem był niczego zakładać z góry - westchnął Luke. - Sądziłem, że chcesz się cofnąć w czasie, żeby znów zobaczyć mamę... albo dowiedzieć się, w którym punkcie Jacen stracił panowanie nad tym, co robi, żeby móc to zmienić...

Rumieniec na policzkach syna powiedział mu, że trafił w dziesiątkę. Zapadła krępująca cisza. Czekał długą chwilę, ale Ben uparcie milczał. Nie wrócił nawet do przerwane go posiłku.

- Ben... - westchnął smutno Luke. - Musisz mnie zrozumieć. Jako twój ojciec chciałbym ci po prostu oszczędzić zbędnego cierpienia. To wszystko. I wiem też, że chcesz się nauczyć tej techniki bo... cóż, w twoim wieku pragnąłbym dokładnie tego samego.

- Rzygać mi się chce od „bycia w moim wieku” - wypluł Ben z pogardą. Szurnął naczyniami po stole i wstał gwałtownie. - Chyba nie jestem już głodny.

Luke z bolącym sercem patrzył za synem, kiedy ten szedł do swojej kabiny. Wiedział, że wszystko, co powiedział, było prawdą, ale w takim stanie chłopak nie mógł - albo nie chciał - go słuchać. Cóż, sam musi się przez to przegryźć.

A Luke wiedział, że będzie przy nim, kiedy to się stanie.

# ROZDZIAŁ 20

## Biuro przywódczyni sojuszu, budynki Senatu, Coruscant

Desha Lor westchnęła mimowolnie i podniosła dłoń do ust.

Wynn Dorvan stał z rękami założonymi za plecami i nieprzeniknionym wyrazem twarzy, podczas gdy Desha i Daala oglądały przerażające sceny rozgrywające się w holowiadomościach. Byli w biurze Daali, utrzymanym w odcieniach bieli i sterylnie czystym. Pani admirał była kochającą porządek pedantką, wychowaną w imperialnym drylu, i każdy, kto miał z nią do czynienia, natychmiast się o tym przekonywał.

„To jakieś szaleństwo, totalny chaos! - relacjonował Javis Tyrr, patrząc prosto w obiektyw. - Jeszcze zaledwie chwilę temu Coruskańska Wystawa Zwierząt zdawała się bezpiecznym, spokojnym miejscem, w którym można spędzić sielankowe popołudnie, ale teraz zamieniła się w przybytek strachu i krwawą jatkę!”

Daala przyglądała się relacji ze ściągniętą twarzą, nie odrywając szmaragdowozielonych oczu od ekranu. Nie pierwszy raz wiadomości donosiły o podobnej tragedii, w jaką przemieniały się te pozornie nudne imprezy. W przeszłości zdarzało się, że jedno, dwa, a nawet trzy lub cztery stworzenia wydostawały się na wolność, żeby narobić zamieszania, zanim zostały schwytane przez służby porządkowe. Bywało też, że na jaw wychodziły inne afery, ale coś takiego... Nawet Dorvan był zaskoczony.

- Dowiedziałem się o tym dosłownie przed chwilą - poinformował Daalę, która z roztargnieniem kiwnęła głową, nie spuszczać oczu z holowyświetlacza - i pozwoliłem sobie wysłać kilka specjalnych zespołów służb bezpieczeństwa GS.

Obraz z kamery pokazywał teraz główny poziom, a Tyrr objaśniał: „To, co w tej chwili państwo widzą, to puste zagrody, w których powinny przebywać zwierzęta. Ktoś celowo naruszył system bezpieczeństwa i uwolnił dziesiątki stworzeń, wypuszczając je na wolność... prosto w tłum odwiedzających. - Zawiesił dramatycznie głos. - Źródłem tego...”

Obraz zmienił się i Dorvana ogarnęły nagle lekkie mdłości na widok Falleenki o skórze zarumienionej od wydzielanych feromonów, opuszczającej ostrze miecza na zabezpieczenia następnej zagrody - tym razem ze stadkiem ronto. Zwierzęta, nieprzyzwyczajone do tak zatłoczonych przestrzeni, były przerażone. Tratowały wszystko, co się napatoczyło, parszając i prychając. Wkrótce poczuły zew wolności i - uwolnione przez Jedi (bo tożsamość ich wyzwolicielki nie ulegała wątpliwości) - wyległy na teren wystawy.

- Jedi? - Desha prawie się zachłysnęła. - Ale przecież Jedi nigdy nie naraziliby w ten sposób cywili! - jęknęła.

- Ostatnio chyba wchodzi im to w nawyk - wycodziła Daala przez zaciśnięte zęby. - I to coraz częściej. Stanowczo za często.

„To Jedi! - potwierdził ich podejrzenia Javis Tyrr. - Następna Jedi, która przysięgała chronić niewinne istoty, najwyraźniej popadła w obłęd! Kto wie, ilu obywateli galaktyki przez nią zginie, przerażonych, strатовanych albo rozszarpanych? - dramatyzował. - Kiedy to się skończy?”

Kamera uchwyciła tył kobiecej głowy o długich ciemnych włosach związanych w kucyk. W pewnej chwili dziewczyna odwróciła się do obiektywu. „Ty...!” - warknęła.

- To Jaina Solo! - wykrzyknęła Desha Lor, wlepiając okrągłe ze zdumienia oczy w Jedi podchodzącą do kamery i zakrywającą obiektyw dłonią. - Co ona tam robi?!

- Ona, jej rodzice i adoptowana siostra odwiedzali wystawę - wyjaśnił rzeczowo Dorvan, a Desha wpatrywała się w niego, ogłupiała. Potem dodał: - Chociaż nie śledzimy jej ani innych ważnych osobistości, służby GS starają się być na bieżąco z ich grafikami. Wkrótce poznasz szczegóły i to na ciebie spadnie obowiązek pilnowania takich spraw. - Twi'lekanka skinęła niepewnie głową, ale nie skomentowała.

Tymczasem, mimo ataku Jajny Tyrr trwał na posterunku. „Jaino Solo - mówił - czy możesz potwierdzić, że Jedi Natuę Wan...”

Dorvan wyłączył się na chwilę, wsłuchując się w wiadomość z głośnika słuchawki, po czym odwrócił się do Daali.

- Pani admirał, wygląda na to, że w Hali Niebezpiecznych Zwierząt doszło do jeszcze większej tragedii. Według moich źródeł są ranni, a może i nawet ofiary śmiertelne.

- Och, nie! - wyrwało się Deshy i Dorvan znów się zastanowił, czy naprawdę w tej galaktyce są jeszcze tak naiwne i niewinne istoty.

Przeniósł wzrok z powrotem na wyświetlacz. Javis Tyrr przestał najwyraźniej nagrywać rozgrywające się w bezpośrednim pobliżu wydarzenia i zmienił obiektyw; obraz z drugiej kamery był nieco gorszy. Wynn założyłby się o miesięczną pensję, że Jaina uszkodziła mu poprzednią kamerę, ale skoro Tyrr miał zapasowy sprzęt, sugerowało to, że podobne rzeczy nie są dla niego pierwszozną.

„...wyjątkowy materiał - relacjonował holoreporter. - Morderczy szal Natui Wan to nie pierwszy przypadek, kiedy Jedi działają na szkodę społeczeństwa. A wszystkie znaki w kosmosie i na planecie wskazują, że pewnie i nie ostatni. Mimo to Jedi wciąż funkcjonują samopas. Podczas gdy Valin i Jysella Horn są bezpiecznie zamrożeni w karbonicie, Natua Wan wciąż pozostaje na wolności. Tak jak i inny szalony Jedi, Seff Hellin... a przynajmniej wszystko na to wskazuje”.

Następna scena sprawiła, że Dorvana dosłownie zatkało.

Kamera pokazywała wspomnianego przed chwilą Seffa, wściekającego się bez powodu, a potem opadającego na wygodną, dopasowującą się do ciała kanapę. Kamera przesunęła się po pomieszczeniu, rejestrując przytulne wnętrza ze stołami i krzesłami, a także... z najnowocześniejszym

zestawem holograficznym.

„To, co państwo właśnie widzą, jest nagraniem z samego serca Świątyni Jedi - objaśniał Tyrr. - Seff Hellin, winny przelania krwi niewinnych istot, został najwyraźniej schwytany przez Jedi i jest przetrzymywany w areszcie, który wygląda jak luksusowy apartament!”

- Pani admirał, czy wiedziała pani o... - Dorvan urwał na widok miny przełożonej. Daala była dosłownie sina z wściekłości. Na czoło wystąpiły jej żyły i wyglądała, jakby miała za chwilę roztrzaskać swój datapad o ścianę. Widać było, że panuje nad sobą resztką sił.

- Zakładam, że nie - dokończył słabo Dorvan i wrócił do nagrania. Na wizji pojawiła się jakaś postać, zasłaniając na chwilę widok, ale kamera zaraz przesunęła się w bok, skupiając znów na Hellinie.

Jaina Solo. Nie mogło być mowy o pomyłce.

W kadrze znów znalazł się Javis Tyrr, wpatrzony w obiektyw, jakby zaglądał w oczy widzom. „Kiedy dosłownie przed chwilą natknąłem się na Jedi Solo, dałem jej szansę wyjaśnienia sytuacji z Hellinem, ale panna Solo odmówiła udzielenia mi jakichkolwiek informacji. W takiej sytuacji można chyba słusznie założyć, że cała otoczka sprawy ma charakter kryminalny. Wstydź się, Jaino Solo - zagrzmiał Tyrr. - Wstydźcie się, Jedi! Nie skorzystaliście z szansy wyjaśnienia swoich pobudek w oczach społeczeństwa, a więc macie coś na sumieniu... Jeśli zaś chodzi o panią admirał Natasi Daalę - dodał reporter z patosem - naszą przywódczynię Galaktycznego Sojuszu, została ona powołana na to stanowisko z nadzieją, że zadba o bezpieczeństwo obywateli galaktyki. A mimo to - ciągnął oskarżycielsko - pod samym jej nosem Jedi przemycają swoich winnych zbrodniczych czynów ziomków i umieszczają ich w obscenicznie komfortowych warunkach, śmiejąc się jej przy tym w nos! Okłamują tak nas, jak i ciebie, pani admirał. Ale... czy rzeczywiście cię okłamują? Przywódczyni Natasi Daalo, jest nam pani winna wyjaśnienia w związku z zaniechaniem pa...”

Daala wyłączyła urządzenie.

- Pani admirał - odezwał się nerwowo Dorvan - radziłbym nie działać w tej sytuacji zbyt pochopnie... Relacje naocznych świadków wskazują na to, że Leia i Jaina Solo zdołały...

- Zamknij się, Dorvan! - warknęła Daala. - Przygotuj oddział służb bezpieczeństwa Alfa! I połącz mnie z Kenthem Hammerem. Natychmiast!

## **Posiedzenie Rady, Świątynia Jedi, Coruscant**

Na zwołanym pospiesznie posiedzeniu Mistrzów wrzało jak w ulu.

Tylko kilka osób zdołało stawić się osobiście. Większość uczestniczyła w spotkaniu za pośrednictwem hologramów, przez cały czas jedni wchodzili w słowo drugim.

- ...Jedi postępują absolutnie właściwie - mówił Corran Horn. - Daala położyła łapę na naszych, nie mówiąc nawet „pocałujcie mnie gdzieś”, i wpakowała ich w karbonit. Najwyższy czas, żebyśmy wzięli sprawy w swoje ręce. Jeśli Han, Leia i Jaina zdołają dostarczyć nam Natuę Wan, będziemy mogli wreszcie zacząć działać...

- Naprawdę się cieszę - wszedł mu w słowo Kyle Katarn że mamy u siebie Hellina, a także, miejmy nadzieję, Natuę Wan... choćby ze względu na to, że dzięki temu nie zdołają wyrzucić już nikomu krzywdy. Chyba jednak powinniśmy zostać poinformowani o zatrzymaniu Hellina - argumentował. - Kto w ogóle o tym wiedział?

Hamner potarł ze znużeniem skronie.

- Na pewno Jedi Solo - mruknął. - Ktoś jeszcze?

- Ja, chociaż przyznam, że dowiedziałam się o wszystkim dopiero po fakcie - zgłosiła się Cilghal. Hamner spojrzał na nią, zaszokowany.

- Mistrzynie Cilghal - powiedział wolno - skoro o tym wiedziałaś, dlaczego nie zwróciłaś się z tym problemem do Rady Mistrzów?

Kalamarianka wcale nie wyglądała na skruszoną.

- Nasze obowiązki nie należą ostatnio do najłatwiejszych i nikt na pewno nie chce ich sobie bardziej komplikować - powiedziała spokojnie. - Cieszysz się dużym poważaniem we wszystkich kręgach, Mistrzu Hamnerze. Nikt nie chciałby zmuszać cię do wyboru między koniecznością wspierania Zakonu a okłamywaniem admirała Daali. Tak było po prostu... łatwiej.

Hamner przymknął oczy. Spodziewał się, że Jaina zinterpretuje jego wcześniejsze słowa dosłownie. Był przygotowany na to, że weźmie sobie do serca jego milczące przyzwolenie: „Róbcie, co uznacie za stosowne, ale trzymajcie to oficjalnie z dala od Zakonu”.

Czy to nie właśnie tego, jak wspomniał Horn, oczekiwano od Jedi? Jak mogli dowiedzieć się, co spotkało tych młodych Jedi, skoro nie wolno im było poddać ich badaniom, a nawet zabroniono im styczności z nimi? To Zakon odpowiada za czyny Jedi. Powinni im zezwolić na zajęcie się tymi spośród nich, którzy objawiali podobne niepokojące symptomy...

- Wiem tylko, że na pewno było łatwiej, póki sprawa nie została upubliczniona - powiedział cierpko. - Obawiam się jednak, że skoro incydent wyciekł poza nasze szeregi, muszę teraz zająć stanowisko w tej sprawie. Daala już się ze mną skontaktowała. Przesunąłem nasze spotkanie, ale moje źródła donoszą, że w drodze jest zespół służb bezpieczeństwa, który zażąda przekazania im Seffa Hellina, a także Natui Wan. Nie wiem, jak mógłbym się sprzeciwić żądaniu przywódczyni Sojuszu...

W sali znów zawrzało. Nikt nie chciał przekazania w ręce służb GS Hellina ani Wan. Część zgromadzonych popierała Hamnera - możliwe, że mieli żal z powodu wykluczenia ze „spisku”; inni twierdzili, że nadszedł czas, żeby Jedi sprzeciwili się polityce lustracji narzucanej przez służby GS.

Komunikator Hamnera zapiszczał - to Leia Solo próbowała się z nim skontaktować. Odebrał i słuchał przez chwilę, bombardowany zewsząd chaosem pomieszanych głosów.

- Sir, proszę o pozwolenie na rozmowę. Najlepiej jak najszybciej - dobiegło z głośnika. - Chciałabym, żeby w spotkaniu uczestniczyła też Jaina. Wiem, że sytuacja jest... trudna, ale - jeśli to możliwe - chciałabym przedyskutować z tobą potencjalne rozwiązanie.

- Jedi Solo - powiedział Hamner cicho - jeśli tylko masz coś, co daje chociaż cień szansy na rozwiązanie tego impasu, to bardziej niż chętnie wysłucham twoich sugestii.

- Dziękuję, sir - odparła Leia z wyraźną ulgą. - Zaraz będziemy na miejscu z Jedi Wan. Jak tylko dostarczymy ją bez przeszkód do centrum medycznego, proponuję spotkanie w Sali Tysiąca Fontann.

- Z chęcią powitam jej kojącą atmosferę - westchnął Hamner i przerwał połączenie.

Daala skontaktowała się z Javisem Tyrrem, a także z każdym reporterem, który przyszedł jej na myśl. Zanim wraz z Dorvanem i służbami bezpieczeństwa dotarła do Świątyni, u stóp jej schodów tłoczyli się już przedstawiciele wszystkich możliwych mediów.

Dobrych kilka chwil zabrało jej okiełznanie szarpiącego gniewu. Chociaż niczego nie pragnęła bardziej, niż zyskać pełną kontrolę nad utrapionymi Jedi, wciąż zależało jej na tym, żeby grać fair. Mimo to ujawnienie ostatniego spisku godziło w jej dobre imię, nie mówiąc już o tym, że przyprawiało ją o nieopisaną wściekłość i wystawiało na próbę jej cierpliwość. Nie zamierzała poprzestać na spełnieniu żądania, wedle którego Zakon powinien jej przekazać dwójkę Jedi - renegatów. Chciała poniżyć Zakon, tak jak on poniżył ją. Była żądna krwi. Pragnęła zemsty. „Raport specjalny” Javisa Tyrra był skazą na jej honorze.

- Nie powinna pani pozwolić mu tak sobą pomiatać - zauważył po drodze na miejsce Dorvan.

- Gdyby ktoś inny tak się do mnie zwrócił, Dorvan - odparła zwodniczo spokojnie - strzał w plecy byłby ostatnią rzeczą, o którą musiałby się martwić.

Wynn poklepał z roztargnieniem Kieszonkę po łebku.

- Jestem tego dojmująco świadom, proszę pani. A pani z całą pewnością wie, że mam rację - powiedział śmiało.

Daala mruknęła coś wymijająco, ale najwyraźniej już nieco ochłonęła. Wolne media miały swoje plusy i minusy, a ona zamierzała wykorzystać włożoną jej do ręki broń. Hamner poprosił o spotkanie w cztery oczy, ale nie zgodziła się na to, nalegając zamiast tego na spotkanie w miejscu publicznym, w Świątyni. W końcu pewnie i tak zaszyją się gdzieś, żeby porozmawiać, ale wcześniej chciała go trochę pognać.

Granatowy śmigacz służb specjalnych już czekał i kiedy zjawili się na miejscu, ze środka wysypały się dwie dywizje żołnierzy w charakterystycznych niebieskich (czarne pancerze wkładali

podczas akcji) mundurach służb Galaktycznego Sojuszu. Każdy z nich był uzbrojony w karabin blasterowy, ale na razie nikt nie zamierzał się uciekać do interwencji zbrojnej. Daala chciała tylko zasiać strach.

Żołnierze weszli zwartym szeregiem na schody, zajęte już przez kilka trwających jak kamienne posągi istot: Kentha Hamnera, spokojnego, wysokiego i - jak zawsze - o nienagannym wyglądzie, Cilghal, obserwującą scenę w milczeniu wylupiastymi oczami, Octę Ramis i Sabę Sebatyne.

A także troje ludzi, których Daala nie spodziewała się tu zobaczyć, mianowicie resztki rodziny Solo.

Han, jak zresztą można się było spodziewać, wyglądał, jakby chciał kogoś albo coś rozpylić na atomy. Leia - wytrawna dyplomatka i polityk, którą Daala wciąż darzyła szacunkiem - emanowała spokojem i pewnością siebie, a Jaina, nieodrodna córeczka tatusia, przypominała w tej chwili bardziej ojca niż matkę. Na policzki wystąpiły jej szkarłatne plamy, ale stała dumnie, bez ruchu. Daala niespiesznie wspięła się na schody, kiwnęła zgromadzonym głową i przedstawiła Dorvana.

- Miałam szczerą nadzieję, że podobna sytuacja się już nie powtórzy - odezwała się, w pełni świadoma, że każde jej słowo jest rejestrowane przez dziesiątki urządzeń.

- W pełni się z panią zgadzam, pani admirał - odparł Hamner. - Czy możemy pomówić na osobności?

- Prowadź.



# ROZDZIAŁ 21

## Świątynia Jedi, Coruscant

Daala była lekko rozbawiona faktem, że spotkanie zaaranżowano w ogrodach Wieży Pojednania. Mimo pośpiechu przygotowano tu mały stół, podano przekąski i kaf. Powietrze przesyciły miłe, kojące zapachy, a skądś dobiegały dźwięki łagodnej muzyki. Próżny trud, uznała z rozbawieniem; jeśli Jedi oczekiwali, że podobne głupstwa ją ugłaskają, to gorzko się zawiodą.

Usiadła, a Dorvan poszedł w jej ślady. Nie przyjęła poczęstunku, jednak kafu nie odmówiła. Kiedy rozlano napój i służba zostawiła ich samych, przeszła od razu do sedna:

- Nie powie mi pan chyba, Mistrzu Hammerze, że o niczym pan nie wiedział.

- Powiem, i co więcej, będzie to prawda - odparł spokojnie Kenth. - Nie miałem pojęcia o żadnych krokach podjętych w tej sprawie przez zamieszanych w nią Rycerzy czy Mistrzów Jedi. Pani admirał - dodał po krótkiej przerwie - to pani poprosiła mnie o zajęcie tego stanowiska pod nieobecność Mistrza Skywalkerera. Spodziewała się pani zatem, że może mi zaufać - i proszę mi wierzyć, że tego zaufania nie zawiodłem.

- W przeciwieństwie do mnie i kilku innych - wtrąciła cicho Leia. - Wierzyłam, i nadal wierzę, że w najlepszym interesie wszystkich zainteresowanych stron - głównie nieszczęsnych Jedi, których dotknęła ta niefortunna przypadłość, a także przedstawicieli Galaktycznego Sojuszu - leży, aby rzeczeni Jedi zachowali przytomność i zostali zbadani. Z całym należnym szacunkiem, ale potrafimy dostrzec pewne rzeczy, do których nie mają dostępu wasi uczeni. Moglibyśmy...

- Dokładnie o tym samym rozmawiałam ze Skywalkerem - nie dała jej dokończyć Daala. - Prokurator, sędzia i kat w jednej osobie: Jedi. A cała reszta ma wierzyć, że robicie wszystko w naszym najlepszym interesie? Leio... ta „przypadłość”, jak ją delikatnie nazwałaś, naraża wiele istot na obrażenia, a nawet śmierć. A ja nie mogę, jak widać, mieć pewności, że władze Zakonu utrzymają porządek w swoich szeregach.

- Wręcz przeciwnie - wtrąciła Jaina i Leia odruchowo się skrzywiła, wiedząc, co się szykuje. - Bo to ja za to odpowiadam. Mistrz Hammer jest niewinny. O niczym nie wiedział... dopilnowałam, żeby to do niego nie doszło. Działałam na własną rękę.

- Sama? - prychnęła z niedowierzaniem Daala. - Dokonanie czegoś takiego byłoby trudne nawet dla Miecza Jedi.

Jaina zmarszczyła brwi.

- Owszem. Było trudne.

- Kim w takim razie byli twoi współnicy? - Daala upiła łyk kafu. Był mocny, aromatyczny i gorący.

Najwyraźniej Jedi nie zadowalali się półśrodkami.

- Nie mogę wyjawić ich nazwisk - odparła Jaina Solo.

Daala westchnęła, odstawiła filiżankę i opadła na oparcie fotela, krzyżując na piersi smukłe ramiona.

- W takim razie wracamy do punktu wyjścia. Żądam wydania Natui Wan i Seffa Hellina za ich wykroczenia przeciwko Galaktycznemu Sojuszowi. Przekażecie mi ich i...

- Ty masz dwójkę i oni mają dwójkę - wszedł jej w słowo Han. Nie powiedział „my”; nie był Jedi, więc jego dobór słów mówił sam za siebie. - Może ci się to nie spodobać, Daalo, przyznam zresztą, że ja też rzadko czuję się z tym komfortowo. Przez ponad czterdzieści lat musiałem znosić wszystkie blaski i cienie związane z obcowaniem z Jedi. Powiem ci jednak, że więcej niż raz ocalili mi życie i nauczyłem się im ufać.

- Ufasz im, bo ufasz jednostkom - zauważyła cierpko Daala. - A ja nie mam powodu, żeby wam ufać. Tym bardziej teraz.

Jaina odsunęła z oczu niesforne pasemko włosów, ale zanim zdążyła się odezwać, ubiegła ją Leia.

- Wszyscy jesteśmy tego dojmująco świadomi. I to jedyna rzecz, którą przedyskutowaliśmy z Mistrzem Hamnerem, Hanem i Jainą.

- Jaina Solo wiedziała, że to, co robi, jest naruszeniem zasad, według których zaleciłem postępować Zakonowi - przemówił Hamner. - Mnie również nie udało się wyciągnąć od niej nazwisk współspiskowców, a jedynie zapewnienie... w które wierzę... że nikt z nich poza Jedi Solo, Mistrzynią Cilghal i jeszcze jedną osobą nie jest członkiem Zakonu. Jaina wiedziała, że zostanie potępiona za to, czego się dopuściła.

Daala przełknęła zjadliwy komentarz, który cisnął jej się na usta, i podniosła wysoko brwi.

- Słucham więc.

Siedzący obok niej Dorvan wklepywał pracowicie dane do datapada. Jego kaf stygł, nietknięty, na stoliku.

- Jaina Solo zostanie zatrzymana w Świątyni na okres dwóch tygodni. Taka sama kara spotka innych Jedi. Nawet Mistrzynię Cilghal - poinformował Hamner.

- Jestem pod wrażeniem - stwierdziła Daala zgodnie z prawdą. To był właśnie krok ku upokorzeniu, którego dla nich pragnęła. - Czy zostanie to podane do wiadomości publicznej?

Jaina skrzywiła się kwaśno.

- Tak - przyznał Kenth. - Jestem przygotowany do udzielenia informacji wszystkim wskazanym przez ciebie dziennikarzom.

- Tak samo jak ja i Jaina - potwierdziła Leia.

- Przekażecie nam też Hellina i Wan - dodała Daala.

- Nie - powiedziała cicho, ale stanowczo Leia. - Tak jak wspomniałam wcześniej... możemy udzielić im pomocy i zbadać ich dzięki środkom, których wam brakuje. Że zacytuję śmiało stwierdzenie mojego męża: wy macie dwójkę i my mamy dwójkę.

- Mogę was kazać aresztować - zauważyła Daala.

- Pewnie - potwierdził Han. - Ale wiesz, że jeśli to zrobisz, wszystko zacznie do złudzenia przypominać stare, dobre Imperium. Najpierw Luke, potem Kenth, którego sama zaproponowałaś... hm, czy to przypadkiem nie z tego samego powodu tak bardzo wkurzał cię Jacen?

Daala zesnurowała wargi tak mocno, że aż zbieleły. Upiła jeszcze łyk kawy, grając na zwłokę, żeby zebrać myśli. Nie może stracić nad sobą kontroli, powtórzyła sobie. Wreszcie odstawiła filiżankę i spojrzała kolejno na wszystkich obecnych.

- Dobrze więc. Oto jak będzie - odezwała się niecierpiącym sprzeciwu głosem. - Moi ludzie będą mieli dostęp do więźniów o każdej porze dnia i nocy. Przekażecie im też wyniki waszych badań. Jaina wskaże tajemniczego Jedi zamieszanego w całą sprawę, a bezpośrednio po tym spotkaniu Hamner, Leia, Jaina, Cilghal i rzezony Jedi udzielą wywiadu Javisowi Tyrrowi. Na żywo. Bez montażu. Na tle murów Świątyni Jedi. Wszyscy oficjalnie przeprosicie za to, czego się dopuściliście, i za to - przeniosła wzrok na Hamnera - co się wydarzyło z powodu waszego niedopatrzenia.

- Nie myślę... - zaczęła Jaina.

- Najwyraźniej - odparowała Daala. - Ujmę to tak: jeśli nie zgodzicie się na moje warunki, co do joty - zastrzegła - nie będę miała wyrzutów sumienia: postąpię na modłę starego, dobrego Imperium i aresztuję więźniów, którzy zgodnie z prawem powinni trafić do aresztu poza Świątynią. A zapewniam was, że członkowie służb bezpieczeństwa GS mają nad Jedi przewagę liczebną.

Leia, Han, Hamner i Jaina wymienili spojrzenia.

- Zgoda - powiedział Hamner cicho i wyciągnął dłoń.

- Że niby co? - wykrzyknęła Jaina natychmiast po wyjściu Daali. - Nie dość, że mam rozmawiać z tym obmierzłym glutem, to jeszcze chcecie, żebym...

- Jedi Solo - przerwał jej słowotok Hamner głosem twardym i zimnym jak stal. - Nie interesuje mnie, jakie milczące przyzwolenie miałaś - czy sądziłaś, że masz - ode mnie, zanim zaczęłaś tę swoją małą krucjatę. Wiedziałaś doskonale, że jeśli wszystko wyjdzie na jaw, przyjdzie ci wziąć za swoje czyny pełną odpowiedzialność.

- Mamy Wan i mamy Seffa - przypomniała córce Leia, sięgając ku niej przez stół i ściskając

pokrzepiająco jej ramię. - I o to właśnie chodziło. Daala pozwoliła nam ich zatrzymać, tak samo jak zachować honor.

Han wymamrotał coś pod nosem i Leia dała mu kuksańca.

- Twoja matka ma rację - westchnął, wyrwany do odpowiedzi. - Wygraliśmy tę rundę i Daala o tym wie.

Hamner potarł ze zmęczeniem oczy.

- Wolałbym, żebyśmy nie rozpatrywali tego w kategoriach wygranych i przegranych rund. Najważniejsze, że mamy szansę pomóc tym biednym Jedi i uchronić innych.

- Powiedz Javisowi Tyrrowi to samo, a wtedy tak zwana kara Daali zadziała na naszą korzyść - skwitowała Leia. - Ja też wolałabym, żebyśmy nie stali po różnych stronach barykady, jednak wygląda na to, że na razie nie możemy nic na to poradzić. Musimy się z tym pogodzić.

- Proszę pani? - zagadnął Dorvan, kiedy wyszli z sali i przechodzili pod eskortą długim, okazałym holem w stronę wyjścia, w okolicy którego roilo się od reporterów. - Pozwoliłem sobie sporządzić dla pani oświadczenie. Dzięki temu uda się nam obrócić całą sytuację na korzyść GS.

Daala spojrzała na niego jak na idiotę, ale przebiegła szybko wzrokiem tekst na ekranie podsunętego jej notatnika komputerowego. Była pod wrażeniem. Dorvan zawarł w nim wszystkie ustalenia, ale dzięki mistrzowskiemu doborowi słów tekst nasuwał wniosek, że Sojusz ma wszystko pod kontrolą.

- Ach, Wynn, cóż ja bym bez ciebie poczęła?

- Pewnie prędzej tęskniłaby pani za Kieszonką - zażartował Dorvan.

Mimo wszystko, wstępując między tłum reporterów i gapiów, Daala wciąż miała wrażenie, że jest na straconej pozycji. Jedi znów się upiekło. Nagle zaświtała jej pewna myśl. Skoro nie mogła chwilowo ich sobie podporządkować, skupi się na wcielaniu w życie innego planu.

Uśmiechnęła się promiennie, wstąpiła na prowizoryczne podium i rozpoczęła przemowę.

### **Prywatna rezydencja moffa Lecersena, Coruscant**

- Vansyn? - rzucił Lecersen do komunikatora. - Oglądasz blok informacyjny HoloNetu?

- Tak, i muszę przyznać, że ma naprawdę ciekawy program...

Dzisiejszy dzień należał bez dwóch zdań do Javisa Tyrra. Najpierw kanał wyemitował program

zatytułowany Szał Jedi, a potem sensacyjny materiał, z którego wynikało, że Jedi przetrzymują w Świątyni jeszcze jednego szalonego Rycerza. A teraz, w ramach wisienki na torcie, nadawano ekskluzywny wywiad nie z kim innym, a z samym pełniącym obowiązki Wielkiego Mistrza Kenthem Hammerem, Mistrzynią Cilghal, Chadra-Fanką imieniem Tekli i obydwoma pozostałymi przy życiu Jedi Solo.

- Słyszałem, że dostał ostatnio swój własny show - podjął Vansyn. - Nie byłbym zaskoczony, gdyby po tym przenieśli go na najwyższą oglądalność.

- Fakt - zgodził się Lecersen. Właśnie nadawano wywiad z Leią Solo. Była senator patrzyła prosto i otwarcie w holokamerę, stając na głowie, byle tylko usprawiedliwić swoją latorośl. - Bardzo zaradny człowiek, prawda? Może nam się przydać.

### **Kwatery Jaina Solo, Świątynia Jedi, Coruscant**

O zmierzchu, po serii niezliczonych wywiadów, reporterzy nareszcie dali im spokój i Świątynia wróciła do swoich codziennych, nudnych obowiązków. Ciekawscy gapie zaczęli się rozchodzić w poszukiwaniu innych rozrywek.

Jaina była wykończona i wściekła. Tę część dnia, której nie zajęło jej pokonywanie własnej dumy i udzielanie durnych wyjaśnień, spędziła na ciężkiej pracy. A wszystko to w ramach nałożonej przez Kentha kary za coś, co - jak wszyscy wiedzieli - było *kriffolenie* dobrą robotą, czymś słusznym i...

Słumiła targający nią żal. Mistrz Hamner miał rację. Wiedziała, że kiedy wszystko wyjdzie na jaw, będzie musiała ponieść konsekwencje i karę za niesubordynację. Dlatego nie pisnęła słowa podczas godzin spędzonych w pralni czy kafejce, pracując w pocie czoła razem z uczniami i świątynnym personelem.

Teraz miała tylko ochotę wrócić do swoich kwater, paść na łóżko i zasnąć.

Dlatego z takim zaskoczeniem powitała obecność czekającego na nią Jaga Fela. Światła w pokoju były przygaszone, a stół, przykryty zazwyczaj stertą datapadów, arkuszy flimsi i przeróżnych drobiazgów, uprzątnięty. Zwykły bałagan zastąpiły dwa talerze z czymś smakowitym i egzotycznym. Po bokach leżały lśniące sztuczce, a na środku stolika stało wiaderko z lodem, w którym chłodziła się butelka jakiegoś trunku.

- Cały dzień przełykałam własną dumę - wymamrotała Jaina. - Nie jestem głodna...

Jag wzruszył ramionami.

- A ja tak. Wiesz, która godzina?

- Miałam trochę roboty...

- Wiem. Dlatego właśnie pomyślałem, że będziesz chciała coś zjeść. Kiedy działasz na pełnych

obrotach, zwykle zapominasz dostarczać swojemu organizmowi energii. - Wstał z łóżka, podszedł blisko, delikatnie posadził ją na krześle i zdjął jej buty. Była tak zmęczona i roztrzęsiona, że nie protestowała.

- Zjedz coś - poprosił. - A potem opowiesz mi, co się stało. Widziałem co prawda holowiadomości, ale coś mi mówi, że relacja Javisa Tyrra nie była do końca rzetelna.

Mimo wcześniejszych deklaracji, nie trzeba jej było długo namawiać. Na sam zapach steku z roby Jainie pociekła ślinka, a w miarę opowiadania Jagowi wydarzeń dnia coraz bardziej się rozluźniała. Jagged słuchał uważnie, w milczeniu, nie odrywając od niej wzroku.

- Nikt nie wie o tobie, Tahiri, Winter ani Mirax - mówiła. - Musiałam wydać Tekli, ale koniec końców chyba dobrze się stało. Wiesz, jak bardzo to wszystko przeżywa. Mam wrażenie, że przyjęła to z pewną ulgą.

- Masz rację. I... dziękuję. Wiedziałem, że nas nie wydasz.

Sięgnęła przez stół, przykryła jego dłoń swoją i nagrodziła go prawdziwym, ciepłym uśmiechem.

- Wszyscy, którzy powinni, wiedzą, jak jest naprawdę - powiedział jej. - Włącznie z Mistrzem Hamnerem. Pokusiłbym się nawet o stwierdzenie, że Daala też to rozumie, ale skoro stoi w sprzeczności z tym, czego sama chce, jej zdaniem takie okoliczności są jej chyba na rękę. Dzięki tobie Jedi udało się zatrzymać dwa bardzo ważne obiekty badań, a to może okazać się kluczem do rozwiązania problemu.

- Hej, jak sądzisz, czy moja sobowtórka mogłaby mnie teraz zastąpić? - zażartowała Jaina.

- Może i tak, ale ona ma zupełnie inne usta. Wątpię, żeby Jedi dali się nabrać. - Jag wziął jej kiepski żart na poważnie i Jaina parsknęła śmiechem. W miłej atmosferze zakończyli posiłek pysznym deserem. Kiedy zjedli, Jag wyciągnął z kubelka wino.

- A teraz czas to uczcić - stwierdził.

- Dzisiejszy dzień? - Jaina zmarszczyła nos. - Wydaje mi się, że wolałabym o nim jak najszybciej zapomnieć.

- Zgoda - przyznał Jag. - Jest jednak coś, co, mam nadzieję, zakończy ten paskudny dotąd dzień miłym akcentem. - Nalał wina do dwóch rżniętych kieliszków i podał jeden Jainie. Solo przyglądała się przez chwilę bursztynowej cieczy pełnej maleńkich bąbelków, a potem przeniosła wzrok na Jaggeda.

- Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z moffami, GS ani Imperium - mruknęła nieufnie.

- Cóż, w takim razie muszę cię zmartwić, bo z całą pewnością ma to coś wspólnego z Imperium - rzucił beztrąsko. - Jeśli chodzi o ścisłość, z szefem rzezonego Imperium i z układem, który zamierza on zawrzeć. Sądzę, że formalny sojusz między dwiema kluczowymi frakcjami będzie w zaistniałych okolicznościach dobrym posunięciem. Jestem pewien, że obie strony skorzystają na tej fuzji. -

Spojrzał na nią wyczekująco.

Jaina gapiła się na niego bezmyślnie. Nie miała pojęcia, o czym, u licha, mówi. Miał bardzo dziwną minę, chociaż z całej siły starał się zachować kamienną twarz.

- Negocjowałeś z rządem jakiejś nowej planety? - spytała podejrzliwie. - Czy znów próbujesz mi wcisnąć ten kit o konkurencyjnych szkołach Jedi?

Zamrugął raz i drugi, a jego usta powoli rozciągnął uśmiech, który po chwili przeszedł w prawdziwy, szczery śmiech.

- Jaino Solo - powiedział ciepło - proszę, żebyś za mnie wyszła.

Jaina otworzyła usta i o mało się nie zakrztusiła.

- Jj... Jak... ale co... jak sobie... jak twoim zdaniem... jak to się może udać? - wykrztusiła.

Cóż, nie była to zbyt romantyczna odpowiedź, ale na pewno spontaniczna - i Jag o tym wiedział.

Wciąż trzymając w ręku nietknięte wino, odparł:

- Będiesz robiła to, co do tej pory... a ja się zajmę swoimi sprawami. Jestem pewien, że Jedi w końcu odkryją, co się przydarzyło Valinowi, Jyselli i reszcie. A kiedy znajdziecie lekarstwo na ich chorobę, wytrąciecie Daali broń z ręki. Chociaż Luke wciąż będzie na wygnaniu, to przynajmniej skończy się cała ta farsa. Poza tym twój wuj kiedyś przecież wróci... jestem pewien, że raczej prędzej niż później... i przywiezie tyle informacji o tym, co przydarzyło się Jacenowi, że jego wyrok straci moc - zapewnił ją. - A kiedy tak się stanie, Jedi znów będą na silnej pozycji. Jeśli zaś chodzi o moffów - dodał, marszcząc lekko brwi - to najwyraźniej wydaje im się, że przez ciebie straciłem głowę do polityki, ale to złudzenie. Mam podejrzenia, kto za tym wszystkim stoi. - Pochylił się i spojrzał jej głęboko w oczy. - Jaino, kocham cię za to, kim jesteś. Od bardzo, bardzo dawna. Nie chcę w żaden sposób ograniczać cię, krępować ci rąk, zmieniać cię czy stawać ci na drodze. Oto, co chciałbym ci powiedzieć na temat sformalizowania tego związku. Co ty na to?

Jainie kręciło się w głowie. To, co powiedział Jag, było tak przemyślane, tak uporządkowane, tak bardzo w jego stylu...

Wiedziała jednak, że niezależnie od tych wszystkich popartych logicznymi argumentami wywodów, wojskowej precyzji i formalności, Jag kocha ją głęboką, szczerą miłością. Zauważyła, jak się denerwuje, czekając na odpowiedź.

Więc mu ją dała.

Padła mu w ramiona z takim entuzjazmem, że przewróciła krzesło, ale jakoś żadne z nich nie zwróciło na to uwagi.

# ROZDZIAŁ 22

## Na pokładzie „Cienia Jade”

Luke był naprawdę zachwycony, że on i Ben tak świetnie sobie radzili przez większość tej podróży, w którą razem wyruszyli. Jasne, zdarzały im się spięcia, a nawet kłótnie, ale też bardzo się przez ten czas do siebie zbliżyli.

Teraz zaś, jak się obawiał - od momentu, kiedy Cilghal zasugerowała, że powinni odnaleźć Aing-Tiich - sprawa wędrówki po nurcie znów zaczynała ich dzielić. Za każdym razem, kiedy Ben udawał się na lekcje do Tadar'Ro, Luke z trudem powstrzymywał protesty. Miał nadzieję, że dzięki temu zdoła wyciągnąć od syna informacje o przebiegu szkolenia, ale ten milczał uparcie, jakby robił mu na złość.

Dlatego Luke nie zdziwił się wcale, kiedy zaczął mieć męczące, chaotyczne sny, po których budził się zmęczony i obolały, jakby ktoś go pobił...

Pewnej nocy dotarło do niego, że nie śni.

Zerwał się na równe nogi, całkiem przytomny, zeskoczył saltem z łóżka i przywołał do ręki miecz świetlny. W jego bladej poświacie zobaczył, że napastnik uderza w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżał, dziwnym metalowym prętem, a potem odwraca się błyskawicznie, gotów do następnego ciosu.

Od Aing-Tii, który chciał go zranić, nie czuł nic. Zupełnie nic. Odbierał go zupełnie jak senny majak - jakby ten wcale nie istniał w Mocy. Osobnik był zaskakująco szybki jak na istotę, która wyglądała, jakby wyciosano ją z kamienia, i Luke musiał się naprawdę postarać, żeby w porę odpierać ciosy metalowego pręta. Nagle, zanim zdążył się obejrzeć, napastnik zniknął.

Mistrz Jedi ruszył do włazu z mieczem w dłoni, ale kiedy się rozejrzał, po Aing-Tiim nie było nawet śladu. Chwilę później u jego boku zjawił się Ben, także z zapalonym mieczem w dłoni i włosami zmierzwionymi od snu, ale czujny i zupełnie rozbudzony.

- Kto to był? Jak się tu dostali? I dlaczego nas zaatakowali?

Luke pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. On... albo ona... był zupełnie poza Mocą. Obawiam się, że spędziliśmy wśród Aing-Tiich za mało czasu, żeby rozróżnić ich podczas tak krótkiej konfrontacji. A jeśli chodzi o to, jak dostali się do środka... - westchnął. - To przecież mistrzowie we władaniu Mocą, chociaż korzystają z niej bardzo rzadko, jeśli nie służy to Tym, Którzy Mieszkają za Zastoną - zakończył, wyłączając miecz. Ben poszedł w jego ślady.

Luke rozejrzał się wokół i zbadał otoczenie zmysłem Mocy, a potem wspiął się z powrotem na



rampe. Jego syn ruszył za nim. Przed wejściem na pokład Mistrz Jedi rzucił przez ramię ostatnie spojrzenie w noc.

- Jedi potrafią otwierać różne rodzaje zamków - zauważył. - Nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że Aing-Tii także.

Ben pokiwał głową, zamknął właz i aktywował zabezpieczenia.

- Ta-a... A może po prostu sobie tu wskoczyli, całkiem jak te ich statki Sanhedrynu?

- Kafu? - spytał Luke. Ben skinął głową i ojciec nastawił ekspres. - Wiemy od Tadar'Ro, że nastroje wśród jego ludu są coraz gorsze - powiedział. - Możemy się chyba domyślać, że nasz nocny gość należy do frakcji, która nie jest zbyt przychylnie do nas nastawiona.

Ben ziewnął i podrapał się w kark, podczas gdy Luke zabrał się do nalewania napoju.

- Już prawie świta - westchnął chłopiec. - Nie będę się już kładł. Mam lekcję... - urwał w pół zdania.

Oczywiście, lekcję wędrówki po nurcie, dokończył w myśli Luke i schował nos w kubku.

- Nie ma sensu wracać do łóżka - przyznał, przerywając niewygodne milczenie. - Będę w mojej kabinie. Pomedytuję trochę.

- Jasne - bąknął Ben. - Tadar'Ro powinien być za jakąś godzinę. Ciekaw jestem, jak to wyjaśni. - Nalał sobie kafu i odszedł bez słowa.

Zrezygowany i z bolącym sercem, Luke pozwolił mu odejść.

Tadar'Ro był przerażony wieścią o ataku.

- Pałka *vor 'cha* - wyjaśnił. - To właśnie tą bronią was zaatakowali. Jest bardzo niebezpieczna. Nawet lekki dotyk może pozbawić ofiarę przytomności na długi czas.

- Nie rozumiem - mruknął Ben. - Dlaczego mieliby włamać się na nasz statek po to, żeby nas ogłuszyć?

Wzburzenie Tadar'Ro w Mocy było tak silne, że aż bolesne.

- Nie wiem - odparł bezradnie. - Może po prostu chcieli was przestraszyć? A może unieszkodliwić, żeby was gdzieś zabrać?

- Albo zabić, gdybyśmy nie byli przygotowani do odparcia ataku - zauważył Ben. Luke na razie nie skomentował. Aing-Tii byli znani z agresji wobec obcych.

- Naprawdę bardzo mi przykro, że do tego doszło - dodał Tadar'Ro. - Jak mogli zignorować fakt, że jesteście naszymi gośćmi, że staracie się nam pomóc? To tylko dowód na to, jak niebezpieczny jest ten rozłam dla naszej społeczności, naszej kultury...

- ...i waszych gości - dodał Ben pod nosem.

- Liczyłem na to, że będziemy mieli więcej czasu, jednak... - Języki Tadar'Ro trzepotały przez chwilę w geście, który, jak Luke się domyślał, był u Aing-Tiich odpowiednikiem zrezygnowanego westchnienia. - Szkolenie Bena Skywalkera przebiega nadspodziewanie dobrze - powiedział. - Niestety, obawiam się, że mamy dramatycznie mało czasu. Luke'u Skywalkerze, Benie Skywalkerze... nadeszła pora, abyście odbyli waszą pielgrzymkę i doznali Objęć.

Skywalkerowie wymienili spojrzenia.

- Cóż, skoro sądzisz, że jesteśmy na to gotowi...

- Sądzę, że nie możemy czekać do czasu, aż będziecie - poprawił Bena Tadar'Ro. - Poza tym tylko Ci, Którzy Mieszkają za Zasłoną, wiedzą, kto jest gotowy, a kto nie. Jestem pewien, że was poprowadzą.

- Rozumiem - odezwał się Luke. - Czy Objęcia są daleko?

- Wiele kilometrów stąd.

- W takim razie przygotujemy „Cień” do...

- Musicie tam dotrzeć pieszo. Zbliżenie się do Objęć pojazdem oznaczałoby wielką zniewagę.

Luke skinął głową.

- Świetnie. Mała przechadzka dobrze mi zrobi.

Dwa dni później gorzko żałował niewczesnego żartu.

Rozrzedzona atmosfera dawała im się we znaki. Wzięli ze sobą co prawda zapas wody, ale wkrótce okazało się, że było jej stanowczo za mało. Mimo że byli Jedi, nie poruszali się tak szybko, jak wcześniej założyli, a sama Moc nie wystarczała do podtrzymywania sił przez tak długi czas.

Tadar'Ro towarzyszył im w wyprawie, ale już na samym początku odmówił jakiegokolwiek rozmowy, a napięcie panujące ostatnio między ojcem a synem także nie sprzyjało wymianie zdań. W odczuciu Luke'a czyniło to ich podróż znacznie trudniejszą.

Wyszli z miasta Aing-Tiich na wschód, kierując się na pasmo górskie, ciągnące się z północy na południe. Po trzech dniach wyczerpującej wspinaczki dotarli do celu - niepozornej szczeliny w niewyróżniającej się niczym szczególnym skalnej płycie.

Ben zatrzymał się przed nią, zdyszany. Skórę miał spieczoną od słońca. Rozejrzał się dookoła i zapatrzył w otwór ziejący w skale. Nie odezwał się ani słowem - może dlatego, że brakowało mu tchu, ale Luke widział po jego minie, że jest zaskoczony i rozczarowany. Tylko tyle? - mówił jego wzrok.

Po długim okresie uporczywego milczenia Tadar'Ro wreszcie przemówił.

- To jest wejście - poinformował ich głosem przepelnionym czcią. - Wewnątrz znajdziecie artefakty, które w pocie czoła gromadziliśmy przez wiele tysięcy lat. Obchodźcie się z nimi z należnym szacunkiem. To dla nas święta ziemia. Idźcie do Relikwii. Bądźcie z nimi. I, proszę... znajdziecie dla nas odpowiedź, której potrzebujemy, żeby uleczyć tę jęczącą się ranę, która powoli zabija nasz lud...

Luke był bardzo poruszony prośbą Tadar'Ro. Położył mu dłoń na ramieniu i z szacunkiem pochylił ku niemu twarz. Wiedział, że Aing-Tii trafnie odczyta jego intencje w Mocy. Ostrożnie i nieskończenie delikatnie, całkiem jakby udzielał mu błogosławieństwa, Tadar'Ro omiótł zielonymi językami oblicze Mistrza Jedi. Po chwili niezręcznego milczenia Ben powtórzył gest ojca.

- Mam głęboką nadzieję, że was nie zawiedziemy - stwierdził z szacunkiem Luke.

- Niech Ci, Którzy Mieszkają za Zasłoną, uczynią wasze myśli jasnymi i... niech Moc będzie z wami - powiedział na pożegnanie Tadar'Ro.

Luke odwrócił się w stronę syna i skinął głową, a potem ruszył w stronę szczeliny i razem weszli do środka.

Wąska ścieżka wewnątrz skały prowadziła w dół. Była gładka, w ciągu tysięcy lat wydeptana przez wiele stóp, więc poruszali się stosunkowo szybko. W miarę jak zagłębiali się w skalny korytarz, robiło się coraz ciemniej, aż wreszcie ogarnął ich kompletny mrok.

- Miecze świetlne czy pręty jarzeniowe? - spytał rzeczowo Ben, kiedy zaczęli poruszać się po omacku, używając Mocy. Wcześniej zapytali swojego przewodnika, czy mogą zabrać broń, a Tadar'Ro przystał na ich prośbę. Potrzebowali jej, na wypadek gdyby - nie daj Mocy - jaskinia się zawaliła albo spotkała ich inna niemiła niespodzianka. Ben wyjaśnił też Aing-Tii, że miecze przydadzą im się w razie awarii prętów jarzeniowych.

Luke zatrzymał się i zmarszczył czoło.

- Ani to, ani to - powiedział.

- Ee?

- Chodźmy.

Posuwali się naprzód po omacku jeszcze przez kilka metrów, aż nagle ciemność zaczął rozjaśniać nikły blask. Początkowo poświata była na tyle słaba, że równie dobrze można było ją uznać za złudzenie i złożyć na karb zmęczenia wzroku, ale wkrótce stało się zdecydowanie jaśniej. Światło

było nikłe, miękkie i łagodne, ale wystarczyło, żeby wiedzieć drogę. Moc także promieniowała pokrzepiającym, dodającym sił blaskiem, który - w miarę jak zanurzali się w światłość - uspokajał i koił nerwy. Ten blask sprawiał, że Luke czuł się odprężony, mimo fizycznego zmęczenia spowodowanego trudami drogi. Przepęlna go ekscytacja i oczekiwanie.

Kiedy skręcili za róg, widok zaparł im dech w piersiach.

Światło nie pochodziło ze sztucznego źródła ani z relikwii, gromadzonych tu przez Aing-Tiich przez tysiąclecia. Emanowało z lśniących kamieni we wszystkich odcieniach czerwieni, żółci, zieleni, błękitu, purpury, bieli - i ich najróżniejszych kombinacji. Barwne kandelabry tkwiły na stalagmitach, zwisały ze stalaktytów, wystawały ze ścian i lśniły, migotały, błyszczały...

- Tęcze - westchnął Ben, a Luke się z nim zgodził. Moc w tym miejscu była niezwykle silna. Nie emanowała czystą energią Jasnej Strony, ale i nie miała nic wspólnego z przesyconym jadem mrokiem, którego Luke doznał na Dagobah podczas próby, skończonej dla niego sromotną porażką. Nie mógł mieć oczywiście pewności, ale po słowach syna zaczął się zastanawiać, czy widok, jaki tu zastali, nie leżał u podstaw teorii o „tęczowej” Mocy, wyznawanej przez Aing-Tiich. W tym miejscu, otoczony energią barwnych kamieni, rozumiał tok myślenia obcej rasy.

Wziął głęboki wdech i otrząsnął się z olśnienia, w jakie wprowadziło go nieopisane piękno tego miejsca.

- Mamy misję, pamiętasz? - przypomniał synowi. - Zabierajmy się do roboty.

Ben potrząsnął głową, żeby wrócić do rzeczywistości - najwyraźniej jego też ten widok zaszokował. Ruszyli naprzód, przez przedsionek zarzucony przesyconymi Mocą kamieniami, do drugiej pieczary.

Była znacznie większa niż poprzednia. Przestrzeń na planie prostokąta mierzyła jakieś dwadzieścia na trzydzieści metrów. I chociaż ją też przepęlna światłość Mocy, to nie ona była powodem, dla którego Ben zaczął nagle szybciej oddychać.

Gdzie nie spojrzeć, kamienną podłogę pokrywały Relikwie. Ciągnęły się w wysokich stosach, spiętrzone jedne na drugich jak okiem sięgnąć. Sprawiały wrażenie, jakby ciśnięto je byle gdzie i tak zostawiono.

- Skoro są tak cenne dla Aing-Tiich, dlaczego traktują je tak... byle jak? - spytał Ben, ostrożnie trącając stopą jakiś okrągły, gładki przedmiot.

- Bo nie mogą ich dotykać - przypomniał mu ojciec. - Nie mogą ich w żaden sposób ułożyć ani skatalogować. Po prostu je tu przynoszą, pewnie w coś owinięte, i składają gdzie popadnie.

- A my mamy się przez to wszystko przekopać? - jęknął Ben. Ojciec nie mógł mieć do niego pretensji. To zadanie było nie tylko męczące, ale i żmudne. Nie mówiąc już o tym, że obejrzenie wszystkich zgromadzonych tu obiektów, jeden po drugim, mogło im zająć resztę życia.

- Nie musimy gromadzić danych ani ich analizować - pocieszył syna. - Z tego co mówił Tadar'Ro,

mamy znaleźć odpowiedź na ich pytanie podczas obcowania z nimi. Znaleźć wiedzę i wskazówki, które powiedzą Aing-Tiim, co mają robić.

Ben wydawał się lekko pocieszony, ale wciąż sprawiał wrażenie zniechęconego.

- Jak sądzisz, ile czasu nam to zajmie? - spytał.

- Hm - mruknął Luke - mamy na to jakieś dziewięć lat, kilka miesięcy i...

- To wcale nie jest śmieszne!

# ROZDZIAŁ 23

## Wewnątrz Objęć, planeta Aing-Tiich

Pracy było w bród, ale szło im nadspodziewanie szybko. Początkowo mieli co prawda problem, od czego zacząć, ale nie namyślali się długo: zabrali się do roboty od przedmiotów, które leżały najbliżej nich.

Wszystko, czego się tknęli, było naznaczone w jakiś sposób piętnem Mocy. Niektóre z artefaktów wręcz powalały swoją potęgą, podczas gdy inne lśniły tylko słabym blaskiem. Większość przedmiotów, które badali w Mocy, stanowiła elementy technologii obcych ras, chociaż część okazywała się skamielinami, kamieniami czy innymi tworami pochodzenia organicznego.

- Gdybyśmy tylko mogli zabrać kilka z nich do Świątyni - westchnął tęsknie Luke. Cóż, nie mogli nawet o tym marzyć. Relikwie należały do Aing-Tiich i Jedi nie mieli złudzeń, że obcy nigdy nie zgodzą się rozstać chociażby z jednym z ich. - Tyle wiedzy zgromadzonej w jednym miejscu... - dodał. - Jak wiele moglibyśmy się nauczyć o obcych kulturach, o historii galaktyki... a może i o samej Mocy? Nie mamy wystarczających zdolności ani odpowiednich instrumentów, żeby zbadać chociaż niewielki procent tego, co tu złożono. Cała ta wiedza, gromadzona tu przez istoty, którym nie jest nawet dane ich dotknąć, nie mówiąc już o przestudiowaniu... Szanuję wyznania obcych ras, ale nie mogę się pogodzić z myślą, że to, co tu widzimy, to... smutny przykład marnotrawstwa.

- Masz rację - przyznał Ben. - Niektóre z tych przedmiotów są naprawdę... intrygujące. - Urwał, rzucając ojcu zagadkowe spojrzenie. Bawił się właśnie czymś, co wyglądało na kawałek pokrytego metaliczną powłoką sznura, wijącego się w jego dłoni. - No to... czego szukamy?

- Wskazówki - odparł Luke. - Czegoś... wyjątkowego, uderzającego. Będziesz wiedział, kiedy się na to natkniesz.

- Wiesz - zagadnął Ben zmęczonym głosem - bywa, że rozumiem istoty, które wkurza niejasność Mocy.

Kilka godzin później, kiedy uporali się z żałośnie małym stosem artefaktów i zrobili sobie przerwę, żeby coś przekąsić i uzupełnić płyny, Luke stwierdził, że zgadza się z synem.

- Wszystko to są potężne artefakty - stwierdził Ben, przeżuając coś zielonkawobrazowego, na pewno raczej odżywczego niż smacznego. - To znaczy, czuję to, ale nic poza tym. Nic nie mówi mi: „Aing-Tii, macie postąpić tak a tak!”

- Ja też nie - westchnął Luke.

- Tato... jak sądzisz, czy naprawdę uda nam się znaleźć coś, co pozwoli rozwiązać problem Tadar'Ro i jego ludu?

Luke wahał się chwilę.

- Całkiem możliwe, że nic tu nie znajdziemy - odparł w końcu. - Tak czy inaczej, jest tu całe mnóstwo interesujących rzeczy. Możliwe, że wśród nich trafimy na jakiś przedmiot o szczególnym znaczeniu, który pomoże Aing-Tiim rozwiązać ich wątpliwości, a my musimy go po prostu odnaleźć.

Ben jęknął załóżnie.

Mijały kolejne godziny, które wydawały się im wiecznością, chociaż ich chronometry nie szwankowały. Chwilami Luke miał wrażenie, że upłynęło parę godzin, po czym okazywało się, że odkąd ostatni raz sprawdzał czas, minęło zaledwie dwadzieścia minut. Innym razem z przerażeniem spostrzegął, że strawił na oglądaniu artefaktów trzy godziny, które zdawały mu się kwadransem.

Zajęcie, które początkowo wydawało im się pracochłonne, ale intrygujące, przerodziło się stopniowo w wyczerpującą fizycznie i psychicznie rutynę. Luke co rusz zmuszał się do utrzymywania kontaktu z Mocą, bo inaczej dawno przestałby się skupiać na wymagającym uwagi zajęciu. Nie mógł sobie pozwolić na dekoncentrację, jednak jak dotąd nie natrafili na nic, co dostarczyłoby Aing-Tiim jakiegokolwiek wskazówki.

Wyprostował się i przeciągnął, przebiegając wzrokiem po ciągnących się jak okiem sięgnąć stosach artefaktów. W pewnej chwili jego uwagę zwrócił lśniący, odbijający światło kamień Mocy przedmiot: niewielka piramidka z połyskliwego metalu. W przeciwieństwie do części nadgryzionych zębem czasu relikwii, tak wiekowych, że Skywalkerowie czasem bali się ich dotykać, żeby nie rozsypały im się w rękach, ta sprawiała wrażenie nowej i solidnej. Luke sięgnął po nią, wyłuskał ze stosu... i prawie się zachłysnął.

### **Zewnętrzne Rubieże, teraz**

Vestara od małego marzyła o chwili, w której - jeśli tylko jej ścieżka do nobilitacji w szeregach Sithów doprowadzi ją do spełnienia tych marzeń - dane jej będzie postawić stopę na pokładzie „Omena”, „Statku Przeznaczenia”, gdzie pozna jego sekrety i tajniki historii własnej rasy. Nigdy jednak, nawet w najśmielszych snach, nie przypuszczała, że z nieba zstąpi inny Statek, a tym bardziej taki, który wyglądem przypominał czerwoną, uskrzydloną kulę, a potem wezwie ją do siebie i będzie chciał nauczać.

Jednak ścieżki Mocy były nieodgadnione, więc Vestara chętnie przyjęła wyzwanie, jakie przed nią postawiono.

Niedługo po tym, jak Statek obwieścił wszystkim druzgocącą wiadomość, jakoby Sithowie już nie władali galaktyką - chociaż tego się spodziewało jej Plemię - a ich lud był na wymarcu, Vestara została wezwana na pokład Statku. Wiedziała, że nie jest pierwsza. Przed nią tajemniczą sferę medytacyjną odwiedzili Lord Vol, Wielcy Lordowie i Mistrzowie. Była jednak pierwszą z grona uczniów, którym przyjdzie postawić stopę na pokładzie sfery. Stała przed Statkiem, cicha i maksymalnie skupiona.

Kulista kapsuła była wyjątkowo osobliwym tworem. Choć jeszcze chwilę temu jej zewnętrzna powłoka była gładka i jednolicie czerwona, teraz jakby pękła, ukazując coś na kształt włazu. Przed oczami Vestary formował się lśniący żółty zarys iluminatora, przypominającego oko, a ze ściany wysunął się właz. Ves nie wahała się ani chwili; musiała wręcz się powstrzymać, żeby nie puścić się biegiem. Ledwie stanęła na rampie, wyczuła promieniującą od stateczku aprobatę. To było całkiem jak... westchnienie ulgi. Powstrzymała cisnący jej się na usta uśmiech i wspięła się spokojnie po trapie, prowadzącym do serca pojazdu. Nie wiedziała zupełnie, czego się spodziewać, toteż w pełnym skupieniu obserwowała otoczenie. Wnętrze było mniejsze niż można by sądzić z zewnątrz - pomieszczenie miało najwyżej cztery metry średnicy i było wysokie na dwa i pół metra. Obłe ściany wyglądały dokładnie tak samo jak zewnętrzna powłoka. Zanim Vestara zdążyła pomyśleć, wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po gruzłowatej, pomarańczowej ścianie. Mogłaby przysiąc, że Statek zadrżał, całkiem jak muut pod wpływem pieszczoty. Powierzchnia była ciepła i zdawała się pulsować, jakby tętniła życiem.

Nigdzie nie było śladu kontrolek, foteli pilota - nic, co spodziewała się zastać wewnątrz statku czy jakiegokolwiek mechanicznego tworu. Wyglądało na to, że Statek nie zamierza jej udzielić żadnych wskazówek. Ale czego w takim razie od niej oczekiwał?

Zmarszczyła brwi i przyklęła pośrodku dziwnie pustej, ciepłej przestrzeni. Przymknęła oczy i sięgnęła poprzez Moc.

*Pokieruj mną* - polecił jej Statek.

Zeszepony blizną kącik ust Vestary podniósł się w uśmiechu.

*Leć* - rozkazała mu.

Właściwie to nie oczekiwała, że spełni tak proste polecenie, więc kiedy właz nagle zniknął, całkiem jak gojąca się błyskawicznie rana, a Statek podniósł się nieoczekiwanie w górę, zdjął ją nagły lęk.

Przerażenie minęło jednak szybko i bez śladu. Nie ufała co prawda Statkowi ślepo, ale wiedziała, że zaprojektowano go z myślą o takich jak ona i że zdoła właściwie nim pokierować, jeśli przezwycięży panikę. Podeszła do miejsca, w którym poszycie kapsuły tworzyła dziwna żółtawa membrana, przez którą widziała majaczącą w dole Świątynię i twarze zgromadzonych na dziedzińcu Sithów, malejące gwałtownie do rozmiaru jasnych punkcików. Była wyżej, niż kiedykolwiek dotąd zdarzyło jej się poszybować na grzbiecie Tikka, a chwilę później wzniosła się jeszcze trochę. Wrażenie było niesamowite.

Patrzyła na nieopisanie piękny widok: plamy zieleni i brązu, przecinane błękitem i ciągnącymi się tu i ówdzie pasmami bieli chmur - gdy nagle ogarnął ją irracjonalny strach. Nie była już wcale taka pewna, czy chce opuścić swoją planetę.

*Chcesz zostać Mistrzynią Sithów, prawda?* - spytał Statek. *Wiem, że tego właśnie pragniesz. Opuść więc bez żalu swój świat, abys mogła podbijać inne.*



Vestara niechętnie skinęła głową. Pociły jej się dłonie. *Będziemy potrzebować więcej niż tylko ciebie, Statku, jeśli w imię Sithów mamy zdobyć inne światy*, powiedziała mu.

*Nauczę was, jak je zdobyć* - obiecała sfera. - *Nauczę was wszystkich.*

I tak też się stało. Każdy uczeń, każdy Rycerz Sithów, Mistrz i Lord uczył się po kolei, jak nawigować tym dziwnym pojazdem. Statek miał większą wiedzę niż ta, którą oferował „Omen”, a jego uczniowie czerpali zachłannie z tego źródła. A potem... Statek zabrał ich do gwiazd.

Zacząli od podboju jednego pojazdu, samotnie przemierzającego gwiazdne szlaki i bezbronego. Nie był to co prawda okręt na miarę ich potrzeb i oczekiwań, ale od czegoś musieli zacząć. Przejęli go z pomocą kierowanego myślą arsenału broni, którym Statek dysponował, i zmusili do awaryjnego lądowania na niezamieszkanym świecie. Tę część załogi, która nie zginęła w wyniku katastrofy, spotkała śmierć od mieczy świetlnych, *shikkarów* i szklanych *parangów* - białej broni, wykorzystywanej pierwotnie do karczowania, której zaletą było, że raz rzucona wracała do rąk właściciela. Sithowie złupili swoją pierwszą ofiarę, części zaś, które zdobyli podczas wyprawy, posłużyły im do wstępnej rekonstrukcji „Omena”.

A potem wrócili do przestrzeni kosmicznej. Wkrótce okres ich wyizolowania od reszty galaktyki miał dobiec końca. Statek wiedział, dokąd ich zabrać i jak tam dotrzeć, a oni polowali i wracali z łupami, nie zostawiając nikogo, kto mógłby opowiedzieć o tym, co zaszło. Powtarzali ten rytuał raz za razem, dopóki „Omen” nie stał się kompletny i zdolny wznieść się znów w niebo. Może i miał pięć tysięcy lat, ale został stworzony przez Sithów, więc dzięki niezbędnym naprawom wkrótce był gotów do podboju przestworzy.

Mieli teraz dwa statki: sferę medytacyjną i krążownik pancerny Sithów. Zdobywali i sprowadzali dzięki nim kolejne pojazdy, które odtąd miały służyć Ciemnej Stronie Mocy. Vestara znalazła się wśród załogi jednego z pierwszych zdobytych w ten sposób statków. Dowodziła nim Lady Rhea, która nadała mu też nową nazwę. Od teraz jej statek zwał się „Niestrudzonym Pogromcą”. Vestara uczyła się tak jak reszta - najpierw podczas ćwiczeń, a potem w ogniu kosmicznych bitew, do których stworzono im specjalne, nowe stroje. Obszerne, długie szaty okazały się niepraktyczne, więc ona i inni członkowie załóg nowej armady Sithów nosili teraz dopasowane spodnie, luźne bluzy i wygodne buty, pozwalające swobodnie biegać i się wspinać. Oprócz mieczy świetlnych używali też poręcznej broni, którą łatwo było przypasać: wibroostrzy, shoto, *shikkarów* i *parangów*. Długie jasnobrązowe włosy Vestara nosiła teraz najczęściej splecione, żeby nie przeszkadzały jej w walce.

Dwa lata minęły niezauważenie. Miała teraz szesnaście lat i z dziewczyny marzącej, by zostać Mistrzynią Sithów, stała się poważaną uczennicą; przeobraziła się z niewinnej osoby, która nigdy nikogo nie skrzywdziła, nie mówiąc już o odbieraniu życia, w wytrawną zabójczynię, zdolną mordować z zimną krwią na wszelkie możliwe sposoby. Kiedyś jej największym pragnieniem było chociaż rzucić okiem na „Omena”. Teraz służyła na jednostce znacznie większej i potężniejszej niż starożytny okręt.

Wracali właśnie do domu po wyjątkowo udanym ataku: w sześć statków pokonali dwa duże

frachtowce, z których jeden holowali teraz na Kesh, żeby go tam naprawić, odnowić, przemianować i wcielić do rosnącej z każdym dniem w siłę floty Sithów. Mieli już ponad dziesięć statków. Vestara lubiła swoją nową służbę, chociaż tęskniła za Statkiem, który towarzyszył im w tej walce. Czuła w Mocy jego zadowolenie z ich postępów.

A potem poczuła coś jeszcze...

Nie potrafiła do końca rozpoznać tego uczucia - to było coś w rodzaju wstrząsu, zawirowania Mocy, całkiem jakby w jej toń wrzucono kamień. Nie czuła nic złego czy wrogiego, ale doznanie było bardzo silne, prawie obezwładniające.

Lady Rhea westchnęła gwałtownie, zaciskając dłonie na oparciach fotela dowodzenia, po czym zbladła i zapatrzyła się niewidzącym wzrokiem przed siebie. Vestara zerknęła z niepokojem na mentorkę, opuściła swoje stanowisko i uklękła obok niej.

- Lady Rheo? Co się dzieje?

Przez chwilę kobieta milczała, wpatrując się wciąż w coś ukrytego przed wzrokiem innych. Wreszcie zamrugła i najwyraźniej zaczęła wracać do siebie.

- Czułam w Mocy... jakąś wielką potęgę - powiedziała drżącym, niepewnym głosem, którego Vestara nie słyszała u niej nigdy wcześniej. Na ten dźwięk żołądek skręcił jej ciasny węzeł strachu. - Siłę Jasnej Strony Mocy... Jedi... Wielkiego Mistrza.

Wtedy Vestara poczuła znów obecność Statku, który umieścił w jej głowie jedno słowo: *Skywalker*.

- Tato?

Luke'owi wydawało się, że głos dobiega z bardzo daleka. Brzmiał dziwnie nienaturalnie. Dopiero kiedy syn dotknął jego ramienia, Mistrz Jedi ocknął się z wywołanego Mocą szoku.

- Co to było? - spytał Ben z troską. - Nic ci nie jest?

Luke pokręcił głową, wpatrując się nieprzytomnie w swoją dłoń. Powoli, ostrożnie położył ją znów na stosie artefaktów. Kiedy kontakt fizyczny z relikwią się skończył, dziwny rezonans w Mocy ustał.

- Tt... tak - zająknął się. - Wszystko w porządku.

- Co to było? - powtórzył Ben, popatrując podejrzliwie na przedmiot, którego dotknął ojciec. Najwyraźniej nie miał zamiaru badać go osobiście.

- To... Kodeks - powiedział Luke, nie miał jednak pojęcia, skąd to wie. - Chyba powoduje coś w stylu... - zamyślił się, szukając słów - wzmacnia zdolności do władania Mocą. Nasila je,

intensyfikuje.

Ben podniósł wysoko brwi i przyjrzał się znów artefaktowi, tym razem z nabożeństwem.

- Kosmiczna sprawa - podsumował. - Jak to działa?

- Nie wiem. Na pewno jest bardzo stary... i potężny. I... - Luke zawahał się wyraźnie - ...ma w sobie...

Ben zmarszczył czoło.

- Mrok? Czy to technologia Ciemnej Strony?

- Nie, nic takiego. - Luke pokręcił głową. - Po prostu... chociaż wzmacnia percepcję Mocy, jest też... - Długo szukał odpowiednich słów. - Czułem się dziwnie bezbronny, Całkiem jakby poddawano próbie moją zdolność do oparcia się Ciemnej Stronie. Nie jest to na pewno ta sama technologia, ale... taka potęga ma swoją cenę.

Ben powoli pokiwał głową.

- I coś jeszcze - dodał ojciec. - Wyczułem w Mocy zawirowanie.

- Hm, to rzadko oznacza coś dobrego - skwitował Ben.

- Racja. Ale tym razem nie odebrałem tego jako zwiastuna cierpienia czy tragedii. Miałem po prostu wrażenie, jakby... coś było nie tak, nie w porządku. Jakieś zakłócenie harmonii.

- Potrafisz je zlokalizować? Albo stwierdzić, kogo dotyczy?

Luke odwrócił się w stronę syna i przyglądał mu przez chwilę z napięciem.

- Nadciąga z Otchłani - powiedział cicho.

# ROZDZIAŁ 24

## Planeta Aing-Tiich

Tadar'Ro czekał na nich na zewnątrz. Kiedy wyszli, mrugali nieprzytomnie przez dobrą chwilę, zanim ich oczy przywykły do ostrego słonecznego światła.

Luke podejrzewał, że przez cały czas, który spędzili z synem w jaskini, badając artefakty, ich przewodnik ani drgnął. Nauczyciel trwał zwinięty w kształt przypominający kamień i dopiero po ich wyjściu zaczął się powoli rozwijać, aż wreszcie wrócił do zwykłej postaci. Zatrzepotał zielonymi językami, a Moc przeppełniła emanująca od niego nadzieja.

- Czy Ci, Którzy Mieszkają za Zasłoną, dali wam dla nas odpowiedź?

Luke i Ben spojrzeli po sobie. Mistrz Jedi skinął głową.

- Tak. Sądzę jednak, że powinienem ogłosić ją w obecności wszystkich twoich rodaków.

Tadar'Ro był wyraźnie rozczarowany, ale nie zaprotestował. Pokiwał głową - już trochę bardziej naturalnie, jakby ten gest powoli wchodził mu w nawyk.

- Niech więc tak będzie. Pospieszmy się. Jestem pewien, że wszyscy z niecierpliwością czekają na odpowiedź, zesłaną nam przez Tych, Którzy Mieszkają za Zasłoną.

Sądząc po tempie, jakie im narzucił, Tadar'Ro naprawdę nie mógł się doczekać, żeby usłyszeć wieści od bóstw swojej rasy. Luke i Ben musieli się wspomagać Mocą, żeby dotrzymać mu kroku. Jasne, mogli go poprosić, żeby zwolnił, ale Mistrz Jedi rozumiał pośpiech istoty. On także pragnął podzielić się jak najszybciej tym, co miał im do przekazania.

Wrażliwi na Moc (najwyraźniej było to u nich powszechne) Aing-Tii musieli wiedzieć, że ich goście wracają, bo kiedy Luke, Ben i Tadar'Ro dotarli do „Cienia Jade”, czekał już na nich tłum zgromadzonych.

Nieruchomi jak skały, przysiedli na ogonach i czekali cierpliwie, chociaż kłębowisko ich emocji w Mocy prawie ścięło Luke'a z nóg. Był w nim strach, podekscytowanie, nadzieja, gniew, żal, wdzięczność... Cała tęcza uczuć.

Obejrzał się przez ramię na Bena, który skinął z powagą głową. Mistrz Skywalker wziął głęboki oddech, wyciszył zmysły i przemówił:

- Kiedy tu przybyliśmy, nurtowało nas wiele pytań związanych z Jacenem Solo. Dzięki Tadar'Ro znaleźliśmy odpowiedź na część z nich. Nauczyliśmy się także wielu nowych rzeczy: o Jorju Car'dasie, o waszej rasy i o sposobie, w jaki wykorzystujecie Moc. O tym, jakim darzycie ją szacunkiem. Dzięki tej wiedzy jesteśmy bogatsi. W zamian za nią poprosiliście nas o to, czego nie

mógł się podjąć żaden z waszych - porozumienie się ze zgromadzonymi w Objęciach Relikwiami i uzyskanie od nich wskazówek. Tak też postąpiliśmy. Daję wam moje słowo, że szukając odpowiedzi, o której dostarczenie wy, nasi gospodarze, nas poprosiliście, wraz z moim synem Benem obejrzelśmy każdy z artefaktów zgromadzonych w Objęciach. Oto zaś, czego się dowiedzieliśmy.

Stojący obok ojca Ben przestąpił niepewnie z nogi na nogę. Czas przejść do rzeczy, pomyślał Luke, także lekko podenerwowany.

- Chociaż dzięki waszym Relikwiom obcowaliśmy z Mocą i wiele się dzięki nim nauczyliśmy, z głębokim żalem przyznaję, że nie doznaliśmy oświecenia. Nie dostaliśmy wskazówki ani porady, którą moglibyśmy wam przedstawić na dowód, że Ci, Którzy Mieszkają za Zasłoną, mają wobec was jakieś konkretne plany. Obawiam się, że lud Aing-Tiich został pozostawiony sam sobie. To wy musicie zdecydować o waszym przeznaczeniu. Musicie wybrać, czy dalej, tak jak w przeszłości, chcecie wierzyć w to, że wszystko dzieje się za sprawą Mocy, czy w to, co powiedział wam Prorok - że wszystko jest z góry ustalone. Sami musicie ustalić, którą ścieżką chcecie podążać.

Moc zawrzała falą żalu i gniewu, tak silną, że Ben aż się skrzywił. Nawet Luke z trudem zdołał odizolować się od natłoku emocji Aing-Tiich. Kątem oka dostrzegł, że jego synowi drgnęła nerwowo ręka. Najwyraźniej jego dziecko w odruchu obronnym przed wrogością promieniującą od ich gospodarzy chciało sięgnąć po miecz. Mimo to chłopak powstrzymał się i stał spokojnie. Luke był z niego bardzo dumny. Jedi wykorzystują Moc dla wiedzy i obrony, powtórzył mu w myśli. Nigdy do ataku.

Aż nagle, tak samo szybko jak się pojawił, gniew Aing-Tiich zniknął. Chociaż rozczarowani i rozżaleni, obcy nie zaatakowali i Luke pozwolił sobie na lekkie odprężenie. Ich gospodarze wciąż co prawda debatowali zawzięcie, trzepocząc wściekle językami, ale Mistrz Jedi czuł, że to nie tyle kłótnia, co dyskusja. Coś się zmieniło - lekko, ale wyczuwalnie. Bez urządzenia translacyjnego Luke nie rozumiał, o czym mówią obce istoty, ale miał całkiem dobre rozeznanie w tym, co myślą. Zerknął na Tadar'Ro, który wahał się przez chwilę, ale wreszcie podjął się tłumaczenia:

- Niektórzy twierdzą, że to dowód na to, iż nie potrzebujemy pomocy pozaświatowca do decydowania o naszych sprawach. Inni uważają, że Ci, Którzy Mieszkają za Zasłoną, zwrócili się przeciwko nam, a część utrzymuje, że nasze bóstwa pokładają w nas wystarczającą wiarę, żeby pozwolić nam decydować o własnym losie. Jest też grupa, której zdaniem, gdyby nie Luke Skywalker i Ben Skywalker, wciąż bylibyśmy do siebie wrogo nastawieni.

Luke uśmiechnął się słabo. Miło było to usłyszeć. Jednak nadszedł już na nich czas.

Aing-Tii zaczęli się rozchodzić i wracać do swoich obowiązków; zostawiali „pozaświatowców” samych. Luke odwrócił się do syna.

- Gdybyś chciał zadać Tadar'Ro jeszcze jakieś pytania, lepiej zrób to teraz.

Ben wzruszył ramionami, unikając wzroku ojca.

- Nie, nie ma niczego takiego.

Mistrz Jedi ściągnął brwi, zaintrygowany.

- Przecież nie próbowałaś jeszcze podróżować po nurcie...

- Stwierdziłem, że sobie daruję - bąknął Ben. - Lepiej zacznijmy się pakować.

Tadar'Ro sprawiał wrażenie skonsternowanego.

- Ależ, Benie Skywalkerze... przecież o tym rozmawialiśmy...

Luke zmrużył oczy w wąskie szparki.

- Tadar'Ro, czy możesz nas zostawić na chwilę samych?

Kiedy Aing-Tii skinął głową, Ben i Luke weszli do „Cienia Jade” i zamknęli za sobą włącznik.

- Ben - zagadnął Luke łagodnie - wiem, co chcesz zrobić.

- Znow?

- Właśnie tak. - Ojciec uśmiechnął się do syna szeroko. - Nie chcesz wrócić po nurcie ze względu na mnie. Od paru dni niezbyt dobrze się dogadujemy, a wszystko przez tę wędrówkę po nurcie. Wiem, że odmawiasz sobie tej próby, żeby złagodzić jakoś napięcie między nami.

Ben pokiwał głową, wbijając wzrok w ziemię.

- Będę z tobą szczerzy - podjął Luke poważnie. - Najlepiej byłoby moim zdaniem, gdybyś nigdy się tej sztuki nie nauczył i nigdy jej nie użył. A już na pewno nie po to, żeby zobaczyć Jacena, bo o to ci chodzi, prawda? Ale wiesz co? - Położył dłonie na ramionach syna i zmusił go, żeby spojrzał mu w oczy. - Aing-Tii nie są dziećmi i nie potrzebują ciągłego nadzoru Tych, Którzy Mieszkają za Zastoną. Sami potrafią za siebie decydować. To samo dotyczy ciebie.

Chłopiec spojrzał na niego wyczekująco, a Luke uśmiechnął się do niego ciepło.

- Idź, jeśli uważasz, że tego potrzebujesz.

Ben wahał się przez dłuższą chwilę, ale wreszcie skinął głową, pomaszerował do włącznika i wyszedł ze statku. Luke patrzył, jak jego syn podchodzi do Tadar'Ro i zaskoczyło go, że odchodzi sam. Kiedy Aing-Tii spojrzał na niego pytająco, Luke zszedł do niego po rampie.

- Sądziłem, że pójdziesz razem z nim - powiedział, lekko zdziwiony.

- Poznał technikę - odparł Tadar'Ro. - Nie potrzebuje pomocy.

Patrząc za malejącą sylwetką syna, Luke poczuł ukłucie bólu. Dzieciak wydawał się dojmująco samotny, ale ojciec rozumiał, że w tej chwili w żaden sposób mu nie pomoże.

- A poza tym - dodał Tadar'Ro - jest coś jeszcze, co chciałbym ci przekazać, Luke'u Skywalkerze.

Ben zastanawiał się, czy przed próbą, której zamierzał się teraz podjąć, nie powinien był wziąć paroprysznicę albo zjeść coś gorącego, ale teraz i tak było już na to za późno. Zmierzał powoli, ale zdecydowanie do miejsca, w którym on i Luke spędzili tyle dni, ucząc się od Tadar'Ro. Wszystko wyglądało tu jak wcześniej - wygładzone przez czas kamienie były nagrzane słońcem, a wysokie skały rzucały długie cienie. Teraz jednak Ben patrzył na to miejsce... inaczej.

To tutaj Tadar'Ro uczył jego, jego ojca i Jorja Car'dasa.

I to tu przekazywał wiedzę Jacenowi Solo.

Przez chwilę Ben stał wśród skał, nie mogąc się ruszyć. Serce waliło mu jak młotem, ramiona skrzyżował na piersi. Jakaś jego część chciała po prostu odejść, ale inna kazała mu zostać. Wiedział, że jeśli się teraz wycofa, przez resztę życia będzie się zastanawiał, czy mógł coś zmienić dzięki temu, czego się nauczył.

Usiadł, ale nie na jednym z kamieni, na których siadywali uczniowie. Był wciąż kilka kroków od ulubionego miejsca Tadar'Ro - dość blisko, żeby wszystko dobrze słyszeć i widzieć, ale na tyle daleko, że w razie czego pozostałby niezauważony. To właśnie między innymi przed tym przestrzegał go ich nauczyciel. Ten, kto podróżował w przeszłość, mógł być widziany i słyszany - a nawet zmieniać pewne rzeczy. Mimo to prędzej czy później Moc i tak wracała do swojego naturalnego biegu. Nie można było zmienić istotnych faktów, bo sprowadzała wszystko na raz obraną drogę.

Benowi przyszła nagle do głowy pewna myśl i poczuł w piersi dziwny ciężar.

Tadar'Ro mówił tak, bo jego lud wierzył, że to Moc prowadzi ich każdego dnia, ale ta wiara nie uchroniła ich przed schizmą. A co, jeśli się mylili? Co, jeśli żadna ze stron nie miała racji? Co by było, gdyby nic nie kierowało ich losem, a wydarzenia nie były z góry przesądzone?

Gdyby mógł naprawdę zmienić przyszłość...?

Myśl była tak pociągająca, że aż zadrżał. Cóż, istniał tylko jeden sposób, w jaki mógł się o tym przekonać: wrócić nurtem do przeszłości i zobaczyć, co się stanie.

Bał się, że ze zdenerwowania ugną się pod nim kolana, więc usiadł ze skrzyżowanymi nogami na skalistej ziemi i zaczął uspokajać oddech, jakby przygotowywał się do zwykłej medytacji. Nie zamknął jednak oczu. „Żeby zobaczyć, musisz mieć miękkie oczy - tłumaczył mu Tadar'Ro. - Twardymi oczami nie dostrzeżesz tego, co chcesz ujrzeć. Zamkniętymi oczami nie zobaczysz nic”.

Miękkie oczy, powtórzył sobie Ben. Nieskupione na niczym, a jednak obserwujące. Wiedział, co Aing-Tii miał na myśli.

Rytm jego serca zwolnił, a ciało wyraźnie się rozluźniło. Na wpół widzącym wzrokiem patrzył na kamienie, na których siedzieli razem z ojcem.

- Nie rozumiem - zabrzmiał znajomy głos i Ben odruchowo odwrócił głowę w stronę źródła dźwięku, wciąż celowo nie skupiając nadmiernie wzroku. W polu jego widzenia pojawił się właśnie Tadar'Ro, a u jego boku zważym krokiem szedł, ubrany w brązowe i beżowe szaty Rycerza Jedi...

- Jacen - wyszeptał Ben.

Jego kuzyn wyglądał młodziej, niż go zapamiętał. Cóż, nic dziwnego. W końcu cofnął się w czasie. Jednak nie chodziło tylko o to. To wojna, uświadomił sobie. To ona odcisnęła potem swoje straszne piętno na wyglądzie Jacena Solo. Teraz czoło jego kuzyna było gładkie, a jasne oczy lśniły ciepłym blaskiem. W jego ruchach nie było tej ociężałości, której nabrały później, kiedy przywdział czerni i chodził długimi krokami, powiewając błyszczącej peleryną. Ben nie miał przed sobą Sitha ani pułkownika. Tym, kto przyszedł po pomoc do Aing-Tiich, był Rycerz Jedi, jego kuzyn, młody mężczyzna ciekawy galaktyki i spragniony wiedzy.

Jacen usiadł przed Tadar'Ro i spojrzał na istotę z wyczekiwaniem.

- Jak w ogóle możecie podróżować do przyszłości, skoro jeszcze się nie wydarzyła? - spytał. - Yoda powiedział mojemu wujkowi, że przyszłość jest w ciągłym ruchu.

- Yoda miał rację - przyznał Tadar'Ro. - A mimo to można się do niej przenosić.

Jacen pokręcił ciemną głową.

- Ale jak można podróżować w miejsce, które nie istnieje?

- Kiedy wędrujesz po nurcie, ścieżka pod twoimi stopami nabiera kształtu w miarę wędrówki. Powołuje ją do życia twoja obecność. Mimo to kiedy wracasz, wszystko też wraca z powrotem do niebytu. To, co widzisz, jest przyszłością, ale niekoniecznie przyszłością, która się wydarzy. Jest i jednocześnie nie jest prawdziwa. I jest.

Jacen znów pokręcił głową, tym razem ze śmiechem - szczerym, ciepłym, tak boleśnie znajomym...

- To wiele wyjaśnia - parsknął.

Był taki... otwarty. Wcale nie wydawał się spięty. Ben spróbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział takim Jacena, ale nie potrafił. Czyjego kuzyn zachowywał się tak dlatego, że był tutaj, ucząc się od Tadar'Ro? A może po prostu ten straszny, twardy pancierz jeszcze się wokół niego nie uformował?

- Cieszę się, że zgodziłeś się mnie uczyć - powiedział młody Solo. - Chciałbym się dowiedzieć wszystkiego, co mogę. Ta galaktyka... - Odwrócił wzrok. Sprawiał wrażenie rozkojarzonego, ale w jego nieobecny wzroku nie było nic z tego lodowatego chłodu, który Ben zapamiętał. - Jest spragniona porządku. Musi zostać uleczona. Potrzebuje pomocy. A Jedi mają zdolności, których innym poskąpiono. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby zaprowadzić ład.

Pomocy..., powtórzył gorzko w myśli Ben. Ten człowiek z zimną krwią zabijał niewinnych.



Zamęczył kobietę na śmierć. A wszystko w imię niesienia galaktyce pomocy... Jakim cudem mógł usprawiedliwiać podobne czyny - on, który siedział tu w tej chwili, zatroskany o losy wszechświata?

Jacenie... zaszlochał w duchu Ben. Och, Jacenie...

Nie mógł tego dłużej znosić. Z krzykiem żalu i wściekłości rzucił się naprzód, ale wizja zniknęła, jakby nigdy jej nie było. Kamienie były puste.

Do Bena dotarło, że - podobnie jak to było przy podróżowaniu w przyszłość - chociaż Jacen nie kroczył jeszcze ścieżką Ciemnej Strony, to stał już na niej bardzo pewnie i nie mógł się cofnąć. Nie było odwrotu. Nie stał się jeszcze Sithem, nie przeszło mu to nawet przez myśl; człowiek, którego przed chwilą oglądał Ben, był Jedi - prawym, uczciwym, czystego serca. Nie był co prawda zupełnie niewinny - o nie, Jacen Solo za wiele już w życiu przeszedł, jednak mimo całego doznanego bólu, był wolny od mroku. Niestety, padł już na niego cień, którego ślad czaił się w zadawanych pytaniach, w jego nastawieniu - nie chodziło o poszukiwanie wiedzy ani nawet o sposób, w jaki zamierzał tę wiedzę wykorzystać, ale o to, co pchało go do jej zdobycia.

Ben z trudem się powstrzymywał przed przemożnym pragnieniem: chciał przyskoczyć do kuzyna, złapać go za szaty i potrząsnąć nim z okrzykiem: „Nie rób tego! Jacenie, błagam, nie rób tego!”

Wiedział jednak, że nawet gdyby zdołał opowiedzieć Jacenowi o wszystkich potwornościach, których dopuści się w przyszłości, nic by nie zmienił. Jacen Solo nosił już w sobie ranę. Proces jego przemiany w Dartha Caedusa już się rozpoczął - był nieubłagany i nieodwracalny, a to łamało Benowi Skywalkerowi serce.

Zatoczył się nieprzytomnie i oparł o jedną ze skał. Chwycił się jej jak ostatniej deski ratunku. Jego ojciec miał rację. Tak, znów miał rację, pomyślał. Wędrowanie po nurcie nie było sposobem na naprawę wszechświata ani na zmianę biegu historii. Nie było szansy na ocalenie Jacena. Była tylko koszmarna nieuchronność zdarzeń, uczucie bezsilności i ból rozdrapanej rany, która powinna była się zagoić już dawno, dawno temu.

Ben oparł czoło o chłodny kamień i zaszlochał.

Kiedy wrócił do statku, Luke i Tadar'Ro czekali na niego u stóp rampy. Wiedział, że widać po nim, że płakał, ale nie obchodziło go to; nie próbował też ukryć swoich uczuć w Mocy. Luke spojrzał na syna ze współczuciem.

- Miałeś rację, tato - zaczął Ben bez zbędnych wstępów. - To straszne uczucie. Chyba nigdy dotąd nie czułem się tak bezsilny. Teraz mogę tylko spróbować jakoś się z tym pogodzić i... i następnym razem brać sobie do serca twoje rady. - Podniósł wzrok na ojca. - Nie zdołałem ocalić Jacena. Ale może... mogę pomóc innym. - Skrzyżował ramiona na piersi i odwrócił się do Tadar'Ro. - Dziękuję za to, że nauczyłeś mnie tej techniki. Nie chciałbym cię urazić, ale... wygląda na to, że nie użyję jej już więcej. Nigdy. Ss... sądzę - zająknął się ze skrucą - że lepiej się stanie, jeśli będę żył terazniejszością.

Luke milczał, ale Ben czuł promieniującą od niego dumę, omywającą go jak ciepła, łagodna fala.

Zamrugnął z całej siły, odpędzając łzy.

- Nic się nie stało - zapewnił go Tadar'Ro. - Nie każdemu jest pisane kroczyć ścieżkami Aing-Tiich. Chciałeś się uczyć, a my przekazujemy wiedzę tym, którzy są jej spragnieni. Tak samo było z Jorjem Car'dasem. W odpowiedzi na jego pytania poprosiliśmy tylko, żeby spróbował nas poznać, nie kazaliśmy mu się stawać takim jak my.

Ben zastanowił się przelotnie, jak będą wyglądać „ścieżki Aing-Tiich” teraz, kiedy musieli podjąć poważną decyzję. Ale to nie był jego interes. Nie powinien wtykać nosa w ich sprawy.

- Kiedy byłeś... pod twoją nieobecność - poprawił się Luke - Tadar'Ro i ja odbyliśmy bardzo ciekawą rozmowę. Okazuje się, że nie byliśmy jedynymi ludźmi, którzy obcowali z Kodeksem.

Ben aż się wzdrygnął, ale szybko wziął się w garść. Mimo swoich przeżyć podczas wędrówki po nurcie, wiedział, że prędzej czy później będzie się musiał nauczyć, by się nie krzywić na byle wzmiankę o Jacenie.

- Jacen też go dotykał? - domyślił się.

Luke pokiwał głową.

- Opowiedziałem Tadar'Ro o naszych odczuciach. Wygląda na to, że kiedy Jacen dotknął Kodeksu, przeżył to samo.

- Całe to wzmożenie zdolności i tak dalej?

- Tak, ale co więcej, on także wyczuł jakieś zagrożenie czające się w Otchłani, tak jak ja. Powiedział Tadar'Ro, że po odlocie zamierza zbadać ten obszar przestrzeni i dowiedzieć się, co to takiego.

W głowie Bena krążyły setki pytań. Otworzył nawet usta, chcąc zadać chociaż kilka z nich, ale zanim się odezwał, Tadar'Ro przemówił:

- Odradzałem Jacenowi Solo tę wyprawę i to samo powtarzam Luke'owi Skywalkerowi i Benowi Skywalkerowi.

- Ale dlaczego? - zaprotestował natychmiast Ben. - Skoro jest tam coś dziwnego...

- To miejsce jest niebezpieczne dla wrażliwych na Moc - wyjaśnił Aing-Tii. - Mieszkają tam Spijające Umysłów.

Ben zerknął niepewnie na ojca, ale Luke miał stanowczą minę.

- Wyruszyliśmy na tę wyprawę, żeby dowiedzieć się, co takiego przemieniło Jacena Solo w Dartha Caedusa - wyjaśnił Mistrz Jedi - a także dowiedzieć się czegoś o dziwnej chorobie, która nęka wciąż nowych członków Zakonu Jedi. Tadar'Ro, musimy tam lecieć.

Mimo gorliwości, z jaką Aing-Tii udzielił im ostrzeżenia, ich decyzja chyba go nie zaskoczyła. Może, poznawszy już czterech przedstawicieli ich gatunku, zaczynał się przyzwyczajać do tego, że ludzie są uparci?

- To samo mówił Jacen Solo - powiedział. - A ja dam wam taki sam podarunek na pożegnanie, jaki zostawiłem jemu: zagadkę. A oto ona: Ścieżka Prawdziwego Oświecenia wiedzie przez Otchłań Nieprzeniknionej Ciemności. Jest wąska i zdradliwa, ale jeśli nią podążycie, znajdziecie to, czego szukacie.

Skywalkerowie wymienili spojrzenia.

- Tylko tyle?

- Tak jak powiedzieliście wcześniej mojemu ludowi... sami musicie zdecydować.

Mimo powagi sytuacji Ben nie mógł powstrzymać uśmiechu. Nigdy by nie przypuszczał, że ich gospodarz ma poczucie humoru.

- A dla Bena Skywalkera mam jeszcze jeden podarunek. Nieco mniej skomplikowany.

U pasa miał zawieszoną jedną z ogłuszających pałek *vor'cha*. Teraz sięgnął po nią i podał ją Benowi.

- Zaatakowano was podobną bronią. Jest mi z tego powodu niewymownie przykro. Chciałbym, żebyś ją przyjął. Wiem, że będziesz jej używał z rozwagą. Można nią ogłuszyć wroga nawet przez gruby pancerz.

- Bomba! - zawołał Ben z szerokim uśmiechem na twarzy. Skłonił się głęboko. - Dziękuję, Tadar'Ro. Dziękuję za wszystko.

Luke podchwycił spojrzenie Aing-Tii i także uśmiechnął się lekko, a potem, zanim Ben zdążył się obejrzeć, rozległo się głośnie mlaśnięcie, przypominające dźwięk uchodzącego powietrza, i pałka *vor'cha* zniknęła, lądując w dłoniach jego ojca. Ben stał przez chwilę z otwartymi ustami, zanim dotarło do niego, że podczas gdy on uczył się techniki wędrowania po nurcie, jego ojciec zajął się doskonaleniem innej sztuki Aing-Tiich. Parsknął krótkim śmiechem, a Luke odrzucił mu broń.

Tadar'Ro uklonił się Skywalkerom z szacunkiem.

- Bezpiecznej podróży - życzył im. - Obyście znaleźli odpowiedzi na wasze pytania.

- Niech Moc będzie z tobą - odparł Luke.

Wyczuli od ich gospodarza falę rozbawienia.

- Zawsze jest. Ze wszystkimi - powiedział Aing-Tii i odszedł w swoją stronę.

Nie minęła godzina, a byli już gotowi do drogi. Ben zdążył nawet wziąć paroprysznic i wsunąć

stek z nerfa. Wreszcie wskoczył na fotel drugiego pilota i przysłuchiwał się w milczeniu, jak Luke nagrywa wiadomość:

- ...to, czego się dowiedzieliśmy, skłoniło nas do podjęcia wyprawy do Otchłani - mówił jego ojciec. - Nie wiem, kiedy opuścimy Ryft i kiedy otrzymasz tę wiadomość, ale sądzę, że to ważne. Ben i ja spróbujemy rozwiązać tę zagadkę, ale gdyby któryś z Mistrzów dokonał tego przed nami, nie będę rozdzierał szat. Mam nadzieję, że wkrótce uda nam się porozmawiać i że u was wszystko w porządku.

Nacisnął guzik i wysłał wiadomość, a potem odwrócił się do syna.

- Gotów na pogawędkę ze Spijaczami Umysłów, którzy podobno czają się w Otchłani?

- Jasne! - prychnął Ben, podrzucając od niechcienia pałkę *vor'cha*. - Damy im radę jak nie!

# ROZDZIAŁ 25

## Kesh

Po rozmowie, którą Lady Rhea odbyła z Lordem Volem, „Niestrudzony Pogromca” został wezwany z powrotem na Kesh. Kiedy weszli na orbitę, do Vestary dotarło, że cofnięto całą armadę, nie tylko ich statek. W przestrzeni nad światem, na którym jeszcze dwa lata temu nikt nawet nie marzył o posiadaniu przyzwoitego pojazdu kosmicznego, unosiło się teraz dwadzieścia kilka w pełni sprawnych jednostek.

Vestara, Lady Rhea i paru innych członków załóg udało się niewielkim transporterem do Tahv. Vestarę bardzo cieszył fakt, że jej zdanie wreszcie się liczyło. Nareszcie miała coś do powiedzenia - i to podczas podejmowania prawie wszystkich ważnych decyzji czy przy ustalaniu planów, które wcielili w życie na przestrzeni dwóch minionych lat. Była świadoma odpowiedzialności, jaka wiązała się z takim zaszczytem, i wdzięczna za to.

Przypomniała sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy znalazła się w Sali Rady. Bała się wtedy bezgranicznie, ale nie straciła zimnej krwi. Jakże naiwna wtedy była... Uśmiechnęła się do siebie i przestąpiła z nogi na nogę, wsłuchując się uważnie w słowa Lorda Vola.

- Niedawno wielu z nas poczuło silne zaburzenie Mocy - mówił mędrzec. - Wyczuliśmy obecność, która - jak nas poinformowano - może być dla nas dużym zagrożeniem. Statek zdołał zidentyfikować jej źródło: jest to dowodzący obecnie Zakonem Jedi Wielki Mistrz Luke Skywalker.

Wśród zebranych zaszemrało i Lord Vol podniósł dłoń, nakazując ciszę.

- Statek udzielił nam rzeczowych informacji na temat Skywalkera, który przebywa obecnie z dala od swojej bazy. Nie wiemy, jak bardzo jest od niej oddalony, jednak nie możemy przepuścić okazji, żeby się go pozbyć. Jest sporo lat świetlnych stąd, ale nie tak daleko, żebyśmy nie zdołali do niego dotrzeć. Rozmawiałem już z Lady Rhea. - Skinął głową Mistrzynie Vestary, która wystąpiła naprzód.

- Kiedy Statek przybył do nas z wieścią o tym, że Sithowie są na wyginięciu - przemówiła Rhea czystym, mocnym głosem - nie zatraciliśmy się w rozpacz. Zamiast tego zaczęliśmy działać. Statek po statku gromadziliśmy flotę; dzięki niej wreszcie odbierzemy galaktykę Jedi, którzy rozplenili się jak pasożyty, zagarniając system za systemem. To nasz cel. Ktoś mógłby powiedzieć, że jeden człowiek nie zdoła władać całą galaktyką - ciągnęła. - To prawdą. Ale jeden człowiek może prowadzić i inspirować. Ciało bez głowy jest truchłem. Przez całe życie Luke Skywalker walczył z Sithami i Ciemną Stroną. Kiedyś ostatni Jedi, teraz odbudował Zakon, który liczy ich setki. - Rhea wypluwała słowa z najwyższym obrzydzeniem. - A niedawno, z jakiegoś nieznanego powodu, zmanifestował swoją obecność w Mocy. Jesteśmy potężni i nie mam żadnych wątpliwości, że zdołamy go pokonać. Wraz z Lordem Volem wybraliśmy zespół uderzeniowy, który poprowadzimy przeciwko Skywalkerowi. Musimy.

- Chwileczkę - przerwał jej Yuvar Xal, Mistrz Ahriego. - Wielki Mistrz Jedi raczej nie podróżuje samotnie. Na pewno przebywa na jakiejś ważnej misji i można śmiało założyć, że ma na usługach wiele statków. Pojedynczy zespół nie zdoła pokonać takiej siły.

- Wręcz przeciwnie - odparła Rhea. - Moc sugerowała coś innego. Poza tym instynkt podpowiada mi, że nawet jeśli Skywalker nie podróżuje sam, to na pewno nie ma ze sobą żadnej floty.

Vestara wiedziała, o czym mówi jej Mistrzynie. W aurze, którą wyczuły, była nuta wyizolowania, samotności.

- Niezależnie od tego, jeśli okaże się, że nie mam racji - podjęła Rhea - zawsze możemy wezwać posiłki. Cała armada zdradziłaby naszą obecność. A jedna czy dwie małe jednostki doskonale nadadzą się do przeprowadzenia szybkiego zwiadu.

Xal nie wyglądał na przekonanego, ale milczał.

- A teraz - podjęła Lady Rhea - zaplanujemy...

Szok uderzył w nich jak fala udarowa. Vestara aż się zachwiała. Potężny rezonans w Mocy był jednocześnie obezwładniający i ożywczy. Pokój wypełniła energia Ciemnej Strony, przeszywając ich serca i zamykając w uścisku, który był cudowny, ale zbyt mocny, żeby dał się długo znieść. Vestara prawie się zachłysłęła. Nieprzytomnie wyciągnęła rękę, jakby mogła dotknąć żaru, który zdawał się wypełniać w tej chwili nią samą i wszystko dookoła. Chciała poczuć go mocniej, całą sobą; jej oczy wypełniły łzy i...

Nagle poczuła nieopisaną radość. Pochodziła od Statku, który cały drżał, mruczał tęsknie całkiem jak pupil biegnący na spotkanie ukochanego pana, wiedziony przez zew Ciemnej Strony.

- Nie! - jęknęła. - Statek! On nie...

Zamrugwała, zaskoczona, z trudem wracając do siebie, bo dziwny przyływ energii skończył się równie gwałtownie, jak zaczął. Lady Rhea przyglądała się jej w napięciu.

- Vestaro, co się dzieje?

Dziewczyna oblizwała spierzchnięte wargi. Czowała się dojmująco, przerażająco wręcz opuszczona, osierocona. To z nią Statek skontaktował się jako pierwszą i to ją łączyła z nim najsilniejsza więź, utrzymywana bezustannie przez dwa lata. A teraz Statek... porzucił ją, porzucił ich wszystkich - bez odrobiny żalu, bez pożegnania.

- On... odszedł - odparła drżącym głosem. - Podążył za tym... wezwaniem.

Przez jedną straszną chwilę wszyscy milczeli. Moc przesycił strach, wściekłość i udręka. Po chwili jednak Lord Vol wstał ze swojego miejsca. Chociaż jego ciało niedomagało, wciąż był potężny i niezłomny.

- Planowaliśmy wysłać zespół uderzeniowy i zaatakować Luke'a Skywalkera - przypomniał im. -

Teraz jednak mamy ważniejszą misję: podążyć za Statkiem i go odzyskać. Zespół zadaniowy przygotowuje się do wyprawy, jak tylko Lady Rhea wyda odpowiednie rozkazy.

Rhea odwróciła się w stronę swojej uczennicy i kiwnęła głową. Vestarze kręciło się w głowie z podekscytowania i strachu, ale odsunęła od siebie wszystkie uczucia. Jeśli miała wypełnić tę misję, musi być spokojna i kontrolować własne emocje. Nie może pozwolić, by nią kierowały.

Znajdą Statek i dowiedzą się, co tak fascynującego skłoniło go do opuszczenia tych, do których przybył.

Leia i Han siedzieli na łóżku Allany, otulając ją troskliwie kołderką. Sądząc po tym, jak szybko mała doszła do siebie, musiała mieć nerwy z durastali. Wszystko wskazywało na to, że już całkiem zapomniała o strasznym incydencie na Wystawie Zwierząt, chociaż ostatnio bywała jakaś zamyślona. A za każdym razem, kiedy Han albo Leia próbowali ją pociągnąć za język, uśmiechała się do nich słodko i zapewniała, że nic jej nie jest.

Dziś wieczór jednak, zanim ucałowali ją na dobranoc, spojrzała na nich poważnie.

- Tak sobie myślałam... - zaczęła, a dziadkowie wymienili znaczące spojrzenia. Przysiedli z powrotem na łóżku wnuczki.

- Co takiego, kochanie? - spytała łagodnie Leia.

- O... o tym, co się stało na wystawie - wyznała Allana.

Leia pogłaskała małą po policzku.

- Tak...? - zachęciła ją.

- Ja... wiem, że musiałaś zabić niektóre zwierzątka, żeby ocalić ludzi.

Księżniczka pokiwała głową.

- Dokładnie tak.

- Ale to były tylko zwierzątka... To znaczy, tak je wytresowano, żeby były złe i...

- Nie robiły tego specjalnie - potwierdziła Leia, zachodząc w głowę, do czego zmierza ich wnuczka. - To prawda. Ale nie zmienia to faktu, że były niebezpieczne... nieważne, czy atakowały celowo, czy nie.

- Ale... ale ta nexu... Ona miała małe.

Ach! Leia już wiedziała, co się święci.

- Zgadza się.

- A ty ją zabiłaś. Bo krzywdziła ludzi - dodała szybko mała. - A teraz jej dzieci zostały bez mamy. Nie ma się kto o nie troszczyć. - Popatrzyła na nich, ściągając z troską brewki. - Sądzę, że powinniśmy wziąć na siebie odpowiedzialność.

- Że co proszę? - parsknął Han.

- Tylko jeednoo! - zajęczała błagalnie Allana. - Radd Minker mówił, że można je oswoić, jeśli znajdzie się dla nich dobrego tresera. Zabraliśmy im mamę! - przypomniała z wyrzutem. - Powinniśmy się nimi zająć... No, przynajmniej jednym. To właściwe. To się nazywa... sprawiedliwość - przesyłabizowała dobitnie.

Han posłał żonie spojrzenie mówiące „i co, do *stang*, z tym zrobimy?” Leia przypuszczała zresztą, że sama wcale nie ma lepszej miny. Mimo to była niesamowicie dumna z wnuczki. Jej kompas moralny działał bez zarzutu. Była niezwykłym dzieckiem, które pewnego dnia wyrośnie na wspaniałą kobietę.

- Masz rację, kochanie - potwierdziła. - To właściwe.

Han spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Sądziłem, że mamy kupić małego, miłego kybucka - zaczął. - No wiesz... łagodny, spokojny, żadnej paszczki pełnej ostrych kłów...

- Nie wiem, czy będziemy mogli go zatrzymać - ciągnęła Leia, jakby w ogóle nie usłyszała uwagi męża - ale na pewno możemy dopilnować, żeby wszystkie trafiły w dobre ręce, do istot, które odpowiednio się o nie zatroszczą.

- A tauntaun? - spytał Han z paniką w głosie. - Threepio mógłby go codziennie kąpać i...

- Oj, czy możemy chociaż spróbować? - spytała Allana tęsknie, także konsekwentnie ignorując dziadka.

- Zobaczymy - obiecała Leia.

Tahiri siedziała samotnie w swoim apartamencie, bez entuzjazmu grzebiąc w resztkach obiadu. Mechanicznie wsuwała kolejne kęsy do ust, przeżuwała i połykała. Teoretycznie było to jedzenie, ale kompletnie nie zwracała uwagi na to, co robi. Myślami błędziła zupełnie gdzie indziej.

Zastanawiała się, co w tej chwili porabia Jaina Solo. Minęło kilka dni, odkąd reporter Javis Tyrr przedstawił swoje „expose” w sprawie zarazy toczącej szeregi Jedi. Będąc częścią zespołu, który schwytał Seffa Hellina, Tahiri cieszyła się, że Daala nie odebrała Zakonowi Seffa ani Natui. Wiedziała jednak, że przywódczyni Sojuszu ubolewa nad tym, iż nie udało jej się dopiąć swego i na pewno zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby upokorzyć Jedi.

Z przykrością oglądała wywiad z Jainą. Znała ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że dziewczyna



przez cały czas powstrzymuje się od kąśliwych odpowiedzi na idiotyczne pytania Tyrra. Niewykluczone, że miała ochotę palnąć go z całej siły w łeb. Tahiri współczuła też Cilghal i Tekli, chociaż one akurat poradziły sobie całkiem nieźle. Godność i spokój tej pierwszej sprawiły, że Tyrre wyszedł na rozwydrzonego młokosa, a widoczna gołym okiem trema i urok osobisty Chadra-Fanki na pewno zyskały jej sympatię wielu widzów.

Jedynym powodem, dla którego Tahiri nie znalazła się wśród grupy molestowanej na wizji przez Tyrra, było to, że nie należała już oficjalnie do Zakonu. To właśnie dlatego Jaina jej nie wydała i Tahiri była jej za to oczywiście bardzo wdzięczna...

Bywały dni, kiedy decyzja o opuszczeniu Zakonu wydawała jej się słuszna, jednak czasem miała wrażenie, że postąpiła po prostu głupio.

Odłożyła widelec i zapatrzyła się bezmyślnie w niedojedzony posiłek, a potem ukryła twarz w dłoniach i trwała tak przez kilka chwil. Wróciła myślą do słów, które rzucił pod jej adresem Seff Hellin, oskarżając ją o to, że jest sobowtórem: „Morderczyni, zdrajczyni, żalosna niewolnica własnych emocji!”

To bolało. I to bardziej, niż mogłaby się spodziewać. A bolało dlatego, że było prawdą. Tahiri Veila dopuściła się wszystkiego, co zarzucał jej Seff - mordu i zdrady. Wciąż nie potrafiła też zapanować nad targającymi nią sprzecznymi uczuciami. Powiedziała Jainie, że musi to wszystko przemyśleć - i uczciwie próbowała. Solo przytuliła ją wtedy bez słowa, a potem okazała jej zaufanie, prosząc o pomoc w spisku Ciemnospójni. Może rzeczywiście zdoła się z tego wszystkiego jakoś podźwignąć...?

U drzwi zadźwięczał melodyjny kurant. Tahiri westchnęła, odsunęła talerz na bok i podeszła boso do drzwi.

W progu stała trójka oficerów GS. Dwóch było uzbrojonych, a trzeci, ubrany w garnitur, miał ze sobą datapad, na którym leżała złożona na pół flimsikartka.

- Tahiri Veilo, jesteś aresztowana pod zarzutem popełnienia zbrodni przeciwko wymiarowi sprawiedliwości, współudział w zabójstwie admirała Gilada Pellaeona i zdradę.

# PODZIĘKOWANIA

*Jest mnóstwo ludzi, dzięki którym ten wspaniały projekt mógł zostać wcielony w życie. Przede wszystkim chciałabym podziękować Lucienne Diver, mojej agentce, a także Shelly Shapiro, mojej redaktor w Del Rey, za umożliwienie mi udziału w tworzeniu tej serii oraz za całą pomoc i entuzjazm. Dziękuję także Sue Rostoni z Lucas Licensing Ltd., która trzymała rękę na wielu pulsach, aby koordynować kształt serii Przeznaczenie Jedi, oraz Lelandowi Chee, który z zadziwiającą szybkością i zapałem odpowiadał na moje pytania. Aaron Allston i Troy Denning przyjęli mnie bardzo ciepło do swojego zespołu; to niesamowite, móc z wami pracować. Bardzo cenię sobie waszą pomoc i wszystkie wskazówki, dzięki którym łatwiej mi żeglować po oceanach nowych możliwości. Jeffrey R. Kirby, mój konsultant twórczy (i ulubiony Sith) pilnował, żebym wstrzeliła się w uniwersum Gwiezdnych wojen i zachowała jego niepowtarzalną atmosferę. Na końcu chciałabym zaś podziękować mojemu mężowi, Michaelowi Georgesowi, za nieocenione wsparcie, a także George 'owi Lucasowi za uczynienie tego świata takim wciągającym.*

# Spis Treści

[BOHATEROWIE POWIEŚCI](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)